

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1987

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1987

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 428

ISBN 2-7168-0094-4

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Michał GIEDROYĆ

CHRYSZCJANIZACJA LITWY (Pierwsze kontakty — XIII wiek)

W 1386 roku Jagiełło, wielki książę litewski, został koronowany na króla Polski, a następnego roku pogańska ludność Aukštoty, głównej prowincji Litwy, została ochrzczona *en masse* w obrzędku łacińskim. Było to ważne wydarzenie, ponieważ oznaczało wkroczenie ostatnich pogan Europy w orbitę katolicyzmu. Ponadto przebiegło zaskakująco szybko i spokojnie. Zasługę za to przypisać należy przede wszystkim Jagielle, który dał przykład swojemu ludowi oraz Kościołowi polskiemu. Nie oznacza to jednak, że chrześcijaństwo było Litwinom nieznanne. W ciągu poprzednich dwu stuleci, jeżeli nie dłużej, elita litewska i wielu ludzi z jej otoczenia było już w bliskich kontaktach z obu obrzędkami, zachodnim i wschodnim; w istocie w 1387 roku ogromną większość poddanych Wielkiego Xięstwa Litewskiego stanowili wschodni Słowianie obrządku prawosławnego.

W XIII wieku wyłoniły się dwa ważne procesy, które miały wpłynąć na przyszłość Litwy: coraz gwałtowniejsza konfrontacja z Zakonem Krzyżackim oraz równoczesna ekspansja litewska na Ruś. Oba miały głębokie implikacje natury religijnej. W 1251 roku wielki książę Mendog przyjął chrzest w obrzędku łacińskim z rąk Andrzeja von Stierlanda, mistrza-prowincjała Inflant. Było to tylko przelotne interludium, po którym nastąpiły trwające ponad 150 lat zaciekle walki. W tym samym czasie ekspansja na Ruś wystawiła coraz większą liczbę książąt litewskich oraz ich otoczenie na bierne, ale głębokie wpływy prawosławia. Tym

niemniej pod koniec XIII wieku ludność Litwy właściwej i znaczny odłam kasty rządzącej były nadal silnie przywiązane do wierzeń pogańskich. Ten stan rzeczy niewątpliwie odzwierciedlał ówczesne nastroje ogółu mieszkańców Litwy etnicznej. Władcy działali zgodnie z nimi, co było miarą ich zdolności przywódczych. Istniały też oznaki świadczące o tym, że wielcy książęta już wtedy zaczęli wygrywać rywalizację pośród prozelitów na korzyść Litwy. Scena była więc przygotowana do nadejścia następnego wieku, w ciągu którego władcy litewscy podnieśli te wczesne manewry dyplomatyczne do rangi polityki uprawianej świadomie i umiejętnie.

Niniejszy artykuł stanowi próbę zbadania dostępnych informacji na temat wczesnych kontaktów Litwy zarówno z katolicyzmem jak i z prawosławiem do końca XIII wieku.

I

W drugiej połowie XII wieku pogańscy Słowianie na wschód od dolnej Łaby byli stopniowo wciągani w orbitę łacińskiego chrześcijaństwa. Proces ten, nazywany „krucjatą wenedyjską”, zakończony został wspólnym wysiłkiem Henryka Lwa saksońskiego i Waldemara I duńskiego. W rezultacie ówczesne (ok. 1200 roku) i już wyraźne granice katolicyzmu na wielkiej równinie europejskiej pokrywały się ze wschodnimi granicami Polski i Węgier. W Skandynawii proces chrystianizacji, rozpoczęty ok. trzech wieków wcześniej przez św. Anskara, został ukoronowany założeniem trzeciego północnego arcybiskupstwa w Uppsali (1164 r.). W ostatnim dziesięcioleciu XII wieku istniała już wspólnota chrześcijańska obrządku łacińskiego w południowo-zachodniej Finlandii, wywodząca swoje początki od (na poły legendarnej) krucjaty św. Eryka w latach 1155-1160.

Granice Polski i Węgier tworzyły linię podziału między katolicyzmem i prawosławiem. Słowianie z Rusi Halickiej i Wołynia, zamieszkujący dorzecza Dniestru i Bugu, byli prawosławni. Dalej na północ chrześcijaństwo obrządku wschodniego sięgało zachodnich granic Połocka, Pskowa i Nowgorodu. Ale między wschodnimi *limes* obrządku łacińskiego i zachodnimi forpocztami prawosławia znalazł się znaczny obszar, którego ludność nie należała ani do jednego, ani do drugiego. Terytoria te, na południowo-wschodnim wybrzeżu Bałtyku, były zamieszkałe przez ostatnich pogan Europy.

Zachodnią granicę tej pogańskiej enklawy stanowił dolny odcinek Wisły. Na południu sąsiadowała ona z polskim regionem

Chełma, a dalej na wschód była oddzielona od Mazowsza borami Galindii. Południowo-wschodni kraniec tego obszaru znajdował się w górnym biegu Narwi, skąd granica robiła przeskok ku górnemu Niemnowi przez gęsto zalesione dorzecze Supraśli. Dalej granica biegła wzdłuż Niemna aż do puszczy nalibockiej, skąd skręcała na północ, wzdłuż nieprzemierzonych bagiennych lasów, w kierunku jeziora Narocz i wielkich jezior rejonu Brastawia. Dalej na północ granica z Pskowem i Nowgorodem ciągnęła się wzdłuż jeziora Pejpus i w końcu wzdłuż rzeki Narwy aż do Zatoki Fińskiej. Większą część tej enklawy zamieszkiwały cztery plemiona bałtyckie (Prusowie, Jadzwingowie, Litwini i Letowie), ale na najbardziej wysuniętych na północ obszarach mieszkali także Liwowie i Estowie (plemiona fińskie), którzy pod wpływem swoich bałtyckich sąsiadów przejmowali zwyczaję osiadłej ludności rolniczej.

U schyłku XII wieku Prusowie, Jadzwingowie, Litwini i Letowie oraz ich fińscy sąsiedzi z północy szybko zbliżali się do własnych form państwowości. Było teraz jasne, że inicjatywa ich konwersji na chrześcijaństwo wyjdzie przede wszystkim z Zachodu. Krucjata wenedyjska (użyteczny poligon dla takiego przedsięwzięcia) wskazywała na kontrast między na pozór biernym prawosławiem Rusi (patrz poniżej) i żarem katolickich misjonarzy, przeszczepionym na niemiecki *Drang nach Osten*. Formuły dla integracji tych dwu potężnych sił w jedną broń dostarczyła Kuria rzymska: świątobliwy (choć surowy) papież Eugeniusz III złożył w 1147 roku swój podpis pod bullą *Divini dispensatione*, zezwalającą chrześcijanom środkowej Europy na wojnę z sąsiadami — słowiańskimi poganami — i udzielającą jej uczestnikom przywilejów krucjaty. Jak widać Kuria nie znalazła żadnych przeszkód natury zasadniczej, rozciągając *rationale* krucjat na Bliskim Wschodzie na nawracanie mieczem ludów tubylczych. Rzym poparł zatem mechanizm, przez który ogromna energia duchowa i zasoby materialne Europy zostały zmobilizowane, wypróbowane na Słowianach Zachodnich i na koniec skierowane przeciw poganom bałtyckim.

Było także jasne, że w razie użycia siły ludy te będą stawiały twarde opór. Bałtowie nadbrzeżni na równi z Estami nauczyli się od Skandynawów metod Wikingów — gwałtownego ataku z morza. W XI wieku mieszkańcy duńskiego wybrzeża modlili się o Boską opiekę przed przybyszami z Kuronii (jeden ze szczepów letyjskich). W 1166 roku Bolesław Kędzierzawy poniósł poważną klęskę w walce z Prusami. W ciągu XII wieku Litwini rozpoczęli swoje grabieżcze najazdy na Ruś, które w miarę upływu czasu stawały się coraz częstsze, dalsze i skuteczniejsze.

W świetle tych faktów ostrożny plan chrystianizacji mógłby się okazać odpowiedniejszy, ale tego nie dałoby się pogodzić z krewkami obyczajami oraz z innymi, bardziej przyziemnymi aspiracjami władców katolickich i ich stronników. Byli oni żołnierzami, wyszkolonymi w szybkich rozwiązaniach przy pomocy miecza i przywykłymi do owoców takich rozwiązań. Ostrożny program — można przypuszczać — nie byłby też w stylu kolejnych wielkopańskich papieży z rycerskich rodów, którzy przewodzili w początkach XIII wieku ostatniemu wielkiemu dziełu chrystianizacji. W obliczu groźnych plemion bałtyckich Zachód nie zdobył się na zmianę metod; wręcz przeciwnie, zdecydowano się na użycie ostatecznej *force de frappe*: zakonów rycerskich. One to miały dostarczyć twardej struktury organizacyjnej dla skoncentrowania i skierowania na wschód wszystkich zasobów Zachodu — materialnych i duchowych. Raz jeszcze Zachód zaprezentował formułę, która — przynajmniej w teorii — miała połączyć energiczne podejście do sprawy z pewną dozą wpływów papieskich (oraz biskupich) na rzecz umiarkowania. Zwolennicy tego podejścia nie zdołali jednak przewidzieć dwóch problemów: trudności w kontrolowaniu na dystans potężnych organizacji wojskowych oraz już widocznej tendencji przywódców zakonnych do tworzenia niezależnych państwowości kosztem swoich katechumenów.

II

Pierwsi kupcy niemieccy pojawili się u ujścia zachodniej Dźwiny ok. 1160 roku, skuszeni handlem ze wschodem, dotąd monopolizowanym przez Skandynawów. Śladem kupców ruszył misjonarz, w tym wypadku wiekowy augustianin Meinhard, konsekrowany na biskupa tych nowych obszarów w 1186 roku. Dalekowzroczne plany Meinharda zmierzały do pokojowej chrystianizacji plemion tubylczych, choć naturalnie nie wykluczały zbrojnej ochrony. Jego bezpośredni następcy zarzucili jednakże ideę wciągnięcia letyjskich społeczności plemiennych w orbitę katolicyzmu metodami mniej więcej pokojowymi. Postanowili natomiast narzucić miejscowym ludom monolityczną państwowość niemiecką typu kolonialnego. Biskup Albert von Buxhoevden (zm. 1229 r.) przybył nad zachodnią Dźwinę w 1199 roku, w otoczeniu kilkuset krzyżowców, a nie kaznodziejów. Biskup wyraźnie zmierzał do zastosowania wszystkich środków z okresu krucjat na Bliskim Wschodzie a ostatnio dostosowanych do warunków krucjaty wenedyjskiej na wybrzeżu Bałtyku. Już w 1195 roku jego wuj i opiekun, arcybiskup Bremy Hartwig, uzyskał

od papieża Celestyna III przywileje krucjaty dla wyprawy nad zachodnią Dźwinę. Teraz te przywileje potwierdzone zostały ponownie dla biskupa Buxhoevdena (1199).

Ale biskup poszedł dalej niż Henryk Lew: w 1202 roku utworzono niemiecki miejscowy zakon rycerski wzorowany na templariuszach i podporządkowany Buxhoevdenowi. Bracia przyjęli nazwę *Fratres Militie Christi de Livonia* i stali się bardziej znani jako kawalerowie mieczowi lub mieczowcy (z uwagi na znak miecza na białych płaszczach). Tak uzbrojony i zachęcony do działania, wyruszył biskup na podbój ziem Letów oraz Liwów i Estów. Zadanie wykonano szybko i sprawnie, przeplatając się dyplomacją. Siły używano wtedy, gdy wybuchały lokalne ogniska oporu (jak to miało miejsce w Estonii), ale generalnie Niemcy zwyciężyli raczej metodą ujrzamiiania, niż rzezi.

Nowe państwo teokratyczne, Inflanty, miało jednak swoje słabości. Wkrótce nastąpiły nieporozumienia na tle podziału zdobyczy terytorialnych między biskupem a kawalerami mieczowymi. Te różnice skomplikowały się jeszcze bardziej wskutek pojawienia się trzeciego ośrodka w obrębie państwa, mianowicie Rygi, założonej w 1202 roku. Po wiadomościach o rosnących konfliktach — bez wątpienia powód do zaniepokojenia dla papieżstwa — nadeszły wieści o aktach brutalności w stosunku do miejscowej ludności. Kuria zareagowała ostrzeżeniami. Ok. 1230 roku biskup i jego rycerze mieli już nadwątloną reputację.

W czasie gdy przybysze niemieccy umacniali swoje młode państwo inflanckie, nowa poważna siła pojawiła się na południu. Początki państwowości litewskiej można przypisać niejakiemu Ryngoldowi, założycielowi dynastii, która miała dzielić z rodem, który wydał na świat Trojdena, rządy w kraju w XIII wieku. Ryngold, jak się wydaje, zmusił do uległości licznych i krnąbrnych przywódców plemiennych pod koniec XII lub na początku XIII wieku. Jest prawdopodobne, że powstanie władzy zwierzchniej na Litwie przyspieszone zostało pojawieniem się kolonialnego państwa niemieckiego na jej północnej granicy. Było też nieuniknione, że wydarzenia na północ od zachodniej Dźwiny będą obserwowane z troską przez nowego władcę litewskiego. Mając na uwadze dowody potęgi wojskowej Litwy, aż nadto dowiedzionej w podbojach na Rusi (i gdzie indziej) w ciągu drugiej połowy XII wieku, można przypuszczać, że na początku XIII wieku Litwa pod władzą Ryngolda była potencjalnie zdolna do próby sił i pokonania młodych Inflant niemieckich. Z drugiej strony wydaje się, że sami Litwini byli jeszcze nieświadomi własnej siły. Książęta litewscy i ich władca, przypuszczalnie uspokojeni oznakami wewnętrznych tarć w Inflantach, doszli do przekonania,

że na razie wystarczy pokaz siły. Doszło doń dwakroć na początku stulecia: po raz pierwszy, kiedy Litwini zadali Niemcom klęskę pod Koknese, i ponownie w 1207 roku, kiedy zorganizowano następny wielki najazd na przybyszów. Litwa dwukrotnie pokazała zęby, po czym zadowolili się polityką *wait and see* — co w języku Bałtów XIII wieku oznaczało regularne wypadu najeźdźcze przeplatane od czasu do czasu rozejmami.

Fakt, że władcy młodych niemieckich Inflant nie zauważyli tych groźnych sygnałów z południa był chyba jeszcze jedną oznaką słabości. Mimo ich istnienia rycerze mieczowi, wskutek nacisków gorliwych zachodnich krzyżowców, ruszyli w 1236 roku z wielką wyprawą na Żmudz — jeden z dwu głównych obszarów plemiennych Litwy. O jej losie zdecydowała bitwa pod Szawlami (Šiauliai), gdzie Niemcom zadano druzgocącą klęskę. Zachód ocenił poprawnie jej rezultat jako całkowitą katastrofę, a papież Grzegorz IX musiał użyć swoich wpływów, aby przekonać Krzyżaków świeżo przybyłych na obszar u ujścia Wisły, by przejęli to, co zostało z Inflant. Interwencja papieska podjęta w ostatniej chwili uratowała obecność niemiecką nad Dźwiną.

III

Rycerze Krzyżowi (Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego) nie byli lokalną organizacją stworzoną przez miejscowego biskupa w celach doraźnych. Ich początki na Bliskim Wschodzie były stosunkowo późne (1189 lub 1190) i raczej skromne, ale wkrótce, pod wodzą Hermana von Saltzy, Zakon zaskarbił sobie poparcie papieskie i pomoc materialną w Cesarstwie i gdzie indziej w zachodniej Europie. W 1230 roku Konrad książę mazowiecki osadził Zakon krzyżacki na północno-wschodnich terenach granicznych w celu ochrony jego ziem przed pogańskimi Prusami. W 1221 i w 1222 roku sami Polacy próbowali wypraw krzyżowych przeciw swoim północnym sąsiadom, ale w obliczu gwałtownych akcji odwetowych obie wyprawy okazały się nieskuteczne. Ta nieumiejętność poradzenia sobie z Prusami była powodem zaproszenia przez Konrada rycerzy krzyżowych, aby osadzić wojowniczych Bałtów.

Książę Konrad mógł liczyć, że potrafi kontrolować Krzyżaków. Układ sił zdecydował wszakże inaczej. Intencje Hermana von Saltzy były podobne do tych, jakie mieli jego krajanie nad zachodnią Dźwiną: założyć niemieckie państwo teokratyczne kosztem Prusów. Miał on do dyspozycji nie tylko najnowsze doświadczenia niemieckie w Inflantach, ale także środki mate-

rialne daleko większe niż te, którymi dysponował biskup Rygi i jego kawalerowie mieczowi. Należało uniknąć wewnętrznych konfliktów, które osłabiły Inflanty. Nowymi Prusami niemieckimi mieli rządzić wielcy mistrzowie, a nie biskupi. W 1237 roku rycerze krzyżowi byli już panami dwu zachodnich obszarów plemiennych: Pomezanii (już wtedy w znacznym stopniu schryścianizowanej przez Chrystiana, zm. w 1245 roku pierwszego misyjnego biskupa Prus) i Pogeżanii.

Jeżeli cieszący się raczej złą sławą Niemcy inflanccy rządili przy pomocy zastraszania, to, dla porównania, metody zastosowane w Prusach przez rycerzy krzyża były bliskie totalnemu terrorowi. Ludność miejscową traktowano w istocie tak samo jak muzułmanów na Bliskim Wschodzie; Chrystian, mnich z klasztoru cystersów w Łeknie, wyświęcony w 1215 lub w 1216 roku na misyjnego biskupa Prus, skarżył się papieżowi Grzegorzowi IX, że Krzyżacy odmawiali chrzczenia ludności, ponieważ łatwiej było sprawować władzę nad poganami. Legat papieski Wilhelm, biskup Sabiny, choć przyjaciel Zakonu, czuł się zobowiązany do doniesienia, że Krzyżacy degradowali świeżo ochrzczonych Prusów do roli niewolników i zakazywali im posiadania ziemi. Nieco później w owym stuleciu (1268) franciszkanin Roger Bacon miał to oto do powiedzenia na temat sytuacji w Prusach:

„... kiedy chrześcijanie mówią do pogan takich jak Prusowie i inne sąsiednie narody, tych ostatnich łatwo przekonuje się, że są w błędzie (...). Staliby się oni bardzo chętnie chrześcijanami, jeśli Kościół pozwoliłby im na zachowanie wolności i cieszenie się posiadłościami ziemskimi w spokoju. Ale chrześcijańscy księża, którzy pracują nad ich nawróceniem, a szczególnie bracia z Zakonu Teutońskiego, pragną ich zdegradować do kategorii niewolników, o czym wiedzą i dominikanie i franciszkanie oraz inni dobrzy mężowie w całych Niemczech”.

Wielki uczyony oksfordzki mógł być zbytnio optymistyczny co do podatności pogan bałtyckich na perswazję, ale fakt, że to wyraźne potępienie metod Zakonu pochodzi z obiektywnego źródła, czyni je znaczącym. Zaskakują również zmiany demograficzne za panowania Niemców: przed przybyciem Zakonu Krzyżackiego ludność miejscowa liczyła ok. 170 tysięcy osób; w połowie XIII wieku (okres znacznego wzrostu ludności w całej Europie) w Prusach było 12-15 tysięcy Niemców, ale tylko 120 tysięcy Prusów. Około 1400 roku Niemców było mniej więcej tyle samo co ludności miejscowej, około 130-140 tysięcy. Te liczby dowodzą, jak skuteczna musiała być kolonizacja niemiecka. Ale wskazują one również na szokujące (nawet na dzisiejsze standardy) straty w ludziach. Dla dobrze poinformowanych wymowny

apel o pokojową chrystianizację Prusów przedstawiony przez Humberta de Romans w czasie drugiego soboru w Lyonie (1274) wydawał się opóźniony i istotnie był w sumie bez znaczenia.

Imponujące postępy Niemców nad Wisłą zahamowane zostały około 1236 roku wskutek apelu papieskiego o pomoc dla Inflant, wówczas bliskich katastrofy po bitwie pod Szawłami. Von Saltza bez entuzjazmu podporządkował się i następnego roku dwa niemieckie państwa kolonialne połączono w jedno: Zakon Niemiecki pod wodzą von Saltzy. Teraz można było podjąć na nowo podbój Prus i dalszy postęp w tym kierunku wyznaczała data 1240 roku, kiedy to zdołano podporządkować Warmian, Natanarów i Bartów. Zaczęto wobec tego przygotowywać atak na nadbrzeżną Sambię, podczas gdy prowincja inflancka zaczęła również odzyskiwać władzę na obszarach Semigalii (Żemigoły) i Selonii, straconych po klęsce pod Szawłami.

W tym czasie pochód Niemców w Prusach zaczął się załamywać. W 1239 roku wielki von Saltza, doradca papieża i zaufany powiernik cesarza, zmarł w Palermo, a w 1242 roku rzutki Świętopełek, książę słowiańskiej Pomeranii — Pomorza Gdańskiego — i byłej sojusznik Zakonu, stanął na czele powszechnego powstania Prusów przeciw Niemcom. Słumienie spontanicznej fali oporu zajęło rycerzom krzyżackim siedem lat. Zakon przetrwał dzięki pomocy z Zachodu oraz, co jest zaskakujące — Polaków, którzy postanowili raczej załatwić stare porachunki ze Świętopełkiem, niż spróbować usunąć Niemców znad ujścia Wisły. Niełatwy pokój, gdy go w końcu zawarto, był następstwem rokowań w 1249 roku w Dzieżgoniu, pod auspicjami papieża Innocentego IV, prowadzonymi przez legata Jacques Panteleona (przyszłego Urbana IV).

Jak wszystkie te wydarzenia wpłynęły na Litwinów? Kluczową datą, która miała zaważyć na ich przyszłych losach był rok 1237, gdy dwie militarne organizacje niemieckie złączyły się w jeden Zakon Krzyżacki, zjednoczony politycznie, ale rozdarty w sensie geograficznym właśnie obszarem Litwy. Wydaje się, że ówczesni przywódcy litewscy nie zdołali dostrzec niebezpieczeństwa tkwiącego w tej nowej konfiguracji bałtyckiej. Litwini ani nie wykorzystali zwycięstwa pod Szawłami, ani nie interweniowali następnie w obronie Prusów. Dziś ta bezczynność wydaje się krótkowzroczna. Należy jednak pamiętać, że w tym mniej więcej czasie władza zwierzchnia przechodziła z rąk Dowsprunka w ręce jego brata Mendoga. W młodej i ciągle jeszcze kruchej organizacji politycznej te wczesne zmiany przywództwa były traumatyczne i łączyły się z otwartym konfliktem wśród pretendentów do władzy zwierzchniej. Litewski stan książęcy, zaabsor-

bowany własnymi problemami sukcesji, wyczuwał prawdopodobnie, że nie miał wystarczających zasobów sił dla interwencji międzynarodowych na dużą skalę. Przywództwo było też bez wątpienia świadome, że nadwyżki materialne, jakimi dysponowało, pochodziły głównie z coraz bardziej korzystnych wypraw łupieskich, szczególnie na Ruś, które na początku XIII wieku nabrały charakteru skoordynowanego terroryzmu międzynarodowego. Istnieją dowody świadczące o tym, że to Mendog był pierwszym, który zrozumiał, że ten szczególny rodzaj agresji może okazać się jeszcze korzystniejszy, jeśli podniesie się go do rangi polityki trwałej ekspansji terytorialnej. W ten sposób wyłonił się zasadniczy plan działania, oparty na trzech zasadach: utrzymać *status quo* na granicy północnej, pozostawić Prusów ich własnemu losowi, kontynuować ekspansję na Rusi.

IV

Dwunastolecie bezpośrednio po połączeniu dwu zakonów niemieckich (1237-1249) było okresem, w którym książęta litewscy i ich drużyny, kierując się na wschód w stronę Rusi, po raz pierwszy nawiązali trwałe i bliskie kontakty z chrześcijaństwem w wersji prawosławnej. Istniały oczywiście liczne uprzednie okazje kontaktów z ludźmi wyznającymi (jakkolwiek powierzchownie) chrześcijaństwo jednego bądź drugiego obrządku. Rembert przypisuje praktyki chrześcijańskie Szwedom, którzy około 850 roku oblegali Apulię (w pobliżu miejscowości Szkudy w dzisiejszej północno-wschodniej Litwie). Starcia Litwy z Polską zaczęły się zapewne pod koniec XI wieku. Wyprawy Duńczyków w rejon Bałtyku (wspomniane przez Saxo-Grammaticusa) za Kanuta Wielkiego (pielgrzyma do Rzymu, zm. 1035) i ponownie za (kanonizowanego) Kanuta IV (zm. 1086) także mogły prowadzić do starć z Litwinami. Pochód Skandynawów nastąpił także od wschodu, w formie stosunkowo rzadkich wypraw wareso-słowiańskich w X i w XI wieku. Jest jednak mało prawdopodobne, aby te wczesne kontakty „na długość miecza” mogły prowadzić do trwalszych wpływów w dziedzinie wiary i przekonań. Bardzo podobna sytuacja utrzymywała się nadal wzdłuż granicy litewsko-inflanckiej w pierwszej połowie XIII wieku.

Jest prawdopodobne, że przywódcy litewscy byli do pewnego stopnia przygotowani na wpływy prawosławia wskutek kontaktów pierwszych jeńców chrześcijańskich z miejscowymi poganami (Litwini równie łasi byli na jeńców jak na dobra materialne). Potwierdzenie hipotezy, że takie wpływy rzeczywiście nastąpiły

uzyskano dzięki odnalezieniu niedawno współczesnego źródła dotyczącego *en passant* XIII-wiecznej Litwy: *Descriptiones terrarum*, odkrytego w Dublinie pod koniec lat 70-tych przez M. L. Colkera. K. Górski uważa, że autorem tego tekstu był Henryk, biskup-nominat na Jaćwież, który w 1255 roku towarzyszył Ottokarowi II Czeskiemu w podróży do Prus. Tekst, napisany w latach 1255-1260, zawiera taki oto ustęp: „... wyżej wspomniani Litwini, Jaćwięgowie oraz mieszkańcy Nalszczan łatwo przyjęli chrzest, ponieważ od kołycki byli wychowani przez chrześcijańskie mamki. Z tego powodu mogliśmy pozostawać pośród nich w całkowitym poczuciu bezpieczeństwa”. Wydaje się, że istnieje tu dowód silnego wpływu chrześcijaństwa rzutującego na elitę litewską w jej własnych domach, datujący się od początków XIII wieku i przynoszący owoce jedno pokolenie później, tzn. w połowie wieku (1255-1260). Statystyki wypraw na Polskę i na Ruś wskazywałyby, że większość tych mamek była chrześcijankami rytu wschodniego.

Możliwość zbliżenia młodszego pokolenia książąt litewskich z obrządkiem wschodnim dostarczył wielki książę Mendog w latach 1236-1238, kiedy narzucił władzę zwierzchną całej Litwie (włącznie ze Żmudzią). Metody Mendoga były brutalne, oparte na przemocy i banicji. W wypadku najgroźniejszych rywali do władzy najwyższej — dwu bratanków wielkiego księcia i jego szwagra, Wykinta żmudzkiego — wygnanie okazało się mechanizmem interesującym i konstruktywnym. Owym trzem książętom (Towciwiłowi, Edywidowi, Wykintowi) Mendog nakazał, aby szli na wschód w poszukiwaniu nowych udziałów w ziemiach słowiańskich. W istocie skierowani zostali na Smoleńsk, a przygotowania do wyprawy musiały zawierać pomoc ze strony wielkiego księcia — w formie posiłków. Ta formuła, zapewniająca pozbycie się z etnicznej Litwy najgroźniejszych rywali, zapoczątkowała zarazem ewolucję zorganizowanego terroryzmu międzynarodowego uprawianego przez Litwę w proces ekspansji terytorialnej: najpierw przez zastraszanie, potem na drodze ugody, a na koniec przez związki małżeńskie.

Wczesne panowanie Litwy nad Rusią było niepewne i wystawione na początkowe niepowodzenia. Trzej książęta istotnie usadowili się na Rusi: rządy Towciwiła w Połocku trwały (z przerwami) do jego śmierci w 1263 lub 1264 roku. Jak twierdzi Strykowski, Wykint zdobył Witebsk, a Edywid Smoleńsk. Litwinów usunięto ze Smoleńska (1239) i z Witebska, chociaż istnieją dane na to, że wkrótce potem Witebsk powrócił do Litwy. W każdym razie Gierdeń, litewski następca Towciwiła, wystąpił w grudniu 1264 roku jako władca Połocka oraz Witebska. Z punktu widze-

nia Mendoga i jego następców ten rodzaj ekspansji był rozwiązaniem bardzo korzystnym. Książęta-banici, osadzeni na niebezpiecznych obszarach przygranicznych, musieli liczyć na poparcie wielkiego księcia oraz na jego pomoc w potrzebie. W zamian za to byli zobowiązani do udziału w wyprawach i do wprowadzania w życie wielkoksiążęcej polityki. W końcowej analizie oznaczało to transfer zasobów z Rusi na Litwę. Nowi słowiańscy poddani Litwy otrzymywali w zamian silne i zdolne rządy, które z czasem dały Rusinom okazję ucieczki od niekończących się konfliktów między Rurykowiczami i polityczną alternatywę lepszą od władzy Mongołów.

Jaki był stosunek owych książąt litewskich do chrześcijaństwa rytu wschodniego? Współczesne źródła nie dają bezpośredniej odpowiedzi, chociaż istnieją pośrednie wskazówki rzucające nieco światła na tę kwestię. Można zasadnie przyjąć, że ci średniowieczni książęta i większość ich współczesnych byli ludźmi prawdziwie religijnymi (niektórzy pisarze przypisują narodowi litewskiemu niezwykle silne odczucie religii). Z drugiej strony nie można uniknąć wrażenia, że stosunek Litwinów do religii (przynajmniej wśród niezłomnej elity) był zabarwiony nieoczekiwanie dużą dozą pragmatyzmu, płynącego z bardzo specyficznej mieszaniny tolerancji religijnej (niemal ekumenizmu) i silnej świadomości monoteistycznej. Po dowody tego szczególnego światopoglądu w jego dojrzałej formie musimy sięgnąć do pamiętnego oświadczenia, które wygłosił w 1324 roku wielki książę Giedymin (zm. w 1341 roku) wobec papieskich wysłanników: „... *christianos facere deum suum colere secundum morem suum, ruthenos secundum ritum suum, polonos secundum morem suum et nos colimus deum secundum ritum nostrum, et omnes habemus unum deum*”. Poglądy tego rodzaju musiały dojrzewać dłużej czas i w dużej mierze wyjaśniają one ciekawą historię Dowmonta (zm. w 1299 roku), księcia litewskiego o wybitnych zdolnościach, który w 1266 roku został zmuszony do ucieczki wraz z rodziną i drużyną do Pskowa. Przyjąwszy prawosławny chrzest, został władcą Pskowa, poślubił wnuczkę Aleksandra Newskiego i został w końcu kanonizowany przez miejscowy kościół jako św. Timofiej, patron Pskowa. Jest to pierwszy dobrze udokumentowany przykład litewskiego wielmoży ruszającego na wschód, przyjmującego chrzest w obrządku wschodnim i przez małżeństwo wchodzącego do *establishment*'u Rurykowiczów. Dowmont i jemu podobni bez wątpienia wpłynęli na swoje litewskie otoczenie, które poszło z nimi do dawnych ziem kijowskich. Istnieje kilka podobnych przypadków w drugiej połowie XIII wieku i o wiele więcej w latach 1300-1400.

Co najmniej dwaj z trzech książąt, Towciwił i Edywid, najpewniej zachowali się w ten mniej więcej sposób. Towciwił, co jest wiadome, dał się ochrzcić w roku 1250 w obrządku rzymskim w czasie krótkiego pobytu w Inflantach. Mógł więc przyjąć i wcześniej chrzest w obrządku wschodnim, po przybyciu do Połocka, w celu zbliżenia się do swych nowych poddanych słowiańskich. R. Batura twierdzi, że legenda św. Merkurego smoleńskiego, obrońcy tego miasta przed najazdem mongolskim około 1238 roku, mogła również wziąć swój początek w biografii własnie księcia Edywida. Hipoteza ta brzmi prawdopodobnie: zgodnie z tradycją, Merkury był konwertytą, człowiekiem o wysokiej pozycji społecznej, banitą z Zachodu, a jego umiejętności wojskowe i doświadczenie były na wyższym poziomie od tych, jakie można było spotkać w Smoleńsku. Te fakty dobrze pasują do biografii Edywida. Z drugiej strony trudno jest pogodzić śmierć Merkurego z rąk najeźdźców mongolskich z informacją, że Edywid pojawił się około 1249 roku ze swym bratem Towciwiłem na dworze Daniły halickiego i ponownie około 1253 roku podczas wyprawy Daniły na Czechy. Niemniej jednak jest możliwe, że legenda św. Merkurego, tak bardzo przypominająca okoliczności życia Edywida, stanowi bezpośrednie potwierdzenie, w formie popularnej tradycji, że litewscy przybysze z zachodu przyjmowali obrządek wschodni oraz kulturę kijowską, która była z nim związana. Co do Wykinta, jego konwersja na prawosławie wydaje się mniej prawdopodobna. Jego stosunki z Rusią były raczej powierzchowne; poza tym był on Żmudzinem. Istnieje w *Descriptiones terrarum* dwuznaczna uwaga, że na Żmudzi „Słowa Bożego nigdy nie głoszone bez pomocy miecza”. Może to być po prostu komentarz na temat metod stosowanych przez Zakon Krzyżacki, ale równie dobrze może stanowić odbicie silnego przywiązania Żmudzinów do ich wierzeń pogańskich. Można by dodać, że zachodnie metody chrystianizacji tego regionu mogły jedynie utwierdzać Żmudzinów w ich przekonaniach.

Istotne jest przypomnieć w tym miejscu uwagę Henryka Łotysza z 1235-1236 roku: „... jest w rzeczy samej zwyczajem królów (tj. książąt) ruskich nienarzucanie wszelkim podbitym przez nich ludom wiary chrześcijańskiej, a raczej zmuszanie ich do składania daniny...”. Ta uwaga odnosi się do wcześniejszych wydarzeń, kiedy książęta ruscy usiłowali podporządkować sobie Letów i Estów. Świadczy ona o widocznym braku zapału misjonarskiego w tym regionie ze strony Kościoła wschodniego. To bierne podejście jest tym bardziej zaskakujące, gdy porówna się je z gwałtowną, wręcz agresywną chrystianizacją uprawianą przez katolików niemieckich i ich współpracowników. Pozwolę sobie

zasugerować, że w kontekście przewagi wojskowej Litwy wobec północno-zachodniej Rusi i w świetle pogańskiego pragmatyzmu jej przywódców, takie bierne stanowisko Kościoła wschodniego było prawdopodobnie głównym powodem jego dużych sukcesów wśród elity litewskiej. W rezultacie Kościół wschodni uniknął podstawowego błędu narzucania nowych idei i wierzeń w tempie przewyższającym zdolności ich przyswajania. Z drugiej strony przybysze z Litwy uważali jego nauki nie za zagrożenie lub niechęć konieczność, ale za nabytek pożądany sam w sobie i ponadto przydatny w procesie rządzenia obcoplemieńcami.

V

Ekspansja Litwy w stronę Połocka i Witebska była spekulatywnym przedsięwzięciem, które w końcu okazało się owocne. Parciu na wschód towarzyszyła ekspansja na południe, w regiony słowiańskie znane jako Ruś Czarna, na lewym brzegu górnego Niemna w basenach jego dopływów: Świsłoczy, Rosi i Szczary. Ten region był zdominowany przez Nowogródek, który służył jako centrum władzy nad mniejszymi księstwami Wołkowyska, Słonima i Zdzitowa, gdzie rządzili lokalni książęta słowiańscy — niewiadomego pochodzenia. Ruś Czarna oddzielała Litwę etniczną od Księstwa Halickiego i Wołyńskiego, ważnej i od czasu do czasu groźnej potęgi, którą rządzili potomkowie Włodzimierza Monomacha. Nic dziwnego, że przywódcy litewscy uważali zdobycie władzy nad tym regionem nie tylko za ważne, ale wręcz za pożądane.

Nie sposób określić dokładnie, kiedy Ruś Czarna stała się zależna od Litwy. Nie mogło to nastąpić przed 1205 rokiem, kiedy Księstwem Halicko-Wołyńskim rządził potężny Roman Mściśławowicz (zm. 1205), ale bez wątplenia było ono częścią państwa litewskiego ok. 1250 roku, ponieważ w tym czasie Danił Romanowicz (zm. 1264 ?) dwukrotnie (bez powodzenia) usiłował włączyć ów region do Księstwa Halicko-Wołyńskiego. Jest prawdopodobne, że proces wcielania był stopniowy i że trwał przez większość pierwszej połowy XIII wieku, kiedy to lokalni władcy coraz bardziej wciągani byli do współpracy z Litwinami. Powolny proces absorpcji zakończył się wraz z objęciem przez Wojsiełka, najstarszego syna Mendoga, władzy zwierzchniej w Nowogródku. Ważne jest odnotowanie różnicy między Wojsiełkiem, który nie był rywalem, lecz zaufanym (przynajmniej z początku) współpracownikiem wielkiego księcia, a jego kuzynami, wysłanymi na niepewny los do Połocka, Witebska i Smoleńska.

Dokładna data objęcia przez Wojsiełka Nowogródką nie jest znana. Był tam z pewnością w 1252 roku i bez wątplenia sprawował władzę w tym regionie w 1254 roku. Jego wybór na władcę Rusi Czarnej był przypuszczalnie reakcją na konsolidację wpływów Daniły w Księstwie Halicko-Wołyńskim, co nastąpiło ok. 1248-1249 roku.

Osoba Wojsiełka (władcy zwierzchniego na Litwie w latach 1264 - ok. 1267) jest kluczowa dla naszego tematu chrystianizacji. Jak Dowmont-Timofiej Pskowski, przyjął on chrześcijaństwo obrządku wschodniego. Jednakże spośród swoich litewskich współbraci, którzy mieli rządzić Słowianami na Rusi, był on zdecydowanie wyjątkiem. W odróżnieniu od innych, nie był pragmatycznym *homme d'affaires* (i jestem tu gotów włączyć również Dowmonta-Timofieja, patrz niżej), lecz ideologiem. Jego oddanie nowej wierze wydaje się całkowite: dwukrotnie schronił się w klasztorze przed ciężarem obowiązków swego stanu. Zamierzał nawet udać się w pielgrzymkę na Górę Atos (lub na Górę Synaj do Ziemi Świętej). W kronice halicko-wołyńskiej opisano go jako bezwzględnego, w istocie okrutnego poganina, który nagle zmienił się po przyjęciu chrztu w obrządku wschodnim. Ten dydaktyczny fragment jest uderzającym uproszczeniem. Jest bardziej prawdopodobne, że był człowiekiem targanym sprzecznościami, który uparcie szukał ukojenia w religii. Jego złożony charakter ujawniają okoliczności jego wyprawy na Litwę w asyście sojuszników słowiańskich, kiedy to mszcząc się bezlitośnie na sprawcach śmierci ojca, równocześnie zapewniał ochronę tym mieszkańcom Litwy, którzy wyznawali wiarę chrześcijańską. Wynika stąd jasno, że w jego wypadku chrześcijaństwo i okrucieństwo nie wykluczały się wzajemnie.

Nie znamy dokładnie daty chrztu Wojsiełka. Jest mało prawdopodobne, aby został ochrzczony przed 1248-1249 rokiem, ale był już chrześcijaninem rytu wschodniego około 1254. Można założyć, że nie spieszył się z przyjęciem chrztu dla natychmiastowej korzyści, jak to zrobił Dowmont-Timofiej i dlatego data jego konwersji byłaby raczej bliższa 1254 niż 1248-1249 roku. Wzmianki o nim w ówczesnych materiałach źródłowych są wyrywkowe i często poplątane. Jest to szczególnie wyraźne w sprawie jego prób wstąpienia do klasztoru. Były dwa epizody zakonne w jego trudnym życiu. Pierwszy trwał około trzech lat, które spędził w klasztorze na Połoninie nieopodal Kołomyi, pod opieką sławnego przeora Grzegorza (w tym właśnie czasie próbował długiej pielgrzymki). Drugi pobyt w klasztorze w Ugrowiesku (koło Chełma) był krótki i nastąpił pod koniec jego życia, po abdykacji z tronu wielkoksiążęcego (około 1267 roku) na rzecz

swojego szwagra Szwarna Daniłowicza z rodu Rurykowiczów. Dokładna data pierwszego schronienia się Wojsielka w klasztorze nie wynika jasno ze źródeł, ale da się ją zrekonstruować na podstawie poniższej tabeli. Pierwszy jego pobyt w klasztorze

T A B L I C A

Chronologia wydarzeń związanych z Wojsielkiem (zm. 1267 lub 1268)
wielkim księciem litewskim (1264 - ok. 1267)*

<i>D a t a</i>		<i>Uwagi w Poł- noje sobranje russkich leto- pisiej, tom II, Moskwa 1962, szpalty</i>
1249	DR zakłada antylitewską koalicję; W na Rusi Czarnej?	810 - 813
1249-1250	Pierwsza inwazja DR na Ruś Czarłą	816
1250-1251	Druga inwazja DR na Ruś Czarłą	818 - 819
1252	Syn M (W) rusza na Wołyń (marsz na Turijsk)	819
1254	W obecny na rokowaniach w Chełmie; W usunięty z Rusi Czarnej	830 - 831
1258 (lub 1257)	W ponownie na Rusi Czarnej (bierze w niewolę RD); DR rusza na Ruś Czarłą	847 - 848
1263	W ucieka do Pińska (po zabójstwie M)	860
1264	W podbija Litwę i przejmuje władzę zwierzchną	861
ok. 1267	W abdykuje na rzecz SD	867
1267 (lub 1268)	W zamordowany przez LD	868

mógł nastąpić albo w latach 1254-1258, albo w latach 1258-1263. Drugi z tych okresów jest mało prawdopodobny, ponieważ ponowne pojawienie się Wojsielka na Rusi Czarnej zbiegło się z pogorszeniem stosunków litewsko-halickich, po czym nastąpił okres waśni, podczas których Wojsielk mógł być skiero-

* M = Mendog; W = Wojsielk (syn Mendoga); DR = Daniło Romanowicz; LD = Lew Daniłowicz (syn Daniły Romanowicza); RD = Roman Daniłowicz (syn Daniły), SD = Szwarno Daniłowicz (syn Daniły).

Chronologia na podstawie: 1. Paszkiewicz, *Regesta*; 2. *idem, Jagiello-
nowie*; 3. *The Hypatian Codex — Part Two: The Galician-Volynian
Chronicle*, tr. and ed. by G. A. Perfecky (Munich 1973).

wany przez swego ojca na linię walk jako doświadczony dowódca. Z drugiej strony okres czterech lat bezpośrednio po traktacie chełmskim wydaje się dalece bardziej prawdopodobny. Porozumienie to wynegocjowali dwaj świeżo koronowani królowie katoliccy, Mendog i Daniło Romanowicz (patrz niżej), po upadku koalicji antylitewskiej pod wodzą tegoż samego Daniły, założonej pięć lat przedtem. Nowe porozumienie pod patronatem papieża Innocentego IV wzmocniono małżeństwem Szwarna, syna Daniły, z siostrą Wojsiełka, i przekazaniem Rusi Czarnej, praktycznie jako lenna litewskiego, innemu synowi Daniły, Romanowi. Mendog był najwyraźniej gotów poświęcić swojego najstarszego prawosławnego syna na rzecz nowego sojuszu katolickiego. Dodatkową przyczyną wydalenia go mogła być wzmiankowana w kronikach utrata zaufania ze strony Mendoga wobec Wojsiełka, wypływająca z głębokiego przywiązania tego ostatniego do wiary chrześcijańskiej. Ten fakt z pewnością stanowił niespodziankę i powód do zaniepokojenia starego króla, który w kwestiach wiary był człowiekiem pragmatycznym. Okoliczności te mogły sprawić, że Wojsiełek, uważając się za ofiarę niesprawiedliwości, szukał ukojenia w życiu klasztornym. I rzeczywiście po traktacie 1254 roku zniknął z areny politycznej na okres trzech do czterech lat.

Nie jest więc zaskakujące, że ten książę i pielgrzym-zakonnik w jednej osobie założył ważny ośrodek klasztorny. Wedle ówczesnych źródeł Wojsiełek zbudował po powrocie z peregrynacji klasztor nad Niemnem niedaleko Nowogródka, na terenach granicznych między Rusią Czarną i etniczną Litwą. Wedle późniejszej tradycji miał to być klasztor ławryszewski nad Niemnem, po drugiej stronie rzeki, koło lasów nalibockich. Metropolita Makary (M. P. Bułgakow) uważa, że to wydarzenie nastąpiło w 1262 roku. Klasztor otrzymał następnie donacje od potomków wielkiego księcia Olgierda (zm. 1377) i był nadal ważnym — z czasem unickim — ośrodkiem oświaty u schyłku XVIII wieku. Istnieje jednak tradycja sprzeczna z powyższą, również wzmiankowana przez Makarego, wedle której klasztor ławryszewski został założony już w 1225 roku przez dostojnika litewskiego znanego pod chrześcijańskim imieniem Jelisiej Ławryszewskij, którego kult potwierdził metropolita Josif II Sołtan na synodzie w 1514 roku. Tę informację powtarza E. Gołubinskij, uzupełniając ją datą zabójstwa Jelisieja (około 1250). Kwestia komplikuje się jeszcze bardziej wskutek informacji w XVII-wiecznej kronice Gustyńskiej (Hustyńskiej), wedle której syn wielkiego księcia Trojdena (zm. 1281 lub 1282), zwany Rymuntem, przyjął na chrzcie imię Ławr (?) czy też Laurenty i kiedy stał się zakonikiem, przyjął imię zakonne Jelisiej. Owemu Rymuntowi-Lau-

rentemu-Jelisiejowi przypisywano założenie kościoła w klasztorze ławryńskim. Tę historię można odnaleźć w drugim wydaniu *Kroniki Litewskiej*, gdzie odnotowano również, że Rymunt opuścił ten klasztor, aby pomścić śmierć ojca, Trojdena, zabitego przez swych wrogów. Główne argumenty przeciw zaakceptowaniu tej informacji są następujące: 1. współczesne źródła nie podają, że Trojden miał syna; 2. nie ma dowodu na to, że Trojden został zamordowany. Istnieje jednak zadziwiające podobieństwo między apokryficznym Rymuntem — mścicielem swojego zamordowanego ojca, i postacią historyczną — Wojsiełkiem, który pomścił śmierć Mendoga. Mniej krytyczny pogląd na tę informację w drugim wydaniu mógłby być taki, że jest to typowo niejasne i zniekształcone potwierdzenie związku między Wojsiełkiem i klasztorem ławryńskim. Czy mogło być też możliwe, że w 1514 roku synod zatwierdził pod imieniem Jelisieja kult pogańskiego księcia Wojsiełka, mnicha i pielgrzyma?

Tożsamości założyciela najważniejszego prawosławnego klasztoru XIII-wiecznego na Rusi Czarnej prawdopodobnie nie uda się ustalić, choć rola Wojsiełka jako przynajmniej jego protektora jest wysoce prawdopodobna. Dla naszych celów wystarczy odnotować, że niektóre z klasztorów prawosławnych w tym regionie mogły być założone przez ówczesnych konwertytów litewskich. Paszuto przedstawił hipotezę, wedle której specyficznie litewskie ustępy kroniki halicko-wołyńskiej w Kodeksie Ipatjewskim (Hypackim) mogły być napisane (w formie *gesta* wielkich książąt Mendoga, Wojsiełka, Trenioty i Trojdena) w jednym z tych klasztorów. Nie ulega wątpliwości, że istnienie pierwszych klasztorów prawosławnych na Rusi Czarnej stanowiło poważny wkład (można by powiedzieć wkład-katalizator) w życie kulturalne młodego państwa litewskiego.

Związki Wojsiełka z chrześcijaństwem rytu wschodniego i jego powiązania z Rurykowiczami niemal doprowadziły do przejścia władzy na Litwie przez Rurykowiczów. Wydaje się, że obiecał on sukcesję swemu szwagrowi Szwarznowi Daniłowiczowi, oczywiście bliskiemu krewniakowi Mendoga i Wojsiełka, niemniej jednak potomkowi w prostej linii po mieczu Włodzimierza Monomacha — wielkiego księcia kijowskiego. Ten układ był niemal z pewnością ceną za poparcie, jakiego udzielili Romanowicze Wojsiełkowi w jego próbie sukcesji po Treniocie, jednym z zabójców Mendoga i pierwszego w kolejności następcy (choćby na krótko) tronu litewskiego po Mendogu. Po wycofaniu się Wojsiełka do klasztoru w Ugrowiesku około 1267 roku — drugiej i ostatniej jego ucieczce od gwałtownego świata wielkiej polityki wschodnioeuropejskiej — Szwarzno spróbował sięgnąć po

koronę litewską. Niektórzy historycy twierdzą, że rzeczywiście objął władzę zwierzchnią, choć przejściowo. Całe przedsięwzięcie trwało jednak niespełna rok. Etniczni Litwini znaleźli własnego przywódcę najwyższych nadziei w osobie Trojdena z rodu Kitaurusów, który został wielkim księciem w 1268 lub 1269 roku. I tak dziedzicom wielkich ksiąząt kijowskich nie było sądzone sprawować władzy na Litwie. Perspektywa wejścia Litwy w orbitę bizantyjską została odrzucona przez społeczność, która potwierdziła, że woli stare obyczaje pogańskie i rodzimą władzę zwierzchnią.

VI

W czasie gdy litewscy książęta-prokonsulowie w Połocku, Witebsku i na Rusi Czarnej ulegali biernym lecz skutecznym wpływom chrześcijaństwa obrządku wschodniego, etniczna i pogańska Litwa po raz pierwszy znalazła się w zasięgu wpływów katolicyzmu w wersji reprezentowanej w tym regionie przez (teraz już zjednoczony) Zakon Krzyżacki. Sprawily to dwie okoliczności. Jedna, bardziej bezpośrednia, polegała na rosnącej wrogości sąsiadów Litwy, zagrożonych jej agresywnymi zamiarami. Drugą stały się narodziny wielkich planów papieża Innocentego IV wobec wschodniej Europy. Opis tych wydarzeń każe nam cofnąć się do schyłku lat 40-tych XIII wieku.

Pojawienie się Litwy jako znacznej potęgi w tym regionie wywołało niepokój jej najbliższego i najbardziej znaczącego sąsiada słowiańskiego, Daniły Romanowicza, który pod koniec lat czterdziestych XIII wieku zawładnął całą Rusią Halicką i stał się dominującą osobistością w południowo-zachodniej Rusi. Jak już wspomniano, reakcją Daniły było utworzenie groźnej koalicji przeciw Litwie, złożonej z jej sąsiadów. Ten zamysł okazał się możliwy do zrealizowania wskutek otwartego konfliktu między trzema „exulami”: Towciwiłem, Edywidem i Wykintem oraz ich suwerenem, Mendogiem. Trójka ta, niezdolna do stawienia czoła wielkiemu księciu na własną rękę, zwróciła się do Daniły o opiekę i pomoc. Ten ostatni natychmiast ocenił tę *démarche* jako jedyną w swoim rodzaju sposobność stworzenia sojuszu antylitewskiego pod wodzą na południu Rusi Halicko-Wołyńskiej, a opartej na północy na inflanckiej prowincji Zakonu (Krzyżacy w Prusach byli w tym czasie zajęci tłumieniem powstania swych pruskich poddanych). Do tego przedsięwzięcia pozyskano również Jadźwingów i ponadto najbardziej na zachód wysuniętą część Żmudzi, lojalną wobec Wykinta. (Polacy, kuszeni „marszem na

pogan”, odmówili współpracy). Mendog znalazł się nagle otoczony przez pierścień wrogów, zagrażających wręcz istnieniu Litwy. Jednakże w 1251 roku koalicja została złamana dzięki zręcznemu wyeliminowaniu jej najsilniejszego ogniwa — prowincji inflanckiej. Mendog osiągnął to, rozgrywając „kartę papieską”: wyraził mianowicie gotowość przyjęcia chrztu w obrządku rzymskim oraz współpracy w planach wschodnich Innocentego.

Papież genueńczyk rozumiał potrzebę zbliznienia ran po czwartej krucjacie jako pierwszy krok na drodze ku unii z Kościołem grekokatolickim. W pełni świadom nowego zagrożenia dla Europy (i dla całego chrześcijaństwa) ze strony Mongołów, popierał akcje misjonarskie w Saraju i w Karakorum, które w razie powodzenia, otworzyłyby drogę do globalnego sojuszu przeciw muzułmanom. Nie mogło też ująć uwagi papieża i jego doradców, że zbliżenie z Mongołami mogłoby przyspieszyć powrót Greków na łono Kościoła rzymskiego. Jednakże Innocenty był także realistą. Umiął połączyć te wielkie i spekulatywne plany z realistyczną „pozycją odwrotową”, która polegała na stworzeniu wschodniego przedmurza, złożonego z obszarów Rusi Kijowskiej, które można było jeszcze uratować (przede wszystkim południowo-zachodnią część, tj. Ruś Halicko-Wołyńską i ze schryścianizowanej Litwy. Nagrodą dla Daniły i Mendoga miały być korony królewskie. W latach 1249-1251 negocjacje w sprawie unii Kościoła prawosławnego Rusi Halicko-Wołyńskiej z Rzymem były bliskie pomyslnego rezultatu.

Oczywiście, kontakty Kurii z Litwą musiały być prowadzone przy pomocy czynników miejscowych i dostosowane do miejscowych warunków. A te były nadzwyczaj skomplikowane. Niezależnie od napięć między dwiema prowincjami Zakonu występowały też lokalne konflikty inflanckie między biskupem ryskim a kawalerami mieczowymi. W tym czasie papież na ogół popierał rycerzy, głównie z tego powodu, że nowo obrany biskup Rygi, Albert Suerbeer, który wkrótce został arcybiskupem, wszedł w konflikt z papieżem. Jedną z przyczyn tych tarć między Albertem i Innocentym IV była Litwa, przedmiot uwagi Kurii od 1244 roku. Papież pragnął, aby przyszła hierarchia Litwy podlegała bezpośrednio jemu; biskup natomiast uważał Litwę za odskocznnię do powiększenia swojej prowincji. Mendog, jak należy sądzić, był doskonale świadomy tych różnic i w krytycznym momencie zdołał zrobić z nich użytek.

Pierwsze taktyczne posunięcie umożliwił Towciwił, wysłannik Daniły w Inflantach. Towciwił popełnił błąd, wiążąc się z biskupem Rygi i przez implikację wiążąc z biskupem Daniłę,

organizatora koalicji, idąc tak dalece, że przyjął z rąk Alberta chrzest w obrzędku rzymskim (prócz, jak można podejrzewać, wcześniejszego chrztu w obrzędku wschodnim w Połocku). *Faux pas* Towciwiła było zrozumiałe: Zakon, a nie biskup był tradycyjnym wrogiem jego plemienia. Jednakże akurat w tym momencie posunięcie to było niewłaściwe, ponieważ dało Mendogowi okazję do wytrącenia Zakonu z koalicji.

I tak: biskup Albert jest w konflikcie z kawalerami mieczowymi, na których czele stoi mistrz-prowincjał Andrzej von Stierland. Papież Innocenty IV (zabiegający o konwersję Litwy i o jej udział w jego planach) jest na dobrej stopie z von Stierlandem, ale nie z biskupem. Von Stierland jest członkiem koalicji antylitewskiej Daniły, teraz skompromitowanej przez nowe zbliżenie Towciwiła z biskupem Albertem. W tych okolicznościach (i pamiętając, że von Stierland, człowiek wyrobiony i z poczuciem *integrity*, nie mógł publicznie odmówić podjęcia się roli misjonarza), przed Mendogiem stanęła oczywista i unikalna okazja, która sprowadzała się do ogłoszenia gotowości przyjęcia chrztu dla siebie i swojego narodu. I to właśnie Mendog uczynił, dodając ponadto bezpośrednie polecenie swego kraju opiece papieskiej. Od tej chwili obrona Litwy stała się celem polityki Innocentego i von Stierland (a nie biskup) automatycznie objął rolę papieskiego agenta w procesie chrystianizacji Litwy w obrzędku łacińskim. Dalszy udział kawalerów mieczowych w koalicji Daniły nie był możliwy. I, co było przypuszczalnie najważniejsze, Zakon został zmuszony do uznania, że nawrócenie ostatnich pogan Europy miało nastąpić nie przez indywidualny podbój poszczególnych ziem plemiennych (metoda stosowana z takim powodzeniem w Inflantach i w Prusach), lecz tylko przy współpracy wielkiego księcia — władcy litewskiego państwa.

Bieg wypadków był następujący: 1251 — Mendog i jego żona Marta przyjmują chrzest w obrzędku łacińskim. Należy sądzić, że za przykładem wielkiego księcia idzie najbliższe jego otoczenie. 1253 — Mendog zostaje koronowany na króla przez Henryka (Heidenreicha) biskupa chełmińskiego, zaufanego Innocentego IV i pozostającego wówczas w dobrych stosunkach z Zakonem. Jednakże biskup nie wypełnia wcześniejszej (1251) instrukcji papieskiej konsekrowania biskupa Litwy (znak wewnętrznych sporów w obozie katolickim, co nie może ująć uwadze króla litewskiego). Koniec 1253 roku — członek Zakonu Krzyżackiego, Chrystian z Erfurtu, jest konsekrowany przez Alberta Suerbeera, obecnie arcybiskupa Rygi, na biskupa Litwy (zmiana układu sił w obozie katolickim?). Jednakże wbrew instrukcji papieskiej a w zgodzie z formą, Albert narzuca nowemu biskupowi bezpośred-

nie posłuszeństwo wobec siebie, a nie wobec papieża. Powiadomiony przez Mendoga, Innocenty nakazuje teraz biskupowi Naumburga, aby zwolnił Chrystiana z przysięgi złożonej arcybiskupowi Albertowi i przywrócił bezpośrednią odpowiedzialność Chrystiana przed Rzymem. W tym samym mniej więcej czasie papież upoważnia arcybiskupa Gniezna, Pelkę, do konsekrowania świątobliwego Wita, misjonarza dominikańskiego i przypuszczalnie Polaka, jako drugiego (alternatywnego) biskupa Litwy. 1254 — Mendog nadaje nowej diecezji biskupa Chrystiana ziemie znajdujące się w centrum silnie pogańskiej i obecnie secesjonistycznej Żmudzi — krok, który z natury rzeczy nie może wzmocnić statusu materialnego nowej hierarchii. W tym samym czasie Andrzej von Stierland odjeżdża z Inflant (rezygnacja?). Pod koniec roku umiera Innocenty IV. 1255: — biskup Wit rezygnuje z biskupstwa Litwy bez próby dotarcia do Wielkiego Xięstwa. Mendog uzyskuje od papieża Aleksandra IV zgodę na koronację swego syna (nie prawosławnego Wojsiełka, obecnie znajdującego się w klasztorze połonińskim lub nawet w drodze na Górę Atos, lecz przypuszczalnie księcia Rukłę, najstarszego syna ze związku z królową Martą). 1259 (najpóźniej) — biskup Chrystian, zniechęcony trudnościami (wiele z nich stworzonych najwyraźniej przez skłóconych ze sobą prozelitów), opuszcza Litwę, aby już tam nie powrócić. 1260 — Żmudzini zadają ciężką klęskę Zakonowi nad jeziorem Durbe. 1261 — Mendog porzuca katolicyzm. 1263 — papież Urban IV powierza dzieło chrystianizacji Litwy biskupowi Krakowa.

Ten niezbyt budujący brak wspólnego celu pośród przedstawicieli papieża Innocentego na tych ziemiach musiał być dla każdego oczywisty. Taktyczne manewry papieża w celu naprawienia szkód okazały się nieskuteczne. A w 1254 roku, rok po własnej (i Daniły) koronacji, Mendog stał się świadkiem odjazdu von Stierlanda oraz upadku wschodniej strategii papieża. Pozostały jednak konkretne korzyści chrztu w obrządku łacińskim: okres spokoju na północnej flance, a na południu — stabilizujące skutki traktatu chełmskiego. Ale sytuacja wewnętrzna groziła niebezpiecznym wybuchem. Żmudź, pozostawiona własnemu losowi i wystawiona na grabieżcze zamysły Zakonu, stała się wyraźnym ośrodkiem opozycji pogańskiej, której przewodził Treniota, syn (?) Wykinta. W tej sytuacji Mendog, pozostawiając wewnętrzne wydarzenia ich własnemu dynamizmowi, sam nadal uprawiał ostrożnie neutralną politykę wobec Rzymu. Kościół litewski pozostawał *de facto* bez uposażenia mimo apeli papieskich, podczas gdy „opcja rzymska” była ciągle trzymana w pogotowiu poprzez negocjacje w sprawie koronowania następcy królewskiego. Tym-

czasem konflikt między Zakonem a Żmudzią pogłębiał się, z kulminantą klęski Niemców nad jeziorem Durbe w 1260 roku. To wydarzenie oraz jego rezultat — wybuch drugiego powstania Prusów — wskazywały na konieczność ponownej oceny sytuacji. Nie jest wykluczone, że to sam Mendog był niewidzialnym *spiritus movens* wystąpienia Żmudzi przeciw Zakonowi. Jest również wysoce prawdopodobne, że zerwanie z Inflantami, które równało się apostazji, na co Mendog przyzwolił w 1261 roku, było ceną Żmudzi za ponowne i całkowite podporządkowanie się Mendogowi. W oczach starego wojownika musiała to być nagroda większa niż korona królewska.

Jaki wpływ miało „dziesięciolecie katolickie” (1251-1261) na prostych ludzi Litwy etnicznej? Innocenty IV oświadczył w 1251 roku, że chrzest objął Mendoga „... *cum (...) multitudinem paganorum...*” Papież Jan XXII pisząc w 1324 roku do wielkiego księcia Giedymina przypominał, że jego poprzednik Mendog został chrześcijaninem „... *cum toto regno suo*”. W świetle późniejszych faktów te stwierdzenia stanowią mieszaninę dyplomatycznego języka Kurii z pobożnymi życzeniami papieży. Na przełomie wieków wielki książę Witenes (zm. ok. 1315) może pochwalić się tylko jednym kościołem katolickim (spalonym, trzeba dodać, przez Krzyżaków). Giedymin oznajmia w 1323 roku, że na jego ziemiach znajdują się trzy kościoły katolickie: dwa w stolicy — Wilnie, a trzeci w Nowogródku. Odizolowane wysepki katolickie na początku XIV wieku musiały składać się głównie z imigrantów zachęconych do osiedlania się przez Giedymina oraz jeńców wojennych. Można więc wywnioskować, że nawet pod koniec XIII wieku wpływ „dziesięciolecia katolickiego” na ludność miejscową musiał być minimalny. Wolno też bez ryzyka błędu stwierdzić, że Mendog niewiele uczynił dla aktywnego poparcia wiary katolickiej. Zgadzałoby się to w pełni z rosnącą świadomością, iż silna etniczna baza pogańska stawała się ważką bronią: nie tylko kluczowym czynnikiem na polu bitwy (np. Durbe) lecz również — i to coraz w większym stopniu — politycznym atutem przy rokowaniach. W tym drugim znaczeniu Mendog kładł fundamenty pod przyszłe dyplomatyczne manewry Litwy między Rzymem i Bizancjum.

Pozostaje intrygujący problem osobistego stosunku Mendoga do chrześcijaństwa, przedmiotu gwałtownych i dotąd nie dających się rozstrzygnąć sporów. Przypomnienie tych dyskusji jest pożyteczne pod warunkiem, że wprowadza się rozróżnienie między pojęciem chrześcijaństwa króla jako osoby publicznej i jego osobistymi wierzeniami. Stwierdzenia w Kronice Gustyńskiej (Hustyńskiej), że Mendog został zrazu chrześcijaninem obrządku

wschodniego, nie należy traktować zbyt serio wobec całkowitego braku współczesnych informacji, nawet niejasnych lub pośrednich. Nie był on jednakże wrogiem chrześcijaństwa. Swoją żonę i dwu młodszych synów zachęcił do katolicyzmu. W 1255 roku ciągle widział możliwości koronacji (za zezwoleniem papieskim) swoich dziedziców. Z drugiej strony tolerował prawosławie Wojsiełka, choć, co istotne, sprzeciwił się pełnemu ideologicznemu zaangażowaniu tego ostatniego. Jego córka, która w 1254 roku poślubiła Szwarna Daniłowicza, bez wątpienia została wyznawczynią prawosławia. Poganin Treniota, od 1261 roku jego doradca i powiernik, zanim nie doszło do fatalnego konfliktu, miał — wedle O. Balzera — żonę katoliczkę, Ludmiłę, córkę Konrada Mazowieckiego. Z drugiej strony wydaje się, że po 1251 roku Mendog nigdy nie użył imienia chrześcijańskiego (wedle zwyczaju powinno ono być imieniem jego ojca chrzestnego, tj. Andrzeja von Stierlanda). W dalszym ciągu brał udział w obrządkach pogańskich. Był podatny na pogańskie przesady.

Czy można sobie wyrobić pogląd na temat osobistych przekonań Mendoga? Powyższe fakty, wespół z jego dobrze udokumentowanymi poczynaniami publicznymi, dają obraz niełatwy do analizy. W odróżnieniu od Wojsiełka, nie był on z pewnością ideologiem o wyczulonym sumieniu. Nawet *gesta* owego drugiego *homme d'affaires*, Dowmonta-Timofieja (patrz niżej), łatwiej jest odszyfrować w świetle jego dojrzałych i sprawiedliwych rządów w Pskowie. W wypadku Mendoga wszystko co można powiedzieć sprowadza się do tego, że był on zapewne archetypalnym przykładem człowieka religijnego (taka była większość), a zarazem nie przywiązującego dużej wagi do zewnętrznych form życia duchowego.

VII

Okres pięciu lat (1263-1268) po zabójstwie Mendoga obfitował w gwałtowne (nawet na miarę litewską) porachunki, dawne i nowe: zabicie Towciwiła przez Treniotę (1263 lub 1264); zabójstwo Trenioty przez ludzi Mendoga w następnym roku; krwawa zemsta Wojsiełka i ucieczka Dowmonta Nalszczańskiego (1266); zabicie Wojsiełka przez Lwa Daniłowicza (1267 lub 1268). Wydaje się, że niewiele czasu pozostawało na sprawy duchowe, chociaż Wojsiełek, mimo innych dystrakcji, znalazł czas, aby zaopiekować się tymi z jego poddanych, którzy wyznawali chrześcijaństwo. Elita rządząca Litwy rozdarła była na dwie wojujące ze sobą frakcje: frakcję odpowiedzialną za zabójstwo

króla Mendoga (Treniota oraz Dowmont Nalszczański) oraz frakcję skupioną wokół Wojsielka, w tym Szwarno Daniłowicz i Gierdeń (Herdeń), nowy książę nalszczański, który wkrótce zastąpił Towciwiła (lub może jego syna Konstantyna) na Połocku. Istotne jest to, że podział nie przebiegał według różnic religijnych. Treniota, choć najpewniej ożeniony z katolicką księżniczką z Polski, był poganinem. Poganin Dowmont wkrótce (1266) przyjął chrzest prawosławny. Wojsielk był oczywiście głęboko wierzącym chrześcijaninem prawosławnym. Wedle niektórych historyków Gierdeń (Herdeń) był katolikiem (mimo że rządził w Połocku i Witebsku), ale jego syn Andrzej został w swoim czasie podniesiony do godności biskupa Tweru, jednego z najważniejszych biskupstw prawosławnych w północno-wschodniej Rusi. A Szwarno był oczywiście Monomachowiczem z krwi i kości. Frakcja przeciwna Mendogowi nie była reakcją pogańską (choć Zmudzin Treniota i jego ludzie wyraźnie identyfikowali się ze swymi pogańskimi poddanymi) ale reakcją na okrutne i często brutalne traktowanie przez Mendoga jego bliskich współpracowników — w większości powinowatych i krewnych. Znaczna część stanu książęcego Litwy była bez wątpienia chrześcijańska i w większości prawosławna.

Pozostała jednak w etnicznej głębi kraju mniej widoczna pogańska książęca „rezerwa”. Byli to członkowie rodu Kintaurusów pod wodzą Trojdena i właśnie Trojden, który w 1268 roku lub 1269 wyłonił się jako niekwestionowany władca Litwy, przeznaczony był do dominowania sceny politycznej przez następnych dwanaście lat. Jego rządy, ważne i pożyteczne dla młodego państwa, uznano za okres pogańskiej reakcji, zapewne na podstawie notatki o nim w kronice halicko-wołyńskiej rozpoczynającej się następująco: „... zacznie panować na Litwie potępiony, bezprawy, przekłety (...) Trojden”. Takie epitety w kronikach ruskich były zazwyczaj rezerwowane dla wrogów wiary chrześcijańskiej. Autor-erudyta ciągnie dalej: „... był tak bezprawy jak Antioch syryjski, Herod jerozolimski i Neron rzymski. I czynił wiele gorszego od takiego bezprawia”. Odczuwa się potrzebę złagodzenia tego sądu faktami, a te rzucają nieco światła na podejście Trojdena do chrześcijaństwa. W 1279 roku wydał on za żonę swoją córkę Gaudemundę (którą ochrzczono w obrządku rzymskim pod imieniem Zofii) za Bolesława mazowieckiego. Franciszkański kronikarz z Krakowa nazywa ją *devotissima domina*. Jej nowi poddani musieli ją polubić, pozwolono jej nawet, aby swego młodszego syna nazwała Trojden — imieniem jej ojca, „przekłętego Trojdena”.

Wielki książę miał kilku braci i co najmniej trzem z nich —

Syrpuciuowi, Lesisowi, Swalkieniowi — dał w zarząd ziemie słowiańskie graniczące z Rusią Halicko-Wołyńską. Byli oni konwertytami na prawosławie. Kronikarz mówi, że żyli jak chrześcijanie, w miłości i pokorze, i że ukochali swoją wiarę. Z tych skrawków informacji wyłania się obraz tego wielkiego władcy Litwy, obraz przypominający Mendoga. Trojden zezwala, a w istocie zachęca, aby najbliżsi jego krewni zostali chrześcijanami, zarówno obrządku łacińskiego jak i wschodniego, w celu utwierdzenia sojuszów międzynarodowych i jako pomoc przy zarządzaniu w jego imieniu granicznymi księstwami. On sam pozostaje widzialnym, eksponowanym pogańskim przywódcą tej grupy pogańskich książąt, która rządziła w etnicznej głębi kraju. W tej części państwa wysepki chrześcijaństwa mnożyły się. Nie należy zapominać o mamkach i o rosnącej liczbie jeńców chrześcijańskich, a także o pierwszych obcych rzemieślnikach i kupcach. Ale w okresie 1260-1290 te chrześcijańskie enklawy musiały być nadal bardzo małe.

Koniec lat 60-tych i lata 70-te XIII wieku były interesującym okresem nie tylko dla Litwy, ale także, przez nią, dla całej wschodniej Europy. Królestwo Mendoga (Litwa właściwa wraz ze słowiańskimi regionami Połocka i Rusi Czarnej) było umiejętnie skonsolidowane (i energicznie bronione przed Zakonem Krzyżackim) przez Trojdena, podczas gdy w Pskowie snuł swoje plany antagonistą Trojdena, Dowmont-Timofiej. Ta potężna osobowość musiała rzucać długi, złowrogi cień od północnego-wschodu. Ten człowiek o wybitnych talentach stał się ofiarą wielkiego poniżenia ze strony swego szwagra, Mendoga, a brutalny i tragiczny konflikt zakończył się śmiercią Mendoga i jego dwu młodszych synów z rąk Dowmonta i Trenioty. Dramat zakończyła ucieczka Dowmonta do Pskowa w 1266 roku, w obliczu przeważających sił Wojsiełka. Pskowianie, widząc talenty przybysza, oferowali mu tron kniaziowski pod warunkiem, że przyjmie chrzest, na co natychmiast przystał. W ciągu następnych dwóch lat Dowmont dwukrotnie najechał na swe ziemie rodzinne i — jak się zdaje — nigdy nie zrezygnował z marzeń o powrocie nad Niemen. A jednak nazwa zdrący nie pasuje do tego tragicznego i niezwykle człowieka. Różnił się od swych współbraci w podobnych okolicznościach, ludzi takich jak Edywid, Towciwił, Wykint, Wojsiełk i inni, z których każdy musiał dochować (choć często opornie) wierności wielkiemu księciu. Dowmont, zabójca swego suwerena w okolicznościach niewątpliwiej prowokacji, musiał uciekać ze swojej ojcowizny. W czasach, kiedy liczył się tylko stosunek między władcą a poddanymi, najazdy Dowmonta na Litwę w 1266 i w 1267 roku trzeba interpretować jako nor-

malne próby pogiębienia wrogów osobistych i odzyskania prawowitego dziedzictwa.

Dowmont-Timofiej musiał też zdawać sobie sprawę, że jego talenty kwalifikują go do władzy najwyższej. Jego długie rządy w Pskowie były sprawiedliwe i skuteczne. Ten pogański przybysz z czasem zdobył reputację wzorowego chrześcijańskiego księcia. Po jego śmierci lokalny Kościół ogłosił go świętym i patronem miasta, które go adoptowało. Należy przypomnieć, że cieszył się poparciem nie tylko Pskowa, ale i Nowgorodu, choć to ostatnie było mniej jednoznaczne z uwagi na zrozumiałą wrogość brata Newskiego, Jarosława Jarosławowicza, wielkiego księcia włodzimirskiego, wobec owego „długowiecznego i twardego Litwina”. J. Fennell, niewątpliwie pod urokiem postaci, którą nazywa „wielkim Dowmontem z Pskowa”, tak oto pisał o ówczesnej perspektywie politycznej: „...gdyby [Ruś północno-wschodnia] udzieliła poparcia i zachęty jego [Dowmonta] wyprawom litewskim, wówczas przypuszczalnie granice wschodniej Europy w XIV i w XV wieku byłyby całkiem inne”. To sugeruje, że istniała jeszcze jedna możliwość (prócz nieudanej próby Szwarny Daniłowicza) wejścia Litwy w orbitę „wspólnoty bizantyjskiej”. Jednak szanse na sukces takiego przedsięwzięcia — przy wsparciu, jakie Suzdalia zdołałaby zmobilizować pod koniec XIII wieku — z pewnością mogłyby zaistnieć tylko w pierwszych latach panowania Dowmonta w Pskowie, powiedzmy od 1266 do 1268/1269 roku. Niedługo potem Dowmont-Timofiej musiałby zmierzyć się na południe od Dźwiny z równie groźnym Trojdenem, na czele już teraz bardzo poważnych sił całej Litwy.



Po śmierci Trojdena w 1281 lub 1282 roku urząd wielkiego księcia objął na krótko jego brat (lub bliski krewniak), inny Dowmont, który ruszył z wyprawą przeciw północno-wschodniej Rusi i tam zginął. Jest wielce prawdopodobne, że ten członek klanu Kitaurusów uformował swój światopogląd pod wpływem wielkiego księcia Trojdena. Śmierć na polu bitwy wielkiego księcia Dowmonta (1285) stanowiła koniec (choć nie w sensie chronologicznym) XIII wieku dla Litwy. Wkrótce potem pojawiła się nowa rodzina panująca, biorąca początek od Budywida-Pukuwera (zm. ok. 1295), ojca wielkich książąt Witenesa (zm. ok. 1315) i Giedymina (zm. 1341). Potomkom Pukuwera przeznaczone było nieść ogromne brzemie wojny wszczętej przeciw Litwie przez Zakon Krzyżacki w 1283 roku i prowadzonej bezlitośnie przez ponad sto lat. Te sprawy miały już niewiele wspólnego

z postęпами katolicyzmu w tym regionie. W ich cieniu będziemy mieli do czynienia w XIV wieku z trzema wydarzeniami dotyczącymi chrystianizacji: z krótkim zbliżeniem Giedymina z papieżem Janem XXII, z początkami długiej walki między Wilnem i Moskwą o podporządkowanie sobie „metropolitów Kijowa i całej Rusi” i na koniec z dramatycznym przybyciem do pogańskiej Litwy etnicznej katolicyzmu z Krakowa.

Michał GIEDROYĆ

(Z angielskiego przełożyła Renata GORCZYŃSKA)
(Tłumaczenie przejrzane i poprawione przez Autora)

Od tłumacza: W tłumaczeniu starałam się, gdzie to było możliwe, stosować transkrypcję nazw i imion własnych wedle „Historii Litwy” Jerzego Ochmańskiego (Ossolineum, 1982) oraz pracy zbiorowej „Dzieje Polski” pod redakcją Jerzego Topolskiego, (PWN, 1975).



Powyższy artykuł — tłumaczenie z angielskiego oryginału pt. *The Arrival of Christianity in Lithuania: Early Contacts (Thirteenth Century)* — ukazał się w *Oxford Slavonic Papers, New Series*, XVIII, 1985, str. 1-30 — zaopatrzony w 187 przypisów (w obecnym tłumaczeniu opuszczonych), jest pierwszą z trzech części serii na temat chrystianizacji Litwy. Część druga, pt. *Between Rome and Byzantium: 1281-1341*, ukaże się w *Oxford Slavonic Papers, New Series*, XX, 1987. Część trzecia i ostatnia jest aktualnie na warsztacie.



Drugi artykuł zaczyna się od próby analizy krótkiej, ale ważnej działalności Dowmonta (1281/2-1285), najpewniej brata — a w każdym razie bliskiego krewnego — w.ks. Trojdena (zm. 1281/2). Dowmont był, jak się zdaje, pierwszym władcą litewskim, który ocenił zależność litewskiego potencjału obronnego wobec Zakonu Krzyżackiego od nadwyżek płynących z opanowanych przez Litwę ziem ruskich.

Z dziesięcioleciem rządów braci Budikida (1285-1290/1) a następnie Budiwida-Pukuwera (1290/1-ok. 1295) wiążą się pierwsze poważne starcia z Zakonem w ramach tzw. wojny litewskiej *Bellum Lethowinorum*), która — z perspektywy Litwy — ostatecznie zdyskwalifikowała Krzyżaków jako misjonarzy. W tym samym czasie Litwini ograniczają skalę najazdów na Ruś i rozpoczynają systematyczną agresję na ziemie polskie. Autor wysuwa tezę, że zmiany te były przede wszystkim rezultatem rosną-

cych wpływów obrządku wschodniego w łonie litewskiej rodziny panującej.

Teza powyższa tłumaczy również przychylne stosunki między Kościołem wschodnim a następcą Pukuwera, w. ks. Witenesem (rządził w okresie ok. 1295-ok. 1315). Jest prawdopodobne, że właśnie za Witenesa Litwa uzyskała zgodę patriarchatu Konstantynopola na założenie metropolii litewskiej niezależnej od metropolity „Kijowa i całej Rusi” (od 1300 roku rezydującego we Włodzimierzu nad Kłajmą). Władcy litewskiemu chodziło przede wszystkim o opiekę nad Słowianami obrządku wschodniego w granicach Wielkiego Xięstwa, chociaż można przypuszczać, że były to również pierwsze kroki dla przygotowania dalszej — już bardziej pokojowej — ekspansji litewskiej ku wschodowi. Zbliżenie z Kościołem wschodnim nie przeszkodziło jednak Witenesowi w podjęciu w roku 1298 rozmów z katolickim arcybiskupem Rygi na temat chrztu w obrządku łacińskim. Była to tylko gra polityczna, w której Litwa i arcybiskup wspólnie wystąpili przeciw Zakonowi. Niemniej Witenes roztoczył w tym czasie opiekę nad nielicznymi katolikami w granicach swego państwa, budując dla nich pierwszy na ziemiach rdzennej Litwy kościół katolicki. Polityka religijna Witenesa dostarcza więc najwcześniejszych dowodów szerokiej tolerancji religijnej.

Można założyć, że ceną pierwszej niezależnej prawosławnej metropolii litewskiej (która *nota bene* przetrwała do ok. 1330 roku) była obietnica chrztu pogan Litwy w tym obrządku. Jest również oczywiste, że następcą Witenesa, w. ks. Giedymin (rządził w okresie ok. 1315-1341) nie miał zamiaru tej obietnicy dotrzymać, ponieważ w okresie 1322-1324 doprowadził równolegle negocjacje z papieżem Janem XXII do punktu kulminacyjnego, tzn. do przyjazdu do Rygi legatów, gotowych do rozpoczęcia akcji misyjnej w Wielkim Xięstwie. Projekt chrztu Litwy w obrządku katolickim został w ostatniej chwili przez Giedymina odrzucony. Był to pierwszy sygnał rozpoczęcia przez Litwę systematycznej „polityki balansu” między papieżem i patriarchatem, w celu wyciągnięcia na obu flankach maksymalnych zysków politycznych, przy równoczesnym zachowaniu pogańskiej bazy etnicznej jako podstawy do przyszłych przetargów.

Na skutek zabiegów Teognosta, metropolity „Kijowa i całej Rusi” (politycznie związanego z Iwanem I Kalitą), metropolia litewska nie została obsadzona po śmierci metropolity Teofila (ok. 1330 roku). Niemniej przychylne stanowisko władców litewskich do Kościoła wschodniego stało się ważną odskocznią dla spektakularnej — i, za Giedymina, na ogół pokojowej — ekspansji na Ruś. Oparła ona wschodnią granicę Wielkiego Xięstwa na Dnieprze, a południową zakotwiczyła o dorzecze Prypeci. Wpływy litewskie sięgnęły równocześnie do Kijowszczyzny, na wschodzie aż do Riazania i Muromia w górnym dorzeczu Oki, a na północy — przejściowo — do Pskowa. W rezultacie tych zmian

Litwa miała do dyspozycji coraz większe nadwyżki materialne i posiłki ruskie na wojnę z Zakonem. Równocześnie jednak rdzena i ciągle pogańska ludność litewska stanęła wobec dalekosiężnej perspektywy wpływów religijnych i kulturowych ze wschodu.

Kompensację tych dominujących wpływów wschodnich daje z kolei decyzja Giedymina rozszerzenia politycznych opcji Litwy o nowy scenariusz: zbliżenie z Polską. Sygnałem tego staje się przymierze z roku 1325, przypieczętowane małżeństwem królewicza Kazimierza z córką Giedymina, Aldoną-Anną.



Okres od śmierci Giedymina do chrztu *en masse* Auksztoty jest przedmiotem trzeciej — i ostatniej — części obecnego cyklu. Będzie ona miała tytuł: *Baptism and Survival: 1341-1387*.

Panowanie Olgierda (1345-1377) przy współpracy z Kiejstutem jest kontynuacją linii politycznych wytyczonych przez Giedymina. Na zachodzie Litwa nadal wystawiona jest na coraz większe zagrożenie ze strony Zakonu, podczas gdy od południa Wielkie Xięstwo wchodzi od ok. 1340 roku w konflikt z Polską o Ruś Halicko-Wołyńską. Z punktu widzenia Wilna (i na pewno z perspektywy Konstantynopola) Litwa staje więc od roku 1343 (tzn. od pokoju kaliskiego) wobec solidarnego frontu katolickiego stworzonego przez Zakon i Polskę. Odpowiedzią Olgierda i Kiejstuta jest szeroko zakrojona polityka wschodnia, którą nazwać można polityką „równowagi dynamicznej”. Polega ona na *progresywnym* angażowaniu Rusi i jej zasobów do walki z ciągle *rosnącym* naciskiem Zachodu: przede wszystkim Zakonu. Ta dynamiczna równowaga zagrożona jednak zostaje przez Moskwę, stającą w tym czasie do współzawodnictwa z Litwą o panowanie nad Rusią. Olgierd i Kiejstut decydują się więc na ostateczną próbę rozwiązania impasu wschodniego drogą podboju Moskwy i inkorporacji do Wielkiego Xięstwa całej Rusi włącznie z Suzdalią. W czasie systematycznych przygotowań Litwy do tej rozgrywki (okres ok. 1352-1367) Olgierd kładzie ogromny nacisk na uzyskanie poparcia i współpracy Kościoła wschodniego. Wilno i Moskwa współzawodniczą więc w Konstantynopolu o wpływy w celu obsadzenia metropolii „Kijowa i całej Rusi” przez swoich ludzi. Manewry te niewątpliwie oparte są na ponawianiu obietnic przyjęcia przez Litwinów chrztu w obrządku wschodnim.

W tym samym czasie Kazimierz Wielki obejmuje rolę głównego promotora sprawy chrztu Litwy w obrządku katolickim. Polsce chodzi o związanie przyszłej hierarchii litewskiej z Gnieznem, to znaczy o konsolidację wpływów polskich nad Niemnem (z myślą, można założyć, o spodziewanej konfrontacji z Zakonem). Litwini ze swojej strony trzykrotnie korzystają z tych polskich zabiegów (1349/51, 1358, 1373) dla wznawiania rozmów z papieżem o chrzest w obrządku łacińskim.

Dokładna analiza tych dwóch równoległych litewskich dyplo-

macji, wobec papieżstwa i wobec patriarchatu, wyraźnie wskazuje, że nie były one od siebie niezależne, ani tym bardziej bierne. Wręcz przeciwnie, kolejność inicjatyw i ich uderzająca symetria „wschód-zachód” prowadzą do wniosku, że za rządów Olgierda Litwa potrafiła podnieść tę „politykę balansu” do poziomu wyrafinowanej i efektywnej gry na dwa fronty. Osiągnięto przez nią szereg doraźnych korzyści, nie wystawiając przy tym pogańskiej bazy etnicznej na przedwczesny — z punktu widzenia litewskiej racji stanu — chrzest.

Litwie nie wystarczyło jednak sił do złamania oporu Moskwy. Trzy kolejne wyprawy (1368-1372) kończą się impasem i Jagiełło dziedziczy po ojcu w roku 1377 sytuację kryzysową: na zachodzie — już teraz przygniatającą przewagę wojskową Zakonu, na Rusi — perspektywę przyszłej konfrontacji z Wielkim Księstwem Moskiewskim, a w łonie dynastii — niesubordynację przyrodnych braci i ostatecznie konflikt z Kiejstutem (1381-1382).

Pierwsze lata rządów Jagiełły trzeba ocenić jako *crisis management* wysokiej próby. W tym najbardziej krytycznym dla państwa okresie młody wielki książę i jego współpracownicy umieją zdobyć się na systematyczne szukanie dróg wyjścia, na wyważanie alternatyw i w końcu na błyskawiczną decyzję. Spośród kilku teoretycznie możliwych „opcji na przetrwanie”, w okresie 1384-1386 na czoło wysuwają się dwie konkretne alternatywy: sojusz z Moskwą Dymitra Dońskiego oraz unia z Polską. Wybór między tymi dwiema orientacjami równał się ostatecznej decyzji co do obrządku, w którym litewscy poganie mieli w końcu przyjąć chrzest.

Z perspektywy sześciuset lat ocena decyzji Jagiełły na korzyść unii z Polską (*ergo*: na korzyść chrztu w obrządku łacińskim) wydaje się możliwą drogą odpowiedzi na trzy zasadnicze pytania: która z opcji reprezentowała najlepszą *szansę* na utrzymanie litewskiej politycznej indywidualności, która z opcji dawała najbardziej przychylne *warunki* dla zachowania i dalszego rozwoju kulturowych tożsamości w ramach nowych układów politycznych i w końcu, która z opcji dawała najlepsze *perspektywy* ekonomicznego dobrobytu. Próba odpowiedzi na te pytania zamyka trzecią i ostatnią część niniejszego cyklu artykułów.

Michał GIEDROYĆ

Oxford, 26 września 1986

Tadeusz WYRWA

POLSKA I EUROPA ŚRODKOWA W KONSPIRACYJNEJ PRASIE FRANCUSKIEJ 1941-1944*

Francja z okresu drugiej wojny światowej utożsamiana jest z marszałkiem Pétainem i jego rządem w Vichy lub z generałem de Gaullem i „Wolną Francją”. Nie utożsamia się jej natomiast z ruchem oporu, który powstał samorzutnie po zawieszeniu broni z Niemcami w czerwcu 1940. Na początku ruch ten skierowany był przeciwko Niemcom, później również przeciw rządowi w Vichy.

Francuski ruch oporu charakteryzował się w pierwszej fazie tym, że powstawał bez żadnego oparcia o partie polityczne lub osobistości sprzed 1939 i organizowany był przeważnie przez młode pokolenie, bardzo krytycznie ustosunkowane do przedwojennych rządów. Inną jego znamioną cechą był fakt, że początkowo zupełnie nie był związany z de Gaullem; pojawił się i rozwijał niezależnie od „Wolnej Francji”.

Generał de Gaulle, podobnie jak większość zawodowych wojskowych, nie przywiązywał wagi do walki podziemnej. Ruch oporu zaczął nabierać dla niego znaczenia dopiero w 1942 roku, gdy zdał sobie sprawę, że może on stanowić skuteczną broń w jego nieustannych utarczkach z Churchilllem, a zwłaszcza z Rooseveltem. W konsekwencji de Gaulle podporządkował sobie ruch oporu, co wywarło duży wpływ na orientację polityczną prasy konspiracyjnej, której przytłaczająca większość od 1943

* W niniejszym opracowaniu nie została uwzględniona prasa komunistyczna we Francji, całkowicie podporządkowana Rosji sowieckiej i jej wrogię polityce wobec Polski.

roku poszła po linii de Gaulle'a, zwłaszcza w polityce zagranicznej.

Francuski ruch oporu (*Résistance*) był bardzo nieliczny, rozrósł się dopiero wtedy, gdy zbliżało się zwycięstwo. Liczna i interesująca jednak była prasa konspiracyjna. Od zakończenia wojny rozdmuchiwana jest działalność ruchu oporu, dużo mniej natomiast mówi się o prasie konspiracyjnej, przypuszczalnie dlatego, że liczne tematy, o których pisano na jej łamach ciągle są aktualne, lecz niezbyt wygodne dla polityków. Ciekawą można byłoby przeprowadzić paralelę między zmonopolizowaniem historii francuskiego i polskiego ruchu oporu, ale nie mieści się to w ramach niniejszego artykułu.



W latach 1941-1942, gdy poszczególne pisma konspiracyjne we Francji wyrażały myśli środowisk, przez które były wydawane, problemy Europy środkowej nie były w nich poruszane. O Polsce można znaleźć wzmianki na temat prześladowań i dzielnej postawy społeczeństwa. Ale nawet wówczas odezwał się „kompleks Becka”, co więcej w obrzydliwej formie:

„Nazajutrz po Monachium Niemcy zamierzali już przedłożyć Polsce ultimatum, obsypując jednocześnie Becka kwiatami. Dziś siąj Beck i Polska doświadczają dobrodziejstw kolaboracji¹”.

Słowa te są tym bardziej bolesne, że ukazały się w czasopiśmie Henri Frenay'a, jednego z pierwszych organizatorów i szefów ruchu oporu, trzeźwo oceniającego politykę sowiecką, działalność komunistów i potrzebę zjednoczenia Europy (niestety tylko zachodniej).

Z punktu widzenia globalnej wizji konfliktu, nie ograniczonej jedynie do wojny z Niemcami, lecz dostrzegającej kryzys cywilizacji, potrzebę reform społeczno-politycznych i nowych zasad w stosunkach międzynarodowych — prasa konspiracyjna we Francji była w tych pierwszych dwóch latach wojny mimo wszystko najciekawsza i najgłębiej sięgała do źródeł konfliktu. Autorzy, przeważnie młodzi, trafnie określali przyczyny panoszącego się zła i wskazywali na to, co należało zmienić. Nie skonkretyzowali jednak swoich myśli w sposób, który mógłby służyć w przyszłości za wzorzec współżycia państw. Wysuwane później różne mgliste projekty dostosowane już były do narzuconej koniunktury politycznej, niewiele mającej wspólnego z atmosferą, w jakiej powstawał ruch oporu. Zaprzepaszczono idee, które miały stanowić podstawę odbudowy życia państwowego i w następstwie międzynarodowego. W najnowszej historii jest to jeden z wymownych przykładów moralnego rozbrajania Europy, która —

1. *Vérité* Nr 11, 15 września 1941.

wykrwawiona po kilku latach wojny — doczekała się kapitulacji Niemiec, ale jednocześnie zrezygnowała sama z ideałów, które przyświecały jej w wojnie.



Kłęska Francji w czerwcu 1940 roku wywołała gwałtowną burzę w prasie konspiracyjnej. Ostrej krytyce poddane zostały partie polityczne:

„Ich przestarzałe formy zbankrutowały; od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy żadna z tych partii nie potrafiła zapewnić Francji jedności, żywotności i ideału, które tak bardzo jej brakowały w chwili upadku²”.

Ludzie, którzy przewodzili Francji winni wiedzieć, że należą do zamarłej już definitywnie przeszłości:

„Francja nie chce więcej słyszeć ich wrzasków i lamentów, ich kłótni i jałowych dyskusji³”.

Wierzono, że niezbędne przemiany będą miały charakter rewolucyjny — a wówczas słowo „rewolucja” miało jeszcze inny wydźwięk niż dziś, kiedy jest nadużywane na każdym kroku i zbyt często identyfikowane z rewolucją komunistyczną. W pojęciu uczestników francuskiego ruchu oporu, nie mających powiązań ideologicznych z komunizmem, rewolucja była przede wszystkim:

„rewolucją ducha... początkiem nowej cywilizacji... radykalną zmianą stosunków społecznych, ekonomicznych i politycznych⁴”.

„To nie jakąś klasę trzeba unicestwić, ale ducha, jaki panuje⁵”.

„Z wszystkich problemów, które rewolucja będzie miała do rozstrzygnięcia, problem obyczajów politycznych jest na pewno jednym z najważniejszych, najpilniejszych i najtrudniejszych⁶”. Politycy z lat 1938/39 „nie mieli odwagi ani ochoty podjąć stanowczej decyzji, opuścili Austrię, Czechosłowację i Polskę⁷”. „Nie po to walczymy, aby znowu mieć na stanowiskach wczorajsze marionetki⁸”.



2. *Libérer et Fédérer* Nr 1, 14 lipca 1942.

3. *Libérer et Fédérer* Nr 3, 1 października 1942.

4. *Combat* Nr 34, wrzesień 1942.

5. *Cahiers de Défense de la France*, 1944

6. *Libérer et Fédérer*, numer ze stycznia 1943, bez bliższej daty.

7. *Essor. L'Avenir de l'étudiant* Nr 3, 1 marca 1944

8. *Bir Hakeim* Nr 8, 31 grudnia 1943.

W pierwszych dwóch latach wojny stosunek ruchu oporu we Francji do komunistów był wrogi. Francuska partia komunistyczna, podobnie jak jej odpowiedniki w innych krajach, nie tylko nie brała udziału w organizującym się ruchu oporu, ale potępiała wojnę przeciwko Niemcom, określając ją — zgodnie z nakazem Moskwy — mianem wojny „imperialistycznej”. Dopiero w czerwcu 1941 przywódcy komunistyczni dali hasło do walki z Niemcami.

Stanowisko prasy konspiracyjnej we Francji było wówczas jasne:

„Olbrzymia większość Francuzów nie żywi żadnej sympatii do bolszewizmu... Francuzi mają wstręt do jego obyczajów⁹”.

Pisma konspiracyjne przypominały, że:

„propaganda nazistowska i komunistyczna podkopywały ręką w rękę morale naszego kraju. W dyrektywach dawanych Niemcom za granicą... można było znaleźć całkowitą zbieżność ze wskazówkami, jakie otrzymywali agenci Moskwy. Zalecano im rozpowszechnianie antymilitaryzmu, podkopywanie zasady autorytetu i dyscypliny, prowadzenie kampanii oszczerstw na tych, którzy piastują władzę, jakiegokolwiek by byli przynależności politycznej... Francja nie powinna pragnąć zwycięstwa niemieckiego ani rosyjskiego. W jej niewątpliwym interesie leży, ażeby wojna trwała długo i wyczerpała jednocześnie obydwu przeciwników, którzy — każdy z innego powodu — są jej nieprzyjaciółmi¹⁰”.

Podobne zdania znaleźć można na łamach innych czasopism:

„Nie możemy być bardziej pobłażliwi dla totalitaryzmu bolszewickiego aniżeli dla totalitaryzmu nazistowskiego. Są to bracia i do obydwu jesteśmy wrogo ustosunkowani¹¹”. „Stalinowskie pojęcie państwa jest dziwnie podobne do hitlerowskiego¹²”. „Nie mamy oczywiście żadnej sympatii dla rządu Stalina, który w sierpniu 1939 umożliwił rozpętanie agresji niemieckiej, potem zadał cios w plecy bohaterkiej Polsce, zawładnął zbrodniczo Estonią, Łotwą, Litwą i ogołocił Finlandię¹³”.

9. Z ulotki wydrukowanej w Lyonie przez zgrupowanie „France-Liberté”. Fotokopia tej ulotki znajduje się w książce: Dominique Veillon, *Le Franc-Tireur...*, Flammarion, Paryż 1977, str. 55.

10. *Les Petites Ailes de France* — 1 lipca 1941

11. *Le Franc-Tireur* — luty 1942.

12. *Défense de la France* Nr 12, 20 marca 1942.

13. *La France continue* Nr 4, 1 sierpnia 1941.

Jedno z czasopism, zapytane o swój stosunek do komunizmu, taką dało odpowiedź:

„Dla nas komunizm nie istnieje. Z jednej bowiem strony jest szef państwa Stalin i jego naród, prowadzący politykę przede wszystkim rosyjską i na razie [przed czerwcem 1941 — T.W.] germanofilską. Z drugiej natomiast strony jest kilka milionów durni, którzy nazywają tę politykę rosyjską 'uniwersalnym socjalizmem' i oczekują od Stalina chleba, pokoju, wolności i wielu innych rzeczy¹⁴”.

Nie brak też było wówczas trafnej oceny sytuacji:

„Przymierze Związku Sowieckiego z Anglią i 'Wolną Francją', znaczenie udziału w wojnie z Niemcami i w konsekwencji wpływ, jaki Związek Sowiecki będzie miał na ustalenie przyszłego pokoju stanowią w oczach wielu Francuzów największe niebezpieczeństwo dla przyszłości Francji i Europy. Obecność we Francji aktywnej partii komunistycznej, silniejszej niż w innych krajach i cieszącej się dzisiaj nowym prestiżem [dzięki przystąpieniu do ruchu oporu — T.W.] wydaje się nam zwiększać to niebezpieczeństwo¹⁵”.



Równocześnie z negatywnym stosunkiem do komunizmu i nieufnością do polityki Związku Sowieckiego prasa konspiracyjna podkreśla rolę, jaką Francja winna odegrać w tworzeniu powojennej Europy:

„Francja jest potrzebna światu, albowiem uosabia cywilizację chrześcijańską¹⁶”. „Największym zwycięstwem Francji nie będzie zwycięstwo broni, lecz idei¹⁷”. [Francja] „nie powinna ograniczyć się do leczenia własnych ran, gdyż rany świata mają wspólną przyczynę. Francja będzie mogła zagoić własne rany, ale bez pomocy innych narodów nie zdoła uniknąć powtórnego upadku, zapobiec złu, które ją ponownie dotknie, jeżeli będzie tylko wielkim, lecz samotnym narodem¹⁸”.

Podziemna walka toczona wspólnie z tym samym wrogiem i w tym samym duchu we wszystkich krajach, okupowanych

14. *Libération* (Zone Nord) Nr 7, 12 stycznia 1941.

15. *Volontaires de la liberté*, Bulletin Nr 12, 16 stycznia 1942.

16. *Défense de la France* Nr 21, 1 grudnia 1942.

17. *Libération* (Zone Sud) Nr 34, 1 września 1943.

18. *Les Cahiers de Libération* Nr 1, wrzesień 1943.

przez Niemców miała po wojnie stanowić punkt wyjścia odbudowy Europy:

„Europejski ruch oporu odbuduje Europę. Europę wolną wolnych obywateli, bo wszyscy poznaliśmy niewolę. Europę politycznie i ekonomicznie zjednoczoną, bo zapłaciliśmy cenę niezgody. Europę uzbrojoną, bo zapłaciliśmy okup za jej słabość”. [Europejski ruch oporu to] „Polska, Norwegia, Dania, Holandia, Belgia, Grecja, Jugosławia. Tam jest miejsce Francji. Tam jest jej misja. Nie w Europie pokrojonej na zielonym suknie przez dyplomatów 'wielkich mocarstw', lecz w Europie cierpiącej, która budzi się o świcie w trwodze, w podziemnej Europie partyzantów i fałszywych papierów, w Europie skrwawionej, która odiera ciosy ciosami. Tam jest nasze braterstwo. Tam jest nasza przyszłość¹⁹”.

[Francja stanowi] „geograficzny punkt, w którym schodzą się największe prądy światowe” i po wojnie „mimo chwilowej degradacji będzie jedynym narodem, zdolnym do zaproponowania światu syntezy rewolucji ekonomicznej i wolności²⁰”.

Idea federacji i konfederacji była dość często poruszana na łamach prasy konspiracyjnej, gdy pisano o „Europie wolnej politycznie i gospodarczo, konfederacji, w której państwa duże i małe traktowane będą jednakowo, jak w konfederacji helweckiej²¹”. Odsobnione były jednak czasopisma, które zwracały uwagę, że zjednoczenie naszego kontynentu winno być dokonane nie na bazie politycznej i gospodarczej, lecz przede wszystkim na bazie kultury. W przeciwnym razie zjednoczenie zastąpione zostanie mitem jakiegoś układu międzynarodowego, gdzie nikt właściwie nie będzie się czuł odpowiedzialny i który spowoduje „pojawienie się znowu wszelkiego rodzaju ciasnych nacjonalizmów, imperializmów i faszyzmów zasklepionych we wzajemnej wrogości i konkurencji²²”.



Idee zjednoczenia Europy zostały wypaczone pod wpływem tych, którzy nie organizowali ruchu oporu we Francji i nie potrafili albo nie chcieli wczuć się w ducha, jaki towarzyszył jego narodzinom, co też ujemnie się później odbiło na sytuacji w Europie. Prasa konspiracyjna jest wymownym tego przykładem.

W czasopiśmie, którego autorzy — jak na przykład Michel Debré — byli po wojnie czynnie zaangażowani w życie politycz-

19. *Combat* Nr 53, grudzień 1943.

20. *Le Franc-Tireur* — 1 marca 1944.

21. *La Marseillaise* Nr 5, 14 lipca 1944.

22. *Volontaires de la Liberté*, Bulletin Nr 63, 8 października 1943.

nym, odrzucono ideę Stanów Zjednoczonych Europy lub federacji europejskiej, twierdząc, że są to pomysły przestarzałe, dobre dla epoki Victora Hugo i Aristida Brianda. W odpowiedzi na pytanie, czy Europa stanowi rzeczywiście odrębną wspólnotę, mającą swoje interesy, czytamy, że z punktu widzenia geograficznego:

„Europa obejmuje jedno mocarstwo na pół azjatyckie — Rosję, drugie częściowo afrykańskie — Francję i trzecie, wyraźnie międzykontynentalne — Anglię. Jak więc pogodzić interesy tych trzech imperiów z polityką partykularyzmu europejskiego?”

Zgodnie z tymi założeniami, Polska i Europa środkowa dla autorów tego czasopisma w ogóle nie istniały.

W dalszym ciągu tych wywodów czytamy, że Europie grozi zasklepienie się w sobie i w końcu może dojść do sytuacji, w której Europa odda przysługę pangermanizmowi. Przy tej okazji autorzy sądzą, iż „niebezpieczeństwo imperializmu słowiańskiego byłoby znacznie mniej prawdopodobne niż niebezpieczeństwo imperializmu germańskiego”²³.

W studium na temat francuskiej polityki zagranicznej inny autor, będący wyrazicielem myśli zespołu jednego z najważniejszych czasopism konspiracyjnych, uważa że:

„Trwałe uregulowanie problemów w Europie wschodniej byłoby możliwe w następujący sposób: na północy przez wzmocnienie państw skandynawskich, które należałoby zachęcić do połączenia się w bardziej zwarty blok; w Europie centralnej i południowej przez Polskę i federację naddunajską. Z drugiej strony byłoby logiczne, ażeby Rosja odzyskała pewne obszary państw nieprzyjacielskich, szczególnie Besarabii, i być może niektóre punkty w Finlandii, jak również państwa bałtyckie”.

„Sprawa polska jest niepewna. Mocarstwa zachodnie wypowiedziały w związku z nią wojnę i wydaje się logiczne, aby przewidzieć odbudowanie Polski, która straciłaby ziemie wschodnie do linii Curzona, a w kompensacie otrzymałaby szeroki wylot na morze, nie tylko w Gdańsku, lecz i w Królewcu. Tutaj istnieje bolesny konflikt między prawem i faktami. Wydaje się, że Polska ma prawo do naszej sympatii i do istnienia. Ale w rzeczywistości istnienie Polski oznaczało zawsze, tak w 1763²⁴, porozumienie niemiecko-rosyjskie, niszczące równowagę europejską.

23. *Les Cahiers politiques* Nr 1, kwiecień 1943.

24. Autor ma zapewne na myśli wpływ wywierany przez Katarzynę II i Fryderyka II na wybór, w 1764 roku, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Najlepszym rozwiązaniem tego trudnego problemu wydaje się być zawarcie ścisłych układów między nową Polską i ZSSR”.

„Jeśli chodzi o Związek Sowiecki, trzeba zauważyć, że kwestie nierozstrzygnięte między nim i Anglosasami będą prawdopodobnie dla dyplomacji francuskiej najlepszą okazją do podjęcia aktywnej roli, tak jak to miało miejsce w 1815. Nadto interesy Rosji, które odnoszą się przede wszystkim do Europy wschodniej i dalekiego Wschodu, nie przeszkadzają interesom Francji. Wreszcie nasze położenie w Europie zachodniej i oddziaływanie anglosaskie zmuszą nas niewątpliwie do szukania niezastąpionej przeciwwagi w poparciu ZSSR. Dlatego Francja nie powinna zasklepić się w polityce wrogiej wobec Związku Sowieckiego. Jak powiedział generał de Gaulle, nie ma powodu, aby naród francuski i naród rosyjski nie mogły się porozumieć”.

Autor pisze następnie:

„Ilja Erenburg, wielki pisarz sowiecki, wysławiał ostatnio przyjaźń francusko-rosyjską. Przypomniął, że ZSSR był jedynym krajem, który uznał bez żadnych zastrzeżeń *Comité français de libération nationale*, jako rząd Republiki francuskiej... My, Francuzi, winniśmy również odnowić ideę przymierza francusko-rosyjskiego, ideę bliską francuskiej opinii publicznej od 1890 roku, która być może powinna zostać umieszczona na pierwszym planie naszej polityki zagranicznej”.

Reasumując poglądy swojego środowiska, autor pisze, że:

[państwa położone] „między ZSSR i Niemcami są niestety dość słabe. Otóż szukaliśmy równowagi europejskiej, która opierałaby się na solidnych podstawach: blok skandynawski, Polska — JEŻELI BY ISTNIAŁA [*podkreślenie moje* — T.W.], federacja naddunajska — z naszymi wiernymi sprzymierzeńcami czeskimi i jugosłowiańskimi — będą naturalnymi przyjaciółmi Francji. Ale daremne byłoby budowanie kruchej bariery przeciwko naszym sprzymierzeńcom rosyjskim w strefie, gdzie Francja nie ma większych interesów... Ogólnie można sądzić że jedną z oczywistych ról Francji będzie rola rzecznika państw Europy środkowej, którym — wydaje się — przypadł obecnie los państw drugorzędnych. Federacja Europy zachodniej mogłaby odegrać rolę pośrednika między Wschodem i Zachodem. Europa jako taka stanowiłaby natomiast zgromadzenie szersze, na którego czele stałyby Rosja, Francja i Anglia²⁵”.

25. *Cahiers de Défense de la France* — 1944.

Radykalna zmiana orientacji politycznej tej redakcji nie była zjawiskiem odosobnionym i wpływała z nowego kierunku, jaki charakteryzował wówczas francuski ruch oporu. Warto przypomnieć wcześniejszą, zdecydowanie antykomunistyczną postawę tego czasopisma (patrz cytaty nr 12), kiedy nie widziano zbyt wielkiej różnicy między państwem Hitlera i państwem Stalina, a ci sami autorzy pisali:

„Nie bronimy komunizmu. Obrona komunizmu jest niszczeniem naszej cywilizacji²⁶”.

Widoczną oznaką zmiany nastawienia redakcji była modyfikacja dewizy umieszczonej obok tytułu tego czasopisma, która — od września 1941 do stycznia 1943 — brzmiała na przemian: „Ani Niemcy, ani Rosjanie, ani Anglicy”, bądź też: „Ani Niemcy, ani Rosjanie, ani Anglicy, ani nazizm, ani komunizm, Francuzi”. Dewiza ta zniknęła od stycznia 1943, czyli od daty dołączenia zespołu *Défense de la France* do generała de Gaulle'a.

Zgodnie z tą dewizą, która miała służyć do podkreślenia niezależności zespołu, w pierwszym numerze *Défense de la France* zaznaczono, że czasopismo „nie jest subwencjonowane ani przez ukryte fundusze brytyjskie, ani przez zasiłki z Moskwy, ani też przez łapówki nazistów²⁷”. Stanowcze odcięcie się od Niemców i Sowietów było normalne, czego nie można powiedzieć o odcięciu się od Anglików. W ten jednak sposób chciano zaakcentować całkowitą niezależność w okresie, gdy propaganda Vichy i komunistów robiła z de Gaulle'a „agenta na żołdzie brytyjskim”.

W końcowej fazie wojny francuska prasa konspiracyjna (z bardzo nielicznymi wyjątkami) lansowała potrzebę współpracy ze Związkiem Sowieckim i podkreślała korzyści, jakie z niej wyciągnie Francja. Starano się wszczepić przekonanie, że:

„ze wszystkich sojuszków, jakie mogą Francję pociągać, sojusz francusko-rosyjski jest najbardziej uprzywilejowany”. Przymiemy to jest o tyle łatwiejsze, że „nigdzie na kuli ziemskiej Francja i Rosja nie mają sprzecznych interesów. Są znacznie od siebie oddalone, zasięg ich wpływów nigdy się nie zderza. Kolonie francuskie w Afryce, najbliżej położone Rosji, są dla niej odległym, prawie niedostępnym światem, gdzie nie znajdzie ona żadnego nawet śladu potrzeby obrony interesu słowiańskiego”.

Podziwiając następnie bohaterstwo narodu rosyjskiego w wojnie z Niemcami — które pozwoliło Stalinowi chełpić się później

26. *Défense de la France* Nr 12, 20 marca 1942.

27. Pierwszy numer *Défense de la France* miał dwa wydania: jedno w lipcu i drugie w sierpniu 1941 roku. Cytuję za wydaniem z 15 sierpnia 1941.

zwycięstwem, mylnie przypisywanym na Zachodzie jego „geniuszowi” — autor pisze o wdzięczności Francji za złamanie potęgi Hitlera, z czym jednak natychmiast łączy, że:

„wszystko wskazuje na to, aby w przymierzu francusko-rosyjskim widzieć pierwszorzędną czynnik odbudowy Francji²⁸”.

Europie środkowej prasa konspiracyjna we Francji niewiele już poświęcała miejsca, a wzmianki na temat zjednoczenia Europy chwały jej nie przynoszą. Oto jedna z tych wzmianek w czasopiśmie, które twierdzi, że tylko federacja państw europejskich będzie mogła zapewnić przyszły pokój. Federacja taka nie jest, zdaniem pisma, utopią:

„Przykład związku szesnastu republik sowieckich świadczy, że kraje o różnych zwyczajach, tradycji i języku (...) mogą, gdy łączy je wspólny ideał, stanowić blok równie zwarty jak państwo scentralizowane²⁹”.



W tym kontekście politycznym również sprawa polska została całkowicie zniekształcona. W marcu 1943 redakcja biuletynu, wydawanego przez „Biuro prasy Francji walczącej” słusznie pisała na temat zatargu polsko-sowieckiego, że „zatarg ten jest interesujący z uwagi na to, że ujawnia obecne cele polityki rosyjskiej³⁰”. Niestety, sporne problemy Polski z ZSSR nigdy nie zostały we Francji odpowiednio wyjaśnione i przeważnie były przedstawiane zgodnie z tezami propagandy komunistycznej.

Wiadomo, że polityka sowiecka starała się sprowadzić konflikt z Polską do zatargu o granice. Taka też tendencja charakteryzuje prasę konspiracyjną we Francji. W jednym z organów tej prasy, w artykule pt. „Granice Polski”, pisanym w styczniu 1944, kiedy armia czerwona znalazła się na ziemiach wschodniej Polski sprzed 1939 roku, autor sądzi, że sprawy sporne z ZSSR zostaną zapewne uregulowane w drodze porozumienia, z tym że:

„porozumienie to nie obejdzie się bez tego, by ZSSR nie otrzymał części terytorium niepodległej Polski”.

Ale — wyjaśnia autor:

„pozory mogą wprowadzić w błąd tych, którzy nie znają wystarczająco motywów tego dość złożonego zagadnienia. Gotowi pomyśleć, że ZSSR usiłuje po prostu ratyfikować aneksję z 1939

28. *Avenir* Nr 10, 15 luty 1944.

29. *Libérer et Fédérer* Nr 15-16, kwiecień-maj 1944.

30. *Bulletin d'informations générales* Nr 79, 15 marca 1943.

roku. Tego rodzaju pogląd jest powierzchowny, niekompletny i fałszywy... pomija fakt zasadniczy, a mianowicie to, że ustanowienie dawnej granicy Polski było rezultatem agresji Piłsudskiego w 1920 roku”.

W dalszym ciągu swych wywodów autor twierdzi, że nieobecność Rosji była jedną z najłabszych stron pokoju ustalonego w 1919 roku — „pokoju, który został zmodyfikowany przez Polskę na własną rękę w następnym roku”. Pokój zawarty po drugiej wojnie światowej — przy współudziale Rosji —

„będzie oczywiście rewidował granice Polski”, ale „nie trzeba z tego powodu litować się nad Polską i uważać, że padła ofiarą silniejszego”, bowiem nie chodzi jedynie o uregulowanie granicy: Rosja proponuje nadto „ustalenie w Europie wschodniej systemu bezpieczeństwa, do którego przystąpiła już Czechosłowacja, a Polska została zaproszona³¹. (...) Rozważany pod tym kątem widzenia, problem rosyjsko-polski nabiera całkiem innego znaczenia... Nie trzeba również zapominać o megalomanii byłych przywódców, marzących o odbudowie dawnego królestwa Jagiellonów, które rozciągało się od Bałtyku do Morza Czarnego. To są minione czasy. Przyszłość kraju nie leży już w tego rodzaju wybujałych i przestarzałych ambicjach³²”.

Aby ocenić zmianę stosunku francuskiej prasy konspiracyjnej do Związku Sowieckiego, wystarczy porównać stanowisko tego czasopisma z 1941 roku, zawarte w cytacie nr 14, z wyżej przytoczonymi argumentami. Należy też zwrócić uwagę na wrogą postawę środowiska „Wolnej Francji” w Londynie wobec polskiej idei federacji, lansowanej wówczas przez rząd Sikorskiego. W środowisku tym odnoszono się krytycznie do „Królestwa Jagiellonów”, które — odrodzone w nowej formie federacji państw Europy środkowej — kolidowałoby z ideą wielkiej Francji, o której marzył generał de Gaulle³³.

Po podpisaniu w lipcu 1944 umowy między Związkiem Sowieckim i utworzonym przez niego „Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego” (PKWN), na łamach prasy konspiracyjnej we Francji pisano, że zawarcie tej umowy byłoby normalne, gdyby nie istniał w Londynie rząd polski:

„określany przez PKWN jako nielegalny, bo opiera się na

31. Chodzi o pakt sowiecko-czeski zawarty w grudniu 1943, po zerwaniu przez Moskwę stosunków z rządem polskim w Londynie i po podporządkowaniu się Benesa polityce Stalina, który szykował wówczas własny „rząd polski”.

32. *Libération* (Zone Nord) Nr 163, 18 stycznia 1944.

33. *Vide: Zeszyty Historyczne* Nr 56, str. 227 i następane.

'faszystowskiej' konstytucji z 1935 roku, podczas gdy PKWN uznaje jedynie konstytucję z 1921 roku. W zasadzie PKWN ma rację. Zamach stanu dokonany przez Piłsudskiego 12 maja 1926 zburzył ustrój demokratyczny i chodzi o odbudowanie go w przyszłości”.

To samo czasopismo zastanawia się następnie, co chcą osiągnąć Sowieci popierając PKWN i okazując całkowitą nieufność do rządu polskiego w Londynie:

„Anektować Polskę i uczynić z niej państwo wasalne, republikę sowiecką, jak zapewniają przeciwnicy ZSSR? Nie takie są, naszym zdaniem, ich zamiary. Postawa przyjęta przez nich wobec Finlandii, Rumunii, Jugosławii i Włoch pozwala nawet twierdzić, że jest wręcz przeciwnie. To, czego oni nie chcą za żadną cenę, to pojawienia się na nowo słynnego 'kordonu sanitarnego', mniej czy bardziej zakamuflowanego”. Polska, czytamy dalej, „winna zrezygnować z chęci stania się państwem zdolnym do zwracania się, zależnie od okoliczności, raz przeciwko Niemcom, to znowu przeciwko Rosji”. Polityka ta, zbyt ambitna, „sprzyjała ekspansji niemieckiej w Europie środkowej i wschodniej”. Trzeba, aby Polska sprzymierzyła się ze Związkiem Sowieckim. Ale „to nie oznacza, że powinna zaakceptować status państwa ujarzmionego. Tego się zresztą od niej nie wymaga³⁴”.

Przemówienie Churchilla w Izbie Gmin dnia 22 lutego 1944, w którym m.in. powiedział, że rząd Wielkiej Brytanii „nigdy w przeszłości nie gwarantował żadnej linii granicznej Polski”, odbiło się również echem we francuskiej prasie konspiracyjnej. W *Biuletynie* zjednoczonych organizacji ruchu oporu pisano, że sprawa polska ma dwa aspekty: aspekt terytorialny, według Anglii już uregulowany z Rosją, i aspekt rządowy, bardziej zawity, wobec którego Wielka Brytania, jak się wydaje, nie zajęła stanowiska.

Jeśli chodzi o rząd, wyjaśniają autorzy *Biuletynu*, to jest to jeden z aspektów obszernej problematyki dyskutowanej w Izbie Gmin i dotyczącej postawy brytyjskiej wobec wszystkich rządów krajów okupowanych przez Niemców. „Jesteśmy rzeczywistością świadkami dość dramatycznego zjawiska: legalne rządy na obczyźnie z siedzibą w Londynie straciły, wydaje się, kontakt z żywotnymi siłami narodowych ruchów oporu i widzą teraz, jak powstają na ich ojczystej ziemi rządy ludowe skierowane przeciw nim”.

Żołnierzem Churchilla jest, żeby „nie mieszać się w sprawy wewnętrzne i pomagać tym, którzy energicznie wspierają aliantów w walce z Niemcami... Co do narodowego ruchu oporu

34. *La France Intérieure, Cahier* Nr 23, 15 sierpnia 1944.

w Polsce, to istotnie widzimy milczenie rządu brytyjskiego. W wypadku Jugosławii, przeciwnie, postawa Churchilla była o wiele jaśniejsza. Oświadczył bardzo wyraźnie, że Anglia udzieli poparcia marszałkowi Tito”.

Po wzmiankach na temat Grecji, Hiszpanii, Portugalii i Turcji redakcja *Biuletynu* pyta, jakie wnioski można wysnuć z odmiennej postawy rządu brytyjskiego do różnych krajów. Oto odpowiedź:

„Wydaje się nam, że bardzo proste spostrzeżenie daje klucz do zrozumienia postawy rządu Churchilla w tej sprawie. Spostrzeżenie to jest natury geograficznej. Można zauważyć, że czym bliżej ku Wschodowi, to znaczy w kierunku Rosji (i czym szybciej armia rosyjska posuwa się ku Zachodowi), w tym większym stopniu rząd brytyjski bierze pod uwagę aspiracje narodowe. I odwrotnie, czym bardziej idzie się ku Zachodowi, tym większym prestiżem w oczach rządu brytyjskiego cieszą się różnego rodzaju królowie, dyktatorzy i marszałkowie. Gdy dojdzie się do brzegu Atlantyku, to znaczy do Salazara, rozczulenie i sympatia rządu jej królewskiej mości nie znają granic”.

Czy z tego wszystkiego należy wnioskować — kontynuuje redakcja —

„że Moskwa i Londyn podzieliły między sobą 'strefy wpływów' w Europie? Nie możemy oczywiście tego wiedzieć, odnotowujemy jedynie, że tak Moskwa jak Londyn energicznie występują przeciwko tej przykrej hipotezie i przedstawiają obszar Europy jako niepodzielny, nad którym wielkie mocarstwa winny zgodnie roztoczyć nadzór. Zadowolamy się przeto wnioskiem, jaki wypływa z punktu widzenia ściśle francuskiego: deklaracje przychylnie generałowi de Gaulle'owi i wysiłkom Francuzów w wojnie, które ostatnio cytowaliśmy, wydają się nam istotnie szczęśliwym wyjątkiem w porównaniu ze szczególną predylekcją rządu brytyjskiego do każdej 'ustalonej' formy rządu³⁵”.



Zasadnicza zmiana ideowego kierunku ruchu oporu we Francji — zwłaszcza gdy chodzi o nastawienie do Związku Sowieckiego — miała kilka wzajemnie się zągębiających powodów. Decydujący był przede wszystkim wpływ de Gaulle'a i „Wolnej Francji” z ich prorosyjskim nastawieniem³⁶. Doniosłą rolę ode-

35. *Bulletin intérieur des Mouvements Unis de Résistance* Nr 114, 16 marca 1944.

36. Vide: *Zeszyty Historyczne* Nr 63, str. 207-221.

grał w tym wypadku Jean Moulin, który z ramienia de Gaulle'a doprowadził do scalenia ruchu oporu we Francji i do utworzenia w maju 1943 roku Narodowej Rady Ruchu Oporu (*Conseil National de la Résistance*), do której dopuszczono partię komunistyczną, rehabilitując ją w ten sposób za jej oportunistyczny wobec hitlerowców przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej i jej ówczesny wrogi stosunek do de Gaulle'a i „Wolnej Francji”.

Jean Moulin jest do dzisiaj postacią kontrowersyjną: bohater ruchu oporu, zamordowany przez Gestapo, którego prochy (domniemane) spoczywają w paryskim Panteonie, jest jednocześnie podejrzewany o kryptokomunizm³⁷. Nie zostanie to zapewne nigdy wyświetlone, chociażby dlatego, że poruszanie drażliwych spraw z tego okresu jest we Francji ciągle tłumione, szczególnie przez zaangażowanych politycznie gaullistów, którym jest koniunkturalnie wygodniej przedstawiać „Wolną Francję” bez skaz.

Włączenie partii komunistycznej do ruchu oporu, który podlegał „Wolnej Francji”, pozwoliło komunistom odegrać decydującą rolę w tym ruchu, bowiem tylko ta partia zachowała po czerwcu 1940 zwartą organizację i silny aparat władzy, wydajnie wspomagany przez Moskwę. Za jej głównie pośrednictwem przenikała do ruchu oporu i opinii publicznej propaganda sowiecka, co fatalnie odbiło się na stosunku Francuzów do Polski i Europy środkowej. Trzeba jednocześnie przyznać, że we Francji brak było również ze strony polskiej skutecznego przeciwdziałania propagandzie sowiecko-komunistycznej.

Tadeusz WYRWA

37. Vide: Henri Frenay, *L'Enigme Jean Moulin*, Robert Laffont, Paryż 1977.

WSPOMNIENIA

Anka KOWALSKA

FOLKLOR TAMTYCH LAT

Z początkiem lutego 1977 Rada Państwa — na prośbę Gierka, który nie na próżno ubiegał się o tytuł „ludzkiego pana” — ogłosiła czas przebaczenia dla czerwcowych buntowników. Odsiadywane już przez nich kary miały ulegać skróceniu lub zawieszeniu, mogły zostać w ogóle darowane. Warunkiem oczywiście była skrucha i rokowanie nadziei poprawy; wykluczenie szantażu z metod postępowania ludowej władzy zachwiałyby jej podstawami — wtedy, przedtem, dziś, zawsze. Tekst uchwały zawierał również wyrazy uznania dla policji, prokuratury, sądu. Ojcowska ręka mianowicie biła i karała słusznie. Teraz odwieszała dyscyplinę na podręczny kołek, gotowa pogłaskać karki, potulnie zgięte u ojcowskich kolan. W naszych oświadczeniach z tego okresu nazywaliśmy po imieniu ten szantaż wobec ludzi protestujących w czerwcu całkowicie świadomie, karanych niewinnie, a teraz tak zwaną wolnością i odzyskaniem pracy wabionych do samogwałtu sumień. Społeczeństwu kolejny raz przewracano w głowach: przebaczenie, jak to pięknie brzmi.

Oczywiście ulegli pod przymusem i oczywiście nikomu niczego nie wybaczyli — ani tamtym z czerwca, ani tym mniej nam, którzy wydobywaliśmy z anonimowości ich los, a w rezultacie doprowadziliśmy do nawały zbiorowych i pojedynczych protestów przeciwko temu losowi. Władza nie mogła przejść do porządku dziennego nad imponującym rzeczywiście — wtedy, wtedy! — tłumem podpisów, nazwisk głośnych i nikomu nieznanym, ludzi pióra i kultury, pracowników naukowych, księży (niezawodna diecezja rzeszowska!) nauczycieli, studentów, ponad tysiąca ro-

botników z Ursusa. Gazety nie pisały o tych listach do sejmu, myśmy je powielali, ogłaszali, przekazywali korespondentom zagranicznym; ale i my mamy o nich taką tylko wiedzę, jakiej nam dostarczyli sami sygnatariusze. O ilu nie mamy pojęcia?

Gazety nie pisały też o groźnej złości, jaką zaczęto okazywać tym, którzy ośmielili się być solidarni. Pisarzom odbierano prawo do publicznego istnienia, pracownicy naukowci, inżynierowie, nauczyciele tracili pracę, studenci na dywanikach rektorskich wysłuchiwali nagan lub zapowiedzi relegacji z uczelni, państwowy aparat administracji wszelkich szczebli rozwinął działalność represyjną. Tu i ówdzie, w różnych miastach, nieznanymi napastnikami tłukli na ulicach związanych z KOR-em ludzi. Często mieli pałki.

Gazety o tym wszystkim nie pisały, ale my tak. Kiedyś, pamiętam, pokazując w zaprzyjaźnionym domu taką informację o represjach wobec grupy sygnatariuszy jednego z listów do sejmu czy Rady Państwa, usłyszałam uwagę, której nie udaje mi się zapomnieć:

— No, ale na co tu się oburzać; przecież do żadnej władzy nie można się w ten sposób odzywać!

Jeszcze wtedy więc (a czy dzisiaj już nie? Nie jestem pewna) zdarzało się spotykać ludzi podejrzewających, że każda władza choćby troszkę, choćby ociupinę, jednak przecież pochodzi od Boga. Byłam parę lat później na Zachodzie; zdaje się, że insynuowanie czegoś podobnego Panu Bogu może się zdarzać tylko Polakowi.

To w tym okresie chyba, w czasach przebaczenia, w mieszkaniu Zbyszków Romaszewskich młody robotnik — z wybitymi na komendzie jeszcze po czerwcu zębami — sepleniąc składał sprawozdanie z kolejnego przesłuchania. Jak obrzucali go najgorszymi wyzwiskami, jak się podrywali ku niemu z miejsc; był pewien, że będą go bić, jak przedtem, i jak przedtem milczał. Siedział teraz na wersalce pod ścianą, robił wrażenie raczej wątłego, niewysokiego, drobnokościstego, chyba się nazywał Szczepanik. Opowieść była uboga, nic nowego pod radomskim słońcem, my cię, ty skurwysynu, zobaczysz ty jeszcze, popamiętasz. Co im mógł zrobić w tej komendzie, poradzić nie mogłem, ale się zerwał przecież, rzucił na nich na oślep, kiedy coś okropnego powiedzieli o jego młodej żonie. Drobną twarz jeszcze dziś zaszła mu szkarłatem, szarpnęło nim na tej wersalce, ręką łapał się poręczy, żeby się tak nie miotać. No, stłukli go trochę, nic specjalnego.

Bo tak to właśnie wyglądało na przykład w Radomiu, ta łaska Rady Państwa. Tam w każdym razie dyscypliny nie odwieszono

na kołek. Jak wąż odkurzacza miała różne końcówki; używaną poprzednio zamieniono teraz na trochę inną.

W samym Radomiu zresztą różnicę nie tak łatwo było się dopatrzeć. Policja w ogóle, ale radomska szczególnie nie spoczęła na laurach. Otwierały się wprawdzie więzienia, wypędzeni z pracy dostawali ją znów, choć niemal zawsze gorszą, gorzej płatną, poniżej kwalifikacji. Ale terroryści w mundurach i bez dopadali ich w warsztatach i fabrykach, ciągnęli znów do komend, wywracali mieszkania rewizją po rewizji. Wypuszczeni z za krat na warunkową przerwę w odsiadaniu kary padali pastwą milicji, pogroźek, codziennej udręki strachu. Wciąż ktoś zniknął na kilkanaście godzin, na czterdzieści osiem. Przesłuchiowano żony, całe rodziny, groza gęstniała, szukano śladów KOR-u, komunikatów, *Biuletynu Informacyjnego*, tajniacy czaili się wokół podejrzanych o związki z KOR-em domów, na rogatkach Radomia i Warszawy, na szosie Warszawa - Radom.

A my?

Zeszliśmy się kiedyś kleić nowy komunikat — o tym wszystkim właśnie — u Basi Toruńczyk. Pamiętam Antka, Mirka, Jacka, musiał być Piotr Naimski, Wojtek Onyszkiewicz, Jan Józef*. Informowaliśmy się o tym spotkaniu wzajemnie, jak zawsze w największej dyskrecji, na przykład karteczkami z adresem i terminem wręczanymi z ręki do ręki przez kilka poprzedzających dni. Jednak znalazłszy się wreszcie u Basi musieliśmy sobie powiedzieć, że choć każdy zmieniał tramwaje, autobusy, kluczył i zwracał, jest prawie pewien „towarzystwa”, jeśli nie do samego miejsca, to w drodze. Czy nas zgubili? Czy razem ze świeżo urodzonym komunikatem powpadamy im w ręce wracając?

Pracowaliśmy tego dnia po południu; o dziewiątej czy dziesiętej wieczorem Basia wciągnęła długie buty i gdzieś w sąsiedztwo (mieszkała w jednym z wielopiętrowych bloków) pobiegła zanieść na noc któryś z egzemplarzy ukończonego komunikatu. Bibułki, na jakich był pisany, złożone w półciarteczki wetknęła za pasek dżinsów. Szła trochę na wabia, trochę jako wywiadowca, a przede wszystkim żeby jednej choć kopii komunikatu zapewnić jakie takie bezpieczeństwo do jutra.

Wróciła. Rezultat naszej pracy otrzymał ażyl na noc, ale — jak nas zawiadomiła — pod domem „jest gęsto”. Nie zatrzymali jej, dlaczego? Być może chcą wejść i zabrać wszystkich?

* Antek — Macierewicz; Mirek — Chojecki; Jacek — Kuroń; Jan Józef — Lipski.

Podebatowaliśmy jeszcze popijając herbatę, ale wreszcie trzeba było wyjść. Opisuję to, bo po raz pierwszy przeżyłam taki teatr.

Wyszliśmy w czarno-białą zimę, w brudne światła rzadkich latarni. O tej porze doby i roku stolica PRL jest pusta. W okolicy domu Basi pusto jednak nie było: nigdy dotychczas nie widziałam tak nienaturalnego ruchu na zimowej, nocnej, dalekiej od centrum ulicy. Różni panowie, młodzi chłopcy, włóczęgi stali tu i tam, przechodzili przez jezdnię, wchodzili właśnie do pobliskich bram albo z nich wychodzili; rozbłyskiwały oczy samochodów, warczały silniki. Wprost rejewach. Uczylałam się tego obrazu pełna zdumienia; podobne sytuacje później będą już tylko powtórzeniem tej pierwszej.

Zdaje się, że wychodziliśmy razem, nie pojedynczo lub dwójkami jak zazwyczaj. Skoro już wiedzieliśmy, że nas mają, lepiej było do końca zostać w grupie. Ale nikt nawet do nas nie podchodził. Szliśmy do najbliższego przystanku autobusu mogącego podwieźć nas bliżej centrum; wśród schodzących się dokoła sylwetek dotarliśmy do przystanku spokojnie. Stanęliśmy tam wszyscy: my, oni, samochody. Nikt nas nie ruszył; stali wokół nas dwójkami, pojedynczo, nie ukrywali wcale swoich *walkie-talkie*, szeptali sobie do nich patrząc na nas, którzy patrzyliśmy na nich. Nadjechał autobus, wsiedliśmy, oni, my i jeszcze paru jakichś Bogu ducha winnych zapóźnionych przechodniów. Samochody ruszyły za autobusem i u jego boku.

Inwigilacja japońska. Skądkolwiek się to określenie wzięło, niesłychanie odpowiada mi metaforyczność obrazu, jaki z sobą niesie. To jakby człowiek czarnej czy białej rasy żyjący wśród społeczności wyłącznie swego koloru spostrzegł nagle, że niespodzianie otaczają go zewsząd ludzie wyłącznie skośnoocy i żółci, o włosach z czarnej laki. Przeniesienie w inny wymiar, kraj, obyczaj. Nie możesz tego nie spostrzec, nie możesz nie czuć, że jesteś okrążony. Jesteśmy, widzimy cię, nie umkniesz. Możemy cię mieć każdej chwili. Chwila zależy od nas. Tak naprawdę to przecież już cię mamy.

Było zabawne, jak ich i nas ubywało na różnych przystankach. Ktoś z nas mówił „cześć” i wysiadał gdzieś, skąd miał następne połączenie. Rzedli w ten sposób i tamci, skacząc w ciemność za każdym z nas kolejno, po dwu, po trzech. Było ich dużo więcej niż nas. Bez przyjemności myślałam o czekającej mnie niedługiej, ale pogrążonej w oszczędnościowej czerni drodze z Ronda Waszyngtona do mojej furtki. Popatrywałam na uśmiech-

niętego Jacka i czterech ostatnich stróżów, którzy zostali w autobusie z nami. — Trzymaj się, mała — pożegnał mnie Jacek — masz dzwonić. — Każdy z nas miał dzwonić, musiało się wciąż telefonować, że się wróciło na czas do domu, że się dokądś dojechało, że się idzie na przesłuchanie, i że się zeń wyszło. Tylko w ten sposób mogliśmy być jako tako pewni, że nikt nie przepadł, nie usiadł, nie trzeba go szukać ani się o niego niepokoić. Jacek cmoknął mnie w policzek i wypadł środkowymi drzwiami, a tylnymi wyleciało za nim dwu, podkożuszek i kozuch. Na jezdni jeden samochód gorączkowo zabierał się do skręcania, ale nie był jeszcze pewien, w którą stronę przyjdzie mu skręcić, marudził. Dalej nie widziałam już nic, bo autobus ruszył.

Młody brodacz i wygolony na sino wokół szczęk i na policzkach wąsaty brunet zostali ze mną. Mały fiat jechał wolno u boku autobusu. Antena. Samotny kierowca. Na tylnym oknie zarys jakichś łachów? Teczek? Normalny wygląd samochodu inwigilacyjnego, z którego funkcjonariusze na chwilę wysiedli. Zaraz Rondo. W autobusie prócz nas nikogo. Oglądałam pilnie moich stróżów; fakt, że wcale nie unikali mojego spojrzenia coś tam do siebie pogadując — usiadłam twarzą do nich — sprawiał kojące wrażenie. Gdyby zmierzali do jakiejś awantury, powinni pozostać nieznanymi osobnikami. Czarna skrzyneczka w futerale wsiadła na skórzanym pasku przełożonym przez pierś blondbrodacza. Miał amerykańską kurtkę wojskową, krzyk światowej i polskiej mody męskiej. Na bruneta w kozuszkę nigdy już nie trafię, brodacza zobaczę nieraz.

Nic się rzeczywiście nie stało. Ich samochód na rondzie przyspieszył; odnalazł się na Lipskiej, kiedy i nasza trójka tam dotarła. Trzymali się z daleka, a ja starałam się nie biec. W całkowitej niemal ciemności słyszałam strzępki rozmowy, odgłos kroków. Klucze wygrzebałam z torebki jeszcze w autobusie, ścisnęłam je w rękę. Fiacik sunął powoli, widziałam przed sobą swój cień na rozjaśnionym trochę przez reflektory chodniku. Na rogu stanęli, samochód też. Klucz wszedł mi do zamka furtki od jednego razu, bez kawałów. Byłam w domu. Cała, zdrowa, z nowym doświadczeniem pod kośćmi żeber i czaszki.

W środku takiego japońskiego teatru na szczeropolskich ulicach znajdziemy się przez następne lata wiele razy, uczestnicząc w nim biernie jak statyści. Przedstawienia nasilały się, gdy na przykład odbywaliśmy później — już jako KSS „KOR” — comiesięczne zebrania u profesora Lipińskiego, albo z okazji wykładów Towarzystwa Kursów Naukowych czyli tak zwanego Uniwersy-

tetu Latającego. Ale zawsze potem był to już znany pejzaż, w którym przyszło żyć.



Chyba w lutym wezwał mnie dyrektor Instytutu. Spojrzenia kolegów, kiedy wychodziłam z pokoju, jednoznacznie wyrażały to, czego i ja byłam pewna: wylatuję z pracy. Wymówienia otrzymywali jak Polska długa i szeroka rozmaici sygnatariusze protestów do sejmu; nie mówię już o KOR-ze, którego połowę dawno odesłano na grzybki, także naszych co bliższych współpracowników. PAX i tak długo wytrzymał, trzeba mu to przyznać.

Minęłam w przedpokojach palmy, dywany i „pan dyrektor prosi” sekretarki; byłam ciekawa, jak się rzecz odbędzie, ale wszystko przewidziałam, tylko nie to, co nastąpiło.

Ówczesny dyrektor Instytutu (zmieniali się wciąż, jak pewno wszędzie, długoletnim pracownikom trudno w kolejności zapamiętać ten poczet królów), Zbigniew Czajkowski — koścista śniada twarz o szlachetnych rysach, czarne oczy pełne ognia, o bardzo żywym spojrzeniu, uosobienie energii wyrażającej się, niestety, głównie w działaniach pozornych, a za to niesłuchanie utrudniających podwładnym pracę — nie miał najmniejszego powodu, aby mnie kochać. Nie ukrywałam stosunku do jego inicjatyw i pomysłów paraliżujących wydawnictwo, a nawet otwarcie, choć bezskutecznie usiłowałam z nimi walczyć wszelkimi sposobami, jakie mi były dostępne. A jednak siedział teraz przede mną i mówił coś o szacunku, wspólnych poglądach, obywatelskiej trosce. — Jeśli jest prawdą... bo dochodzą plotki... dla nas wszystkich bolesne są pewne sprawy... zaangażowanie pani jest naturalnie... wiele zjawisk wymaga... i ja sam... proszę mi wierzyć... ale nie może pani chyba sądzić... PAX... jego zadania... odpowiedzialność... nie może przecież tolerować... dobro Instytutu wymaga... więc jeśli to prawda...

Żeby szybciej przez to przeskoczyć, powiedziałam, że tak, żadne plotki, jestem członkiem KOR-u, i zapytałam, jakie otrzymuję wymówienie? Trzymiesięczne czy natychmiastowe? Zdumiałam się jego oburzeniem.

— Ależ pani mnie źle zrozumiała! Jakie wymówienie! Proponuję, żeby pracowała pani w domu. Raz w tygodniu zabierze pani i przyniesie maszynopisy, recenzje, odbędzie pani konieczne redakcyjne rozmowy... Dwie, trzy godziny... Coś w rodzaju wewnętrznego recenzenta. Z taką samą pensją.

Mówił jeszcze, a ja milczałam. Czyj to pomysł, tak humani-

tarny, jak na czasy tak tolerancyjny, czyja to decyzja? Na ile sprzeciwów musiała natrafić (byłam i tak w Instytucie postacią kontrowersyjną), ile przedtem musiało się odbyć potyczek, ataków, rozważań? Ktokolwiek mógł takie rozwiązanie uważać za najlepsze lub przynajmniej możliwe do przyjęcia — owo dziwaczne postanowienie musiał podjąć osobiście Bolesław Piasecki.

Był już wtedy ciężko chory (w niespełna rok potem umrze), już dawno nie napastowałam go mymi „źle się dzieje w państwie duńskim”, co miałam w zwyczaju, a co z sobie tylko znanych powodów czy kaprysu tolerował, nawet gdy moje krytyki i alarmy zwracały się wprost przeciw niemu. Ten dziwny, nieczytelny, mroczny despota może się cieszył czasem czyjąś uczciwością, brakiem zahamowań wobec niego, brakiem lizusostwa? Mówiono o nim, że dochowuje wierności ludziom, których lubił. Może naprawdę znalazłam się wśród nich?

Nie stanowiło dla nikogo tajemnicy, że był w tym czasie bliski śmierci. Nie urzędował od miesięcy na Mokotowskiej, wiele godzin spędzał pod namiotem tlenowym, tracił władzę w nogach, bardzo cierpiał. Biegano do jego domu po instrukcje, decyzje, z donosami, władza zdalnie swoim państwem z żelazną wolą, panując również nad fizycznym bólem, wiedzą o bliskiej śmierci, i — być może — nad świadomością absolutnej klęski swych dramatycznych ambicji, którym podporządkował całe swoje życie — właśnie dogasające.

Miałam w przeszłości parę razy powód do osobistej wobec niego wdzięczności. Teraz, zza odległości bardzo już wielkich, dawał mi jeszcze jeden. Gdyby mnie z pracy wyrzucono, musiałabym sobie oczywiście dać jakoś radę — jak inni. Nieraz o tym przemyślałam. Nie prosiłam o nic, nie czekałam lepszego niż inni losu. Ale wszystkim dzisiejszym i przyszłym historykom PAX-u uprzytamniam fakt, że z Instytutu Wydawniczego PAX nie wyrzucono na bruk członka KOR-u, czego od kierownictwa Stowarzyszenia z pewnością MSW żądało lub co najmniej oczekiwało. W jakiś czas później do pracy w domu jak ja „odesłani” będą Janusz Przewłocki, Andrzej Jastrzębski, bliscy moi przyjaciele i kombatanci KOR-u. Nietknięci także pozostaną redaktorzy Instytutu — sygnatariusze protestów do sejmu.

O Bolesławie Piaseckim myślałam milcząc na fotelu przed biurkiem dyrektora, który nie przestawał mówić, i na jego osobistą korzyść zapisuję pytanie, które w jakimś momencie postawił, ale jakby nie mnie, tylko samemu sobie, i sam sobie na nie odpowiedział:

— Przecież mi pani nie obieca, że nie będzie rozmawiała z kolegami w pracy o... że nie będzie ich informowała... że...

Istotnie, takiej obietnicy nie mogłabym złożyć. Przyznałam się do tego i na tym rozmowa się skończyła.



Pomijając ważną okoliczność, że nie musiałam szukać źródeł utrzymania, sama rzecz miała w sobie niezamierzone strony humorystyczne. Zostawałam jak gdyby oddelegowana do pracy w KOR-ze. Było mi bardzo ciężko do tej pory biegać do redakcji co rano, bez względu na nieprzespaną często noc; niełatwo także było czytać i oceniać złożone wydawnictwu teksty z głową ciężką od bezsenności, papierosów, zdenerwowania, fizycznego zmęczenia. Teraz mogłam nagle rozkładać sobie pracę zawodową na cały tydzień, przespać się jako tako, zanim wezmę do ręki maszynopis. Również dla KOR-u przestawałam „znikać” na więcej niż pół dnia, byłam w zasięgu telefonu, mogłam coś załatwić, przynieść lub przynieść wiadomość, można było przyjść do mnie.

Najbardziej ucieszył się Jacek. Wpadłam mu prosto w ręce, a że w głowie roiło mu się zawsze od pomysłów, które musiały być realizowane lub przynajmniej przedyskutowane natychmiast — każdy człowiek jak teraz ja, na bliskość telefonu, był dla niego na wagę złota. Chodź, przyjdź, wpadnę, spotkajmy się za kwadrans. Rozsadzany furiacką energią i niebывałym talentem składania poszczególnych fakcików w logiczną całość zmuszającą do wyciągania winosków, które z kolei wymagały możliwie szybkiego działania — parł naprzód jak czołg, zresztą prawie jak czołg hałasując. Teraz wpadałam temu czołgowi prosto we właz, jeszcze jeden chłopiec do wszystkiego — do czegokolwiek się nada.

A jednak nie odchodziłam z Instytutu do pracy w domu bez kosztów własnych, ściśle psychicznych. Spędziłam w nim bardzo czynny i długi rozdział życia. Miałam też dotkliwą świadomość, że coraz rzadziej i coraz bardziej powierzchownie, a potem prawie wcale — wreszcie wcale — będę widywała kolegów i przyjaciół, z którymi wiele lat czułam się związana, ludzi bardzo porządnych, pełnych zalet rzadko dziś spotykanych w miejscach pracy. Górzej płatni od pracowników państwowych wydawnictw orali często ponad płace, ponad siły, ponad oczekiwania i wymagania szefów, którym niejednokrotnie ich zaangażowanie w jakość wydawanej książki przeszkadzało w powierzchownej propagandowej pracy. Zdawałam sobie sprawę, że od nich odchodzę, że odejdę,

że ich z sobą nie przeniosę w nowe moje życie, które nie dość, że coraz więcej ode mnie wymaga, to jeszcze nie wiedzieć dokąd mnie prowadzi. Że nie podołam w nim pielęgowaniu więzów koleżeńskich, utrwalanych na co dzień prawdziwymi bojami o sens wspólnej pracy, a nie plotkarskimi wizytami u siebie nawzajem przy ciasteczkach, jak gdzie indziej.

W moje nowe życie nie mogłam ich zabrać, bo musieliby wybrać sobie takie samo, to samo. Nawet utrzymywanie z nimi kontaktów, nawet moje telefony do nich mogły im szkodzić. Mieli swoje rodziny, biedy, swoje egzystencjalne wybory; nie wszyscy wcale akceptowali moje, choć je przeważnie szanowali. Już jednak tu i ówdzie powstawały między nami szczeliny, pęknięcia, niedomówienia. Coś nieraz po kątach przyjacielskich kontaktów jątrzyło, czasem powiało chłodem. Musiało to przecież ranić ich w równym stopniu, co mnie, choć z innych przyczyn.

Więc wiedziałam, że się zaczyna okres rozstawania, wszystko jedno, jak długo będzie trwał.

Piszę o tym, bo może kiedyś to przeczytają. Niech się dowiedzą, że utratę wielu z nich wliczam do kosztów własnych — a te musiałam płacić tak samo jak inne, ponieważ nie mogłam mieć wszystkiego. Z pożegnaniem niektórych kolegów było mi czasem ciężiej, niż ze znośnięciem innych konsekwencji, pozornie bardziej dotkliwych. Ale takie zjawisko może w Polsce zrozumieć tylko ten, kto wiele lat pracował wśród uczciwych ludzi, dla których miejsce pracy nie było tylko sposobem zarobkowania, ani areną dla ponizających ambicjonalnych rozgrywek. W bardzo zagrożonym przez polityków Instytucie część z nas stanowiła załogę wspólnego okopu.

Nie wymieniam tu nazwisk, bo nie chcę nikomu szkodzić: przeważnie tam jeszcze pracują. Również niech będzie spokojny o swą anonimowość ten z pracowników Instytutu na Chocimskiej, który pomógł mi zidentyfikować funkcjonariuszom SB, jesienią 1976 uczącym się dopiero mojej sylwetki i twarzy, mających zadanie obfotografować mnie, zapamiętać, zapoznać ze mną inne ekipy inwigilacyjne. Z setką osób wchodziłam i wychodziłam przez te same drzwi, z jeszcze większą ilością dzieliłam pracowniczą stołówkę na Mokotowskiej. Kiedyś więc, na początku, zażądano od jednego z pracowników, aby mnie wskazał. Zrobił to.

Jak wiadomo, nie ukrywałam się. Można mnie było poznać w Radomiu, w sądach pracy i Sądzie Najwyższym, przed domem czy wreszcie w moim własnym mieszkaniu. Więc ten pan o ni-

czym nie przesądził, w niczym mi nie zaszkodził. Dla mnie i dla moich losów oddana im przysługa była rzeczą bez wagi. Dla niego jednak wagę mieć musiała, skoro po latach, w okresie „Solidarności”, a więc okresie oczyszczenia dla wielu, przyszedł do kogoś z moich przyjaciół, by mu wyznać, że kilka lat przedtem pomógł policji zidentyfikować koleżankę.

Przyjaciół nie powiedział mi, kto to, a ja nie pytałam. Wyobraziłam sobie tylko tamtą sytuację, taką, jaka być mogła: schematyczna, banalna, a przecież za każdym razem głęboko dotykająca przede wszystkim tego, kto się na nią godzi. Zatrzymywano mnie kilka razy pod Instytutem czy na Mokotowskiej, gdy wychodziłam ze stołówki. Więc pewno było przedtem któregoś dnia tak, że ktoś, z kim wiele lat wymieniało się uściski rąk i uśmiechy, stał, kiedy wchodziłam lub wychodziłam przez któreś z drzwi w którymś z tych gmachów, a przy nim ktoś, kogo nie zauważyłam. I, być może, z tamtym znajomym od lat kolegą wymieniliśmy jeszcze jedno „dzień dobry” czy „do widzenia”, a za moimi plecami ten kolega powiedział policjantowi w cywilu: — Ta.

O tej drobnej usłudze kolega ów nie zapomniał przez pięć czy sześć lat. Jaką wyrządził sobie krzywdę, dowiódł wyznając prawdę komuś trzeciemu, o kim mógł sądzić, że mi jego nazwisko przekaże. Nie, nie znam go i nigdy nie będę starała się poznać. Incydent z takim zakończeniem może budzić tylko optymizm: ten człowiek czegoś podobnego nigdy już pewno nie zrobi — i to z powodów najważniejszych: dla samego siebie.



Nadchodzi przedwiośnie i wiosna. Ale zbliżamy się ku niej przez dni pełne zdarzeń, ludzi, mrówczej pracy, napięć, a tego wszystkiego nie da się obejść, skreślić, pominąć — a może nawet nie powinno. Wciąż dzieje się coś po raz pierwszy, coś się zaczyna powtarzać, prędzej czy później staje się trwałe, wrasta w tkanę codzienności, w której będziemy się poruszać przez lata. Jemy wciąż jeszcze pierwszą naszą wspólną beczkę soli.

Poznajemy tak zwane „cztery osiem”; tak będziemy nazywać w naszym własnym żargonie bezprawne zatrzymywanie w aresztach na czterdzieści osiem godzin. Później stanie się to zjawisko chlebem naszym powszednim — naszym, to znaczy dużej części środowisk, które kiedyś zacznie się określać kręgami opozycji demokratycznej. Ale już w czasach, które wspominam w tej chwili,

coraz częściej ludzie nam bliżsi, ci dołączający do naszych prac lub w inny sposób solidaryzujący się z nami — znikają w komen-
dach na takie cztery osiem. Policja może zatrzymywać niewygod-
nych sobie na dwie doby tyle razy i wtedy, ile i kiedy zechce
— bezprawnie, ale za to bezkarnie. Robi to po rewizjach i bez,
bierze z domów i ulic. Musimy coraz pilniej prowadzić kartotekę:
ten został zatrzymany o dziewiątej rano, tamten o pierwszej w
południe, tamci około szesnastej. Ten wczoraj, ten dziś, tamtym
cztery osiem kończy się jutro rano, tym — dziś wieczorem.
Rosną rubryki: usiadł, siedzi, wyszedł. W Krakowie, Radomiu,
Tarnowie, Wrocławiu, Bydgoszczy, Warszawie. Z telefonicznych
zawiadomień o zatrzymaniach w odległych często miejscach Polski
poznajemy coraz nowe nazwiska często nieznanymi nam jeszcze
osobiście przyjaciół, których sama policja wskazuje nam palcem,
rewidując ich, zatrzymując, przesłuchując — coraz częściej, nie-
stety, także bijąc.

W kartotekach tych nie wolno się mylić: jeśli ktoś nie wy-
chodzi „z dołka” po czterdziestu ośmiu godzinach, mógł dostać
wyrok na kolegium do spraw wykroczeń w trybie przyspieszo-
nym czyli z tak zwanej „bomby” i karę aresztu wymieniającą na
grzywnę, której nie miał z czego zapłacić (obowiązek zawiada-
miania rodziny delikwenta najczęściej był przez kolegium zanie-
dbywany), więc może odsiaduje już karę nie wiedzieć gdzie.
Wtedy lata się po radach dzielnicowych i sprawdza na wokandach
kolegów nazwiska dzisiejszych delikwentów. Gdy się ślad takie-
go aresztanta znajdzie, trzeba człowieka wykupić.

Przetrzymywanie ponad czterdzieści osiem godzin może też
oznaczać, że prokurator postawił komuś oficjalny zarzut i zaapli-
kował sankcję. Więc trzeba nieustannie uważać, wiedzieć, mieć
pełną informację, żeby oczywiście „podać dalej”, żeby nie zosta-
wić kogoś jego nieznanymi losom, a także wydobyć z niebezpiecz-
nej anonimowości. Policja lubi wyładowywać uczucia szczegól-
nie na osobach nikomu nieznanym.

Zatrzymuje się ludzi „pod pozorem” lub bez. Jest się po-
dobnym do grasującego właśnie bandziora albo posądzonym o
napad na pobliski kiosk „Ruchu” lub automat telefoniczny. Ale
na ogół policja w ogóle się nie tłumaczy, nie widzi takiej potrzeby,
zamyka i już. Zwierzchnicy powinni żądać od podwładnych uza-
sadnionej motywacji zatrzymania obywatela, który wysiadł gdzieś
z pociągu albo szedł ulicą czy został wyciągnięty z własnego lub
cudzego mieszkania. Zwierzchnicy jednak takich uzasadnień wi-
dać nie żądają. Wysyłamy do prokuratury doniesienia, skargi,

całe wykazy bezprawnych zatrzymań; będziemy się w tym specjalizowali przez następne lata i korespondencja nasza będzie absolutnie jednostronna.

Jak o wszystkim, co wiemy na pewno — a co czynniki oficjalne nazywały już wówczas i będą nazywały do końca „fałszywymi informacjami” — tak i o każdym „cztery osiem” zawiadamiamy społeczeństwo (ilość powielaczy — już nie tylko wyżymaczkowych — rośnie) i korespondentów zagranicznych akredytowanych w Polsce.

Korespondentów bierze sobie na głowę w pierwszym roku Jacek. Trzeba powiedzieć, że on w ogóle „ich wymyślił”, stały z nimi kontakt, zwoływanie konferencji prasowych; dziennikarze jego najlepiej znają, on pierwszy osobiście naraża się „w ciemno”: co grozi za takie kalanie ojczystego gniazda (jeden z ukochanych zwrotów języka propagandy) to przecież w owych czasach jeszcze jedna z najciemniejszych niewiadomych. Przez radio i w zachodnich pismach słychać i widać wkrótce: „Kuroń — rzecznik KOR-u”. Rzecznika nie mamy, nikt z nas nie pełni w KOR-ze żadnych formalnych funkcji, każdy robi po prostu to, do czego się nadaje albo to, co mu spada na głowę. Jednak zgodnie z międzynarodowym obyczajem w oczach korespondentów ten, kto udziela informacji będąc członkiem jakiegokolwiek grupy, natychmiast staje się jej rzecznikiem. Pan Józef Rybicki buntuje się, nie zgadza, gniewa na Bogu ducha winnego Jacka, który nie dość, że nie szczędzi sobie żadnego ryzyka, ale dostaje za to jeszcze po uszach od niejednego z nas, bo Jacek poza tym, że przekazuje korespondentom informacje zdobyte i firmowane przez KOR, wypowiada się czasem w imieniu własnym, do czego każdy skądinąd ma prawo, i udziela zachodnim pismom autorskich wywiadów, co też każdemu wolno. Prawo prawem; tymczasem w zagranicznej prasie powtarzają się naturalne zbitki: „zdaniem rzecznika KOR-u, Jacka Kuronia...”.

Jacek ma pasje polityczne i nie wolno mu przeszkadzać w formułowaniu politycznych prognoz, ocen, szkiców programowych. Niekoniecznie jednak muszą one odpowiadać nam wszystkim i każdemu z osobna, bo nie umawialiśmy się co do poglądów na sprawy i zjawiska nie będące właściwą treścią naszych działań. Pan Józef Jacka lubi i ceni, ale własnym rzecznikiem chce być sobie sam. Podobne burze z podobnych powodów wzniesają od czasu do czasu także inni koledzy. Co robić?

Nawet mi w tych czasach przez myśl nie przechodzi, że mogłabym pomóc w tym Jackowi — ja, osoba raczej lepiej niż

gorzej orientująca się w zasobie informacji KOR-u i używana do „czarnej roboty” jako chłopiec do wszystkiego, a za to ambicji politycznych pozbawiona zupełnie doskonale (przypominam sobie, jak te słowa z prawdziwym ubolewaniem powiedział kiedyś o mnie do mnie Bolesław Piasecki). Czułam się właśnie zaledwie chłopcem do wszystkiego i milczałam podczas kolejnych debat nad sposobem stałego przekazywania wiarygodnych dla korespondentów informacji pod firmą KOR-u, ale nie „pod firmą” Jacka. Postępowałam niemądrze, co się okaże w niedalekiej przyszłości, gdy wiosną „chłopców” pozamykają w areszcie, a ja nie będę znała wszystkich możliwych sposobów i adresów, bez pomocy których przepływ wiadomości w świat stanie się o wiele trudniejszy.

Chyba w tych przedwiosennych miesiącach '77 roku informowanie agencji zagranicznych bierze na siebie Halina*. Nie jest to najwygodniejsze ani dla niej, ani dla nas, bo rola Haliny w KOR-ze nie wymaga od niej stałej i na co dzień uzupełnianej wiedzy o poszczególnych represjach dotyczących często osób nie wszystkim nam znanych. Biedactwo, ma stracha przed każdym wezwaniem korespondentów, uczy się dziesiątków nazwisk i faktów, wypytuje o wszystko, czego nie jest pewna, a o co w każdej chwili może być zapytana. Jeszcze po latach, gdy internowane przez generalską juntę będziemy spędzać długie miesiące na kilku wspólnych metrach kwadratowych, wyzna mi, jak wiele nerwów i wysiłku psychicznego kosztowała ją ta nietypowa dla niej rola.

W KSS „KOR” od jesieni zadanie to przejmę ja, ale dużo jeszcze wody upłynie, zanim zachodni dziennikarze przyjmą do wiadomości, że prócz przekazywania rzeczowych informacji i dokumentów podpisanych przez KOR, każdy członek tej grupy mówi własnymi słowami i we własnym tylko imieniu. I Halina, i ja niejedną raz zostaniemy nazwane „rzecznikami”, pan Józef pokrzyczy sobie także i na nas, ale istotnie konfliktową postacią na miejscu KOR-owskiego informatora był chyba tylko Jacek i tylko jemu koledzy obrywali uszy za każde nie dość precyzyjne zaznaczenie, że wypowiedział się wyłącznie „od siebie” a wiele razy nawet za brak precyzji samych korespondentów.



Wciąż jeździ się na rozprawy do Radomia. Wyroki na nich

* Mikołajska.

zapadają łagodniejsze, a i sam zespół sędziowski pokazuje oskarżonym podczas trwania przewodu jak gdyby bardziej wyrozumiałą twarz. Żałuję, że nie pamiętam nazwiska milicjanta, świadka oskarżenia, który na jednej z takich przedwiosennych rozpraw okazał nie tylko skrajne wyczerpanie nerwowe, ale rozpaczliwą i budzącą szacunek determinację w zamiarze poczucia się człowiekiem uczciwym. Z jego zeznań złożonych przed miesiącami w śledztwie i odczytywanych teraz przez przewodniczącego sądu wynikało — jak z wszystkich innych zeznań wszystkich innych milicjantów na wszystkich innych rozprawach radomskich — że sądzony robotnik „podzegał”, „rozbijał”, czy „podpalał”. Otóż po ośmiu, może dziewięciu miesiącach monotonicznie podobnych do siebie zeznań jeden z takich milicjantów, jak zwykle w cywilnym ubraniu, stał przy pulpicie świadka i zdradzał umowę, na podstawie której w ogóle tutaj stał. Niewiarygodne przeżycie. Świadek nie tylko nie potwierdzał swych zeznań sprzed miesiący, ale usiłował wyjaśnić ich nieodpowiedzialność ogólną gorączką tamtych godzin i dni, bezdusznym powtarzaniem oskarżeń za kolegami, zdenerwowaniem, które mąciło możliwość dostrzegania przez niego niezbitych faktów; przyznawał, że wskutek atmosfery i przeciąganych przez komendy tłumów ludzi i on, i jego koledzy sporządzali zupełnie byle jak notatki służbowe uzasadniające zatrzymania poszczególnych osób, nie dokonywali sumiennych identyfikacji wśród zabieranych z ulic i z domów. Czuł się obco, nikogo tu nie znał — przywieziono go do Radomia w którejś ze sprowadzonych z daleka na pacyfikację miasta jednostek ZOMO czy MO. Nie, nie potwierdza winy oskarżonego, nie poznaje go, nawet nie pamięta takiej sceny, pod relacją której figuruje w notatce służbowej jego własny podpis.

Siedzieliśmy — ktoś z nas, ale nie pamiętam już kto, i ja — dwa metry za nim w tej maciupkiej salce. Trzymał za plecami splecione ręce; te ręce miętoszyły jedna drugą i najzwyczajniej w świecie drżały. Nie można było tego nie widzieć. — Nogawki — szepnęłam do tego kogoś, z kim byłam. Bo nigdy w życiu nie widziałam trzęsących się nogawek u spodni.

Więc aż tak bardzo się bał. Ale nie ustąpił.

— Reasumując: nie rozpoznaje świadek oskarżonego i nie pamięta zarzucanego mu czynu?

— Nie.

Skończyło się zawieszeniem oskarżonemu kary czy może wymierzeniem takiej, jaką już do tego dnia odsiedział. Ale chciałabym wiedzieć, co działo się dalej z tym milicjantem, jaką

otrzymał nagane, jak później żył, jak żyje dziś, gdy po wprowadzeniu, w czasie i po zniesieniu stanu wojennego potęga instytucji, której służył, tak bardzo rozkwitła. Jednak wspomnienie o nim — jak i o paru innych jeszcze, których, gdy czas pozwoli, odnotuję — pozwala mi do dziś, kiedy tak o to trudno, doznawać absolutnej pewności, że uczciwość można zachować lub do niej p o w r ó c i ć nawet po tamtej stronie moralnej barykady.



Zakończyły się — wyrokami więzienia lat sześciu, i ośmiu, i dziesięciu — procesy radomskie w Sądzie Najwyższym w Warszawie. Na wszystkich byłam obecna, ale nie będę ich tu opisywała. Robiłam z nich bardzo szczegółowe notatki, sprawozdania moje ukazały się potem w wydanych pod firmą KOR-u broszurach, z czego, pamiętam, bardzo byłam dumna, co w tym wypadku nie wydaje mi się uczuciem nieszlachetnym.

Podsądni, na których wydane już wyroki tu ostatecznie rozpatrywano, oskarżeni zostali, jak wiadomo, odpowiedzialnością zbiorową, co oznaczało, że choć poszczególnemu robotnikowi przypisywano jakiś poszczególny zarzut, na przykład rzucenie kamieniem w święty gmach Komitetu Wojewódzkiego partii czy udział w przewróceniu któregoś z zaparkowanych pod nim samochodów, to jeszcze każdy z nich był winien wyrządzenia państwu szkody materialnej na ogólną sumę dwudziestu pięciu milionów złotych i „uszkodzenia ciała sześćdziesięciu pięciu milicjantów”. Do tego niemoralnego nonsensu dochodziły inne, na przykład takie, że owe szkody i „uszkodzenia ciała” (wśród których zawsze ten sam nieodmiennie akt oskarżenia wyliczał otarcie naskórka i niestrawność) sumowały się podczas całych dwu dni pacyfikacji Radomia, podczas gdy wielu opowiadających za nie robotników przez większość inkryminowanego czasu tłoczyło się już w aresztach czy krwawiło pod pałkami na „ścieżkach zdrowia”. Ale to wszystko opisane zostało w niejednym dokumencie KOR-u i stało się wiedzą publiczną.

Wtedy jednak wiedzą publiczną nie było i przypominam sobie moją własną ulgę połączoną z wielkim zdumieniem, kiedy się okazało, że tu w Warszawie, w Sądzie Najwyższym, mam do czynienia z najwyższą po prostu kulturą: żadnych tam przepychanek w drzwiach, a co dopiero bojówkarzy czy bójek jak w Radomiu. Sala była oczywiście mała, ale gdy się przyszło możliwie wcześniej i w odnośnym sekretariacie odpowiednio (a dla samego siebie

zaskakująco efektywnie) zapyskowało, co któryś oszołomiony własnym sukcesem petent dostawał karę wstępu. Ilość tych kart limitowana była naturalnie liczną grupą panów na etatowej służbie, tak więc tłum ochotników złożony ze współpracowników i sympatyków KOR-u asystował procesom pod drzwiami. Jednak nieporównywalnie do rozpraw w Radomiu — wielu zainteresowanych mogło być świadkami sposobu wymierzania robotnikom sprawiedliwości przez Sąd Najwyższy PRL.

Był to jedyny okres w moim życiu, kiedy przydała mi się na coś przynależność do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Płaciłam długie lata składki członkowskie nie wiadomo po co: ani żadne wczasy, ani pożyczki czy zapomogi, o ile dobrze sobie przypominam, nie spadły mi z SDP nigdy na głowę. Nagle się okazało, że kiedy wymachuje się przed nosem urzędnika w Sądzie Najwyższym legitymacją z napisem PRASA — pomaga! Ani razu nie wyszłam z tego sekretariatu z pustymi rękami, choć rozprawy ciągnęły się każda co najmniej dwa dni, choć każdego dnia na nowo trzeba było starać się o wejściówkę i choć po pewnym czasie wydający je urzędnik jęczał już na sam mój widok. Janusz Przewłocki, posiadacz takiej samej jak ja i tak samo jak moja dotychczas niewykorzystywanej legitymacji prasowej, powiadomiony o moich sukcesach, także wyrwał się kiedyś z pracy — jeszcze pracował — na taką rozprawę, i także z powodzeniem użył magicznego dokumenciku w wiśniowej okładce.

Trudno było zrozumieć, jak się to dzieje, że na tragifarsy wystawiane przez Sąd Najwyższy PRL dawano oficjalną kartę wstępu mnie, członkowi KOR-u, nie odrywającemu podczas rozpraw długopisu od papieru skrybie, o którym wiadomo było na pewno że swych fałszywych sprawozdań nie zachowa dla siebie. Ale jeszcze trudniej było mi wtedy pojąć, jak się to dzieje, że na tych dostępnych procesach nikogo z rasowych dziennikarzy nawet nie uświadczyło.

Że nie bywali nigdy na procesach w Radomiu? Mój Boże, jednodniowe przejażdżki do tego rozpacz budzącego i zrozpaczonego miasta były naprawdę bardziej kłopotliwe niż wielomiesięczne wyprawy do Rzymu, Paryża czy na drugą półkulę. Mogłam to zrozumieć, wprawdzie z trudem. Tolerancja lub sam wysiłek zdobywania się na nią wobec właściwego ludziom oportunisty, kunktatorstwa, strachu, a wreszcie zwykłej niechęci do narażania się na niewygodę i przykrości — miewa jednak granice. Do tych granic jak do kamiennych ścian ja dobijałam głową wtedy właśnie i tam, wobec owej przerażającej próżni, w jakiej zdawały się

toczyć te naprawdę otwarte procesy przed Sądem Najwyższym — w samym środku stolicy, parę zaledwie ulic od mieszkań dziennikarzy, reporterów o rozślawionych nazwiskach, od redakcji ich pism.

Nie to, żebym czekała jak naiwne dziecko na objawienie się nagle przypisywanej dziennikarzom pasji dawania świadectwa prawdzie. Pod tym względem dawno ich zawód sprawił zawód także im samym. Nagości prawdy strzegłaby zresztą przed odsłonięciem cenzura. Ale nie udawało mi się wtedy wybaczyć im *d e m o n s t r a c y j n e j* nieobecności na tych publicznych spektaklach bezprawia. Świadectwa prawdzie dać by im nie pozwolono — świadkami jej być nie chcieli.

W momencie, który wspominam, mają i oni jeszcze przed sobą własne zmartwychwstanie, *katharsis* i ogień, przez który przejdą z własnej woli. Za własną wiedzą i zgodą ogromna ich większość poniesie trudne wyrzeczenia, niepolicone straty po spalonych przez nich samych mostach wiodących do karier, a nawet tylko w części choćby normalnego życia. Ale w tamtych dniach o tym, co ma dopiero przyjść, ja przecież nie wiem.



Pierwszy numer literackiego pisma nieoficjalnego *Zapis*. Jaka duma z kolegów, z ich otwartego wyzwania. Jakby się człowiek wydobywał z przerębli: już ramiona, już łokcie wsparte na twardej tafli. Może wytrzyma.

Zapis nie jest pismem KOR-owskim, ale wśród jego redaktorów, autorów, organizatorów, kolporterów — są oczywiście ludzie KOR-u i z naszych środowisk. Czytelnicy biją się o nie-liczne egzemplarze, ciężkie księgi maszynopisów, troszkę cieńsze — bo dwustronne — twory powielaczy; jeszcze pamiętam te fioletowe, często zamazane czcionki.

W pierwszym momencie mgiełka nostalgii z domieszką zazdrości, jednak w drugim — nadzieja. Nostalgia i zazdrość stąd, że mnie tam nie ma, że nawet wersetu nie mam kiedy sklecić, że brak mi nawet czasu psychicznego — o fizycznym nie wspominając — aby cokolwiek z refleksji, z odblasku życia wewnętrznego ułożyć w coś sensownego literacko. Ale nadzieja jest silniejsza i nie mija: w końcu, jeśli się jednak uprę, jeżeli pragnień nie zarzucę i jeśli nie wytrzębią ich ze mnie zmęczenie, nerwy i trud powszednich zobowiązań — to przecież gdy coś wreszcie

sformułuję, napiszę, będę to miała dokąd zanieść, będę wreszcie mogła przemówić do kogoś, nie tylko do samej siebie.

Rzeczywiście, w czwartym chyba numerze *Zapisu* — a więc po najmniej roku z górą — znajdzie się kilka moich wierszy.

Tamto przedwiośnie to jeszcze bulgot gotującego się do ogłoszenia Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Mieszane uczucia, przeżycia, niedobre doświadczenia. Sposób, w jaki się ten ruch urodził — mimo długotrwałych przedtem rozmów, dyskusji i porozumień z KOR-em — zaskakując go w końcu podaniem do publicznej wiadomości wspólnie przedtem ułożonej deklaracji (pisanej zresztą przez panią Anielę* i Jana Olszewskiego) jako własnej, wyczyniając różne sztuczki z jego niedoszłymi w końcu sygnatariuszami z KOR-u — przypominał metodę „skoku na bank”; niestety, na bank zaufania. Roztropnie i spokojnie przedstawił tę sprawę w książce „KOR” Jan Józef Lipski; mnie na to nie stać i dlatego nie poświęcę tym okolicznościom wiele miejsca. Oglądałam zbyt blisko ludzi bezpośrednio tymi intrygami zranionych, a bardzo przeze mnie szanowanych. Choćby pana Józefa Rybickiego, który zaprzyjaźniony z jednym z założycieli Ruchu, natrafiwszy na jawne kłamstwo, kazał mu raz na zawsze opuścić swój dom. Choćby panią Anielę, oszukaną współautorkę deklaracji Ruchu. Choćby Jana Józefa, który dziesiątki godzin spędził na rozmowach z Andrzejem Czumą, Moczulskim, innymi, który osobiście wprowadzał do KOR-u swego serdecznego znajomka, Wojtka Ziemińskiego; teraz tenże sam Wojtek brał czynny udział w niejasnych intrygach zwróconych przeciw także wprost przeciw Janowi Józefowi. I tak dalej, i tak dalej.

Należałam do wewnętrznie zgorszonych. Nie tak wyobrażałam sobie rozwój niezależnych instytucji i środowisk w tym kraju spragnionym moralnych autorytetów. Cierpiałam z powodu własnej naiwności i braku wyobraźni politycznej. W grę weszły właśnie namiętności polityczne i pierwsze przejawy „walki o rząd dusz”. Mnie się to wydawało w sytuacji polskiej niemoralne, a z tego uczucia działacz ściśle polityczny będzie się po prostu śmiał.

W końcu zostaliśmy tylko i nadal KOR-em; trzeba było ciężko pracować, a nie kłócić się, kto ważniejszy. Konkretniej roboty było tak dużo — i pozwolę sobie na jeden syk żmii: tej Ruch Obrony wyrwać nam nie myślał — a warunki, w jakich się taczki pchało, tak ciężkie, że na polityczne czy pseudo-ideowe

* Mec. Steinsbergową.

spory czasu pozostawało naprawdę niezbyt wiele. Wkrótce zresztą okaże się, że z wielu ludźmi Ruchu będzie się współpracowało jak ze swoimi. Przez dłuższy jednak czas było mi — i wiem, że nie mnie jednej — trochę smutno i głupio: polemiką z pewnymi metodami założycieli Ruchu nie myśleliśmy wypełniać naszych publikacji, bo wyglądałoby to na brzydką walkę z „konkurencją” i godziłoby w dobro nadrzędne, w budowanie z takim trudem rozpoczętej zapory ludzkiej solidarności wobec walczącej ze społeczeństwem władzy. Do tego niesmaku dojdzie jeszcze i to, że trzech członków KOR-u — Wojtek, Emil Morgiewicz i pan Kaczorowski z Łodzi — będą okazywali co najmniej — łagodnie mówiąc — rosnące niezadowolenie, że KOR nie wygasza, nie ogranicza, wreszcie wręcz nie zaprzestaje działalności.



Nie, nie wygaszamy jej, nie ograniczamy, przeciwnie. Środowisko rośnie i trzeba się z nim spotykać, ugadywać, porozumiewać. Zaczynają się możliwie tajnie organizowane spotkania, często bardzo wieloosobowe. Zjeżdżają się na nie ludzie z wielu miast, szczególnie studenci. Jeszcze wtedy łatwiej było o tak zwane „czyste” mieszkania, a w każdym razie o wiarę, że są one „czyste”, to znaczy bez podsłuchu, nie inwigilowane, należące do osób nie odnotowanych jeszcze w policyjnych rejestrach. Pamiętam ten tłok w stękających pod naporem pleców ścianach u Lilki Wosiek, u Pawła Bąkowskiego, u innych, ciżbę młodych brodaczy i dziewczyn obsiadłych każde pół metra kwadratowego podłogi, zachrypniętego Jacka, gotowego wyjaśniać wszystko wciąż od początku, niekończące się „co” i „jak dalej”, plany, sprzeczki, wątpliwości, gorączkę słowa pomieszaną z gorączką pragnienia, żeby działać natychmiast, już, zaraz. „Trzeba”, „musimy”, „powinniśmy”. Co mnie tak mocno przywiązywało do KOR-u i jego postawy warunkującej działalność, to także fakt, że żadne z takich na przykład spotkań służących do wygadania się, poznania, formułowania poglądów nie odbywało się „zamiast”, tylko „oprócz”. Wciąż i zawsze najważniejszy był konkretny, jacyś ludzie bez pomocy, bez obrony, bez środków do życia, jakaś sprawa opatrzona imieniem i nazwiskiem, prawa człowieka i obywatela miały twarze, losy, historię ludzkiej egzystencji, zamieszkiwały Radom, Ursus, Bydgoszcz, Grudziądz, Gdańsk. Ludzie zgłaszały się do wykonywania rzeczowych zadań, określonej pracy, do wyjazdów, przespiegów, poszukiwań człowieka, któremu można by pomóc, a na którego przykładzie trzeba raz i raz jesz-

cze, i póki nas nie zamkną, uzmysławiać społeczeństwu, że kiedy broni jednego spośród siebie — siebie broni.

Trzeba było więc wciąż ludzi do pracy, do rozjazdów, zbierania i uściślenia informacji o bezprawiu gdzieś w Wólce Małej albo wielkich kopalniach Śląska, do powielania, do każdej czarnej roboty. Trzeba też więc było zgłaszających się do niej poznać i uzgadniać z nimi samymi ich możliwości, talenty i pomysły, a także uczyć ich i uczyć się od nich.

Ważny był stopień zaufania, jakim mogliśmy się wzajemnie obdarzać; współpracując z nami wchodzili tym samym w kolizję z policją. Nie mieli działać „na rozkaz” — coś takiego wśród nas nie istniało; ale z inspiracji — tak. Niezwykle więc było ważne, aby się wzajemnie rozumieć co do postaw dla intencji KOR-u zasadniczych, a także co do pewnego sposobu zachowań: w tej dziedzinie KOR zajmował często stanowisko pryncypialne.

Jasne, że po jakimś czasie policja zaczęła wpadać na trop takich spotkań.

Na zebrania ludzie opozycji z różnych przyczyn naturalnie się spóźniali, więc dzwonek u drzwi dzwonił co parę chwil i wciąż nowa postać wślizgiwała się w ściśnięty na podłodze tłum. Nie przerywano gadania. Po którymś wreszcie dzwonku postaci ukazujące się w drzwiach pokoju nie przykucały, a spojrzenia tubylców rozpędzonych w dyskusji lub w nią zasłuchanych napotykały drewniane twarze z latającymi po nas oczami.

Sztymniało się, milkło, „dowody osobiste państwo okażą”, tu i ówdzie ktoś żuł zapamiętałe karteczki z zapiskami, migotały małe ogniska w popielniczkach. Zanim się kiedyś okaże, że scenariusz takich najść ma na celu raczej zastraszenie tych, którzy się dadzą zastraszyć, zanim otrzyma on oswojoną, ale brzydką nazwę „wkroc” — odczuwało się jednak przykre uczucie niepewności. Ale potem mniej więcej charakter tych najść się ustalił.

Zazwyczaj rozpoczynały się długie korowody: spisywano z każdego dowodu personalia, rewidowano ubrania i torby. Wypraszano lub wyprowadzano z mieszkania pojedynczo. Najczęściej gdzieś w podwórzach wyczekiwały „suki” — lądowało się w dzielnicowej komendzie, na dłużej, na krócej, nigdy się nie wiedziało. W mieszkaniu, które nas gościło, pozostawała ekipa zabierająca się do wielogodzinnej rewizji.

Zwolna zaczynał się utrwalac rytuał i tych najść, i konsekwencji, jakie z nich wynikały, i nawet różnicowania ich wobec różnych osób. Po pewnym czasie można się było mianowicie zorientować, że dzielimy się według władzy na bardziej lub mniej „za-

mykalnych". Spośród czynnych na co dzień, a uczestniczących wielokrotnie w takich zebraniach członków KOR-u ja na przykład okazałam się nie wiedzieć czemu mniej „zamykalna”. Po kilku godzinach bezpłodnych wyczekiwań w antypatycznych, pustych nocą korytarzach, na ogół pozbawionych krzeseł czy ławek, więc na stojąco, z plecami wpartymi w ścianę, po jakichś nieokreślonych pseudopróbach nieokreślonych rozmów typu „naprawdę, po co to pani”, „czy to nie lepiej talent rozwijać niż siedzieć w więzieniu”, po naprzyglądaniu się coraz nowym twarzom panów za biurkami i panów, którzy mniej do tych biurków w coraz to nowym, ale zawsze takim samym pomieszczeniu doprowadzali — o jakiejś śródnocnej godzinie brnęłam pustymi ulicami Bielan czy Woli w poszukiwaniu nieistniejącej taksówki i kiedyś wreszcie dobijałam do domu.

Nie szło się spać. Najpierw telefonowało się pod „pożarowy” numer Kuronia: 39 39 64 — pod którym tkwił Jacek, jeśli nie rozpoczynał właśnie swoich czterdziestu ośmiu godzin (ale najczęściej rozpoczynał) lub Gaja, pod jego nieobecność notująca informację, że ten a ten z nas wrócił z komendy do domu. Potem wydzwaniało się na wszystkie strony sprawdzając, kto nie wrócił, odnotowując każde nazwisko zatrzymanego i ustalając jego adres, jeśli przyjechał na spotkanie spoza Warszawy. Od świtu czekało się na następne lub doprecyzowane wiadomości: nie każdy miał telefon, nie każde nazwisko się znało: „a ten z czarną brodą, ten spod okna, to kto?” „Czekaj, byli tacy dwaj, jeden w kurtce, drugi jakby łyśawy, chyba z Krakowa, ale kto ich zna?”.

Najbardziej „zamykalni” byli oczywiście studenci („młodzież przyszłością narodu” — w tym absolutnie byliśmy zgodni z propagandą), oczywiście osoby zamiejskowe (ograniczać szerzenie się zarazy) i wyjątkowo nielubiani przez policję tacy na przykład członkowie KOR-u, jak Antek Macierewicz, Piotr Naimski, Jan Józef Lipski, Józek Śreniowski, a z naszych współpracowników Janek Lityński, Sewek Blumsztajn, Joasia Szczęsna, Bogusia Blajfer, Ulka Doroszevska, Jan Tomasz Lipski, Ludwik Dorn, Siergiusz Kowalski, wielu naturalnie innych.

Do „zamykalnych”, ale takich, których bardzo trudno było zamknąć, należał Bogdan Borusewicz, wielkich zasług animator współpracy KOR-u z robotnikami Wybrzeża — tam zresztą zamieszkały członek KOR-u. Pierwszy jego wyczyn, po którym wykażał się następnymi, wiązał się właśnie z kolejnym „wkroczeniem” na nasze wieloosobowe zebranie. Bogdan przybył na nie prosto

z podróży, bardzo spóźniony, ale za to z plecakiem, w którym tragał ni mniej ni więcej, tylko po prostu powielacz czyli skarb dla policji i dla nas.

Borusewicz był to chłopak-dynamit. Piszę „chłopak”, mimo że musiał pewno mieć z trzydziestkę, może i cośkolwiek ponad. Ale wyglądał na chłopca, którego się kojarzy z boiskiem i piłką nożną, chociaż nie był to żaden tam szpanujący sportowiec-kolos. Przeciwnie, nic ze szpanu, nieduży, z jakby jeszcze po dziecięcemu zaokrąglonymi rysami, miły rysunek warg może nawet trochę dziewczynskich. Ale jakiś cały zebrany w sobie, krzepki, celowy w ruchach, samokontrolująca się sprężyna.

Kiedy zadzwonił do mieszkania (suki musiały kryć się gdzieś w podwórzach blokowych zbiorowisk, bo by je zauważył), otworzyli mu panowie, których bez pudła rozpoznał. Natychmiast runął biegiem z powrotem po schodach w dół (niektórzy mówią, że samozwańcych gospodarzy osłupił grzecznym wyjaśnieniem: — Przepraszam, pomyłka), i gdy, zaskoczeni, zdecydowali się rzucić za nim w pościg, Bogdanowi przyszedł z pomocą autobus, który właśnie ruszał z przystanku. W tym autobusie Bogdan podjął następną błyskawiczną decyzję, i podczas gdy zrozpaczony pościg uruchamiał silniki w samochodach i gadał wściekle przez *walkie-talkie*, on ocenił jednego z pasażerów jako wyglądającego właściwie i powierzył mu drogocenny plecak, mówiąc, że jest ścigany przez policję członkiem KOR-u i prosi o dostarczenie mu plecaka pojutrze o takiej to a takiej godzinie w takim to a takim kościele. Pasażer przejął plecak bez słowa, a Bogdan, aby zapewnić mu bezpieczeństwo, wysiadł i dał się ująć ścigającym autobus pogoniom. Nie wiem, czy przesiedział się wtedy całe czterdzieści osiem godzin: usiłowano przecież dopaść faceta z podejrzanym plecakiem, a ten plecaka nie miał. Wypuszczony, powędrował w oznaczonym czasie na umówione spotkanie. Nieznajomy czekał na niego z powielaczem.

Wiele razy później, w następnych latach, ujęcie Bogdana będzie prawdziwym sukcesem policji. Wciąż otrzymywałam z Sopotu informacje: rewizja u Borusewicza, ale zdążył uciec. Telefony: — Tu Bogdan, cześć, Anka, przyszli po mnie, ale zwiąłem, dam znać. — Trzynastego grudnia w osiemdziesiątym pierwszym też oczywiście nie wpadł im w ręce, a przedtem, gdy w osiemdziesiątym po wybuchu strajku w stoczni policja usiłowała zamknąć wszystkich KOR-owskich mężczyzn, Bogdan należał do tych kilku, którzy na czas zniknęli.



Pewnego wieczora zgarnęli nas podczas wykładu profesora Lipińskiego — u Bąkowskich albo u Malickich, gdzieś na Żoliborzu. Drobny, elegancki jak spod igły, ze swą wąską twarzą o nienagannie skrojonych rysach, senior KOR-u, dobiegający wówczas czterdziestki, prosty jak struna nawet w pozycji siedzącej, bez stroniczki notatek w ręku, z doskonałą dykcją i cichym głosem nawykłym przez ponad pół wieku do panowania nad salami wykładowymi — nie wydawał się ani trochę zdziwiony kłębowiskiem ciał wypełniających podłogę dwu pokoi połączonych szeroko otwartymi drzwiami. Siedział w rogu wersalki pod wysoką lampą, a kiedy wpadli, zamknął po prostu usta i oczy, i tak się z a b r a ł do milczenia, jakby na świecie był po prostu sam. Żadna tam bieganina policyjnej ekipy i poszczekiwanie rzucanych między nas dyrektyw jej szefa nie wydawały się profesora dotyczyć.

Nie znam zresztą człowieka, który by tak potrafił milczeć, jak profesor Edward. Stwierdziłam to na dziesiątkach zebrań. Można było myśleć, że śpi, tak nieruchomo trwał, tak spokojnie na gałkach oczu miał zaciągnięte powieki. Rzadko uważał, że powinien się odezwać, a że odzywał się tylko wtedy, gdy uważał to za konieczne, rzadko się odzywał. Te zatrzaśnięte powieki, ręce założone na piersiach, doskonały spokój rysów i całej sylwetki — ten obraz profesora utrwalił mi się w pamięci na zawsze. I drugi: gdy uśpione powieki odsłaniają nagle żywe i czujne spojrzenie, a profesor rzuca jedno, dwa słowa, czasem krótkie zdanie; jest za, jest przeciw, to a to trzeba sformułować znacznie ostrzej. I gdy sprawa zostaje zdecydowana, profesor chowa się znów w swoje skupienie, które wygląda jak sen.

Tak też i wtedy ukrył się we właściwej mu formie. Ktoś przywiózł go na ten wykład z drugiego końca Warszawy; wiedziałam, że teraz będą mijać godziny, mieszkanie będzie pustoszało w miarę wyprowadzania nas do suk, wreszcie zacznie się w nim rewizja trwająca, Bóg wie, jak długo. Kto będzie mógł się nim zająć? Patroszono nasze torby, płaszcze, już pierwszych, drugich i trzecich prowadzono na dół, a rzeźba profesora tkwiła wciąż w rogu kanapki. Musiały toczyć się na temat jego tu obecności radiotelefoniczne rozmowy. Na jakim szczeblu miała urodzić się decyzja, co z nim zrobić? W końcu podeszłam do szefa ekipy, dość krzykliwego zresztą, nie umiejącego ukryć zdenerwowania i jakby także niepewności. Zwróciłam mu uwagę, że profesor jest co najmniej trzy razy starszy od niego, że nie powinien sterczeć tu nocą godzinami, i że jeśli nie ma rozkazu, żeby go

przewieźć do komendy, a chyba nie ma, to lepiej odwieźć go jak najszybciej do domu. Funkcjonariusz bardzo się obruszył i zapewnił, że sam wie, co ma robić. Ale zalatały mu oczy. Zauważyłam więc jeszcze bardzo grzecznie, że radzę mu po prostu tak, jakbym radziła samej sobie: — Bo ja bym się bała przetrzymywać tak wiekowego człowieka, tak długo, w takich okolicznościach.

Zamachał rękami i poleciał, ale bardzo szybko pokazał się w pokoju znów i stanąwszy nad profesorem krzyknął: — Teraz pan. Do samochodu i do domu. Już-już.

Ale mylił się przypuszczając, że profesor na jego krzyk „odwiesi” swój bezruch i milczenie. Nawet nie drgnął. Dopiero gdy uprzejmym półgłosem powiedziałam: — Panie profesorze, samochód odwiezie pana do domu — profesor otworzył oczy, rozplótł ramiona skrzyżowane na piersi i z filuternym uśmiechkiem, bardzo dla niego charakterystycznym, spojrział na mnie wstając:

— A już myślałem, że się jeszcze nadaję do celi.

Z godzin spędzonych tej nocy na komendzie — czy nie było to na Malczewskiego? — wyniosłam trzy malownicze wspomnienia. Pierwsze z Bosią Blajfer. Widzę, jak ją wąskim korytarzem prowadzą gdzieś w głąb, jak jeden bierze ją za ramię z jakimś no już, już, szybciej, jak Bośka wyrywa to ramię z przenikliwym prośbę mnie nie dotykać, i jak wtedy po raz pierwszy (ale nie ostatni) słyszę funkcjonariusza MSW w programowo antyrysis-towskiej PRL, który będąc na służbie — jaka by ona była — nie hamując się przed publicznością — jaka by ona była — wykrzykuje z pasją do kolegi:

— Patrz, jaka zajadła Żydówka!

Stał obok mnie, tak samo jak ja wparty plecami w ścianę pułkownik lotnictwa Wincenty Heinrich, po sześćdziesiątym ósmym w stanie spoczynku — wcale oczywiście nie z powodu wieku. Pamiętam jego spojrzenie.

Drugie wspomnienie, to scena z Tosią. Tej nocy pobierano nam odciski placów. Zasadniczo należało się nie zgadzać: nie byliśmy bandą kryminalistów. Trzeba by jednak stawiać fizyczny opór, dać się wlec po podłodze, wrzeszczeć. Wyobrażam sobie parę takich sytuacji, w których mogłabym może i chciała postępować w ten sposób, jak uważałam na przykład, że muszę walczyć fizycznie o przedostawanie się do sal sądowych na robotnicze rozprawy w Radomiu. Ale — słuszne to czy nie —

w „policyjnych” sytuacjach opanowuje mnie coś w rodzaju oziębienia emocji: musiałabym narzucać sobie rolę, której nie czuję, i to w przedstawieniu, które mnie brzydzi, a którego koniec i tak łatwo da się przewidzieć. Wtedy też więc nie stawiałam innego oporu niż bierny: w małej kabince z lamją i pulpitem pełnym jakichś tuszów, gąbek, przedmiotów nieznanego mi przeznaczenia, z ledwością mieszczącej prawie do siebie przytulonych dwu cywilów i mnie, oświadczyłam tylko, że złożę skargę i że w tej bezprawnej akcji dobrowolnie udziału nie wezmę.

Jak się spodziewałem, specjalnie się tym żaden z panów nie przejął; mieli po prostu kłopot z moimi bezwładnymi dłońmi usiłując wykręcać każdy palec do możliwie właściwej pozycji i zamazując jedne odciski następnymi. A kiedy wyprowadzili mnie z kabiny, zobaczyłam Tosię Krzysztoń, młodziutką siostrzenicę Haliny, leżącą w ogromnym kozuchu na podłodze, rozestaną od ściany do ściany. — Nie pozwolę — oświadczyła zdecydowanie mnie i dwu moim stróżom. — Jak uważasz? — zapytała i podniosła na mnie śliczne dziecinne oczy.

— Wiesz, fizyczna przewaga nie jest po naszej stronie — powiedziałam przekraczając ją, co też uczynili bez słowa obaj funkcjonariusze. — Ja się po prostu nie umiem tak szarpać z byle powodu. Ale wcale nie wiem, czy mam rację.

O ile dobrze pamiętam, Tosia wtedy swoją wojnę wygrała. Była ostatnia tej nocy i panowie od daktyloskopii ze zmęczenia machnęli ręką. Też mieli dosyć.

Z rękami czarnymi od tuszu było się prowadzonym do umywalni. Dawano coś do wycierania, raczej do tarcia, coś brudnego. Nie pamiętam, żeby było mydło, pamiętam za to na pewno, że palce miałam czarne także po „myciu”. Już „byłam wolna”, jacyś prowadzili mnie do wyjścia. Jeszcze widzę pustkę długich korytarzy rozbrzmiewającą echem naszych kroków. Nagle obraz najbardziej niezapomniany:

Te korytarze krzyżowały się z sobą. Zbliżając się do jednego z takich skrzyżowań zobaczyłam o kilkanaście metrów przed sobą przecinający nam prostopadle drogę trzysobowy pochód gęsiego. Na czele i w ogonie pochodu szli dwaj dosyć korpulentni i niesłusznego wzrostu panowie-tubyłcy. Środek, a właściwie epicentrum tej z profilu oglądanej grupy stanowiła postać gotycka, niezmiernie wysoka, w każdym miejscu wąska i zakończona w górze wąską czaszką z dużym i ostro wystającym nosem, na dłu-

giej szyi podaną nieco do przodu. Pojęłam właściwe znaczenie słowa „sunąć”. Postać nie szła, nie maszerowała, tylko właśnie miękko sunęła olbrzymimi cichymi krokami, i tak sunąc niosła przed sobą ze wstrętem widocznym w całej sylwetce dwa długie, ugięte w łokciach przedramiona, z których zwisały jak martwe przedmioty kościste dłonie ubabrane w czarnym mazidle. To w dzielnicowej komendzie MO roku Pańskiego 1977 potomek jaśniepańskiego rodu Andrzej hrabia Krasieński niośł brudne ręce do policyjnej umywalni, wiedziony tam przez dwu bezpiecznie- ków po zdjęciu mu odcisków palców.



Kwiecień: Jacek i Jan Józef pod oficjalnym zarzutem: rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, nielegalny związek. Pozostają na wolnej stopie. Wszystkie rewizje przeprowadzane w naszym gronie, wezwania do komend, przesłuchania, wszelkie urzędowe działania policyjne — noszą ten sam numer sprawy co ich zarzut. Pierwsza zapowiedź jak gdyby zdecydowanego już procesu KOR-u; na razie „delegowani” są nań ci dwaj, ale trudno przypuszczać, że na nich mogłoby się skończyć. Z każdą robotą strasznie się teraz spieszymy: ile nam pozostało czasu? Słysząc, że z Zachodu wraca Adam Michnik — także ze względu na zastrzeżenie kursu wobec KOR-u i zarzut postawiony przyjaciółom. Na zebraniu u profesora Lipińskiego przyjmujemy go do KOR-u zaocznie — ale nie bez jego wiedzy i zgody. Jednocześnie z nim wszedł na listę naszych członków Leszek Kołakowski.

Dla mnie obydwie te postacie — każda inaczej i z różnych względów — dotychczas były mityczne. O osobistym poznaniu słynnego profesora z Oxfordu jeszcze wtedy nawet marzyć nie mogłam. Michnika miałam jednak poznać za kilka dni i niesłychanie byłam ciekawa zwierzęcia tego gatunku: tropy zostawiało za sobą takie, jakby istniało w dwu co najmniej całkiem się z sobą nie pokrywających egzemplarzach. O jednym wiedziałam, że jest wybitnym umysłem, człowiekiem wielkiej wiedzy, pióra i intelektualnych pasji. Egzemplarz drugi — według opowiadań, napomknąć i anegdot — mógł przywozić na myśl jelenia na rykowisku. Jednak podobno chodziło o jednego i tego samego człowieka.

Nie mogłam w tamtych dniach oddawać się uczuciu przyjemnej ciekawości, bo czas był bardzo napięty. Wygarniano nas

już zewsząd, z każdego niemal mieszkania, rozpędzano każdą grupkę ludzi związanych z działalnością KOR-u, mnożyły się przesłuchania, sieć inwigilacyjna ciasno ściągała oczka. Do Radomia znów nie sposób było dojechać czy — dojechawszy — spokojnie wrócić. Miałam i ja pierwszy raz przyjemność z prokuraturną, w odróżnieniu od Janka i Jacka wciąż jednak jako świadek. Przesłuchanie odbyło się w atmosferze oschłej i poprawnej, bo ściśle urzędowej. Powołanie się przeze mnie na artykuł sto sześćdziesiąty szósty zezwalający na odmowę odpowiedzi, a trzymanie się przez panią prokurator zwięźle oficjalnego trybu postępowania sprawiły, że najwięcej czasu zajął mi dojazd na Świerczewskiego i z powrotem.

Wieczorem tego dnia chyba musiałam być u Romaszewskich. Zosia właśnie otrzymała grupowy anonim od „kobiet z Radomia”. Donosiły jej one z najwyższą delikatnością, że zasługuje na lepszego męża. Ten, którego ma bowiem, romansuje wzdłuż, wszertz i wspank przez cały Radom z jego mieszkankami. List demaskował całkowicie kłamstwo i błagę Zbyszka, pozorującego przed żoną jakąś działalność społeczną, z powodu której tak często musi odwiedzać Radom. Odczytywaliśmy sobie ten utwór, a niewierny mąż nalewał nam herbatę. Przy okazji dowiedziałam się, że Zośka to nie Zośka, tylko Irena, o czym wiedzą zasadniczo jedynie czytelnicy jej dowodu osobistego. Radomskie uwiedzione zaadresowały kopertę właśnie do Ireny Romaszewskiej i nic nie mogło dobitniej dekonspirować właściwego nadawcy. Zaraz zresztą przysłała milicja i rozpędziła nas. Nigdy nie zapytałam Zośki, czy zdołała przechować ten zabawny anonim przez wszystkie rewizje, jakie przeszedł ich dom.

Gdzieś w tych dniach w głowie Zbyszka Romaszewskiego, jak mi się zdaje, urodził się pomysł, żeby spróbować spotkań w miejscu najbardziej publicznym i najbardziej do tego powołanym: w kawiarni! Miałyby to być kawiarnia centralnie usytuowana, popularna, mająca wśród warszawiaków powodzenie, do której każdy z nas, kto żyw, miałby obowiązek wpadać w ustalonym przedziale czasowym, na przykład między godziną szóstą a ósmą wieczorem. W ten sprytny sposób niemal każdy stawałby się dla każdego uchwytny: bez ciągłego latania — często daremnego — można by przekazać sobie nawzajem te same informacje, umówić się na zakonspirowane spotkanie, jednemu przez drugiego przesłać wieść, że się go koniecznie potrzebuje. Bylibyśmy oczywiście przez cały czas wśród doskonale poinformowanej obstawy, ale także na ludzkich oczach. Musiano by nas zatrzy-

mywać, legitymować, ewentualnie ładować do suk bardzo spektakularnie. Uznaliśmy, że się to władzy nie opłaci, i pomysł chwycił.

Ofiarą padła kawiarnia „Nowy Świat”, w samym sercu miasta, przystanek sto jedenastki ode mnie i do tego przy samym przystanku, z czego się bardzo cieszyłam, bo już wtedy każda odległość przebywana pieszo wydawała mi się za duża, o czym nikt nie wiedział. Urządzona na obraz i podobieństwo najnieprzytulniejszej poczekalni dworcowej kawiarnia „Nowy Świat” stała się nagle swoim miejscem zlotu przyjaciół i znajomych z zebrań, korytarzy komend, tłumów oblegających sale sądowe. Naturalnie była tu też Bogu ducha winna warszawska publiczność kawiarniana: flirtujące parki, cinkciarze, podchmieleni urzędnicy, babskie konwentykle nad ciastkami. Razem z bezpieczeńką wypełnialiśmy przez co najmniej dwie godziny dziennie po brzegi i kawiarnię, i szatnię, i chodnik przed kawiarnią na zewnątrz. Kwitła wiosna i dopiero około ósmej łagodnie zmierzchał dzień. W środku miasta, wśród ludzi, czuł się człowiek bezpiecznie i niemal przytulnie.

Całkiem widocznie podenerwowana naszym pomysłem policja gęsto nas otaczała, ale rzeczywiście nie decydowała się nas z kawiarni wyprowadzać. Pod jej okiem rozmawiało się na papierowych serwetkach (jeszcze wtedy istniały), które następnie paliło się skrupulatnie nad popielniczkami. Tu i ówdzie ten i ów przesiadał się od jednego stolika do drugiego. W tym samym czasie załatwialiśmy rozliczne sprawy, z których każda wymagałaby osobnych spotkań, latań i poszukiwań. Nawet Mirek stał się osiągalny! Pamiętam, jak prowadził przy swym stoliku niemal biuro z zasiadającymi przed nim coraz to nowymi klientami. Co za czasy! Nieraz wystarczyło wpaść tam na pół godziny, na piętnaście minut: przez ten czas łąpało się kontakt z człowiekiem, którego poszukiwało się przedtem od tygodni. Obowiązywała jedynie zasada: być całkowicie czystym. Co za oszczędność energii!

Minął tydzień, może dziesięć dni i „Nowy Świat” zamknięto: nagły i niespodziewany remont. Szur-szur, przenieśliśmy cały majdan i policję do kawiarni „Ujazdowskiej” na Alejach. To już pewnie był początek maja.



Zaraz w pierwszych dniach maja na zebraniu u profesora Lipińskiego znalazł się wśród nas — chłopiec? Mężczyzna? — bardzo młodo wyglądający młody człowiek, ubrany, jakby „w com

ta miał”. Jeszcze mam w oczach jego bawełnianą koszulę nie-
możliwie jaskrawą, jadowicie czerwoną. Bardzo błady; jakiś jak
gdyby roztargniony, nieuważny (nic błędniejszego, niż to wrażenie);
twarz tak żywa w zmieniających się wyrazach, że jakby wręcz
rozedrgana; mysio-blond włosy splątane nieporządnie w furiac-
kie pierścionki. Mówiąc, słuchając, zamyślając się wyławiał palca-
mi z jakichś ulubionych miejsc na głowie ze dwa, trzy pasma
włosów i mig-mig skręcał je i zszarpywał w sterzące różki.
Większość z nas pewnie witała Michnika na lotnisku, teraz
obściskiwali go „starsi państwo” bardzo nim uradowani i wszyst-
kiego, co powie, ciekawi. Podglądałam go i podsłuchiwałam ten
pierwszy raz z kąta, całkowicie z zewnątrz, więc mogłam zapamię-
tać Michnika widzianego obcymi oczami, w powierzchownym
skrótce.

Zabawne: od nikogo przedtem nie słyszałam o zacinaniu się
Adama. Czyżby nie godziło się tego zauważać? Zatrzymuje się
na samogłosce co któreś słowo, czasem co któreś zdanie. Kogoś
innego mógłby ten fakt onieśmielać: zaraz byłby kompleks, za-
wężenie psychiczne, lęk przed śmiesznością. Taki nie przemówi
z własnej woli, nie odsłoni bez tortur ćwiartki tego, co wie. Ale
nie Adaś.

Po kilkunastu minutach zobaczyłam, że jest to mówca złoto-
usty, anegdociarz, dowcipniś, ironista. Dostrzegłam z zazdrością
— i przez następne lata niejedną raz odnotuję tę myśl — ostrą
i jasną formę jego wypowiedzi, rzadko ładną składnię i stylistykę
zdania. Stwierdziłam coś jeszcze, co z trudem próbuję wyrazić:
że gdy Adam mówi, jego nagłe potknięcia na którejs wreszcie
samogłosce dynamizują jeszcze bardziej żywność, z jaką rzuca się
słowami na myśl, gwałtowność, z jaką dla tej myśli szuka najlep-
szego wyrazu. Jakby się na nią czaił. Jakby najpierw wodził za
nią oczami. Jak gdyby wreszcie na nią skakał. Z cechy uzna-
wanej obiektywnie za defekt, zrobił, drań, efekt.

Gdy go tutaj usiłuję przedstawić, Adam, po raz enty siedzący
w więzieniu, tkwi mi pod sercem jak cierń, i to mi przeszkadza.
Nie chcę dać się usidlić sentymentalizmowi. Upiększanie nie jest
mu potrzebne. Naprawdę jest zwierzęciem, którego nie ma, z całą
mnożnością wad i zalet, którymi zresztą — wadami i zaletami
— posługiwać się umie jak wirtuoz.

Kiedy się go poobserwuje w towarzystwie, podczas zebrań,
przy wódce — powinno przyjść na myśl (mnie raz przyszło i już
przy mnie zostało) określenie: człowiek musujący. Patrzę we
wspomnienia, jedno, czwarte, sześćdziesiąte trzecie i śmieję się.

Adaś jednocześnie rozmawia, myszkuje wśród cudzych książek (raz po raz zresztą przemyśliwując kradzież lub wyłudzenie, co mu się często udaje), podczytuje coś, wykrzykuje *zwischenruf* jeden za drugim, zatopiony okiem w zadrukowanej stronicy słyszy wszystko, co mówią dookoła, zarzy radośnie z każdego dowcipu dodając do niego jeszcze własną pointę i zauważy każdą spódnicę w najdalszym kącie; zniecka przy tym wygłasza analityczną opinię o problemie, książce, człowieku, wydarzeniu politycznym, które nagle stały się tematem rozmowy; szarpiąc włosy na głowie ze spojrzeniem całkiem nieobcym okazuje się nagle gotów do napisania artykułu, z którym nikt sobie poradzić nie może; już gdzieś leci, bo ma oczywiście jakąś prośoną kolację, obiad, śniadanie, spotkanie, wywiad; jeszcze od progu zaraża pozostałych jakimś pomysłem, który trzeba by złapać; jeszcze przystaje, bo z kimś, komu zbyt mało poświęcił dziś uwagi, koniecznie musi wymienić jakieś bardzo poufne, bardzo uwodzicielskie słowo; jeszcze dowcip; już z jakąś podkradzioną lub wymuszoną na gospodarzu książką leci ku drzwiom wyjściowym; już znika, ale wszędzie zostaje go pełno, jakby wcale nie wyszedł, bąbelki musują w powietrzu; a do tego można być pewnym, że jeśli właścicielka tamtej spódnicy w kącie, do którego pozornie Adam się nie zbliżył, wywołała w nim przyjemne skojarzenia, już oczywiście ma jej adres i telefon, a może nawet jest z nią najkonkretniej w świecie umówiony na zupełnie innego rodzaju musujące *en deux*, które zaraz za drzwiami wpisze sobie do przepelnionego karnetu.

Ten człowiek musujący, postać renesansowa, w okresach między jednym więzieniem a drugim jedyny prawdziwy epikurejczyk, jakiego znam, nienasycony łasuch życia co się zowie: z dziewczynami, dobrym alkoholem i porządną knajpą, z ciekawymi ludźmi, ich uznaniem, adoracją i przyjaźnią, z „salonami” rzucanymi sobie do stóp, z dobrym teatrem, dobrym filmem, dobrą książką, z nieustannie realizowanymi pasjami i ambicjami intelektualnymi, wieczny *homo studiosus*, niedościgły erudyta, bożyszczko kobiet, przedmiot szacunku uniwersytetów świata, obdarzony talentem doskonałego pióra, świetnej pamięci, kojarzenia faktów i wyciągania wniosków — mógłby jeszcze tylko może malować, śpiewać, rzeźbić. Wszystkie pozostałe muzy siadły mu nad kołyską i nie wiem, czy Adam zmarnował jakikolwiek dar, który mu przypadł w udziale. Nieustannie rozkrzyżowany między talentem do błógiego próżniactwa a pisarskimi czy po prostu intelektualnymi pasjami, daje się ponieść to jednemu, to drugiemu, ale

w końcu zawsze w niepojęty sposób godzi w siebie te przeciwstawne instynkty, pozostając ciągle w tej samej mierze pełnym wdzięku leniem i namiętym łowcą przyjemności, co pisarzem o rzadko rozległych horyzontach i zainteresowaniach.

Mówi się, że jest próżny; i jest, czasem nawet w sposób szalenie zabawny. Ale gdyby nie był próżny, gdyby się tak zabawnie nie pawił i nie płaścił w atmosferze admiracji i uznania, nie czułby pewnie tak dobrze wagi miłości własnej właściwej każdemu człowiekowi, nie potrafiłby o nią dbać ani o niej pamiętać. Tymczasem Adam dobrze wie, jak łatwo zdobyć sobie, i jak łatwo nieuwagą i brakiem szacunku zranić i odepchnąć człowieka. Nawet kiedy się widzi gołym okiem, jak się zabiera do działań „dyplomatycznych”, ma się ochotę go okłaskiwać. Z góry wiem, że pożyczę mu każdą książkę, jakiej zapragnie, i że pisarz boczący się na KOR z powodu beztróskiego nietaktu Jacka zbliży się jednak do nas po wyiskrzanej rozmowie z Adamem, który na pewno znajdzie wszystkie słowa, na jakie jego rozmówca zasłużył osobiście, a także te, których każdy człowiek oczekuje. Jedna z wrózek znad kołyski Adama z pewnością miała na imię Dyplomacja.

Nie można być dobrym dyplomatą nie będąc dobrym psychologiem. Umiejętne posługiwanie się w stosunkach z ludźmi znajomością psychologii zawistni nieraz będą określali jako spryciarstwo Adama. Dla mnie będzie to zawsze jednym z licznych powodów jego wieloczynnościowej inteligencji: umieć postarać się o to, aby lubili go i szanowali ludzie, których on lubi i szanuje, o których — wszystko jedno, z jakich względów — dba.

— Ni-i-ikt tego tak nie napisze jak ty — mówił bezczelnie i owo przedłużone „nikt” trzy razy więcej znaczyło, niż gdyby przemknęło mu przez usta jedną drobną sylabą. Osoba, do której się tak zwracał, właściwie nie widziała przed sobą możliwości odmowy. Czy można zawieść takie zaufanie do naszych umiejętności, przejść do porządku nad takim pochlebstwem, które przecież pozbawione podstaw tak zupełnie nie jest — myślałam, myślał, myśleli: przecież naprawdę jestem zdolna, zdolny, jesteśmy zdolni coś niezłego na ten temat napisać. I już Adam dostrzegał tę mgiełkę rozmarzonej próżności w moich, czyichś, naszych oczach: jeszcze więc słówko, jeszcze napomkniecie o czymś tam, co umiemy, cośmy kiedyś... — Ja go tak lubię, że mu wszystko obiecuję — mówił podobno Józef Czapski.

Wreszcie, co może ważniejsze, przed Adamem chciało się zdać możliwie celująco ten egzamin, którego człowiek się za jego

poduszczeniem podjął. Można było być pewnym, że on to zauważy i doceni — tak jak można było być pewnym, że Jacek nie znajdzie czasu, aby komukolwiek wyrazić uznanie za pracę, którą się — tak jak tego pragnął — wykonało: nie ma co gadać, zrobione, jedziemy dalej. Adaś wiedział, że piątka jest stopniem człowiekowi potrzebnym. I cóż z tego, że poszturchiwaliśmy się czasem na zebraniach na przykład *Biuletynu Informacyjnego*, pasąc się każdym smakowitym obrazem taktycznych wygibasów Adasia, który upatrzył sobie właśnie kogoś z obecnych na ofiarę swoich zamysłów czy pomysłów. Ulegaliśmy mu i my, zawsze i bez końca na nowo. A on wygrywał, omotywał, uwodził i leciał dalej — robić gdzie indziej oczywiście to samo.

Z zebrania u profesora wyszłam z paroma zaledwie powierzchownymi wrażeniami. Przyjdą dopiero wspólne lata, dzień powszedni, wielowymiarowy, i wielowymiarowy w nim Adam Michnik. Wszyscy zresztą po kilku zaraz dniach spotkamy się w całym innej już rzeczywistości. Siódmego maja zamordowany zostanie Staszek Pyjas.



Wieżę chwyciła za gardło.

Pisało się w komunikatach o nadsyłanych nam anonimach pełnych wściekłości i pogroźek, o coraz częstszym w różnych miastach biciu, o przesłuchaniach, podczas których straszono związanych z nami ludzi śmiercią w niewyjaśnionych okolicznościach. Oficjalna prasa z rosnącą namiętnością nawoływała do rozprawienia się z takimi jak my. Jednak do tego skrajnego momentu wszystkie te ekscesy traktowaliśmy trochę — ja na pewno — jako „pomysły miejscowych sierżantów”, jako poszczególnie, a co więcej, szczególnie — wypadki. Byliśmy dalecy od egzageracji na własny temat. Potrafiliśmy zamieszczać sprostowania (zostało nam to zresztą na zawsze) w rodzaju: Eugeniusz Kloc został uderzony dwa razy, a nie — jak najpisałiśmy w komunikacie poprzednim — trzy; wyklócaliśmy się między sobą o sformułowania: ciężko czy nie ciężko pobito górnika Suleckiego, jednego czy drugiego studenta? Czy komuś wykręcili rękę, czy tylko go za nią złapali? Co ostatecznie komuś zapowiedziano — czy że zginie tragicznie, czy że matka go już nie zobaczy? Sprawdzić, zapytać, dopytać się, nie przesadzać.

Też maniakałność.

Wszystko oddzielne, poszczególnie, wyosobnione, spychane na co dzień do roli incydentów — zeszło się nagle, zbiegło, uwiary-

godniło w tym jednym młodym, martwym ciele, 6 maja 1977, Kraków, przechodnia brama przy ulicy Szewskiej 7.

Następnego pewnie zaraz dnia spotkaliśmy się w kilkoro w jakimś pustym nieznanym mi mieszkanku, do którego Jacek przyniósł klucz. Wieczór był upalny jak w środku lata, okno w tej widocznie od dawna niezamieszkałej ciupce otworzyliśmy dopiero wchodząc i wisząca pod niskim sufitem duchota kładła się nam ciężko na głowy i piersi. Staszek bywał na naszych dyskusyjnych spędach, kursował — jak Bronek Wildstein i grupka innych z UJ — między Krakowem i Warszawą; jego torbę z brezentu wypychały nasze komunikaty i oświadczenia. Chłopcy z Krakowa przywieźli anonimy, które dostali parę dni przed jego śmiercią; autor anonimów w ordynarnych słowach domagał się „wytępienia” takich jak Staszek, jak oni, jak my. Zdążyli wysłać nawet w tej sprawie pismo do prokuratury — jeszcze i przez Staszka podpisane. Kopia tego pisma też leżała przed nami na stole.

Nie znalazłam cukru w pustej kuchence. Gorzką herbatę piliśmy w trzech jedynych szklankach czy kubkach jak ze wspólnych misek. Mimo okna otwartego na wiosenną noc szaro było od dymu papierosów. Unikałam oczu kolegów: bałam się, że z moich wyczytają, jak bardzo się boję. Późną już nocą Jan Józef dostał nagle przerażającego ataku; w mieszkanku nie było telefonu. Szczęściem atak minął dosyć szybko, ktoś wyszedł łapać taksówkę i odwiózł Janka do domu.

Jacek przeprowadzał coś w rodzaju ankiety — było nas z siedem, osiem osób: co myślisz o tej śmierci? Znaczyło to: zamierzali zabić czy nie.

Wiedzieliśmy dość, żeby znać sprawców. Anonimy to już nie domysły, a student UJ Pietraszko — działacz SZMP absolutnie z opozycją nie związany — spotkał Staszka wieczorem w przeddzień jego śmierci i nie miał żadnych wątpliwości, że prowadził go funkcjonariusz SB. Stwierdził, że jest w stanie go rozpoznać. Usłyszawszy nazajutrz o znalezieniu zwłok kolegi Pietraszko przyszedł z tym zeznaniem do przyjaciół zamordowanego. Zgłosi się z nim zresztą natychmiast do prokuratury i poda dokładny rysopis funkcjonariusza. Znajdzie się też w ścisłym kontakcie z pełnomocnikiem rodziców Staszka, mecenasem Rozmarnowiczem.

(W niespełna dwa miesiące później ten koronny świadek nie będzie już żył: jego ciało wyłowione zostanie z zalewu solińskiego. Śledztwo w sprawie Pyjasa będzie można zamknąć: pijany student spadł ze schodów i uduł się własną krwią wy-

wołaną obrażeniami wewnętrznymi, których doznał wskutek upadku. Zasłużonego w obronie organów bezpieczeństwa biegłego prof. dr. Marka, nie będzie kłopotał choćby ten tylko drobny fakt, że umiejscowienie zwłok w sieni przy Szewskiej 7 wykluczało upadek ze schodów, ani że dziwić powinna wielość obrażeń odniesionych przy podobno jednorazowym — i w końcu skutecznym — upadku. Prof. dr Marek nigdy nie pójdzie na łatwiznę i żadnym faktom nie da się pokonać. Dobrze go poznamy z innych, podobnie nieprawdopodobnych orzeczeń).

Dziś — po wielu równie „tajemniczych” mordach, a wreszcie po jaskrawej jednoznaczności, w jakiej je postawiła zbrodnia popełniona na księdzu Jerzym Popiełuszcze — nikt nie miałby wątpliwości, co trzeba myśleć o gwałtownej śmierci Staszka Pyjasa. Wtedy — nie chciało się wierzyć. Adam powiedział: — Skończyły się żarty. — „Żarty” to były przesłuchania, rewizje, zatrzymania, inwigilacja, pierwsze sankcje prokuratorskie, wylewanie z pracy i studiów, groźby, szantaże, anonimy, wywożenie porwanych na ulicy za miasto, porzucanie ich tam pobitych, bicie w komendach i poza nimi. Brało się pod uwagę wyroki więzienia jako zakończenie „żartów”. Ale nie to ostateczne tam na Szewskiej, nie zwłoki.

Nie — potrząsaliśmy głowami — nie. Mimo wstrząsu i napięcia uznaliśmy — co, według mnie, było dla nas charakterystyczne — śmierć Pyjasa za „wypadek przy pracy”. Jak się bije, można i zabić.

W skleconym tej okropnej nocy oświadczeniu opisaliśmy znany nam wówczas stan rzeczy i zwróciliśmy uwagę na bezkarne tworzenie klimatu (prasa, prasa!), którego logicznym, choć przypadkowym zapewne skutkiem stać się może zbrodnia. Darek Fikus pytał mnie nazajutrz: — Słuchaj, ale co wy myślicie? — Odpowiedziałam: — Naprawdę tak myśleliśmy. Za którymś razem zbyt mocno uderzyli.

Wciąż zresztą odpowiadało się na takie pytania; co jednak gorsze, natykał się człowiek na wątpliwości i dywagacje w rodzaju: „podobno był pijany”, „podobno narkotyki...”. Winien był temu komunikat Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie ustalający okoliczności śmierci Staszka, a także nieprzychylna zmarłemu wersja rozpowszechniania przez Służbę Bezpieczeństwa. Z obu wynikała sugestia, że Staszek wiódł podejrzanе życie w podejrzanym środowisku. Z drugiej strony ludzie odrzucali chętnie myśl o morderstwie — czy można się dziwić swego rodzaju instynktowi samoobronnemu, który pozwala nie wierzyć

w najgorsze? Księdzu Jerzemu zamierzano — jak słyszeliśmy na rozprawie — przemocą wlać do ust alkohol; również i jego po śmierci szkalowano. Zapamiętajmy, że w długim szeregu ofiar najpierw zamordowanych, a potem obrzucanych kalumniami — młodziutki i nikomu prócz garstki przyjaciół nieznany Staszek — był pierwszy.

A i oni, jego przyjaciele, dali się wtedy zwieść.



Datę dorocznych Juwenaliów w Krakowie — tańce, przebie-ranki, wybory najmilszej dziewczyny, hulaj dusza — wyznaczono na dzień 15 maja, osiem dni po śmierci Staszka, tuż po jego pośpiesznym pogrzebie. Za organizacyjną fasadą wyjątkowo w tym roku niewczesnych zapustów — gotowało się od urazy i wzburzenia dotkniętej do żywego młodzieży. Komuś musiało zależeć na prowokacji: podniesiona temperatura tak penetrowanego przez tajną policję środowiska nie mogła być sekretem dla władz.

Mury wyższych uczelni, kościołów i duszpasterstw akademickich w wielu miastach uniwersyteckich pokryły się nekrologami niedwuznacznej treści. Zawiadomiano w nich o mszach za duszę Pyjasa. Ulotki wzywały do bojkotu Juwenaliów, ogłaszały ich datę dniem żałoby po zamordowanym koledze. Młodzież nekrologi i ulotki naklejała, mundurowi i cywile je zrywali; przyłapanych na „gorącym uczynku” ładowano do bud, nierzadko z szarpaniną i biciem, na oczach przechodniów, wśród wrogich pod adresem policji okrzyków publiczności, która zresztą często rzucała się na pomoc napadniętym chłopakom.

Władze wiedziały równie dobrze jak my, na co się tu zanosi: jednego dnia miały się zjechać w Krakowie dziesiątki tysięcy młodzieży — jedni na festyn radości klecony z maniackim uporem przez wszelkiego autoramentu aktyw, inni na uroczystości żałobne. Baliśmy się prowokacji, wybuchu emocji, nieobliczalnych konsekwencji. Zapadły ustalenia, że ludzie z KOR-u muszą być razem ze studentami — organizatorom żałobnych obchodów mogła się przydać pomoc w opanowywaniu gorączki, w wysiłkach niedopuszczenia do podjęcia przez młodzież jakiegokolwiek prowokacji.

Dwa, trzy dni przed piętnastym przedostali się „cichociemnie” do Krakowa Chojecki, Macierewicz, Onyszkiewicz. Z bliskich

przyjaciół KOR-u znaleźli się tam w podobny sposób i też przed terminem, o ile dobrze pamiętam, Wojtkowie: Arkuszewski, Malicki, Ostrowski, Paweł Bąkowski. Ale była umowa, że reszta — kto może — jedzie do Krakowa „oficjalnie”. Pod firmą KOR-u przecież, którego Staszek był współpracownikiem, przekazywaliśmy opinii publicznej informacje o jego śmierci i jej okolicznościach; uważaliśmy wreszcie, że winni jesteśmy zabitemu koledze jawny gest solidarności.

Ogłosiliśmy oświadczenie, że zamierzamy wziąć udział w żałobnych obchodach, a ponieważ nikt nie spodziewał się dojechać na miejsce, pożegnaliśmy się „na dłużej”, zostawiając sobie pełną swobodę w wyborze środków dojazdu — już nie tyle do Krakowa, ile raczej do komend i cel, w których spodziewaliśmy się znaleźć. Najlicniejsza grupa zdecydowała się na wieczorny pociąg 14 maja. Halina Mikołajska zaprosiła Adasia i mnie do samochodu na rano tego samego dnia. Wiadomość o naszym zatrzymaniu miałaby szanse dotrzeć do kolegów, nim zatrzymani zostaną oni sami.

Na dzień przed wyjazdem poszłam popatrzeć, co dzieje się pod uniwersytetem w Warszawie. Przed bramą cisnął się zbity tłumek przechodniów: niewątpliwie skupił ich tu nekrolog Pyjasa. Uszy mi rosły, żeby słyszeć, co ludzie mówią, czułam się zagubiona i napięta, bałam się jutra i wszystkiego, co ma przyjść. Notowałam w pamięci strzępki rozmów, strzygłam oczami na mundurowych już w polu widzenia: jedni po przeciwnej stronie ulicy, dwójka zbliżała się wzdłuż naszego chodnika, ale jakby niespiesznie. Z ludzi jedni wiedzieli, o co chodzi, inni całkiem nie. Niektórzy zaledwie rzuciwszy okiem na biały kartonik odchodzili zaraz, w milczeniu, z zamkniętymi twarzami. Pragnęłam łapać ich za rękawy. Słyszałam: — W Krakowie zabili studenta. — Msza będzie. — O, ręcznie piszą, drukować im nie pozwolili. — Jedni drugich wypytywali, za co studenta zabili. Jakoś nikt nie pytał, kto. — Podpisy zbierał. — Przez radio mówili, że robotników bronił. — Student to powinien się uczyć. — Przez nasze radio? — Co pan, jakie nasze.

Wszystko trwało pewnie raptem kilkadziesiąt sekund. Z dziedzińca uniwersyteckiego wypadł na ulicę młody człowiek w otwartej na piersiach koszuli, całkiem jak student, ale nie postarał się o twarz studenta, na czym to polega? Raz, dwa, odepchnął, roztrzącił wszystkich, ludzie się rozprysnęli, mundurowi znaleźli się tuż, zdjąć, zerwać, rozejść się, co jest?! Pryskałam jak inni, miałam zamiar zostać zatrzymana dopiero jutro. A kiedy

drugą stroną ulicy wracałam przez Krakowskie w pół godziny później, przed bramą uczelni ludzie znów coś czytali.

Nazajutrz, gdy z łóżka zerwał mnie o świcie budzik, a nie dzwonek do drzwi, byłam szczerze zdumiona. Dobiłam też do Haliny bez przeszkód; bez przeszkód podjechałyśmy po Adama na róg Alei Przyjaciół i Koszykowej. Po kwadransie byliśmy za rogatekami Warszawy i nim nas zgarnęła milicja, wiedliśmy z Adasiem w samochodzie Haliny rozmowę, której przedmiot — niczym z naszą ówczesną sytuacją nie związany — notuję w tym miejscu, bo nie wiem, gdzie znajdę lepsze. Człowiek, o którym rozmawialiśmy na krakowskiej szosie, niedawno zmarł i nie sposób odżegnać się od paru chociaż o nim wspomnień, jakich był wart.



Ten człowiek to Mikołaj Rostworowski. Ja go znałam kilkanaście lat, Michnik zetknął się z nim parę lat temu. Wiedziałam od samego Nika w wielkiej tajemnicy, że będąc na Zachodzie, Michnik mieszkał u niego podczas swego pobytu w Rzymie. Mikołaj był tam korespondentem PAX-u przy Watykanie i pozostawał nadal członkiem Zarządu Stowarzyszenia PAX — nie było do pomyślenia, aby ktokolwiek wiedział, że przechowuje u siebie Adama Michnika.

Rozmowę spowodowało pytanie, które mi Adaś zadał: czy znam aneks dołączony przez niego w ostatniej chwili do jego książki „Kościół, lewica, dialog”. Znałam i książkę, i dopisek. Adamowi chodziło o dotyczącą mnie tam wzmiankę, która każdemu sprawiłaby przyjemność. Zapytałam, skąd się tam wziął ten ton pewności, że przystąpienie przeze mnie do KOR-u jest konsekwencją mojej postawy — przecież mnie nie znał. Odpowiedział, że czytał, co pisałam — jak zawsze umiał powiedzieć, co trzeba — oraz że wiele słyszał o mnie od Rostworowskiego, którego ceni, któremu ufa i któremu współczuje.

Po tych kilku słowach rozumiałam doskonale, że Adam znał Mikołaja naprawdę od w e w n ą t r z ; dalej rozmawialiśmy już jak dwoje ludzi, którzy sami jeszcze niezaprzyjaźnieni mają wspólnego przyjaciela. Wskutek tej rozmowy zobaczyłam w myślach raz jeszcze i bardziej syntetycznie życie Nika.

Gdyby żył, nie powinnam pisać o nim tego, co zaraz napisać spróbuję. Ale nie można mu już zaszkodzić. Można za to uzupełnić jego obraz o rysy nie wszystkim znane, a w pamięci o nim posunąć się o jeden choć krok w głąb.

Rostworowski był kilka lat moim szefem w PAX-ie, kiedy tam pracowałam (nie będąc członkiem Stowarzyszenia), ale o wiele dłużej człowiekiem ważnym w moim życiu, jak tylko mogą być w naszym życiu ważni ludzie, przy których udziale stajemy się kimś, kim wreszcie jesteśmy. Mam absolutną pewność, że w podobny sposób był ważny dla wielu.

Głęboko wierzący katolik o bardzo rozwiniętym zmyśle politycznym i społecznym — wylądował w Stowarzyszeniu PAX w zupełnie młodzieńczych latach, i nie mam najmniejszych wątpliwości, że uczynił to z intencji całkowicie czystych, jak wielu, których potem w PAX-ie poznałam. Jego nieprzeciętna inteligencja wyносиła go szybko po szczeblach hierarchii; ona też sprawiła, że zaczął mieć trudności i w PAX-ie, i z sobą samym. Jakieś pęknięcie charakteru, jakaś słabość uniemożliwiały mu ruszanie w drogę za własnymi rozeznaniem intelektualnymi i moralnymi; ale te miały nad nim zarazem taką siłę, że do sprzedania czy wynajęcia nigdy nie był. Więc tracąc zaufanie władz Stowarzyszenia, spychany na pozycje niższe lub po prostu boczne — a świadom swych wartości — musiał cierpieć przydeptywany przez rozpychających się w górę karierowiczów, którzy nie dorastali mu do kostek u nóg, ale ani chciał, ani mógł wyrzec się poglądów, do jakich doszedł i dochodził, a jakie w PAX-ie bardzo źle widziano.

Należał do rzadkiego gatunku ludzi, wokół których tworzy się klimat zakaźny. Zaraźliwa była wielostronność jego zainteresowań i pasji, jego wiedza i wybitna erudycja, lotność myśli i skrajność, umysłowa i emocjonalna żywość, a przede wszystkim właściwy jego sposobowi myślenia niepokój intelektualny i etyczny. On zawsze zresztą był głodny słuchaczy i rozmówców, zwłaszcza młodych, a dla nich jego nie powierzchowna i pełna wdzięku błyskotliwość, refleksyjność i zarazem gorączka, z jaką śledził i nazywał prawdziwe znaczenia zachodzących w Polsce zjawisk, były źródłem ciągłej fascynacji. Pozornie daleka od własnego nosa tak zwana „rzeczywistość” dzięki niemu stawała się ciasno przyległa do naszych ciał i coraz trudniej przychodziło młodym słuchaczom Mikołaja unikać wygodnicko i dziecinnie określenia się wobec niej. Samym sposobem traktowania swych często zupełnie niedoświadczonych rozmówców budził w nich i rozwijał ambicje intelektualne, instynkt formułowania wniosków i poglądów, krystalizowania postaw społeczno-etycznych. Przy Niku inteligentniało się: człowiek miał ochotę przeciwstawiać mu się albo mu towarzyszyć w jego koncepcjach, zwątpieniach, anali-

zach; dogrzebywał się przy tym w samym sobie do odłogiem leżących pokładów wewnętrznego życia, przysypanych przez lata prymitywną i ubogą sieczką zewnętrznego, mowy-trawy, schematów i pozornych wartości.

Jeszcze widzę jego dłoń czochrającą gęste, mocne włosy, bardzo piękne spojrzenie bardzo pięknych oczu, jeszcze słyszę niskie brzmienie jego głosu, zacinanie się czasem między jednym a drugim słowem; jeszcze pamiętam rozgorączkowanie, w jakie wpadał, i tę zdolność jątrzenia gorączki w innych, jego wdzięk, śmieszności i snobizmy — wszystko chyba pamiętam i sądzę, że gdyby nie on, dużo dłużej dochodziłabym do samej siebie, dużo dłużej mogłabym wieść egzystencję wygładzoną i płaską, a ze schematycznego punktu widzenia i ogólnikowo biorąc — bardziej kobiecie właściwą.

Był postacią tragiczną. Ten wybitny człowiek miał w swoim charakterze jakąś skomplikowaną zakawyczkę, która nie pozwoliła mu żyć na miarę jego pragnień, talentów i pasji, na jego miarę. Osobowość kształtująca innych — sam nie czuł się w stanie wyciągnąć praktycznych konsekwencji z własnego rozeznania, moralnych rozstrzygnięć, instynktownych, a głęboką analizą popartych wyborów wewnętrznych. Cały wykrwawiał się w PAX-ie, walcząc daremnie z jego dogmatyzmem, nietolerancją, antydemokratyzmem, antysemityzmem, zakłamaniem, głupstwem, lizusostwem wobec sojuszniczej ambasady, podpieraniem kolejnych obrotów polityki władz państwowych i partyjnych. Narazał się w tych walkach, zżerał, odmawiano mu zaufania, odsuwano „od piersi”, funkcji, wpływów. Czasami wydawało się, że jest o krok od wystąpienia. Ale u ostatniej gdzieś bariery, już-już koło wyjściowych drzwi — zawsze zatrzymywał się, przystawał i zostawał; brakło mu ufności we własne siły, odwagi do zmiany życia, środowiska, wieloletnich kolein.

11 marca 1968 weszłam do jego gabinetu, gdzie odsiadywał jakąś kolejną „boczną” funkcję i oznajmiłam mu, że przed chwilą wystąpiłam ze Stowarzyszenia. Kilka lat przedtem zdecydowałam się do Stowarzyszenia wstąpić — właśnie pod jego wpływem, pod wpływem jego nadziei na rysującą się przed nami — tak myślał — możliwość poprowadzenia dość niezależnej — tak myślał — działalności w PAX-ie, w dziedzinie jego polityki kulturalnej. Potrzebni mu byli koniecznie określonej postawy sojusznicy; zaraził mnie ostatni raz tą nadzieją. W rezultacie nie zawróciliśmy tej Wisły kijem: liberalna instytucja, którą z paru jeszcze osobami próbowaliśmy rozwijać, umarła pod kolejnymi

ciosami paxowskich dogmatów, jak to zawsze bywa w PRL; każde z nas jeszcze o coś tam czy przeciw czemuś walczyło, wreszcie przyszedł Marzec, moczarowska twarz PAX-u, dla mnie kropka. Nik siedział za biurkiem pełnym rozbebeszonych gazet, zupełnie rozdygotany. Lakoniczny komunikat o moim kroku złożyłam mu bez słowa komentarza, a całą jego odpowiedź stanowiło słowo jedno, spontaniczne i właściwie niezgrabne, a dla mnie zupełnie zrozumiałe: — Gratuluję.

Przysiadłam na krześle; między nami piętrzyły się i szalały gazety. Milczeliśmy. Nie patrząc na mnie Nik spytał:

— Co z twoją pracą w Instytucie?

Odpowiedziałam:

— Nie wiem.

Powtórzył:

— Gratuluję ci.

Głos mu się łamał, więc wyszłam. Januszowi Przewłockiemu powiedziałam, że moim zdaniem Nik był bliski płaczu. Rozumieliśmy oboje, że sytuacja marcowa stanowiła dla niego nową próbę sił psychicznych, okropne starcie z samym sobą, kolejny próg, o który się potknął: wszystko, co szanował, w co wierzył, znajdowało się za tym progiem, za drzwiami, o które znów uderzył czołem.

Wobec nas, którzy w różnych momentach odeszliśmy stamtąd, gdzie on się nadal wykrwawiał i marnował, nie ukrywał ani szacunku, ani zazdrości: — *Z r o z u m c i e*, ja tak nie potrafię. — To „zrozumcie” było rodzajem apelu, aby nie dopytywać się, dlaczego; aby go nie dręczyć bardziej niż sam się dręczył. Chyba na ogół szanowaliśmy tę prośbę: już się za dobrze wiedziało o istnieniu w nim tej zakawyczki, której nie sposób było nazwać jednym słowem — na przykład tchórzostwem.

Choć on sam tak ją nieraz określał, desperacko i w szarpiącej nim furii: — Jestem tchórzem. — To prawda, że się bał policji, rewizji, represji, aresztowań, utraty pracy. Że nie utrzyma, nie wychowa, nie wykształci ukochanej córki, z której bardzo był dumny. Ale to nie wyczerpywało wszystkiego, całej tej dramatycznej niemożności „pójścia za marzeniem”.

W możliwym dla niego stopniu narażał się rozmaicie. Prosił i żądał utrzymywania z nim kontaktu, przyjmował u siebie członków KSS „KOR”, płacił na nasz fundusz, bajońskie sumy wydawał na wszelką możliwą bibułę, błagał o informacje i sam dostarczał wszystkich jemu dostępnych. Wzruszał szacunkiem

wobec ludzi, którzy bardziej niż tego, czego bał się on, obawiali się — uproszczeni — wyrzutów sumienia.

Zresztą do końca życia zachował zdolność i chęć kształtowania wokół siebie umysłów samodzielnych, niesfornych, wyrwania młodych indywidualności spod PAX-owskiego drylu. Co ciekawszy narybek PAX-u lgnął do niego, uczył się i rozwijał pod jego wpływem. Podczas „Solidarności” stanie się to bardzo widoczne.

Cóż za świetnego wykładowcę mógł mieć w nim „Uniwersytet Latający” naszych czasów — Towarzystwo Kursów Naukowych. Jakim wybitnym wychowawcą opozycyjnej młodzieży mógł stać się w okresie, gdy formował się ruch demokratyczny. Jaki żal, że nie było go w takiej na przykład *Krytyce*.

I jestem pewna, że coraz bardziej czuł się samotny, osamotniony. A mogło tak nie być.

Był jak czarodziej obdarzony zdolnością uskrzydlenia innych. Ale na własnych skrzydłach nie potrafił się unieść; jakby miał lotki podcięte.



Podczas tej jazdy na warszawsko-krakowskiej szosie Mikołaj Rostworowski jeszcze żył i oboje z Adamem martwiliśmy się o niego, a Halina prowadziła wóz milcząc. Nagle powiedziała: — No to już — i znaleźliśmy się przed blokadą milicyjną.

Wozów cywilnych i milicyjnych czekało sporo: w drodze powrotnej do Warszawy mieliśmy eskortę niemal jak honorowi goście PRL. Nasz samochód — z mundurowym z tyłu obok Adama — polecono prowadzić Halinie, przed nami jechały trzy wozy z cywilami, za nami jeden milicyjny i jeden cywilny. Nikt z nas nic nie mówił, ale myślę, żeśmy się nie nudzili. Gdzieś już na Woli, na tłocznej jezdni w lewym jej nurcie, trzeba było stanąć na czerwonych światłach. Za profilem Haliny widziałam tramwajową wysepkę odciętą od nas łańcuchami, słońce, wiosennie porozbieranych ludzi. Nasza ariergarda źle wymierzyła przejazd przez skrzyżowanie: trzy pierwsze wozy przejechały je, dały się od nas odgrodzić kilkunastu metrami ruchliwego placu, i teraz niezgrabnie i w niedozwolonym miejscu poprzystawały tuż za skrzyżowaniem. Widzieliśmy wyskakujących na jezdnię tajniaków — zachowywali się, jakbyśmy w trójkę stanowili groźnych przeciwników dla naszej derierygardy, złożonej „zaledwie” z dwu samochodów. Na amerykańskim filmie o bandziarach powinniśmy w tym właśnie momencie śmignąć przez chodniki,

klomby, czerwone światła, zniknąć z wizgiem opon w czeluści wielkomiejskiego ruchu, przedostać się do jakichś złomowisk, pustych nabrzeży, opustoszałych magazynów portowych. Adaś musiałby obezwładnić siedzącego przy nim milicjanta.

Jak było do przewidzenia, nic się takiego nie stało, za to Halina z niezwykłą przytomnością umysłu wychyliła głowę przez okno i zaczęła przywoływać ludzi na wysepce. Popatrywali na nas — musiało to dziwnie wyglądać, ten mundurowy w naszym samochodzie, milicja za nami i cywile z derierygardy też stojący u otwartych drzwiczek. Zbliżyła się młodziutka dziewczyna z buzią zaciekawionej uczennicy.

— Proszę cię — powiedziała Halina, a mundurowy obok Adama milczał — zatelefonuj zaraz pod numer 39 39 64 i powiedz, że nas milicja zatrzymała. Halinę, Ankę, Adama. 39 39 64. Chyba nas biorą na Żytnią.

Nadjeżdżał tramwaj i na wysepce zafalowało, dziewczynka patrzyła na nas, cofnęła się, oczy miała skupione jak na trudnej lekcji. Zapaliły się zielone światła, widzieliśmy, jak tamci za skrzyżowaniem wskakują do samochodów, za nami też klaskały drzwiczki wozów. Było naprawdę ciekawe, czy dziewczynka zatelefonuje.

Zatelefonowała. Obecni wtedy w mieszkaniu Jacka Janek Lityński i Gienek Kloc uznali za właściwe sprawdzić wiarygodność anonimowej informacji, po której rzucono słuchawkę. Dziewczynka bąknęła coś o Żytniej, więc po paru godzinach, gdy nasze telefony wciąż milczały, Janek z Gienkiem poleźli na parking tej komendy szukając tam samochodu Haliny. Znaleźli go, ale i ich znalazła tam milicja. Janek został już na dobre w areszcie, Gienek wyszedł pewnie po czterech ośmiu.

Myśl o dziewczynce z głową blond, w jasnej bluzeczce, z torebką przewieszoną przez ramię, często mi później towarzyszyła. Mnie osobiście tak ukazała się po raz pierwszy solidarność; jeszcze wylękniona, jeszcze zagubiona w anonimowym tłumie, ale już przecież udzielająca pierwszej pomocy.

W komendzie na Żytniej panował ruch zupełnie nietypowy. Na górę po schodach prowadziła nas duża ekipa, w całym gmachu funkcjonariusze roili się jak mrówki: widoczny gołym okiem stan alarmu. Na górze byliśmy jeszcze przez chwilę razem. Zaraz pootwierały się z lewa i prawa drzwi i padła jasna instrukcja:

— Pani Mikołajewska tu, pan Adam tam, pani Anka na prawo.

— To nie jest pani Mikołajewska, tylko pani Mikołajska,

to dla was nie żadna pani Anka, tylko pani Anka Kowalska, a ja jestem pan Adam Michnik! — krzyknął Adaś z furją, z tą samą furją pocałował mnie w rękę, gdy za Haliną już zamykano drzwi, i zdążyłam go pogłaskać po twarzy. Zaraz znaleźliśmy się tyłem do siebie, on prowadzony w jedną stronę, ja w drugą, i tyle go widziałam przez następne dwa i pół miesiąca, na jakie wsiąkł w areszcie.

Myślałam wtedy oczywiście, że wszyscy idziemy za kratki. Z tą myślą przesiedziałam długie godziny tego dnia w pomieszczeniu z wielu biurkami i jednym cywilem. Ciągnął się podobny do innych seans, z którego pamiętam przede wszystkim moje własne znużenie. Cywil chyba niczego ode mnie nie chciał, tylko żebym przyznała, że jechałam do Krakowa i że na uroczystości żałobne po Staszku. Ja bym mu to nawet potwierdziła, bo przecież nie robiliśmy z naszego wyjazdu tajemnicy, ale zatrzymano nas we troje i nie czułam się w prawie mówić czegokolwiek, co można by traktować jak zeznanie dotyczące przecież nie tylko mnie. Cywil prorokował mi jakąś nędzną przyszłość, ktoś wchodził i wychodził, mijano południe, popołudnie, wieczór. Zapadały pewno z oporami decyzje, kogo aresztować, kogo puścić. Mnie ciemnym już wieczorem puszczono.

Dopiero wtedy wpadłam w popłoch. Co się dzieje? Ilu z nas ocalało? Czy w ogóle „jesteśmy”?

Pierwszy napotkany w tej nieznannej mi dzielnicy automat był nieczynny. Jakichś pijaków spytałam o inny — nie wiedzieli. Znalazłam, działał: u Jacka nie odpowiadał nikt, u Lipskich podniosła słuchawkę Maruta, ale mnie nie słyszała. Nikt za mną nie szedł. Byłam bliska panicznego lęku, że tylko ja jedna mam niebo nad sobą zamiast więziennego pułapu; to znaczyło, że coś powinnam robić, ale co?

Droga do domu — koszmar, panika, kompletny chaos w mózgu. Przez kontrast z tym, co się we mnie działo, zapamiętałam parkę zakochanych w prawie pustym tramwaju. Patrzyłam na ich splecione ręce jak na dziwowisko. Dziewczyna miała czerwoną torebkę.

W domu rzuciłam się na telefon. Odezwała się Grażyna Kurniowa. Wróciła przed chwilą z jakiejś komendy. Zatrzymali ją na dworcu z Jackiem i Maćkiem, tamtych nie ma, wzięli też Jana Józefa Lipskiego, i jego syna Jana Tomasza, i córkę Asię, Naimskiego, i Halinę, która wcześniej puszczona z komendy na Żytnej powędrowała z uporem na pociąg, i dalej sypały się nazwiska, bo na dworcu była po prostu łapanka.

Jeszcze później parokrotnie rozmawialiśmy tej nocy z Grażyną podając sobie napływające do nas nazwiska zatrzymanych. Niektórzy wyszli jeszcze nocą po przesłuchaniach, na przykład Halina. Wszystko zapisywałyśmy skrupulatnie. Przynajmniej to było wiadome: trzeba natychmiast zebrać wszystkie możliwe dane o wszystkich zatrzymanych, każdym aresztowaniu.

W ciągu najbliższych dni będę zapisywała dziesiątki nazwisk zatrzymanych, sankcje prokuratorskie, paragrafy zarzutów, dane z łapanek w Krakowie, Warszawie, Łodzi, Wrocławiu, Radomiu, Poznaniu. Wyglądało na to, że dokonano tą branką zupełnie zasadniczych spustoszeń. Paraliż: ludzie, drukarze, łączność, sam KOR zdziesiątkowany.

Pamiętam swego rodzaju żal, że nie znalazłam się jak wielu innych za kratkami. Nie dlatego oczywiście, że chciałam tam być, tylko że tak było ciężko, tak nas było mało do roboty, i tak bardzo nie wiedziałam, co mam teraz robić. Co powinnam. Co w ogóle mogę. Z kim. Rozumiałam, że ci w aresztach robią właśnie to jedyne, co mogą: siedzą. Żadnego wyboru, żadnego innego zadania.

A jeśli na coś czekają, to na to, że coś zrobię ja. To znaczy tacy jak ja: nieliczni z nas, którzy zostali na wolności. A podczas pierwszej nocy tych rozmyślań nawet jeszcze nie wiedziałam, którzy.

Anka KOWALSKA

Tadeusz PAWŁOWICZ

PIERWSZY ROK WOJNY (I)

(Fragment wspomnień)

L A T O 1 9 3 9

W czerwcu 1939 roku zakończyłem pomyślnie w Szkole Głównej Handlowej (SGH) w Warszawie długą serię kolokwiów i egzaminów, zamykając w ten sposób pierwsze lata studiów. Czułem się wolny i szczęśliwy. Rodzice umożliwili mi wyjazd

na kilka miesięcy do Anglii, celem ugruntowania znajomości angielskiego. Miałem udać się w tę podróż z początkiem lipca, ale kilka tygodni przedtem okazało się, że w lipcu muszę pojechać na cztery tygodnie na obóz Legii Akademickiej, który był obowiązujący pod dwóch latach przeszkolenia. Chcąc nie chcąc musiałem odłożyć wyjazd do Anglii na początek sierpnia.

Tuż przed wyruszeniem na obóz Legii miałem okazję pójść na piękny bal korpusu dyplomatycznego w Pałacu Łazienkowskim; bilet otrzymałem od jednej z moich licznych kuzynek. Wspominam o tym wydarzeniu, ponieważ pozostawiło we mnie niezatarte wspomnienie. Pogoda była cudowna, park Łazienkowski jako tło dla rześście oświetlonego pałacu, girlandy i festony w alei na wyspie, wieczorowe stroje pań oraz wyfraczeni panowie i wojskowi w galowych mundurach, wszystko to stwarzało widok jak z bajki. Zapewne podobnie wyglądał ten uroczy zakątek Warszawy za czasów króla Stasia.

Kilka dni później byłem na zabitej deskami, głuchej wsi wołyńskiej w pobliżu Ostrogu przy granicy sowieckiej. Miejscem naszego zakwaterowania była wielka wieś ukraińska Mizocz. Czas mijał nam na różnych ćwiczeniach terenowych, a głównie na kopaniu rowów, które podobno miały osuszyć jakieś zabagnione łąki. Do naszych obowiązków — sprawiających nam zresztą dużą przyjemność — należało organizowanie częstych ognisk obozowych dla miejscowej ludności. W programie zawsze były chóralne śpiewy, deklamacje, tańce i wesołe skecze. Te ogniska cieszyły się dużym powodzeniem. Na czas pobytu na tym obozie przypadła rocznica moich urodzin i to ważnych, bo właśnie kończyłem 21 lat, czyli dochodziłem do pełnoletnia i mogło się wydawać, że cały świat stoi przede mną otworem. To samopoczucie mąciły wiadomości, świadczące, że sytuacja międzynarodowa staje się coraz bardziej zagmatwana i niepewna. W dniu urodzin zaprosiłem większe grono kolegów do jedyne go we wsi sklepiku, na tyłach którego była jakaś weranda i kwietnik. Tam zamówiłem u właścicielki lokalu ogromną porcję jajecznicy z kiełbasą i szereg skrzynek piwa. Ze piwa było dużo może świadczyć fakt, że trzy czwarte klombu, przed którym biesiadowaliśmy zostało udekorowane wtykanymi wkoło pustymi butelkami. Nastrój był beztroski i nie zdawałem sobie sprawy, że będzie mi dane przeżyć jako już formalnie dojrzałemu mężczyźnie tylko sześć tygodni prawdziwie szczęśliwego życia.

Po powrocie z Wołynia i kilku dniach spędzonych w Warszawie pojechałem do Gdyni, gdzie jak zwykle zatrzymałem się u mego wuja Władysława Gieysztor w jego pięknie położonej

willi na Kamiennej Górze. W kilka dni później odpłynąłem na frachtowcu M/S Lech do Londynu. Jedzenie na statku było wyśmienite, pogoda dopisywała, a miły kapitan Prokulski starał się, aby jego nielicznym pasażerom na niczym nie zbywało. „Lech” przybił do brzegu na Tamizie w pobliżu Tower Bridge. Po wyładowaniu pojechałem od razu do Weybridge w hrabstwie Surrey, położonego o niespełną godzinę drogi od Londynu. W tym uroczym miasteczku zamieszkałem u emerytowanego nauczyciela szkolnego Mr. Harry Cecil Wilsona. Całymi dniami toczyły się konwersacje z gospodarzem, jego synem i ich licznymi znajomymi. To był właśnie główny cel mojej podróży. Ze dwa razy wybrałem się do Londynu, aby trochę obejrzeć miasto, które wtedy jeszcze istotnie robiło wrażenie stolicy świata i raz pojechałem do Oxfordu na zaproszenie Tili Wańkowiczówny, koleżanki z lat szkolnych, która tam przebywała w podobnych jak moje celach. Podpisanie paktu Ribbentrop - Mołotow spadło jak grom z jasnego nieba. Gazety przepelnione były wiadomościami na ten temat i chyba dopiero z tą chwilą zaczęło się odczuwać u Anglików obawę przed zbliżającą się burzą.

Aby jednak zorientować się lepiej, jak wygląda faktyczna sytuacja, już w piątek 25 sierpnia wybrałem się do Londynu do naszego konsulatu generalnego, mieszczącego się na Portland Place. Przyjęli mnie tam dwaj młodzi urzędnicy, Zbigniew Janik i Andrzej Kamieniecki. Z tego co mówili natychmiast zrozumiałem, że sytuacja jest niezmiernie napięta, a jeśli tak, to moja decyzja jest prosta. Muszę natychmiast wracać do Polski, aby tam od razu zgłosić się do wojska. Moi rozmówcy, z którymi podzieliłem się tą błyskawiczną decyzją, uważali, że zrealizowanie tego projektu może okazać się bardzo trudne i nie wiedzieli, co mi poradzić. W toku rozmowy przypomniałem sobie, że przecież mam list polecający od mego wuja do konsula generalnego Karola Poznańskiego. Dałem więc sekretarce ten list i poprosiłem o widzenie z jej szefem. W sekretariacie zapanowało duże zdziwienie, gdy dr Poznański kazał natychmiast prosić mnie do siebie. Wszedłem do dużego gabinetu. Już po kilku pierwszych zdaniach poczułem dużą sympatię do mojego rozmówcy. W czasie tej wizyty została zadzierzgnięta pierwsza nić przyjaźni pomiędzy mną, młodym studentem, a tym starszym o pokolenie, wyższym urzędnikiem naszej służby zagranicznej. Inteligentny, dowcipny, prostolinijny, gorący patriota, umiał słuchać i widać było, że interesuje się swoim rozmówcą i jego problemami.

Konsul Poznański pochwalił mnie za motyw decyzji natychmiastowego powrotu do Polski, ale oświadczył, że nie jest pewien, czy zdążę ten projekt zrealizować. „Bo proszę pana —

powiedział wskazując jednocześnie ręką na aparat radiowy stojący na bocznym stoliku — wybuch wojny może zostać obwieszony tą drogą w każdej chwili”. Nie mogę zaprzeczyć, że ta wiadomość, wypowiedziana przez tak poważnego i doskonale poinformowanego człowieka, zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Nim zdążyłem dość do siebie, konsul ciągnął dalej: „Przedostanie się obecnie z Anglii do Polski jest sprawą bardzo trudną. Przejazd przez Niemcy jest dla obywateli polskich zamknięty, Morze Północne jest zaminowane. Zapewne łatwiej będzie można przedostać się przez Bałkany, ale to bardzo okrężna i długa droga”. W mojej obecności konsul zatelefonował do naszego *attaché* morskiego, komandora Stoklasy, który potwierdził wiadomość o zaminowaniu części Morza Północnego, dodał jednak, że jest ono wciąż otwarte dla statków skandynawskich. Stało na tym, że mam się zgłosić u konsula tego samego dnia o czwartej po południu, a on tymczasem postara się zorganizować moją podróż. Wychoząc z gabinetu konsula zauważyłem, że coraz więcej osób zaczyna gromadzić się w konsulacie dla zasięgnięcia przeróżnych rad i pomocy. Wśród tych osób spostrzegłem Tili Wańkowiczównę, która dowiedziawszy się o moich planach wymogła na mnie, abym idąc następnym razem do konsula zabrał ją ze sobą.

Gdy po południu zjawiliśmy się ponownie w konsulacie, znów bez czekania dostałem się do dr. Poznańskiego. Przedstawiłem moją towarzyszkę i jej prośbę. Trasa już była ustalona — następnego dnia w południe odchodził statek duński z Harwich do Esbjergu, portu na zachodnim wybrzeżu Danii. Konsulat miał załatwić nam wizy duńskie i bilety, po odbiór których mieliśmy się zgłosić w konsulacie następnego ranka i następnie od razu jechać pociągiem do Harwich. Żegnając konsul zobowiązał mnie, żebym z każdego kolejnego portu czy miasta wysyłał do niego krótkie sprawozdania z podróży, na wypadek, gdyby mieli z tej samej trasy korzystać inni rodacy. Serdecznie dziękowaliśmy konsulowi za pomoc, a on życzył nam bezpiecznej drogi.

Tego samego wieczora, po powrocie do Weybridge, poinformowałem mego gospodarza o decyzji natychmiastowego powrotu do Polski i następnego dnia wczesnym rankiem wyruszyłem w drogę. W konsulacie w Londynie spotkałem się z Tili, odebraliśmy nasze paszporty z wizami duńskimi oraz bilety na statek i już razem pojechaliśmy do Harwich. Następnego dnia pod wieczór dopłynęliśmy do Esbjergu, skąd wygodnym pociągiem po paru godzinach dojechalśmy do Kopenhagi. Następnego ranka, czyli w poniedziałek 28 sierpnia, zaczęliśmy się dowiadywać o możliwości dalszej podróży. W poselstwie od razu nam wyjaśniono, że przewidywana możliwość dalszej podróży LOT-em wprost do

Gdyni lub statkami GAL-u odpada, gdyż wszelka bezpośrednia komunikacja z Polską jest przerwana i zasugerowano nam, by pojechać do Sztokholmu skąd jest daleko więcej możliwości dostania się do Gdyni. W konsulacie szwedzkim, do którego udaliśmy się po wizy, wyłoniła się nowa trudność. Szwedzi obawiali się, że w wypadku gdyby komunikacja pomiędzy Sztokholmem a Gdynią również została przerwana, możemy utknąć w Sztokholmie jako niewygodni uchodźcy. Uzależnili więc wydanie wiz od uzyskania najpierw wiz fińskich, estońskich i łotewskich, które umożliwiłyby nam odbycie dalszej podróży drogą lądową. Rozpoczęła się więc bieganina po konsulatach, co zajęło sporo czasu, tak że z Kopenhagi do Sztokholmu przyjechaliśmy dopiero rano 30 sierpnia. Ten ostatni odcinek podróży odbyliśmy już w liczniejszym gronie rodaków, wśród których byli głównie studenci i studentki z SGGW, którzy odbywali letnie praktyki rolne w Danii.

W naszym poselstwie w Sztokholmie dowiedzieliśmy się, że tego samego dnia w godzinach popołudniowych odpływa mały statek estoński do Tallina, gdzie od razu został zarezerwowany przejazd dla całej naszej grupy. Pozostało jeszcze trochę czasu na zwiedzanie miasta i doskonałe drugie śniadanie. Wkrótce po wyjściu z portu rozszalał się bardzo silny sztorm, który trwał przez całą noc. Nasz mały, stary stateczek, pływający jeszcze przed 1914 rokiem pod flagą carskiej Rosji, zgrzytał i trzeszczał niemiłosiernie, tak iż chwilami zdawało się, że się rozpadnie. Następnego ranka wszyscy chodzili bladzi i wymęczeni. W Tallinie wyładowaliśmy się dopiero po południu. Był to czwartek 31 sierpnia. Ponieważ kilka osób z naszego towarzystwa nie mogło jeszcze przyjść do siebie po ostatniej burzliwej nocy, zanim poszliśmy do poselstwa, postanowiliśmy zamówić pokoje w centralnie położonym, ładnym hoteliku. Ja osobiście miałem jeszcze inny powód, dla którego chciałem odwlec dalszy wyjazd. Bardzo ogólne wiadomości jakie do nas docierały nie wskazywały na to, że wojna ma się rozpocząć lada godzina. Nie chciałem więc, aby po powrocie do Warszawy śmiano się ze mnie, że spanikowałem i niepotrzebnie skróciłem swój pobyt w Anglii.

Sekretarz poselstwa, Józef Tyszka, był jednak zupełnie innego zdania. Gdy w imieniu całej naszej grupy zacząłem mu tłumaczyć, że panie z naszego grona są bardzo wymęczone nieprzyjemną podróżą i że byłoby wskazane, ażebyśmy przynajmniej na jedną noc pozostali w Tallinie, spojrzał na mnie znacząco i poprosił, abym poszedł z nim do innego pokoju, gdzie moim oczom ukazał się dziwny widok. Zobaczyłem tam paru urzędników i woźnych, pośpiesznie niszczących lub ładujących do skrzyń archiwa posel-

stwa. Jednocześnie Tyszka uprzejmie wyjaśnił, że widocznie nie orientuję się, jak groźna jest sytuacja i że jeden nawet dzień zwłoki może uniemożliwić nam powrót do Polski. Więcej zatem nie oponowałem, kiedy wysłano woźnego dla zakupienia biletów dla całej naszej grupy na nocny pociąg do Rygi.

KAMPANIA WRZEŚNIOWA

Wczesnym rankiem 1 września 1939 roku przyjechaliśmy do stolicy Łotwy. Okazało się, że najbliższy pociąg do polskiej stacji granicznej w Turmontach odchodzi o 3-ciej po południu. Po zjedzeniu śniadania wyszliśmy na miasto. Pogoda była piękna, ciepło i słonecznie. Dla zabicia czasu pojechaliśmy autobusem nad morze. Było cicho, spokojnie i nic nie wskazywało na to, że stosunkowo niedaleko od nas w tym samym czasie rozgrywała już straszliwa wojna. Dopiero gdy po powrocie do miasta wchodziliśmy na stację kolejową, zauważyliśmy duży ruch i ogólne podniecenie. Sprzedawano dodatki nadzwyczajne, głoszące, że w dniu dzisiejszym, we wczesnych godzinach rannych Polska została zaatakowana przez ogromne armie niemieckie na całej długiej granicy polsko-niemieckiej i że samoloty niemieckie bombardują polskie miasta. Pociąg, do którego wsiedliśmy był już wyładowany po brzegi. Większą część pasażerów stanowili polscy sezonowi robotnicy rolni, którzy na pierwszą wiadomość o wojnie chcieli jak najszybciej dotrzeć do swoich oddziałów wojskowych.

Nastroje były podniosłe, wysoce patriotyczne. W wielu przedziałach śpiewano wojskowe piosenki. Około godziny 10-tej wieczorem 1 września przekroczyliśmy polską granicę. Mała stacyjka w Turmontach była zaciemniona, policjanci mieli założone bagnety na karabinach. Ponieważ mój bilet kolejowy był ważny tylko do granicy, a złotych nie miałem, więc skierowałem się do biura wymiany, które jednak było zamknięte. Kasjer przy okienku skierował mnie do komendanta posterunku policyjnego, urzędującego w sąsiednim budynku. Gdy zreferowałem mu mój problem, przyjrzał mi się i zapytał, czy jadę do wojska. Gdy przytaknąłem, przyjaźnie doradził: „No to niech Pan stara się jechać na gapę”. Z tą chwilą ostatecznie zdałem sobie sprawę, że to naprawdę musi być wojna.

Posłuchaliśmy rady policjanta i zajęliśmy wygodny przedział pierwszej klasy. Drugiego września rano dojechaliśmy do Wilna. Pierwszy nalot lotniczy przeżyliśmy na stacji w Grodnie; po przejechaniu mostu na Niemnie pociąg stanął. Samoloty niemieckie

wciąż krążyły nad nami. Raptem nastąpiła ogromna eksplozja, po niej druga, trzecia i szereg następnych. Okazało się, że Niemcy zdołali trafić w duży skład z amunicją przy bocznicy kolejowej, która w tym miejscu odchodziła na Augustów. Te eksplozje przedstawiały niezwykle widok, więc nie namyślając się otworzyłem drzwi od przedziału w którym siedziała Tili i zawołałem: „Bierz swoją Laicę i zrób zdjęcie”. Nie trzeba było jej tego dwa razy powtarzać, zerwała się z miejsca i podbiegła z aparatem do okna. Po dłuższym postoju pociąg ruszył i wkrótce dojechaliśmy do stacji Sokółka. Znowu postój. Raptem otwierają się drzwi przedziału, jeden z pasażerów wprowadza za sobą patrol żandarmerii i dramatycznym gestem wskazując na Tili oświadcza: „To ona”. Żandarmi o nic nie pytają, tylko każą Tili zabrać swoje rzeczy i iść z nami. Staram się wytłumaczyć żandarmom całą sprawę, mówię że jest to córka znanego pisarza, że jeśli chcą, mogą zabrać film z ostatnio zrobionym zdjęciem itd. Nie zwracają na mnie uwagi, a gdy próbuję za nimi wyjść na peron, zatrząskują mi drzwi przed nosem. Pociąg rusza. Czuję się bardzo niewyraźnie i już zaczynam przemyśliwać, w jaki sposób zawiadomię o tym pana Melchiora. Incydent ten zakończył się jednak szczęśliwie. Następnego dnia Tili dojechała do domu zdrowa i cała.

Około południa pociąg nasz wtacza się na dworzec w Białymstoku. Na sąsiednim torze stoi transport wojskowy wypełniony sprzętem łączności. Obsługa w pełnym bojowym rynsztunku. Rozpoznaję znajomą twarz — to Jurek Miedziński. Wychylam się przez okno i przeprowadzamy krótką rozmowę. Jadą w kierunku Prus Wschodnich. Jurek prosi, abym po przyjeździe do Warszawy odwiedził jego matkę i opowiedział o naszym spotkaniu. Żegnamy się serdecznie. Pociąg rusza. Do mojego przedziału wchodzi dwóch studentów węgierskich wracających do Budapesztu z letniej praktyki na Łotwie. Są wyraźnie zdenerwowani i całkowicie zagubieni. Proszą mnie, abym się nimi zaopiekował po przyjeździe do Warszawy. Pociąg wleczę się niemiłosiernie długo. Dopiero około północy jesteśmy u celu naszej podróży. Dworzec Główny zapełniony ludźmi, większość to świeżo zmobilizowani jadący do swoich jednostek. Dwaj Węgrzy kurczowo się mnie trzymają. Wychodzimy na zupełnie zaciemnione Aleje Jerozolimskie. Z trudem łapię taksówkę i proszę kierowcę, aby cudzoziemców odwiózł pod adres, który posiadają. Wręczam Węgrom adres domu moich rodziców i zapraszam, aby przyszli na obiad, który zwykle w niedziele jemy w szerszym gronie rodzinnym o 2-giej po południu. Jest właśnie pamiętna niedziela 3 września, za kilka godzin Anglia i Francja przystąpią do wojny.

Szczęśliwie udaje mi się złapać drugą taksówkę, która wiezie mnie na ul. Dantyszka na Kolonii Lubeckiego. Ledwie taksówka zatrzymała się spostrzegam, że mimo bardzo spóźnionej godziny, przed naszym domem stoi mój ojciec, który jak się okazało pełni właśnie służbę w ochronie przeciwlotniczej. Ojciec jest zaskoczony moim nieoczekiwanym przyjazdem. Idziemy do mieszkania, gdzie następują serdeczne powitania z całą najbliższą rodziną. O czwartej nad ranem kładę się, aby złapać parę godzin snu. Wczesnym rankiem idę z moim starszym bratem Bolkiem do Wańkowiczów, aby przekazać im wiadomość o kłopotach Tili. Następnie jadę do Komendy Uzupelnień (KU) zgłosić się na ochotnika do wojska. Tu następuje wielkie dla mnie rozczarowanie, bo informują mnie, że zanim rozpoczną się zapisy ochotnicze, minie kilka tygodni. W duchu pytam się siebie, po co się tak bardzo śpieszyłem z powrotem do Warszawy. Moje rozważania szybko jednak idą w niepamięć w świetle błyskawicznie toczących się dalszych wydarzeń. Ledwie wyszedłem z biura KU, przechodnie na ulicy wzajemnie się informują, że Anglia właśnie przystąpiła do wojny. Wielu ludzi kieruje się na Nowy Świat, aby manifestować przed ambasadą brytyjską. Ja, naturalnie, też. Przed gmachem ambasady jest wielki tłum. Wiwatom nie ma końca. Był to ostatni raz, kiedy na ulicach Warszawy oglądałem tyle szczęśliwych i roześmianych twarzy.

Raptem przypominam sobie, że na niedzielny obiad zaprosiłem dwóch Węgrów, więc szybko wracam do domu, aby się nie spóźnić. Istotnie zjawiają się punktualnie. W szerszym gronie zasiadamy do obiadu. Mówi się jedynie o wydarzeniach z ostatnich paru godzin. W pewnej chwili moja matka swoją piękną francuszczyzną wznosi toast, aby wojna potoczyła się dla nas jak najpomyślniej i aby hitlerowskie Niemcy zostały jak najszybciej pokonane. Wszyscy obecni spełniają toast z wyjątkiem dwóch węgierskich gości, którzy ostentacyjnie odsuwają napełnione kieliszki. Całkowite zaskoczenie i konsternacja. Szczęśliwie obiad dobiega już końca. Wstaję pierwszy od stołu i wyprowadzam bezczelnych gości do przedpokoju, gdzie pośpiesznie się z nimi żegniam. Zapewne byli to Niemcy zamieszkali na Węgrzech, którym najwyraźniej nie brakowało tupetu.

Poniedziałek, 4 września. Rano odprowadzam Władkowi Gięsztorowi, starszemu bratu mojej matki, jego auto do hotelu Bristol i przeprowadzam z nim dłuższą rozmowę na temat naszych planów na najbliższą przyszłość. Następnie idę do p. Janiny Miedzińskiej, aby poinformować ją o moim spotkaniu z jej synem Jurkiem sprzed dwóch dni. Wieczorem na prośbę płk. Umiastow-

skiego, z którym Bolek nawiązał kontakt, zaczynamy przeprowadzać nasłuch radi francuskiego i BBC. Zaskoczony jestem, że tak podstawowe czynności są w ten sposób improwizowane.

Wtorek, 5 września głównie poświęcony jest wizytom i rozmowom dotyczącym bieżącej sytuacji. Robimy również zapasy żywnościowe. W najbliższym sklepie Braci Pakulskich artykuły spożywcze nikną w oczach.

Środa 6 września. Z błyskawiczną szybkością rozchodzi się apel w sprawie opuszczenia miasta przez mężczyzn. Coraz więcej znajomych wyjeżdża, czy też wyjechało już z Warszawy. W ciągu ostatnich miesięcy mój ojciec pracował w zarządzie fabryki Braci Konopackich w Mostach pod Grodnem, zajmującej się dużymi dostawami dla przemysłu wojskowego i w związku ze sprawami tej fabryki ojciec tam wyjeżdża. Żegnamy się, nie zdając sobie sprawy z tego, że nigdy się więcej nie zobaczymy. Następnie z Bolkiem, Marianem i Ireną Gieysztorami, Tadzkiem Rudzkim oraz z przyjaciółmi z gimnazjum — Jerzym i Janem Strzeleckimi i z Kotem Dowbór-Muśnickim, pieszo, przez zatłoczony most Poniatowskiego wychodzimy z Warszawy. Zaczyna się gehenna. Powoli oddalamy się od miasta, nad którym widać łuny pożarów wznieconych przez ostatnie naloty. W nocy docieramy do szpitala wojskowego w Otwocku, którego komendantem jest nasz wuj, płk Stefan Rudzki, znany lekarz warszawski, były legionista i peowiak. Na noc jesteśmy rozlokowani w wygodnych łóżkach szpitalnych.

Czwartek 7 września. Rano, po naradach co do dalszej trasy, wynajętymi furkami, a nawet na jakimś dalszym odcinku i konnymi dorożkami, pchamy się na południe przez Garwolin, Łuków, Kock do Parczewa. Jesteśmy naocznymi świadkami i sami uczestniczymy w tej makabrycznej ewakuacji. Szosy zatłoczone do niemożliwości. Wciąż powstają zatory. Do Łukowa docieramy bezpośrednio po ciężkim nalocie. Pożary, duże straty w ludziach. W nocy dojeżdżamy do przepełnionego gośćmi majątku pp. Krasowskich, Pieszkiej Woli pod Parczewem.

Piątek, 8 września. Okazało się, że jest tam już Władysław Gieysztor z rodziną, który postanawia jechać do Wilna. Przy pożegnaniu wciska mi do kieszeni tysiąc złotych na czarną godzinę. Rozchodzi się wiadomość, że prezydent miasta Warszawy, Stefan Starzyński, nawołuje przez radio, aby mężczyźni wracali do miasta, gdyż stolica będzie się bronić. Bolek decyduje się od razu. Powrót do coraz silniej bombardowanej i szybko wyludnia-

jącej się Warszawy, której całkowite oblężenie miało się rozpocząć lada dzień, wymagał dużego samozaparcia i odwagi. Nie było wielu, gotowych taką decyzję podjąć. Marian Gieysztor i ja postanawiamy jechać dalej, aby za wszelką cenę dostać się do wojska. W najbliższej wiosce zakupujemy używane rowery i rozjeżdżamy się w różnych kierunkach. We Włodawie w miejscowym pułku nie przyjmują nas do wojska, jedziemy więc dalej. Nocujemy w stodole na drodze do Chełma.

Sobota, 9 września. Do Chełma docieramy bezpośrednio po nalocie. W miejscowym garnizonie nie przyjmują ochotników. Noc spędzamy na ławkach w jakiejś sali szkolnej.

Niedziela, 10 września. Cały dzień jedziemy bocznymi drogami w kierunku Uściługa. Błogosławimy nasze rowery, ale jesteśmy zmęczeni i bardzo głodni. W jakimś bardziej dostatnio wyglądającym gospodarstwie uprzejma gospodyni godzi się zabić i ugotować nam kurę w rosole. Tam też zostajemy na nocleg.

Poniedziałek, 11 września. Przejeżdżamy Bug i dobijamy wreszcie do Włodzimierza Wołyńskiego. Meldujemy się w miejscowej KU i o dziwo dostajemy wojskowe przydziały. Marian Gieysztor, który w 1920 roku służył jako ochotnik w artylerii przeciwlotniczej, otrzymuje przydział do miejscowego ośrodka artylerii, a ja do 21-go pułku piechoty im. Lisa Kuli. Jemy pożegnalny obiad i rozjeżdżamy się do swoich oddziałów. Potem wielokrotnie bardzo żałowałem, że daliśmy się rozdzielić, Marian był bowiem niezwykle miłym i pogodnym towarzyszem.

Przy bramie koszar pokazuję wartownikowi skierowanie z KU i w chwilę później melduję się w dowództwie. Pierwszy rzut pułku jest już na froncie, ale w koszarach ruch, gdyż tworzy się obecnie parę kompanii marszowych.

Wtorek, 12 września. Dzień w koszarach. Przedziergam się w żołnierza, a więc cel, dla którego przed kilkunastu dniami opuszczałem Londyn, jest uwięziony powodzeniem. Dostaję umundurowanie i jestem przydzielony do jednej z kompanii marszowych.

Środa, 13 września. Naloty samolotów niemieckich na koszary. Alarmujące wieści o zbliżaniu się Niemców i jednocześnie brak jakichkolwiek rozkazów. Ponieważ wciąż nie mamy uzbrojenia, zaczynają się dyskusje, co powinniśmy robić dalej. Dziwne, że żołnierze sami muszą o tym myśleć. Jest już noc, kiedy za zgodą paru podoficerów włamujemy się do magazynów, z których pobieramy nowiutką broń, amunicję i granaty.

Czwartek, 14 września. Właściwie prawie nic nie wiemy, co dzieje się na świecie. Dochodzi jedynie wiadomość, że Niemcy starają się sforsować Bug pod Uściługiem. Najpierw zaczynają się przygotowania do obrony koszar. Szybko jednak następuje zmiana decyzji, w wyniku której zajmujemy pozycje na pobliskich polach, gdyż artyleria niemiecka zaczyna wstrzeliwać się w koszary. Od czasu do czasu pojawiają się nad nami niemieckie samoloty, do których z zapałem strzelamy z karabinów, naturalnie bez żadnego skutku. Tak mija cały dzień.

Piątek, 15 września. Toczą się zacięte walki pod Uściługiem. My wciąż jesteśmy w koszarach bez jakichkolwiek rozkazów i prawie bez komendy. Z zapadnięciem nocy front się zbliża. Konnymi furkami zaczynamy dowozić amunicję na linię frontu. Dochodzi wiadomość, że natarcie niemieckie zostało powstrzymane i że Niemcy cofnęli się, zostawiając po sobie kilkanaście zniszczonych czołgów. Wielka radość. Zaczyna świtać, kiedy mój oddział otrzymuje rozkaz ewakuowania zarekwirowanych chłopskich koni. Każdy z nas dostaje dwa-trzy konie bez uprzęży ze sznurami na szyjach. Kolumna posuwa się dosyć szybko, więc staramy się dosiąść naszych rumaków. Nie jest to proste, zwłaszcza, że trzeba tego dokonać w czasie marszu kolumny. Próbuje wielokrotnie, ale za każdym razem, kiedy usiłuję wskoczyć na grzbiet jednego z moich koni, karabin, który mam zawieszony na plecach uderza mnie silnie w głowę i oszołomiony opadam na ziemię. Wreszcie ktoś podbiega i pomaga mi wgramolić się na grzbiet chudej szkapcy.

Sobota, 16 września. Posuwamy się w kierunku Kowla. Jedziemy bez zatrzymania. Brak siodła coraz bardziej daje mi się we znaki. Po paru godzinach takiej jazdy zarządzony jest postój w lesie. Z bólem zsuwam się z konia i kompletnie wyczerpany siadam na ziemi. Byłem tak zubożniały, że wiele czasu minęło zanim zorientowałem się, że siedzę w mrowisku. Ożywiłem się dopiero na wiadomość, że kuchnia polowa wydaje posiłek. Po pewnym czasie dostajemy rozkaz powrotu do koszar we Włodzimierzu. Znowu rozpoczyna się jazda na oklep. W pewnym momencie zjeżdżamy z drogi na rozmokłą łąkę, środkiem której płynie jakaś rzeczka. Trzeba napoić konie. Jeden za drugim wjeżdżamy do wody. W momencie, gdy moje trzy konie zaspokajały pragnienie spostrzegłem, że koń idący luzem po mojej lewej stronie zaczyna się zapadać w błoto. Ciągnę go rozpaczliwie, ale to nie pomaga i koń zapada się coraz głębiej. Koledzy krzyczą, żebym puścił biednego konia, gdyż inaczej sam wraz z koniem, na którym siedziałem, zostanie wciągnięty do trzęsa-

wiska. Sytuacja z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej krytyczna, gdyż ja nie mogę rozwiązać postronków. Wreszcie zdołał podjechać do mnie z boku jakiś kapral, który bagnetem przeciął sznur łączący mnie z koniem, którego chwilę później wchłonęła niewinnie z pozoru wyglądająca rzeczka. Mało brakowało, by ten sam los i mnie spotkał.

Niedziela, 17 września. Wracamy do naszych koszar we Włodzimierzu. Kompletna dezorientacja i brak jakichkolwiek wiadomości. Zapada noc, ale w obawie przed nalotami nie wolno nam spać w budynkach koszarowych. Musimy siedzieć na trawie. Nadchodzi burza połączona z ulewnym deszczem, przed którym szukamy schronienia w oranżerii. Tam w środku nocy przychodzi wiadomość, że Rosjanie uderzyli od wschodu.

Poniedziałek, 18 września. Wczesnym rankiem następuje wymarsz z Włodzimierza jednego czy dwóch batalionów w stronę Uściługa, gdzie jeszcze przed dwoma dniami toczyły się zacięte walki z Niemcami. Po przejściu paru kilometrów zostaje zarządzony postój w lesie. Dowódca pułku płk Gawlik wygłasza pięknie pełne emocji przemówienie o zaatakowaniu nas z dwóch stron. Ponieważ wskutek tego sytuacja stała się beznadziejna, proponuje nam, że kto chce, może wracać do domu pozostawiając broń. On sam, z tymi którzy z nim pozostaną będzie próbował przebić się pod Lwów, gdzie broni się gen. Sosnkowski. Zapanaowała niezmiernie długa cisza. Wreszcie występują pierwsi i składają broń. Moment niezwykłego napięcia i wzruszenia. Pozostaje nas stu kilkudziesięciu, dozbieramy się w dodatkową amunicję i granaty, tyle ile kto może zabrać, staramy się zniszczyć pozostałą broń i maszerujemy dalej na Uściług. Tam czeka nas pierwszy obstrzał ze strony Ukraińców. Most na Bugu jest zniszczony, więc przeprawiamy się tratwami na drugą stronę rzeki i forsownym marszem idziemy do Horodła. Na nocleg zakwaterowujemy się w dużej stodole.

Wtorek, 19 września. Rano do naszego oddziału przyjeżdża gen. Sawicki, zastępca dowódcy D.O.K. Lublin i wygłasza krótkie przemówienie mniej więcej w tym duchu: Niemcy się cofnęli po stratach, jakie im zostały zadane, kiedy forsowali Bug; Rosjanie podobno również cofnęli się na linię graniczną, a w naszym mieście garnizonowym, Włodzimierzu, Ukraińcy maltretują ludność polską, której musimy bronić.

Marsz powrotny rozpoczynamy w podniosłym nastroju, śpijąc „Pierwszą Brygadę”. Po drodze zatrzymujemy wszystkich idących luzem na zachód żołnierzy z różnych jednostek. Pod-

jemy im najnowsze pomysły wiadomości i namawiamy, aby łączyli do naszego oddziału, który powiększa się z godziny na godzinę. Znowu przeprawiamy się przez Bug, tym razem w kierunku wschodnim, już jako spory, z kilkuset ludzi złożony oddział. W Uściługu wita nas silny obstrzał ukraiński. Posuwamy się dalej na Włodzimierz. Jestem w straży przedniej złożonej z paru rowerzystów. Z pobliskiego pola obstrzelują nas i to w sposób coraz bardziej dokuczliwy. Dostaję rozkaz spenetrowania tego terenu. Po krótkiej wymianie strzałów zza kupy kamieni wyłania się dwóch chłopów ukraińskich z podniesionymi rękami. Rewiduję ich pośpiesznie i trzymając ich na muszce karabinu, podprowadzam na drogę do mojego dowódcy. Zanim dotarliśmy do Włodzimierza doszło do paru dalszych utarczek z Ukraińcami. W koszarach skonani walimy się na prycze.

Środa, 20 września. W środku nocy budzi mnie jakiś dziwny ruch na sali. Okazuje się, że nasze koszary, w których znajduje się około 2.000 ludzi, zostały otoczone przez czołgi bolszewickie. Zaczynają się pertraktacje dowództwa z Rosjanami. Generał Smorawiński, najstarszy oficer naszego zgrupowania, wobec braku środków do walki przyjmuje warunki kapitulacji. W siedem miesięcy później będzie on wraz z innymi oficerami kapitulującymi we Włodzimierzu zamordowany w Katyniu (E. Podhorska, *Zeszyty Historyczne*, nr 69/1984).

Przed główną bramą koszar widzę po raz pierwszy czołgi bolszewickie, a na nich, lub obok, dziko wyglądające postacie o wybitnie mongolskich rysach. Dostajemy rozkaz złożenia broni z jednoczesnym zapewnieniem, że będziemy mogli swobodnie zejść się do domów. To są warunki uzgodnione z naszym dowództwem. Ustawiamy się w dwie kolumny, jedna złożona z tych, którzy pochodzą z miejscowości położonych po wschodniej stronie Bugu, druga, do której i ja się przyłączam, to ci którzy chcą iść na zachód. Gdy już stoimy w szeregach, raptem rozchodzi się wiadomość, że jeśli przy kimś bolszewicy znajdą jakieś przedmioty kompromitujące, a do takich są zaliczane szczyryki, żyłki, mapy itp., to ich posiadacze mogą mieć nieprzyjemności. Raz jeszcze otrzymujemy zapewnienie, że jesteśmy wolni, ale dla dokonania ewidencji musimy przejść w kolumnie, zdaje się znowu do Uściługu. Opuszczamy koszary i bocznymi drogami obchodzimy Włodzimierz. Gdy dochodzimy do głównej szosy, na której widać tłumy cywilów i wiele furek konnych, pojawia się nagle duża ilość żołnierzy sowieckich. Dostajemy rozkaz zejścia na przydrożne pole. Tam nasza kolumna zostaje błyskawicznie otoczona przez Rosjan, jednocześnie pojawiają się ich auta pancer-

ne. Zanim zdołaliśmy się otrząsnąć z pierwszego wrażenia cały nasz oddział, teraz już pod silną eskortą sowiecką skierowany zostaje z powrotem do Włodzimierza. Mówi się w szeregach, że we Włodzimierzu ma się dokonać rejestracja i że tam zostaniemy rozpuszczeni. Ale w miasteczku się nie zatrzymujemy. Na ulicach już widać cywilów, przeważnie o silnych semickich rysach, z czerwonymi opaskami na rękawach. Wychodzimy na szosę idącą na wschód, w kierunku Łucka i idziemy nią aż do zmroku. Gdy zapadł zmrok, spędzono nas na wilgotną łąkę, na której mamy spędzić noc. Broniąc się przed chłodem zbijamy się w gromadki, oczekując świtu.

Czwartek, 21 września. Bez jedzenia kontynuujemy dalszy marsz na wschód. Na szosie straszny kurz, męczy pragnienie. Ci z początku kolumny proszą baby z przydrożnych zabudowań o wodę. Baby taskają kubły, ale nikomu nie jest dane zaspokoić pragnienia. Nasi konwojenci bowiem kopnięciami buciorów rozlewają wodę uważając to za świetny kawał. Na jednym z chwilowych postojów próbujemy pić błotnistą wodę przez chusteczki z przydrożnych rowów. Coraz mniej jest dowodów, że nasi „opiekunowie” mają w stosunku do nas przyjazne zamiary. Ale w szeregach krążą dziwnie uparte plotki, że w Łucku na pewno zezwolą nam się rozejść. O dobrych intencjach Rosjan mają nas utwierdzać transparenty pozawieszane na wojskowych pojazdach sowieckich, które mijają nas w tumanach kurzu i które głoszą, że wkroczyli oni na tereny Polski jako nasi sprzymierzeńcy.

Forsowny marsz trwa. Głód i koszmarnie pragnienie wzmagają się w godzinach popołudniowych. Jeden z oficerów, starszy wiekiem, wysuwa się z szeregów i siada w przydrożnym rowie. Żołnierz sowiecki podchodzi do niego i szturchając go bagnetem nasadzonym na karabin doradza mu, aby dołączył do kolumny. Oficer tłumaczy, że nie ma siły i że mu już wszystko jedno. W tym momencie mijam go. I nagle za sobą słyszę suchy odgłos strzału. Konwojent zlikwidował opornego.

W jednym z dalszych szeregów dostrzegam pierwszego znajomego. Jest nim Stefan Ukleja, dawny kolega szkolny, obecnie w mundurze podchorążego artylerii. Witamy się, zaczynam jego i paru innych namawiać do ucieczki, ale chętnych trudno znaleźć, bo to jest prawie niewykonalne. Myślimy, aby wskoczyć pod jeden z mijanych mostków, których jest sporo na bagnistym terenie. Ale konwojenci idą blisko jeden koło drugiego, obok samochody pancerne, a na wieżyczkach karabiny maszynowe. W jednej z wiosek, przez które przechodzimy, stoi kilka otwartych aut, a w nich kobiety w mundurach NKWD. Siły coraz bardziej nas

opuszczają i coraz częściej w szeregach widać słabszych ciągniętych przez towarzyszy.

W pewnym momencie czuję, że i ja słabnę. Dwóch kolegów chwytą mnie pod ręce. Uwieszony na ich szyjach wlokę się z kilometr czy dwa. Znowu dochodzę do siebie i wtedy odwdzięczam się innym, którzy potrzebują pomocy. Wreszcie nadchodzi noc i znowu postój w polu. Minęło ponad dwa dni od chwili, kiedy mieliśmy coś w ustach.

Piątek, 22 września. Ledwo zaczęło świtać, ruszamy w dalszą drogę. Podobno jesteśmy już niedaleko Łucka. Coraz większe pragnienie oraz coraz większe niepokojące uczucie, że człowiek słabnie z godziny na godzinę. Wreszcie wkraczamy do miasta. Prowadzą nas głównymi ulicami, na których tłumy uchodźców i cała miejscowa ludność. Wygląd nasz najwidoczniej robi na nich wstrząsające wrażenie. Kobiety płaczą, cywile rzucają nam papierosy. W pewnej chwili słyszę, że ktoś z tłumu woła mnie po nazwisku i stara się do mnie zbliżyć. Poznaję mojego kolegę z SGH — Nowickiego. Soldat nie pozwala nam nawet zamienić paru słów. Już za miastem, przed koszarami, kolumna zatrzymuje się. Dostajemy rozkaz, aby wszyscy szeregowi przeszli na lewą stronę drogi, a oficerowie zostali na miejscu. Po chwili jesteśmy rozdzieleni silnym kordonem żołnierzy sowieckich. W ten sposób zostałem odseparowany od paru oficerów, z którymi się po drodze zbliżyłem. Żał mi było zwłaszcza towarzystwa jednego kapitana artylerii, niestety nazwiska już nie pamiętam, z którym się przyjaźnie rozmawiało w czasie poprzednich kilku dni. Nie namyślając się więc długo podchodzę do młodego oficera rosyjskiego i na oczach innych zaczynam mu tłumaczyć swoistą ruszczyzną, że ja jako „praporszczyk” powinienem przejść do grupy oficerów. Ten popatrzył mi długo w oczy i kiwnął ręką, abym szedł za nim. Gdy odeszliśmy kilkanaście kroków, szeptem powiedział mi, że bym nie był głupi i został wśród szeregowych, gdzie na pewno będzie mi lepiej. Powiedziawszy to szybko się oddalił, a ja wracając do szeregu zastanawiałem się, co to miało znaczyć. Dopiero w kilka lat później dowiedziałem się, że kilka nazwisk oficerów, z którymi wspólnie odbyłem marsz z Włodzimierza do Łucka, znalazło się na listach wymordowanych w Katyniu.

Zostajemy zamknięci w koszarach. Ludność miejscowa przez płot sprzedaje nam żywność. Wśród tłumu cywilów pojawia się kolega Nowicki. Odszukał mnie, wepchnął mi przez płot coś do jedzenia i szepnął, że powinienem za wszelką cenę nawiać, gdyż na pobliskiej bocznicy przygotowane są wagony kolejowe, które mają nas wieźć na Szepietówkę i dalej do Rosji. Wręczył mi też

kartkę ze swoim adresem w Łucku: ul. Orzeszkowej 4. Powiedziałem o tym od razu kilku towarzyszom niedoli, namawiając ich do ucieczki. Moi rozmówcy jednak bali się i nie chcieli uwierzyć w te wiadomości, wciąż łudząc się, że nas rozpuszczą, więc po co ryzykować. Zacząłem badać teren na własną rękę. Poszedłem na tyły koszar, gdzie mieściły się domki rodzin podoficerskich i tam, przez jakieś ogródki warzywne, a potem gęste krzaki zacząłem się przedzierać myśląc, że w ten sposób niepostrzeżony przez nikogo wyjdę na szczyre pole. Gdy wreszcie przedarłem się przez jakieś pokrzywy i krzaki, stanąłem jak wryty. Dosłownie o kilkanaście kroków ode mnie znajdowała się grupa żołnierzy rosyjskich, a trochę dalej kilka samolotów wojskowych. Szybko zawróciłem z tego prowizorycznego lotniska.

Włączyłem się po koszarach oglądając bramy wyjściowe, ale wszędzie stały silne posterunki sowieckie i gorliwi milicjanci lokalnego chowu. Bardzo już zmęczony przysiadłem na kamieniu niedaleko bocznego wyjścia, przy którym stało kilku strażników. Było południe. W pewnym momencie przyniesiono im kubek z zupą. Siedli o kilkanaście kroków od bramy, wyciągnęli menażki, a zza cholew wysokich butów łyżki i zaczęli się posilać. Podszedłem do nich skuszony zapachem ciepłego jada i poprosiłem, aby i mnie coś dali. Pozwolili zaczerpnąć z garnka. Przysiadłem na kamieniu i zacząłem pałaszować wojskową kartoflankę. W trakcie jedzenia nagle spostrzegłem, że jakiś Rosjanin podszedł do furtki, otworzył ją i wyszedł na ulicę. To mnie zafascynowało. Odstawiłem swoją blaszankę z zupą i korzystając z tego, że grupa strażników wciąż jeszcze jada i była zaabsorbowana rozmową, podszedłem do furtki. Udawałem, że załatwiam pewną funkcję fizjologiczną, jednocześnie upewniając się, czy furka w wysokim płocie istotnie da się łatwo uchylić. Gdy próba dała pomyślny rezultat, raz jeszcze zerknąłem na moich strażników, którzy wciąż jeszcze wcinali kartoflankę. Nie namyślając się długo, znalazłem się po drugiej stronie furtki na jakiejś bocznej, zupełnie pustej uliczce, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się drewniane płoty. Nie był to pomyślny obrót sprawy. Liczyłem pierwotnie, że od razu wmieszam się w tłum przechodniów, a tymczasem zupełnie sam stanowiłem doskonały obiekt do strzału. Ale nie myślałem się cofać. Zacząłem iść w stronę bardziej ruchliwej ulicy. Czułem zimno chodzące mi po plecach, podejrzewając, że przecież za chwilę wyskoczą zza furtki żołnierze i spreparują mnie na miejscu. Najwidoczniej jednak nie przewidzieli oni takiej bezczelności z mojej strony, bo nadal spokojnie jedli kartoflankę. Ja natomiast, udając spokój, dotarłem do szerokiej przecznicy i wmieszałem się w tłum przechodniów.

Szczęśliwie ulica Orzeszkowej była bardzo niedaleko, więc mimo że byłem w mundurze, dobrnąłem pod podany adres, niezaczepiany przez nikogo. Niezwykłym zbiegiem okoliczności okazało się, że jest to domek pp. Brzezickich, rodziców mego kolegi z Legionu Młodych. Po wyjaśnieniu skąd się wziąłem i widząc w jakim opłakanym stanie się znajduję zaproszono, abym się przespał na kanapce w saloniku. Spać jednak nie mogłem, gdyż czułem straszny głód. Dopiero po dwóch godzinach poproszono mnie na obiad, jeden kotlet miał mi wystarczyć. Już nie bardzo wiem, dlaczego nie dostałem cywilnego ubrania, a tylko późnym wieczorem wraz z innym kolegą wojskowym, przez różne opłotki i tory kolejowe, zostałem przeprowadzony przez miejscowego chłopaka do domku innych starszych państwa. Tam podobno miało być bezpieczniej, bo daleko za miastem, a w Łucku już zaczęło pracować NKWD. W czystym, małym pokoiku od razu z moim nowym towarzyszem ułożyliśmy się do snu.

Z ŁUCKA DO WARSZAWY

Sobota, 23 września. Od naszych gospodarzy chcieliśmy kupić ubrania, których kilka wisiało w szafie, w pokoju, w którym nocowaliśmy. Nie chcieli się jednak zgodzić, tłumacząc, że to ubrania syna, który lada dzień może wrócić z wojska do domu, a kupić nowych zapewne przez długi czas nie będzie można. Pożyczylimy więc tylko jakieś cywilne kurtki i z nowym kolegą poszliśmy na miasto zorientować się w sytuacji. Na ulicach wielu uchodźców z centralnej Polski i ogromna ilość sowieciarzy w lichych mundurach. Na stacji informują nas, że w ciągu najbliższych dni zapewne żaden pociąg nie odjedzie na zachód z powodu zerwanych torów, zniszczonych mostów, a przede wszystkim z braku wiadomości, gdzie przebiega linia demarkacyjna pomiędzy armiami niemiecką i sowiecką. W sklepach pustki. Zaszedłem do szewca, by naprawić but. Odmówił zapłaty w złotych, więc musiałem mu dać parę papierosów — „Junaków”, jeszcze z zapasu wojskowego.

Radzą nam, aby się nie kręcić zbytnio po mieście, gdyż Rosjanie z pomocą miejscowej milicji zaczynają wyłapywać przybyszów. Wracamy do domu i postanawiamy następnego dnia o świcie wyruszyć piechotą na zachód. Dochodzą nas wiadomości, że Warszawa jeszcze się broni.

Niedziela, 24 września. Nie mogąc kupić na miejscu żadnych cywilnych łachów, postanowiliśmy popełnić „nikczemny” krok

i po prostu gwizdnąć pożyczone cywilne kurtki, liczyliśmy na to, że wojskowe bryczesy niezbyt rzucają się w oczy. Naszym miłym starszynom oświadczyliśmy, że wyruszamy bardzo wczesnie rano i dlatego żegnamy się z nimi z wieczora, żeby nie zrywali się ze snu. Z pierwszym brzaskiem wymknęliśmy się z domu, pozostawiając im wojskowe bluzy w zamian za bardzo już sfatygowane, ale cywilne kurtki. Ranek był śliczny, droga wiodąca na północ w stronę Kowla zupełnie pusta. Weszliśmy w las i po parogodzinny marszu zaszliśmy do leśniczówki, aby czegoś się napić. Zastaliśmy tam smutną scenę, szlochające kobiety i dzieci. Powiedziały nam, że leśniczego i jeszcze kilku mężczyzn aresztowano poprzedniego dnia i wywieziono, ponieważ byli polskimi osadnikami. Poszliśmy dalej i w pewnym miejscu natknęliśmy się na tory kolejowe przecinające drogę, a na torach bardzo długi zestaw wagonów towarowych. Szybko się decydując wskoczyliśmy na bufory wolno toczącego się pociągu. Nim jednak zdołaliśmy się wygodnie usadowić, ze zgrozą zobaczyliśmy tuż nad nami lufy armatnie i żołnierzy rosyjskich z pepeszami. Zanim nas spostrzegli, wyskoczyliśmy i pomaszzerowaliśmy dalej. Dobrnęliśmy wreszcie do małego miasteczka Rożyszcze. Na głównej ulicy brama tryumfalna witająca armię sowiecką i sporo milicjantów z czerwonymi opaskami na rękawach. Ponieważ uważnie zaczęli się nam przyglądać, więc aby wzbudzić ich zaufanie i wykazać naszą niewinność, sam pierwszy zwróciłem się do najbardziej natarczywie nam się przypatrującego i zapytałem, czy nie wie, kiedy ma odejść pociąg do Kowla. Odpowiedział, że owszem wie i żebyśmy za nim szli. Wprowadził nas do budynku szkolnego i oświadczył, że musimy otrzymać przepustki, bez których nas nie wypuszczą w dalszą drogę. Cała sprawa zaczęła się wikłać jeszcze bardziej, kiedy zostaliśmy doprowadzeni przed oblicze samego komisarza. Był nim młody Żyd z czerwoną gwiazdą w klapie. Zaczęło się regularne przesłuchanie. Wydawało mi się, że wszystko idzie nieźle, gdy raptem na zapytanie, kim jest mój ojciec, oświadczyłem, że ma sklep spożywczy w Warszawie. A gdzie się ten sklep mieści, padło następne pytanie. Na rogu ul. Skorupki i Marszałkowskiej, odpowiedziałem bez zająknięcia. Wtedy komisarz przerwał, powiedział, że kłamię, gdyż on sam jest z Warszawy i wie, że żadnego sklepu kolonialnego w tym miejscu nie ma, więc ja na pewno jestem studentem, na pewno należałem do ONR-u, biłem Żydów itd. Musiałem widocznie tak silnie i przekonywująco na to zareagować, że facet chyba uwierzył i po pewnej chwili wahania kazał puścić mnie i mego towarzysza.

Na stacji kolejowej stał jakiś pociąg towarowy idący na północ. Umieściliśmy się na podłodze w rogu jednego z zatłocz-

nych wagonów. Pociąg istotnie ruszył. Podróż nie trwała zbyt długo, ale była interesująca. Obok nas siedziała grupa chłopów ukraińskich i komentowała nowopowstałą sytuację. Jak się zorientowałem, jechali po odbiór koni zarekwirowanych im w czasie mobilizacji. Pomyślałem, że może to konia jednego z nich przed tygodniem nieszczęśliwie zatopiłem. W toczącej się rozmowie nie wyrażali zbyt dużej obawy z powodu wkroczenia bolszewików, a raczej przeciwnie, w ich głosach brzmiała nuta satysfakcji. Jeden z nich wyraził to dobitnie, że przynajmniej teraz będzie można swobodnie „Lachów rezać”. Nigdy tych ponurych i zaciętych twarzy nie zapomnę.

Na przestrzeni kilku godzin miałem dwa namacalne dowody, jakie plony zaczyna wydawać nieszczęśliwa polityka mniejszościowa, propagowana przez endecko-narodową część polskiego społeczeństwa.

Na jakiejś przecznicy kolejowej wyskoczyliśmy z pociągu, a niedługo potem nadszedł inny, idący w kierunku nam odpowiadającym, to znaczy na Kowel. Był to zestaw wagonów pasażerskich, ale tak bardzo przeładowany, że nawet drzwi otworzyć nie było można. Odbyliśmy więc resztę drogi do Kowla na stopniach, co nie było zbyt przyjemne, gdyż zimny deszcz siekł w oczy, a ręce grabiąły od trzymania żelaznych poręczy.

Niedziela, 24 września. Pod wieczór dojechaliśmy do Kowla. Dworzec ucierpiał od nalotów bombowych w sposób bardzo widoczny. Wszystkie szyby wybite, straszny chłód. Duży tłum ludzi czekający na pociągi. Mowy nie ma, aby dostać coś do zjedzenia. Od stacji obawiamy się oddalić, gdyż podobno w mieście łapią, a poza tym wciąż krążą wieści, że ma wkrótce odejść pociąg do Chełma. Raptem robi się zamieszanie i oto przez główną salę dworcową przechodzi długa kolumna naszych lotników pod silną strażą sowiecką. Czekają na nich pociąg, który odchodzi na wschód. Na wszystkich robi to duże i niezmiernie przygnębiające wrażenie. Śpimy na siedząco na ławkach w poczekalni i strasznie marzniemy.

Poniedziałek, 25 września. Zorientowawszy się, że na żaden pociąg liczyć nie można, gdyż po prostu nie ma żadnej komunikacji na zachód, ruszamy w dalszą drogę pieszo. Kierujemy się na Bug. Uzbrajamy się w duże kije, gdyż podobno Ukraińcy zaczepiają. O ile pamiętam, idziemy w trójkę. Wybieramy jakieś boczne, polne drogi, gdyż na głównych drogach stoi wojsko. Zatrzymujemy się w chałupach, aby kupić coś do zjedzenia.

Przyjmują nas niechętnie, przeważnie są to Ukraińcy. Pod wieczór zatrzymujemy się na nocleg u wiejskiego nauczyciela, Polaka. Są gościnni i serdeczni, ale sami widać wiele nie mają. Krążą różne fantastyczne wiadomości. Warszawa wciąż się broni, podobno zniszczenia są straszne. Utwierdzam się w decyzji, że zanim ewentualnie pójde dalej na Węgry, najpierw muszę wracać do domu.

Wtorek, 26 września. Przez cały dzień idziemy wzdłuż toru kolejowego. Szosami iść niebezpiecznie, pytać o drogę też nie jest wskazane, bo ludność miejscowa raczej niechętna. Poza tym we wsiach i miasteczkach grasuje czerwona milicja, przeważnie Żydzi. Idziemy wzdłuż torów kolejowych, tu przynajmniej zupełnie pusto, gdyż żadne pociągi nie chodzą i zabłądzić nie można. Na noc ryzykujemy zatrzymanie się w chłopskiej chałupie. Spoglądają na nas nieufnie, ale okazuje się że to Polacy i powoli nastrój się poprawia, zwłaszcza gdy z wielkiego czarnego sagana stojącego na piecu zaczyna się rozchodzić znakomity zapach barszczu, do którego stara gospodyni — ku mojemu przerażeniu — wlewa całą butelkę octu. Ale ten barszcz i kartofle z okrasą smakują wyśmienicie. Śpimy na ławach biegnących wzdłuż ścian całej izby.

Środa, 27 września. Ruszamy w dalszą drogę wzdłuż torów kolejowych. Naokoło karłowate laski i błota. Pogoda się popsuła i mży bez przerwy drobny deszcz. Raptem widzimy stojący na torze pociąg towarowy, wypełniony ogromnymi maszynami w drewnianych skrzyniach, przy nim żadnych ludzi. Dalej kilka następnych pociągów ze sprzętem artyleryjskim. Potem szereg nowiutkich Pulmanów pierwszej i drugiej klasy z fabryki Cegielskiego w Poznaniu. Pustka zupełna. Wchodzimy do środka, szyby powybijane, pasy skórzane i siedzenia powycinane nożami. Siedzimy i wypoczywamy. Ani żywej duszy, robi to niesamowite wrażenie, a poza tym serce się kraje widząc ten wielomilionowy dobytek państwowy, który dostanie się niedługo w sowieckie łapy. Idziemy wzdłuż tego taboru kolejowego jakieś kilkanaście kilometrów i wreszcie dochodzimy do rzeki — to Bug. Most kolejowy oczywiście zniszczony. W pobliżu widzimy kilka łódek i chłopów przy nich manipulujących. Godzą się nas przewieźć za jakąś opłatą. W trakcie przeprawy na drugą stronę rzeki rozmowa z właścicielami łódek nie klei się. Dowiadujemy się tylko, że Rosjanie są też i na zachód od Bugu. Na pewno w Chełmie, który jest następnym najbliższym celem naszej wędrówki.

Idziemy dalej wzdłuż toru. Wciąż pochmurno i deszczu śnie. Jesteśmy już bardzo wymęczeni i głodni. Przychodzi mi

na myśl, aby zająć do majątku Serebryszcze, własności rodziców Felka Lechnickiego. Serebryszcze, o ile pamiętam, są położone o kilka kilometrów od Chełma. Dopytuję się jak tam trafić i okazuje się, że jesteśmy bardzo blisko. Po pewnym czasie z wysokiego nasypu kolejowego widać z dala biały dwór, do którego biegnie boczna droga wysadzana drzewami. Przedostajemy się na nią i zdążamy w stronę dworu. Cieszę się z góry, że może zastanę Felka i innych bliższych znajomych i że dowiem się wreszcie czegoś o tym, co się dzieje w świecie. Od dwóch tygodni obracam się jedynie wśród przypadkowo spotkanych ludzi. Przysiadamy się na przygodną chłopską furkę jadącą w stronę dworu. Woźnica przygląda się nam uważnie i wreszcie zapytuje, czy przypadkiem nie jesteśmy kolegami młodego Lechnickiego. Potwierdzam. Wtedy chłop informuje, że we dworze są Rosjanie, że przed dwoma dniami aresztowano Felka i jego ojca senatora Lechnickiego i że obu wywieziono do więzienia w Chełmie. Doradza nam, abyśmy nie szli do dworu, gdyż to jest niebezpieczne. Dziękujemy za radę, z ciężkim sercem zwracamy na tory kolejowe i brniemy dalej pieszo.

Droga się ciągnie w nieskończoność. Wreszcie dochodzimy do stacji kolejowej w Chełmie. Na torach przed samą stacją stoi długi pociąg towarowy, a w nim pełno polskich wojskowych. Mówią nam, że to pierwszy pociąg, który ma zaraz odejść w kierunku Lublina i że tylko wojskowi mają prawo nim jechać. Ucieszeni wskakujemy do jednego z wagonów i czekamy na odjazd. Pociąg jest już wypchany wojskowymi i coraz więcej sowiciarzy z karabinami zaczyna się kręcić wokół niego. Budzi to nasze podejrzenia. Rozpoczynają nas liczyć i każą nie opuszczać wagonów. To nam wystarcza, wymykamy się z wagonu na stację, gdzie ludzie upewniają nas, że ten transport ma iść na wschód i że Rosjanie zaczynają wyłapywać w mieście żołnierzy w mundurach i pod eskortą odprowadzają do pociągu. Kluczając wydostajemy się ze stacji, korzystamy z tego, że nasz strój jest już na wpół cywilny. Dochodzimy do centrum miasta. Zaczynamy się rozglądać za noclegiem, który wreszcie znajdujemy. Jakież miłe kobiety dają nam jeść i informują o sytuacji. W Lublinie są Niemcy i żadnej komunikacji na zachód nie ma; linia demarkacyjna między Rosjanami i Niemcami jest płynna, przebiega gdzieś w połowie drogi między Chełmem i Lublinem. Podobno miejscowi Żydzi organizują konne transporty na zachód. Dostajemy odpowiedni adres i idziemy tam, aby się zorientować w możliwościach. Ściemnia się, ale w dzielnicy żydowskiej tłumy na ulicach, wielkie podniecenie, przyciszone rozmowy. Wchodzimy na podwórze domu, gdzie rzekomo organizuje się transport. Istotnie

stoi tam duży wóz, a na nim szereg ławek. Odjazd ma nastąpić następnego dnia wcześniej rano. Wpłacamy zadatek i rezerwujemy miejsca, po czym wracamy na kwatery i walimy się do snu.

Czwartek, 28 września. Wczesnym rankiem idziemy na miejsce odjazdu tego staroświeckiego wehikułu. Już wielu pasażerów siedzi na wozie. Ładujemy się i my, towarzyszy podróży coraz to przybywa. Z przerażeniem patrzę, jak całe to towarzystwo udźwigną dwa wybiedzzone koniki. Wreszcie ruszamy i pierwsze kilometry mijają dosyć szybko. Potem jednak konie idą coraz wolniej. Przed każdą górką schodzimy z wozu, aby im ulżyć. Wreszcie stajemy na dobre. Okazuje się, że dalej nie wolno jechać, na drodze są jakieś ruchy wojska. Podobno Niemcy są w pobliskiej miejscowości Piaski. Rozchodzi się wiadomość, że w Lublinie Niemcy przeprowadzają masowe aresztowania. Moi towarzysze, którzy chcą się dostać do Krakowa, decydują się obejść Lublin od południa, a ja z nowo poznanym studentem Politechniki Warszawskiej postanawiamy iść pieszo bocznymi drogami na Parczew. Nauczeni doświadczeniem idziemy nadal bocznymi drogami, które są jak wymarłe. Nie spotykamy żadnych oddziałów wojskowych, ani sowieckich, ani niemieckich. Zbliża się wieczór. Znowu poszukiwanie noclegu, który znajdujemy w wiejskiej chałupie.

Piątek, 29 września. W dalszej wędrówce kierujemy się do majątku pp. Krassowskich Piesza Wola. Drogi nadal zupełnie puste, co robi niesamowite wrażenie. Miejscowa ludność zupełnie zdezorientowana. Nie było tu jeszcze ani Niemców, ani Rosjan. Jesteśmy o kilkanaście kilometrów od Piesznej Woli. Zasięgamy języka i okazuje się, że i tam są Rosjanie; ludzie radzą nam, aby się w tym kierunku nie pchać. Jeszcze raz więc rezygnuję z wygodnej bazy. Omijamy Parczew od zachodu i posuwamy się na północ. Znajdujemy nocleg w chacie sołtysa. Dowiadujemy się, że przed dwoma dniami miały miejsce w pobliżu utarczki między Niemcami i oddziałami polskimi, które następnie skryły się w lasach.

Sobota, 30 września. Przez cały dzień trwa forsowny marsz po bezpiecznym terenie. Postanowiliśmy tego dnia dobić do Łukowa, gdzie dobrnęliśmy dobrze po zmroku. Pada deszcz, zimno, uliczki zupełnie wyludnione, wszędzie drzwi i okna zaryglowane, więc nigdzie nie można się dostać. Wreszcie spostrzegamy aptekę, do której dobijamy się uparcie, myśląc że pod pretekstem potrzeby lekarstw w końcu nas wpuszczą. Istotnie, po długim czekaniu ktoś się odezwał. Powiedzieliśmy, że jesteś-

my żołnierzami, wracamy z wojska i prosimy o nocleg. Kazali nam obejść domek i od tyłu pani aptekarzowa wpuściła nas do obszernej kuchni. Powiedziała, że właśnie nakarmiła kilku oficerów, którzy już śpią na strychu, że nie ma już wiele jedzenia i miejsca, ale nas nie wyprosi. Wyrzebała coś do przegryzienia, a ponieważ byliśmy zmoknięci, dała nam do napicia się po dwa kieliszki bardzo słodkiej wiśniówki. Następnie poprowadziła na stryszek, skąd już rozchodziło się chrapanie pierwszej grupy przybyszów. Przy świeczce odszukaliśmy wolne miejsca do spania. Nie udało mi się jednak przepędzić tej nocy spokojnie. Dwa kieliszki wypitej wiśniówki na wymęczony i wygłodzony organizm spowodowały, że całą noc chorowałem jak po największym pijaństwie.

Niedziela, 1 października. Rano, podziękowawszy uprzejmym gospodarzom za gościnę, ruszyliśmy w dalszą drogę. Raptem na polnej drodze wyjechał z lasu samochód wojskowy, a w nim kilku polskich oficerów. Nie byli skorzy do rozmów i bardzo się śpieszyli. Powiedzieli nam jednak, że poprzedniego dnia odbywały się na tym terenie ciężkie walki między oddziałami polskimi i niemieckimi, ale nic dokładniejszego nie wiedzą. Pod wieczór robimy postój w chałupie, gdzie dwie miłe i wesołe dziewczyny pitraszą nam zakupioną u nich kurę. Smakuje wyśmienicie. Nasze gospodynie są dosyć rozczarowane, że nie zdradzamy ochoty na amory, że lokujemy się na niewygodnych siennikach i nie korzystamy z niedwuznacznych zaprosin na miękkie piernarty.

Poniedziałek, 2 października. Rano wcinamy jajecznicę, kupujemy po kilka jajek oraz trochę chleba i ruszamy w dalszą drogę na Kock. Z dala dochodzą strzały, które stopniowo stają się coraz częstsze i bliższe. Boczna, piaszczysta droga, którą idziemy prowadzi do lasu. W lesie strzały stają się jeszcze częstsze, a niekiedy słyszymy serie z karabinów maszynowych. Odgłosy te dochodzą raz z jednej, raz z drugiej strony. Zaczynamy się orientować, że właściwie znajdujemy się pomiędzy liniami walczących. Zupełnie nie rozumiemy, co to może oznaczać. Szczęśliwie spostrzegamy w oddali chałupę. Skacząc na przełaj przez błotniste pole z jednej kępy trawy na drugą, dobiegamy do zabudowań gospodarczych, gdzie dowiadujemy się, że w pobliżu od dłuższego czasu trwają walki pomiędzy oddziałami polskimi i niemieckimi. Z podwórka obserwujemy, co się dzieje. Po pewnym czasie zaczynają wyłaniać się sylwetki polskich żołnierzy: biegną wzdłuż grobli i dochodząc do pewnego miejsca podnoszą ręce do góry. Jest tam pozycja niemiecka, która ich rozbraja. Znajdujemy się niedaleko Kocka i jak później się do-

wiadujemy są to oddziały ze zgrupowania gen. Kleeberga, które jeszcze stawiały Niemcom opór. My zaś zupełnie o niczym nie wiedząc spokojnie weszliśmy pomiędzy linie walczących. Postanawiamy dalej się już tego dnia nie ruszać, aby nie nawinąć się Niemcom. Fasuję wreszcie od naszego gospodarza parę starych spodni, które naciągam na wojskowe bryczesy, całkowicie przedzierzgam się w cywila.

Wtorek, 3 października. Wczesnym rankiem, omijając Kock kierujemy się na Garwolin, jakąś większą drogą, na której panuje bardziej ożywiony ruch. Idący nam naprzeciw informują, że Niemcy są tuż tuż przed nami. Właśnie wymija nas kilka furek cygańskich jaskrawo pomalowanych. Ładujemy się na jedną z nich i jedziemy w kierunku linii niemieckich. Istotnie bardzo niedługo potem spostrzegamy idących bokiem drogi kilku Niemców w hełmach i z karabinami gotowymi do strzału. Są to pierwsi Niemcy, jakich widzę z bliska. Czekamy co będzie dalej, ale oni nami się nie interesują. Cyganie zacinają swoje małe koniki, które żwawo biegną kłusem naprzód. Po chwili spostrzegam dłuższą kolumnę Niemców, którzy silnie się ubezpieczając powoli posuwają się naprzód. Potem jedzie motocykl z przyczepką, na której wmontowany jest karabin maszynowy, a potem jest ich coraz więcej i więcej. Nas nie zatrzymują, więc jedziemy dalej, ale coraz wolniej, ponieważ coraz więcej wojska na drodze. Tak dojeżdżamy do jakiegoś skrzyżowania drogi, gdzie zator pojazdów wojskowych uniemożliwia dalszą podróż. Oddział regulacji ruchu działa już sprawnie. Umieszczają drogowaskazy z niemieckimi napisami. Wyrzebujemy się spod cygańskich pierzyn, w które dla bezpieczeństwa głęboko się zakopaliśmy. Dziękujemy Cyganom za przewiezienie nas przez linię frontu i dalej ruszamy znów pieszo. Skręcamy w boczną drogę i zatrzymujemy się na nocleg w małej wiosce. Jest tam wielu podróżnych z różnych stron. Mówią, że Warszawa już padła, że zniszczenia są ogromne, a ofiary w ludziach bardzo duże. Słucham tego wszystkiego ze ściśniętym sercem.

Środa, 4 października. Nasi gospodarze poprzedniego dnia ubili cielaka, a ponieważ według wieści jakie nas dochodzą, w Warszawie panuje już głód, kupuję kilka funtów mięsa, które gospodyni gotuje, aby w dalszej drodze się nie zepsuło. Ruszamy. Przechodzimy przez Garwolin, przez który — tylko w odwrotnym kierunku — wiodła nasza droga, jeszcze tak niedawno, po wyjściu z Warszawy. Miasteczko jest strasznie zniszczone bombardowaniami i pożarami. Dalej na szosie do Warszawy duży ruch w obie strony. Wielu wracających do miasta, ale rów-

niez sporo idących na wschód. Wśród tych ostatnich dużo twarzy żydowskich. Po obu stronach szosy mogiły poległych. Na małych kopcach zatknięte hełmy polskie, ale wiele też jest i mogił niemieckich. Wśród idących z tobołkami lub plecakami szukam znajomych twarzy. Spostrzegam dawnego kolegę gimnazjalnego Wiśniewskiego z rodzicami. Wymieniamy skromny zasób wiadomości, jaki posiadamy i idziemy dalej. Spieszy mi się bardzo, gdyż chcę jak najszybciej przekonać się osobiście, co dzieje się z najbliższymi. Nie mamy najmniejszego pojęcia, jak ostatecznie dobrniemy do Warszawy, czy nas nie zatrzymają, czy pozwolą wejść do miasta, no i wreszcie co tam znajdziemy. Już się ściemnia, więc na nocleg zatrzymujemy się w jakiejś szkole, gdzie rozlokowało się już wielu takich jak my podróżnych. Coraz bardziej ponure wiadomości o Warszawie, o niezwykle zaciętych walkach, jakie tam się toczyły, o olbrzymich zniszczeniach i jednocześnie brak jakichkolwiek informacji o spodziewanych przez nas wszystkich walkach naszych aliantów na froncie zachodnim. Tego ostatniego w żaden sposób nie umiemy sobie wytłumaczyć i zrozumieć. Na sali, w której spędzamy noc, okropny chłód, gdyż wszystkie szyby w oknach powybijane i wiatr hula swobodnie.

Czwartek, 5 października. Rano wracamy na szosę. Pokrzepiamy się kawałkiem mięsa z poprzednio zrobionego zapasu, gdyż niczego do zjedzenia nigdzie dostać nie można. Nic w tym zresztą dziwnego, idziemy główną trasą, po której od miesiąca w obie strony przelewają się dziesiątki tysięcy uchodźców i wojskowych. Za sporą opłatą udaje się nam wepchnąć na duży wóz podwożący ludzi w stronę miasta. Już z dala widać czarne chmury po drugiej stronie Wisły. To dymy po wygasających pożarach. Krążą plotki, że wszystkie mosty są wysadzone w powietrze, że przedostać się na drugą stronę rzeki jest niemożliwe, że Niemcy aresztują mężczyzn w wieku poborowym, że Hitler jest w Warszawie itd., itd. Wreszcie dojeżdżamy na Saską Kępe. Dalej idziemy pieszo na most Poniatowskiego. Okazuje się, że most stoi. Dużo kręci się Niemców, ale nas nie zatrzymują. Trzeba posuwać się ostrożnie, gdyż w jezdni są liczne dziury. Ruch kołowy na moście funkcjonuje, ale jest zarezerwowany tylko dla Niemców. Właśnie przejeżdża ciężarówka z głośno śpiewającymi niemieckimi lotnikami. W następnych tygodniach spotykałem sporo takich obrazków. Pokazuje im się, jakiego wspaniałego dzieła zniszczenia dokonali. Most się kończy, wchodzimy w Aleje 3-go Maja. Po prawej stronie zwały gruzów, leżą jeszcze nie sprzątnięte trupy końskie. Ogarnia nas swąd spalenizny, który będzie się czuć przez wiele dni.

Po lewej stronie mijamy Muzeum Narodowe, przynajmniej jedno skrzydło jest wypalone. Serce się ściska na myśl, ile bezcennych eksponatów musiało ulec zniszczeniu. Dochodzimy do skrzyżowania Alei Jeruzolimskich i Nowego Świata. Stary budynek Ministerstwa Komunikacji rozwalony, a jego gruzy zasypują jezdnię do wysokości pierwszego piętra. Budynek BGK wypalony, ale stoi. Po drugiej stronie inny, w którym mieściła się Gastronomia, też stoi, choć widać, że bardzo ucierpiał. Idziemy Alejami Jeruzolimskimi, co chwila spostrzegając jakieś domy zupełnie wypalone, zwały gruzów, wywalone tramwaje. Ludzi sporo, ale jacyś pochyleni i wszyscy bardzo się śpieszący. Podobno w pobliżu Pola Mokotowskiego zniszczenia są jeszcze większe. Gdy to słyszę, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby dom moich rodziców ocalał. Zaczynam się już zastanawiać, dokąd pójdę ich szukać. Układam sobie w myśli adresy znajomych i krewnych, gdzie ewentualnie będę mógł ich spotkać, a przynajmniej otrzymać jakieś wiadomości. Dochodzimy do Marszałkowskiej i tu nasze drogi z moim towarzyszem ostatniego tygodnia się rozchodzą. Wymieniamy w bramie spalonego domu adresy i daję mu kawałek mięsa z zapasów w chlebaka. Dalej idę sam wciąż Alejami Jeruzolimskimi. Koło Dworca Głównego wydaje mi się, że zniszczenia są mniejsze. Hotel Polonia stoi, szpital Omega robi wrażenie zachowanego w dobrym stanie. Idę dalej i Boga proszę, aby zastać wszystkich bliskich w zdrowiu. Przy rogatek Grójeckiej skręcam w lewo na Raszyńską i dochodzę do skrzyżowania z ul. Filtrową. Zaczynam oddychać z ulgą, gdyż widzę, że zniszczeń tutaj — wbrew temu co słyszałem przedtem — jest niezbyt wiele. Ale dalej ul. Raszyńską iść nie można. Żołnierze Wehrmachtu wszystkich zatrzymują i ustawiają w długie ogonki. Okazuje się, że gdzieś w pobliżu kuchni polowe wydają posiłki. Staram się obejść ul. Krzyckiego, ale i tam tłumy i żołnierze. Wreszcie przedostaję się na ul. Dantyszka i widzę, że właśnie przed naszymi garażami stoją kuchnie polowe i żołnierze niemieccy wydają zupełny chleb.

Oglądam się i stwierdzam, że nasz dom oraz wszystkie inne w najbliższym promieniu nie mają na sobie śladów zniszczenia. W żaden sposób nie chcą mnie przepuścić. Wreszcie udaje mi się wytłumaczyć któremuś z żołdaków, że tu właśnie mieszkam i ten bardzo niechętnie, ale się zgadza, bym przeszedł. Na stopniach przed domem spotykam naszą starszkę kucharkę Ewę, z którą serdecznie się witamy. Mówi mi, że moja matka i dziadek są w domu zdrowi i cali. Wbiegam na górę i następuje bardzo radosne powitanie. Niedługo potem przychodzi mój starszy brat Bolek. Opowiadaniom nie ma końca. Od ojca nie ma żadnych

wiadomości od czasu, jak wyjechał na początku września. Mamy nadzieję, że dotarł do Wilna, gdzie mieszka wielu naszych znajomych i krewnych. Zrzucam z siebie brudne łachy i dokonuję skomplikowanych ablucji, lejąc na siebie kubły zimnej wody, gdyż dopływ gazu i wody nie funkcjonuje.

Tylko jeden miesiąc minął od czasu kiedy wyszedłem z Warszawy, a ile się przez ten miesiąc zmieniło. Trudno w to uwierzyć. Nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy z tego, że oto zakończył się bezpowrotnie jeden etap mego życia i że minął dopiero pierwszy miesiąc wojny.

(dalszy ciąg nastąpi)

Tadeusz PAWŁOWICZ

Władysław MINKIEWICZ

WSPOMNIENIA (I) 1939 - 1954 *

WSTĘP

Jest rzeczą znaną, że Polacy zbyt późno przystępują do pisania swoich wspomnień. Najczęściej na stare lata, gdy pamięć słabnie, a wielu świadków wydarzeń, którzy mogliby dopomóc w przypomnieniu faktów, nazwisk czy dat, już nie żyje. Tylko czasami zbieg okoliczności sprawia, że autor pamiętnika rozpoczyna swoją pracę w sile wieku, dysponując jeszcze w pełni sprawnym umysłem. Takim zbiegiem okoliczności bywa najczęściej przymusowe odosobnienie, jak np. w przypadku Wincentego Witosa, gdy pisał swoje wspomnienia na emigracji w Czechosłowacji i w przypadku Prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, jeśli chodzi o jego „Zapiski więzienne”.

Dość wcześnie zabrali się do pisania pamiętników czy relacji emigranci polityczni, jak Pragier, Zaremba, Michalewski, Anders,

* Tekst ten zamieszczamy bez zgody i wiedzy autora.

Kot, Dołęga-Modrzewski (Stanisław Kauzik), ale nie zawsze pozwoliło im to ustrzec się od błędów.

Także ja, zmuszony okolicznościami, rozpoczynam pisanie swego pamiętnika zbyt późno, by nie był on wolny od pomyłek. Ograniczony czasem i pracując w niezbyt sprzyjających warunkach, zamierzałem zacząć od końca, to znaczy od opisu mego siedmioletniego pobytu w więzieniach PRL, na Mokotowie, we Wronkach i w Rawiczu, ponieważ uważam, że śledztwo i odbywanie kary w czasach stalinowskich — te najbardziej chyba ponure fragmenty życia w nowej rzeczywistości — nie doczekały się dotąd wystarczającej literatury i są mało znane. Zmieniłem jednak pierwotny zamiar pod wpływem lektury różnych wspomnień i relacji, znalazłem w nich bowiem dość liczne błędy, z których przynajmniej część wymaga sprostowania, oraz luki, które warto chyba wypełnić. Przytoczę tylko kilka przykładów:

Otóż zarówno Stefan Korboński w swej książce „Polskie Państwo Podziemne”, jak i Jerzy Michalewski w swej „Relacji” stwierdzają niemal jednogłośnie, że w Delegaturze Rządu nie było Departamentu Spraw Zagranicznych, a jedynie doradca delegata do spraw zagranicznych, którym był Roman Knoll, przy czym Michalewski twierdzi, niezgodnie z prawdą, że należał on do OZON-u, natomiast Korboński, również niezgodnie z prawdą, dodaje że po ustąpieniu Knolla „z powodu rozdzwięków z Delegatem Jankowskim” funkcję doradcy pełnił Tadeusz Chromecki¹. Rażąca jest ponadto forma, w jakiej podawane są te „wiadomości”: Michalewski pisze — „Jak wiadomo — aparat DR nie posiadał Departamentu Spraw Zagranicznych”, a Korboński nazywa swoją książkę w podtytule „Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”.

Obaj autorzy, pełniący „jak wiadomo” wysokie funkcje w Delegaturze Rządu (byli dyrektorami departamentów), „uśmiercają” cały jeden departament, który formalnie istniał wprawdzie jako sekcja o kryptonimie „Moc”, ale liczył trzydziestu kilku pracowników etatowych, płatnych z funduszków Delegatury. Tym samym autorzy przekreślają beztrósco cały ich trud i narażanie swego życia, bo chociaż było ono niewątpliwie mniejsze niż w przypadku żołnierzy z partyzantki lub z oddziałów dywersyjnych, to przecież i im groziła śmierć z rąk okupanta. Spośród trzydziestu pracowników „Mocy” żyje nas jeszcze chyba nie więcej niż pięcioro.

1. J. Michalewski, „Relacja”, *Zeszyty Historyczne* Nr 25, 1973 (str. 66 i 79); S. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*, wyd. Instytut Literacki, Biblioteka „Kultury”, tom 253, 1975 (str. 51).

Moją relację o istniejącej podczas okupacji sekcji spraw zagranicznych Delegatury Rządu mogliby jeszcze teraz potwierdzić ci, co dotąd żyją, a ponadto sprawozdanie z działalności „Mocy” profesora Wieńczysława Wagnera, złożone Rządowi R.P. w Londynie w 1945 roku i opublikowane w Nrze 73 *Zeszytów Historycznych*, jak również pracownicy BiP-u, utrzymujący kontakty z „Mocą”, profesorowie Stefan Kieniewicz i Aleksander Gieysztor, prezes PAN, na którego prośbę napisałem notatkę dla Zakładu Historii PAN przedstawiającą działalność i pełny skład personalny sekcji spraw zagranicznych, ponieważ Gieysztor uznał, że sprawozdanie Wagnera jest niewystarczające. I wreszcie dobitnym potwierdzeniem powołania do życia oraz istnienia Departamentu Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu z Knollem jako szefem są wspomnienia prof. Jerzego Lerskiego pt. „Emisariusz Jur” (wyd. Polska Fundacja Kulturalna). Lerski, jako wysłannik Rządu RP., przekazał Delegatowi Rządu dezyderat premiera Sikorskiego co do „powołania do życia w podziemiu specjalnego Departamentu Spraw Zagranicznych pod kierownictwem ambasadora Romana Knolla” (str. 72), a z jego relacji o przeprowadzonych później rozmowach z Knollem wyraźnie wynika, że departament ten już działał (str. 102-103 oraz 127-128).

W książce Korbońskiego i w relacji Michalewskiego nie brak i innych pomyłek, ale wspomnę jeszcze tylko o jednej, dość istotnej. Obaj podają, że ostatnim Delegatem Rządu na kraj był Korboński, podczas gdy w rzeczywistości ostatnim Delegatem Rządu był Jerzy Braun ze Stronnictwa Pracy, który objął ten urząd po aresztowaniu Korbońskiego. Spotykałem się też z twierdzeniem, że po Braunie był jeszcze jeden Delegat Rządu, a mianowicie profesor Grzybowski. Wydaje mi się, że nieporozumienie wynika stąd, że Braun był ostatnim delegatem zatwierdzonym przez Rząd R.P. w Londynie.

Jeszcze kilka słów o lukach we wspomnieniach i relacjach z okresu okupacji. Niemal nigdzie nie znalazłem żadnej wzmianki o istnieniu organizacji podziemnej „Towarzystwo Patriotyczne”. Wspomina o niej Stanisław Podlewski w jednej ze swoich książek czy w artykule, a drugim potwierdzeniem jej istnienia jest świadectwo wiceprezesa Towarzystwa Patriotycznego, Konrada Olchowicza, stwierdzające że byłem jej członkiem, złożone w ZBOWiD-zie. Zaświadczenie to sporządził Olchowicz na moją prośbę, gdyż w chwili kiedy przechodziłem na emeryturę brakowało mi wymaganego ustawą czasu pracy.

W 1985 roku natrafiłem na dwa wyraźne świadectwa o istnieniu Towarzystwa Patriotycznego, a mianowicie we wspomnie-

niach prof. Jerzego Lerskiego „Emisariusz Jur” oraz w recenzji z tejże książki pióra Władysława Bartoszewskiego, zamieszczonej w nr. 71 *Zeszytów Historycznych* pt. „Wierny krajowi”.

Lerski precyzując powierzone mu zadania, które miał wykonać jako wysłannik Rządu R.P. w Londynie, pisze (str. 74-75) o poleceniach od gen. Sikorskiego m.in. do Towarzystwa Patriotycznego, powołując się przy tym na dokumenty Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przechowywane w Instytucie Polskim i w muzeum im. Generała Sikorskiego. O Towarzystwie Patriotycznym wspomina jeszcze dwukrotnie, na stronie 90-tej i na str. 102-103, gdzie zresztą popełnia błąd, twierdząc, iż jego kierownikiem był Roman Knoll, podczas gdy prezesem Towarzystwa był ks. płk Tadeusz Jachimowski, a wiceprezesami Knoll i Konrad Olchowicz.

Natomiast Bartoszewski we wspomnianej wyżej recenzji wymienienia pełny skład władz Towarzystwa Patriotycznego oraz nazwiska prawie wszystkich bardziej znanych jego członków. To samo powtarza w drugim wydaniu swojej książki pt. „1859 dni Warszawy”.

Drugą luką jest sprawa przekazania listów pułkownika Pimienowa, zapraszających na rozmowy Delegata Rządu Jankowskiego i generała Okulickiego. Żadna ze znanych mi relacji z procesu szesnastu i z poprzedzających go rozmów nie rozstrzyga, w jaki sposób te listy dotarły do adresatów. Ponieważ znam dokładnie cały przebieg pierwszych rozmów w sprawie zaproszenia aż do chwili przekazania listów Pimienowa Jankowskiemu i Okulickiemu, zdam z tego relację szczegółową w pierwszej części moich wspomnień. Dodam, że podczas moich dwukrotnych pobytów w Londynie przeglądałem akta z procesu szesnastu w Studium Polski Podziemnej i znalazłem m.in. notatkę żony jednego z pod sądnych, pomawiającą Jerzego Michalewskiego o odegranie jakiejś bliżej niesprecyzowanej, ale dwuznacznej roli w tej sprawie. Michalewski już wówczas nie żył, więc chcąc oczyścić go z krzywdzących pomówień, wyjaśniłem na piśmie, że jego rola ograniczyła się do tego, że przejął ode mnie list do Jankowskiego i dostarczył go adresatowi.

CZĘŚĆ I

OKUPACJA

Moje pierwsze kroki w antyniemieckiej konspiracji były nietypowe. W wiele lat po śmierci mego Ojca Matka moja wyszła

powtórnie za mąż za obywatela szwajcarskiego, dzięki czemu po wkroczeniu Niemców do Warszawy nie obowiązywało ich jedno z pierwszych zarządzeń okupanta o konieczności oddawania radia. Słuchaliśmy więc wszyscy z zapartym tchem audycji z Londynu, Ankary czy „France libre”, nie przestrzegając rzecz prosta niemieckiego zastrzeżenia, że obywatele państw neutralnych mogą wprawdzie mieć u siebie radio, ale nie wolno im słuchać rozgłośni państw wrogich. Już w pierwszych dniach października stałem się pewnego rodzaju „żywą gazetką” podziemną, przekazując uzyskane tą drogą wiadomości możliwie jak najszybciej i jak największej ilości osób. M.in. w każdy czwartek, zaraz po wysłuchaniu komunikatu BBC o godz. 17-tej, spieszyłem z mieszkania mojej Matki przy ul. Smulikowskiego (obecnie Spassowskiego) na pobliską ulicę Konopnickiej na cotygodniowe zebrania u przyjaciela mojego Ojca, Romana Knolla, by podzielić się z uczestnikami tych spotkań najświeższymi wiadomościami. Gośćmi tradycyjnych czwartków w domu państwa Knollów bywali m.in.: ks. płk Tadeusz Jachimowski, minister spraw wojskowych w jednym z przedmajowych gabinetów, gen. Wrocławski, płk Koźmiński, książe Zdzisław Lubomirski, redaktor naczelny *Kuriera Warszawskiego* Konrad Olchowicz i jego redakcyjny kolega, jeden z założycieli „Unii” — Michał Sobański, adwokaci Lucjan Altberg-Laskowski, Jerzy Wroncki i Stanisław Tabisz — działacz ludowy i późniejszy szef Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, drugi ludowiec — Dzendzel, b. dyrektor „Lewiatana”, czołowy działacz „Frontu Morges”, ściśle związany z Centralnym Komitetem Organizacji Niepodległościowych — Tadeusz Sławiński, prof. Lech Niemojewski, dyrektor Instytutu Higieny prof. Przesmycki, redaktor Edmund Moszyński, Mieczysław Rettinger, Aleksander Dębski, byli wojewodowie Piotr Dunin-Borkowski, Stanisław Wachowiak i Władysław Sołtan, szwagier Knolla Edward Witting z żoną, a spośród przedwojennych dyplomatów, dawnych kolegów Knolla: Czesław Andrycz, Tadeusz Chromecki, prof. Emil Kipa, Tadeusz Grabowski, Andrzej Marchwiński, Badeni, Straszewski, Jerzy Warchałowski i Seweryn Eustachiewicz.

Kilkakrotnie przychodzili także: specjalny wysłannik generała Sikorskiego, Ryszard Świętochowski i sekretarz generalny Delegatury Rządu, Jerzy Michalewski.

Na początku 1940 roku Knoll powiadomił mnie o powołaniu do życia organizacji podziemnej Towarzystwo Patriotyczne i wyjaśniwszy, że jej głównym celem jest popieranie polityki generała Sikorskiego, zaproponował mi bym do niej wstąpił. Organizacja dzieliła się na „dziewiątki”, jej prezesem był ks. płk Tadeusz Ja-

chimowski, wiceprezesami — Knoll i Olchowicz, sekretarzami — Edmund Moszyński i ja, a wśród członków znaleźli się m.in. profesorowie Edward Loth, Lech Niemojewski i Janusz Makarczyk, gen. Jan Wroczyński, płk Koźmiński, adw. Wroncki, Adam Grzymała-Siedlecki, Mieczysław Rettinger, Władysław Sołtan i Piotr Dunin-Borkowski. Mieczysław Rettinger został wiosną 1943 roku aresztowany w Warszawie na Placu Unii Lubelskiej wskutek denuncjacji ukraińskiego popa Kladocznego, z którym prowadził rozmowy jako przedstawiciel Delegatury Rządu. Zginął w obozie koncentracyjnym.

Towarzystwo Patriotyczne utrzymywało wprawdzie kontakt z generałem Sikorskim, nie przejawiało jednak żywszej działalności i stopniowo zamierało, zwłaszcza od czasu, kiedy ks. płk Jachimowski został naczelnym kapłanem ZWZ (później AK), a Knoll — zagrożony aresztowaniem przez Gestapo — musiał opuścić Warszawę i ukrywał się w folwarku pani Haliny Królikowskiej, Olszynach, położonym bardzo dogodnie, bo w lesie pomiędzy szosą lubelską i linią kolejową Warszawa-Otwock (bezpośrednio po zakończeniu kampanii w Polsce mieszkał tam gen. Karaszewicz-Tokarzewski, a nieco później cioteczny brat p. Królikowskiej — gen. Grot-Rowecki).

Odwiedzałem Knolla co pewien czas, a później regularnie co tydzień, dojeżdżając pociągiem do Radości lub do Falenicy. Wczesną wiosną 1943 roku Knoll powiedział mi, że Sikorski, który miał duże zaufanie do jego talentów dyplomatycznych i zdolności przewidywania politycznych wydarzeń, zaproponował mu utworzenie w ramach Delegatury Rządu Departamentu Spraw Zagranicznych. Dodał, że przystępuje właśnie do formowania tej nowej komórki i zaproponował mi w niej pracę, początkowo jako swego sekretarza. Z identyczną propozycją zwrócił się już wcześniej do b. ministra pełnomocnego w Atenach, Czesława Andrycza i do radcy przedwojennego MSZ, Tadeusza Chromeckiego oraz do p. Janiny Binkiewiczówny i p. Jadwigi Studzińskiej, które objęły funkcję łączniczek. Wkrótce potem Andrycz został aresztowany przez Gestapo i nie zdradziwszy nikogo, zginął rozstrzelany w pobliżu majątku Maurycego Potockiego, Jabłonnej. Tzw. skrzynka kontaktowa mieściła się w domu pani Miszewskiej, położonym w lesie, pomiędzy Falenicą i Radością.

Knoll, tworząc komórkę spraw zagranicznych, postanowił wciągnąć do współpracy przede wszystkim urzędników przedwojennego MSZ, a obawiając się dalszych aresztowań, zaproponował Delegatowi Rządu, Jankowskiemu, żeby w tym wypadku nie używać miana „departament”. Chodziło mu o to, że powołanie do życia nowego departamentu wymagało aprobaty Krajowej Re-

prezentacji Politycznej, co wobec jej liczebności mogło pociągnąć za sobą niedyskrecje, a nawet przeniknąć do niemieckich władz bezpieczeństwa. Ustalili więc zgodnie, że oficjalnie istnieć będzie sekcja spraw zagranicznych (kryptonim „Moc”), korzystająca z wszelkich uprawnień, jakie miały departamenty.

Dzięki energii i operatywności przede wszystkim Chromeckiego, po upływie kilku tygodni istniała już sekcja. Na jej czele stanął Roman Knoll, a jego zastępcą został Tadeusz Grabowski, przed wojną m.in. minister pełnomocny w Sofii i w Rio de Janeiro. Sekcja dzieliła się na dwa wydziały, polityczny i ogólny. Podaję z pamięci pełny skład personalny, z wyjątkiem utworzonego znacznie później (na przełomie 1943 i 1944 r.) samodzielnego wydziału wschodniego, ponieważ jego naczelnik, adwokat Stanisław Zieliński (wybitny działacz Stronnictwa Narodowego, przed wojną m.in. przewodniczący komisji rewindykacyjnej po kampanii 1920 roku i konsul generalny, o ile mnie pamięć nie myli, w Kijowie) stanowczo zażądał dla podległej mu komórki swego rodzaju „kspiracji w kspiracji”. Kontakty z Zielińskim i jego zastępcą adw. Małachowskim utrzymywał jedynie Knoll, Chromecki i ja, ponieważ moim zadaniem w tym wypadku było przekazywanie im funduszków na uposażenia pracowników.

Wydział Polityczny:

Naczelnik — Tadeusz Chromecki.

Zastępca naczelnika — Zdzisław Klimpel (przed wojną w MSZ).

Referat niemiecki:

kierownik — prof. Emil Kipa (przed wojną radca w referacie propagandy w Wydziale Prasowym MSZ, przedtem konsul generalny w Hamburgu),
referent — Jan Zarański.

Referat anglosaski:

kierownik — Zdzisław Klimpel,
referent — Bronisław Zieliński.

Referat środkowoeuropejski:

kierownik — prof. Janusz Pajewski,
referenci — Władysław Markowski (przed wojną w MSZ) i Andrzej Leśniewski.

Referat zachodnioeuropejski:

kierownik — Michał Perłowski (przed wojną w MSZ),
referent — Wieńczysław Wagner (jednocześnie był pracownikiem wydziału wschodniego).

Ponadto w Wydziale Politycznym zatrudniony był etatowo sinolog, prof. Jaworski, a współpracował z tymże wydziałem Zbigniew Czczot-Gawrak (przed wojną w MSZ), który nie mógł być na etacie, ponieważ był już dawniej zaangażowany w ZWZ.

Samodzielny wydział wschodni:

naczelnik — adw. Stanisław Zieliński (przed wojną m.in. konsul generalny w Berlinie),
zastępca naczelnika — adw. Stanisław Małachowski.

Spośród referentów pamiętam następujące nazwiska. Zieliński (brat Stanisława), Loret, Wieńczysław Wagner, Ludwik Rabcewicz-Zubkowski, Ryszard Redke, dr Jarosław Maleszewski i adw. Brzostowski. Pełny skład pracowników tego wydziału można znaleźć w sprawozdaniu z działalności „Mocy”, które złożył rządowi polskiemu w Londynie w 1945 roku Wieńczysław Wagner (obecnie profesor prawa międzynarodowego w Stanach Zjednoczonych). O ile mi wiadomo, wszyscy pracownicy Wydziału Wschodniego należeli do Stronnictwa Narodowego lub byli jego sympatykami.

Wydział Ogólny:

naczelnik — Andrzej Marchwiński (przed wojną w MSZ, potem dyrektor Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, także podczas okupacji oraz zastępca dyrektora departamentu Skarbu Delegatury Rządu, Czesława Klarnera, pełniąc obie te funkcje równocześnie z pracą w „Mocy”),
zastępca naczelnika — Władysław Minkiewicz (jednocześnie sekretarz Knolla oraz referent do spraw bezpieczeństwa i kontaktów z Radą Jedności Narodowej).

Referat budżetowy:

kierownik — Stanisław Eska (przed wojną naczelnik Wydziału Administracyjnego MSZ, przedtem konsul w Mińsku i w Moskwie),
referent — Kazimierz Katerla (przed wojną kierownik referatu Funduszu Specjalnego w MSZ).

Referat łączności:

kierownik — Janina Binkiewiczówna,
łączniczki — Jadwiga Studzińska, Kostecka, Magda Morawska.

Kancelaria:

kierowniczką — Ada Kaczkowska (przed wojną w MSZ),
referent — Bronisława Hełczyńska.

Archiwum znajdowało się w prywatnym mieszkaniu ks. prałata Henryka Hilchena i w jednym z ołtarzy w jego kościele parafialnym przy ul. Łazienkowskiej. Archiwistką była siostra przyrodnia Knolla, Łucja Knoll.

Działalność „Mocy” polegała głównie na przygotowywaniu kadr dla powojennego MSZ, a poza tym na opracowywaniu przeglądu wydarzeń międzynarodowych, z własnej inicjatywy, na polecenie Delegata Rządu lub na wniosek innych władz podziemnych. Knoll zdawał sobie sprawę, że prowadzenie jakiegokolwiek działalności dyplomatycznej w warunkach okupacji jest nie do pomyslenia, niemniej jednak jestem przekonany, że jego udział w konspiracji był bardzo potrzebny. Poza sporadycznymi kontaktami z Delegatem Rządu, z komendantem głównym AK gen. Grottem, zastępcami Delegata Rządu Jasiukowiczem i Bieniem, szefem VI Oddziału KG AK płk. Rzepeckim, kurierami z Londynu: Jerzym Lerskim, Nowakiem-Jeziorańskim i Karamaciem, dyrektorem Departamentu Informacji Delegatury, Kauzikiem, Knoll brał udział w cotygodniowych posiedzeniach Komitetu Politycznego Delegatury, w których czasami zastępowali go Grabowski lub Chromecki². Potrafił z właściwą mu przenikliwością przewidywać rozwój wydarzeń, niekiedy jako jedyny wysoki funkcjonariusz Delegatury, czego najbardziej dowodem był memoriał, jaki złożył na ręce Delegata Rządu. Uprzedzał w nim, że w wyniku wojny Polska utraci dość znaczne tereny na Wschodzie i że przez długi czas będzie uzależniona od Związku Sowieckiego. Opinia ta była wówczas w środowiskach konspiracyjnych szokująca, a Delegat Rządu uznał, że dzień w którym otrzymał memoriał był „najczarniejszym dniem w dziejach Delegatury”. Uważam, że opinia jaką wyraził o Knollu Nowak-Jeziorański w swej znakomitej skądinąd książce „Kurier z Warszawy” jest powierchowna i zdecydowanie krzywdząca³. Knoll miał z pewnością dwie cechy niezbędne dla każdego polityka z prawdziwego zdarzenia: zdolność przewidywania wydarzeń i trafność w dobieganiu sobie współpracowników, nawet wówczas, kiedy wyznawali oni odmienne od niego poglądy (najlepszym tego przykładem było powierzenie funkcji naczelnika samodzielnego wydziału

2. Stały kontakt z VI Oddziałem (BiP) utrzymywał Chromecki lub w jego zastępstwie Klimpel. Z ramienia BiP-u brali udział w tych rozmowach Makowiecki i Widerszal, a później prof. Gieysztor i prof. Kieniewicz.

3. „Knoll, podobnie jak wielu innych, wyobrażał sobie Polskę jako mocarstwo, wsparte całą potęgą Stanów Zjednoczonych i Anglii, dyktujące przy stole konferencyjnym warunki pokojowe nie tylko Niemcom, ale i Rosji” („Kurier z Warszawy”, II wyd., Odnowa, Londyn 1978, str. 159).

wschodniego Stanisławowi Zielińskiemu, wybitnemu działaczowi Stronnictwa Narodowego).

Warto dodać, że konsekwencją wspomnianego wyżej memoriału był wyrok śmierci, jaki wydały na Knolla Narodowe Siły Zbrojne. Uprzedził mnie o tym, jako referenta bezpieczeństwa „Mocy”, ówczesny dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, Leopold Rutkowski. W rezultacie Knoll, który — jak już wspomniałem — ukrywał się przed Gestapo, zmienił miejsce zamieszkania i przeniósł się do położonego w pobliżu Bugu majątku senatora Kamienieckiego, co znacznie utrudniło utrzymywanie z nim kontaktu. Okazało się później, że ostrzeżenie Rutkowskiego nie było pozbawione podstaw. Świadczą o tym skrytobójcze morderstwa na osobach szefa wydziału informacji w BiP inż. Jerzego Makowieckiego i jego bliskiego współpracownika, docenta Ludwika Widerszala, dokonane wprawdzie przez „wynajmowaną” do podobnych zadań bandę Andrzeja Sudeczki, ale najprawdopodobniej na polecenie NSZ, które nie mogły ścierpieć, że obaj zamordowani wyrażali na łamach jednego z pism Zjednoczenia Demokratycznego poglądy zbliżone do poglądów Knolla, zamordowanie Czarnomskiego, autora głośnych przed wojną artykułów o masonerii w *Wiadomościach Literackich*, i wreszcie wydanie przez „nieznanych sprawców” w ręce Gestapo prof. Marcelego Handelsmana i Haliny Krahełskiej, co w rezultacie doprowadziło do ich śmierci.

POWSTANIE

Wybuch Powstania Warszawskiego zaskoczył mnie na Powiślu, w mieszkaniu mojej Matki. Wieczorem 1 sierpnia spotkałem przypadkowo na ul. Smulikowskiego znajomego sprzed wojny Zbigniewa Czczot-Gawraka („Nowina”), który — jak się okazało — był dowódcą plutonu w 1 kompanii III Zgrupowania AK, broniącego m.in. gmachów Akademii Sztuk Pięknych i Ubezpieczalni (dziś mieści się tam Związek Nauczycielstwa Polskiego). Będąc pracownikiem Delegatury, nie mogłem równocześnie należeć do AK. Oznajmiłem więc Gawrakowi, że chciałem wziąć udział w Powstaniu jako ochotnik. Poszliśmy razem do dowódcy III Zgrupowania, por. Szawdyna („Konrad”), który wyraził zgodę i przydzielił mnie do plutonu Gawraka. Ten z kolei powierzył mi, jako plutonowemu podchorążemu rezerwy, dowództwo nad drużyną RKM złożoną prawie wyłącznie z prawników, ludzi starszych już wiekiem, ale nie posiadających przedwojennego przeszkolenia wojskowego. Pamiętam, że był wśród

nich późniejszy sędzia Sądu Najwyższego Grudziński, brat Gustawa Herling-Grudzińskiego i jedyny nie prawnik — Jerzy Adamski, dziś krytyk teatralny i profesor Wyższej Szkoły Teatralnej.

Nie będę opisywał znanych już z rozlicznych publikacji działań bojowych, tym bardziej że nie dokonałem żadnego bohaterkiego, czy choćby zasługującego na uwagę czynu; starałem się po prostu spełnić mój żołnierski obowiązek. Ograniczę się do kilku zaledwie szczegółów. Tak więc wraz z Gawrakiem, który pierwszego dnia Powstania, w ataku na niemiecki bunkier na Wybrzeżu Kościuszkowskim, został ranny w rękę i nie mógł w tym czasie brać bezpośredniego udziału w walce, zaczęliśmy już od 2 sierpnia wydawać codzienną gazetkę ścienną. Wychodziła ona, czasami nawet dwa razy dziennie, aż do dnia kiedy nasze oddziały opuściły Powiśle. W naszej pracy cennej pomocy udzielały nam prof. Helena Więckowska i moja siostra, Krystyna Kutzner. Materiały zagraniczne czerpaliśmy z radia w mieszkaniu mojej Matki, zaś sytuację na prawie wszystkich odcinkach walk w Warszawie przedstawialiśmy, w ciągu pierwszych tygodni Powstania, dzięki wiadomościom, które uzyskiwaliśmy z różnych dzielnic Warszawy przez telefon. Dodam, że słuchaliśmy nie tylko rozgłośni państw alianckich, lecz także rozgłośni w Lublinie, dzięki czemu powiadomiłem jako pierwszy Aleksandra Gieysztor („Borodzicz”) z VI Oddziału Sztabu AK o tym, że walczące w Powstaniu pod dowództwem gen. Skokowskiego zjednoczone siły lewicy: Armia Ludowa, Polska Armia Ludowa i Korpus Bezpieczeństwa opowiedziały się za PKWN-em.

Około 10 sierpnia udało mi się nawiązać bezpośredni kontakt z przebywającymi w Warszawie pracownikami „Mocy” Chromeckim, Klimplem i Wagnerem, a później z panią Binkiewicz i Bronisławem Zielińskim. Próbowaliśmy wznowić „urzędowanie”, które ograniczało się do przygotowywania opracowań o sytuacji na świecie i narad, jakie Chromecki i Klimpel odbywali z zastępcą Delegata Rządu, Stanisławem Jasiukowiczem.

Po upadku Starego Miasta Niemcy przystąpili do decydującego natarcia na Powiśle. Nie było tutaj dobrze wyszkolonych i nieźle — jak na warunki powstańcze — uzbrojonych, męskich oddziałów Kedywu, a domy Powiśla — w przeciwieństwie do starych, ale solidnie zbudowanych kamieniczek Starówki — nie dawały zabezpieczenia przed zmasowanymi atakami niemieckiego lotnictwa, a także przed ostrzałem z rusznic i działa kolejowego wielkiego kalibru. Wystarczyło bez mała dwu dni tego szturm, by załamała się nasza obrona i trzeba było zarządzić odwrót ku północnemu Śródmieściu.

6 września otrzymujemy rozkaz wycofania się Tamką w górę do Nowego Świata. Nasza drużyna RKM-u, w nieco zmienionym składzie i tym razem pod dowództwem ppor. „Nowiny”, ma stanowić straż tylną i ubezpieczać odwrót. Wycofujemy się stopniowo, skokami od domu do domu, zajmując pozycje w oknach mieszkań na pierwszym piętrze. W chwili, gdy znajdowaliśmy się na wprost skrzyżowania Tamki i Topieli, na dom położony naprzeciw padła ciężka bomba lotnicza, rozbijając go doszczętnie aż do piwnic. Dochodzą do nas rozpaczliwe krzyki wzywające ratunku. Bez chwili wahania „Nowina”, ja i dwóch innych, nie zważając na ostrzał z działa niemieckiego czołgu ze skrzyżowania Tamki i Smulikowskiego, przebiegamy jezdnię i po kilku sekundach jesteśmy już na miejscu. Przed nami apokaliptyczny widok: stosy gruzu, porozbijane meble, straszliwie okaleczone trupy, zewsząd jęki rannych. Zlani potem staramy się wygrzebać wszystkich, którzy dają jeszcze słabe znaki życia. W pewnej chwili dostrzegamy pokrytą pyłem twarz dziecka przywalonego gruzem i trupem jakiejś osoby. Żyje, ale oddycha z największym trudem. Chcąc dodać mu otuchy mówię: „Nie bój się, chłopczyku, zaraz cię stąd wyciągniemy”. — „Ja nie jestem chłopczyk, jestem dziewczynka” — odpowiada szeptem dziecko. A przy tym ani jednej łzy, ani słowa skargi. Przyznam, że wiele już widziałem, wiele słyszałem, ludzie padali dokoła nas, co krok ocieraliśmy się o śmierć, ale nic nie wstrząsnęło mną w równym stopniu, jak ta lakoniczna, wygłoszona z całym spokojem „informacja” dziecka przywalonego trupem swojej matki.

Po wycofaniu się do Śródmieścia dość często odwiedzałem Annę i Tadeusza Stankiewiczów w ich mieszkaniu przy ul. Hożej 14. Hankę, córkę marszałka Sejmu, Macieja Rataja, znałem od czasów gimnazjalnych, jej mąż, działacz Stronnictwa Ludowego, objął w początkach września funkcję szefa sekcji budżetowo-finansowej Delegatury Rządu, zastępując swego chorego na czerwonkę kolegę ze Stronnictwa, Wincentego Bryję. Przez pewien czas mieszkał u nich dyrektor Biblioteki Sejmowej, Henryk Kołodziejski, który wraz z córką przeniósł się na Hożę, ponieważ ich mieszkanie na Polnej było zbyt blisko stanowisk niemieckich. Kiedy po upadku Powiśla Niemcy rzucili *gros* swoich sił na Śródmieście, nasilając naloty, Kołodziejski postanowił wrócić na Polną, uważał bowiem, że Niemcy nie będą bombardować domów, położonych tuż obok ich własnych pozycji. Gorąco namawiał Stankiewiczów, by mu towarzyszyli. Niestety, nie skorzystali oni z dobrej rady, postanowili pozostać na Hożej i spędzać prawie cały czas w piwnicy wraz z kilkunastomiesięcznym dzieckiem i jego opiekunką.

Pod koniec września, kiedy losy Powstania były już przesądzone, Delegatura Rządu przystąpiła do wypłacania każdemu ze swoich pracowników po 20 dolarów zapomogi. Mieszkałem wówczas przy ul. Śniadeckich u Chromeckiego. Tam też niedobitki „Mocy” usiłowały trochę urzędować. Przygotowałem odręcznie listę obecnych w Warszawie naszych pracowników i już miałem wychodzić po pieniądze do Stankiewicza, kiedy nieoczekiwanie zjawiła się Janina Binkiewiczówna. Korzystając z tego poprosiłem, żeby przepisała tę listę na maszynie. Trwało to nie więcej niż 15 minut.

Kiedy zjawiłem się na Hożej, na miejscu tak dobrze mi znanego domu nr 14 leżała kupa gruzów: ciężka bomba lotnicza rozpruła całą czteropiętrową kamienicę aż do piwnic. W pierwszej chwili ogarnęło mnie przerażenie, ale ponieważ wiedziałem, że Stankiewiczowie nie opuszczają już piwnicy, zablęśła we mnie iskierka nadziei. Pobiegłem na Kruczą, bo liczyłem, że w jednym z lokali Delegatury znajdę ludzi, którzy udzielą mi pomocy. Na szczęście spotkałem zaprzyjaźnionego od dawna z rodziną Ratajów, Kazimierza Bagińskiego i pełniącego już wówczas funkcję dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych, Stefana Korbońskiego. Powiedziałem im, co się stało i dodałem, że wiem dokładnie, w którym miejscu w piwnicy przebywali zazwyczaj Stankiewiczowie. Korboński przydzielił mi do pomocy grupę kilkunastu harcerzy i kilku jeńców niemieckich. Zaprowadziłem ich na miejsce i z piwnicy sąsiedniego domu nr 12, który ocalał, przystąpiono natychmiast do przebijania otworu do piwnicy Stankiewiczów. Dopiero nazajutrz zdołano wybić otwór, którym można było przejść do pomieszczenia sąsiadującego z miejscem, gdzie siedzieli Stankiewiczowie. Ocalało w nim kilka kobiet i jeden mężczyzna, pod którego komendą przez całą noc chórem wzywano pomocy. Gigantyczna masa gruzów tłumiła jednak ich rozpaczliwe wołanie tak, że po drugiej stronie nie słyszeliśmy absolutnie nic. W drzwiach pomiędzy dwoma pomieszczeniami siedział na krześle, zastygły w tragicznej pozie, trup jakiegoś mężczyzny. A za drzwiami już tylko spiętrzone cegły, które przywały całą tę część piwnicy, grzebiąc pod gruzami Stankiewiczów, ich dziecko, niańkę i łączniczkę Delegatury, która tuż przed nalotem przyszła na Hożę z pieniędzmi przeznaczonymi na odprawy. Nie sposób było do nich dotrzeć. W cztery lata później dowiedziałem się, że ekshumacji zwłok dokonano dopiero po zakończeniu działań wojennych w Polsce. Ocalałem tylko dzięki temu, że nasza łączniczka też nie umiała dobrze pisać na maszynie: przyszedłem na Hożę zaledwie 10 minut po nalocie.

I jeszcze jedno, niezapomniane wspomnienie. W dniu 2 paź-

dziennika gen. Bór-Komorowski podpisał akt kapitulacji. Po 63 dniach bohaterskich bojów w Warszawie zapanowała cisza, mimo że pełne gruzów ulice zaroily się od mieszkańców stolicy, z których wielu wyszło po raz pierwszy z piwnicznych schronów, by odszukać krewnych i znajomych, odwiedzić mogiły bliskich, grzebanych pospiesznie w ogrodach i na ulicznych trawnikach, przygotować się do wędrówki w nieznaną. Żegnałem towarzyszy powstańczych walk na ulicy Szpitalnej, postanowiłem bowiem nie iść wraz z nimi do obozu jeńców. Panowało przygnębienie: zawiodły nadzieje, wydawało się nam, że wyrzeczenia, głód, cały żołnierski wysiłek poszedł na marne. I oto nagle, w ciszy październikowego popołudnia, z jakiegoś na wpół rozwalonego domu rozległy się dźwięki niezdarnie, jednym palcem wystukiwanej na rozstrojonym fortepianie, bliskiej nam wszystkim melodii „Jeszcze Polska nie zginęła”. Błogosławiliśmy w duchu nieznanego pianistę: jeszcze nie zginęła...

MILANÓWEK — „MALEŃKIJ ŁONDON”⁴

Wszyscy pracownicy „Mocy”, z wyjątkiem Wagnera, postanowili nie iść do obozu jeńców, lecz opuścić Warszawę wraz z ludnością cywilną, którą kierowano do obozu przejściowego w Pruszkowie. Chromecki, dzięki swoim znajomościom, zaopatrzył Bronisława Zielińskiego, moją siostrę i mnie w legitymacje i opaski Rady Głównej Opiekuńczej, którą Niemcy jeszcze teraz tolerowali dla ułatwienia ewakuacji z Warszawy osób starych i chorych. Na placu przed Politechniką, stanowiącym punkt zborny uchodźców, Broniek, dzięki dobrej znajomości niemieckiego (miał niezwykle zdolności lingwistyczne), podsłuchał jak jakiś niemiecki pułkownik wydał zarządzenie, żeby liczne chłopskie podwozy, zgrupowane z rozkazu Niemców na placu, przeznaczyć do przewożenia chorych i starców. Broniek postanowił z tego skorzystać, by ułatwić wyjście swoim rodzicom i kilku innym starszym wiekiem osobom przebywającym w ich mieszkaniu przy ul. Lwowskiej. „Zarekwirowaliśmy” więc jakiegoś pocziwego gospodarza spod Warszawy i pojechaliśmy jego jednokonnym wozem na Lwowską, skąd zabraliśmy całe towarzystwo i ruszyliśmy w stronę Pruszkowa. Dotarliśmy szczęśliwie na odległość niespełna 500 m. od obozu, wyjaśniając zatrzymującym nas co pewien czas

4. Taką nazwę wymyślił pierwszy wojenny komisarz Milanówka, wiedząc, że skupiły się tam władze Polski Podziemnej.

Niemcom, że — zgodnie z rozkazem pułkownika — wieziemy naszych chorych do Pruszkowa. Była tutaj, skracająca w lewo od szosy, polna droga do Żbikowa, gdzie znajdował się folwark ojca Bronka, dr. Zielińskiego. Niestety w chwili, gdy wjeżdżał na nią nasz wóz, zatrzymał nas esesman z ostatniego przed samym obozem posterunku. Broniek wdał się z nim w dość przewlekłe pertraktacje, tłumaczył, że kilka osób na wozie jest ciężko chorych, odwoływał się do jego ludzkich uczuć. Ale Niemiec był nieubłagany i wreszcie zirytowany zażądał od Bronka okazania mu kennkarty. Wyglądało to groźnie, wiedzieliśmy bowiem, że z pruszkowskiego obozu w najlepszym razie pojedziemy na roboty przymusowe do Niemiec. Ale oto — ku naszemu zdumieniu — posępną dotąd twarz Niemca rozjaśnił szeroki uśmiech. Zwrócił kennkartę, bąkając coś pod nosem z zażenowaniem i zezwolił nam na dalszą drogę, wprost do Żbikowa. Okazało się, że urodził się w tym samym mieście, chyba w Tyrolu, gdzie przyszedł na świat nasz Broniek. Odetchnęliśmy z ulgą.

Wkrótce potem rozstaliśmy się, bo ja z siostrą postanowiliśmy udać się do Milanówka, gdzie w mieszkaniu swego ojca przebywała moja pierwsza żona i nasza pięcioletnia córka. Dowlekliśmy się pieszo do stacji kolejki EKD w Opaczu, zrywając po drodze z pola pomidory, żeby choć trochę zaspokoić dręczący nas głód. Dowiedzieliśmy się na stacji, że najbliższy pociąg do Milanówka odjeżdża dopiero za godzinę. Nie chcieliśmy przebywać tak długo na miejscu, gdzie kręciło się wiele osób i w każdej chwili mógł się pojawić niemiecki patrol, ponieważ wiedzieliśmy, że wszystkie osoby, posiadające kennkartę z meldunkiem warszawskim, muszą iść do obozu w Pruszkowie. Zastukałem więc do drzwi najbliższego domu i wyjaśniwszy skąd przybywamy, poprosiłem o krótką gościnę. Przyjęto nas serdecznie i poczęstowano gęstą zupą, która po dwóch miesiącach głodowania wydała nam się niebywałym przysmakiem. W niespełna dwie godziny później byliśmy już w domu mego teścia przy ul. Grudowskiej. Wchodziło się do parterowego mieszkania przez oszkloną werandę, gdzie zobaczyliśmy ze zdumieniem niewielki bar z kilkoma stolikami. Po entuzjastycznych powitaniach dowiedziałem się, że moje pierwsza żona, chcąc zdobyć środki na utrzymanie licznych uchodźców, założyła do spółki ze znaną warszawską aktorką, Ewą Bonacką-Daszewską, ten bar, który przynosił niezłe dochody. Tego rodzaju dość prymitywnie urządzone „zakłady gastronomiczne” powstawały w Milanówku i w okolicznych osiedlach jak grzyby po deszczu, żeby sprostać potrzebom wciąż napływających z Warszawy uchodźców. Bar przy Grudowskiej nazywał się „U Aktorek”, bo oprócz współniczki mojej żony szefową

kuchni była aktorka Ewa Kunina, żona wybitnego rzeźbiarza, a kelnerką znana śpiewaczka, Barbara Kostrzewska.

Następnego dnia była niedziela, więc wybrałem się do kościoła, także dlatego że przed opuszczeniem Warszawy ustalono, że miejscem spotkań uczestników podziemia będą niedzielne msze. Normalnie szło się tam około 15 minut, ale tym razem musiałem zużyć na drogę prawie godzinę — co chwilę bowiem spotykałem znajomych z Warszawy, z którymi trzeba było przynajmniej się przywitać i zamienić choć kilka słów. W niektórych wypadkach wymienialiśmy adresy. W wyniku tej mojej wyprawy do kościoła i z powrotem już tego samego dnia zjawilo się w barze „U aktorek” kilku, czy nawet kilkunastu ludzi z podziemia. Z każdym dniem przychodziło ich coraz więcej i w końcu nasz bar stał się stałym miejscem spotkań najrozmaitszych organizacji i ugrupowań konspiracyjnych wszystkich zabarwień politycznych, poczynając od Stronnictwa Narodowego (NSZ-towcy — o ile wiem — nie przychodzili) aż po Armię Ludową (płk Sęk-Matecki). Bardzo wątpię, czy podczas całej okupacji istniał w Polsce podobny lokal, którego gośćmi bywali najwybitniejsi przywódcy Podziemia, a niemal wszystkie stoliki zajmowali konspiratorzy. Niemieckie władze bezpieczeństwa, czując zbliżającą się klęskę, nie przejawiały już poprzedniej gorliwości w tropieniu polskich „bandytów” z wszelkich organizacji i już tylko rutynowo przeprowadzały co pewien czas łapanki na warszawiaków. Wszyscy mieszkańcy naszego domu z meldunkami warszawskimi chronili się wówczas na strychu, do którego można było wejść tylko po drabinie przez klapę w suficie ciasnej i bardzo wysokiej komórki. Drabinę wciągaliśmy na górę (innej nie było na szczęście w całym domu), zamykaliśmy klapę i marzliśmy niekiedy przez wiele godzin, zanim nie powiedziano nam z dołu, że niebezpieczeństwo minęło.

W przyległym do werandy pokoju, który w nocy był sypialnią dla uchodźców, leżących z braku dostatecznej ilości łóżek na rozłożonych na ziemi siennikach, stał fortepian. Grywała na nim co wieczór i śpiewała doskonała pieśniarka, Anna Borey, a co pewien czas odbywały się nawet koncerty z udziałem wybitnych artystów, jak znakomita pianistka Zofia Rabcewiczowa, Władysław Raczkowski, Barbara Kostrzewska, patriotyczne poezje recytowali Elżbieta Barszczewska, Wyrzykowski, Jan Nowicki i najpopularniejszy przed wojną spiker Polskiego Radia, Tadeusz Bocheński.

Ponieważ dowiedziałem się od rodziny, że od pewnego czasu przebywa w Milanówku Roman Knoll, poszedłem do niego już nazajutrz po przyjeździe i odtąd odwiedzałem go bardzo często

w willi „Pod Matką Boską” przy ul. Podgórznej, spotykając tam często ludzi z konspiracji, z którymi wiedliśmy długie rozmowy. Pan Roman, aczkolwiek wyczerpany uciążliwą wędrówką, jaką odbył wraz z żoną z odległego majątku senatora Kamienieckiego, był w dobrej formie psychicznej, chociaż oceniał sytuację jak zawsze trzeźwo, a więc niestety pesymistycznie.

Pewnego dnia zwrócił się do mnie codzienny gość baru, Leopold Rutkowski, w owym czasie dyrektor biura prezydzialnego Delegatury Rządu, z prośbą żeby mój teść, jako stały mieszkaniec Milanówka, dopomógł mu w znalezieniu lokalu na posiedzenia Krajowej Rady Ministrów i Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej. Milanówek był wówczas niestłuchanie przeludniony, ilość mieszkańców wskutek masowego napływu uchodźców wzrosła parokrotnie, nie znajdowaliśmy więc niestety żadnego rozsądnego rozwiązania. Jedyna możliwość, jaka nam przyszła do głowy, to trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze w tym samym domu przy Grudowskiej, należące do dyrektora tamtejszego gimnazjum, Bronisława Wieczorkiewicza. Przebywały w nim zaledwie cztery osoby, ale lokal ten miał dość istotną wadę. Otóż w pierwszych dniach października wrócił z Warszawy Wieczorkiewicz i zaofiarował gościnę u siebie w domu dowódcy zjednoczonych sił AL, PAL i KB, generałowi Juliuszowi Skokowskiemu, z którym współdziałał w czasie Powstania. Skokowski nie przebywał na Grudowskiej długo (przeniósł się potem do swojego folwarku w pobliskim Jaktorowie), ale zrobił sobie tam coś w rodzaju kwatery głównej, gdzie przyjmował wielu swoich podkomendnych. Obawiając się, że lokal ten może być „spalony”, uprzedziłem o tym Rutkowskiego. Niemniej jednak już następnego dnia Rutkowski powiadomił mnie, że pomimo moich zastrzeżeń Delegat Rządu postanowił wykorzystać mieszkanie Wieczorkiewicza na wyżej wspomniane posiedzenia. Wkrótce potem w barze „U Aktorek” trudno było znaleźć wolny stolik, zwłaszcza w dniach, kiedy odbywały się posiedzenia u Wieczorkiewicza. Spotykali się tutaj wszyscy przed albo po naradzie, a więc przede wszystkim jej uczestnicy: członkowie Krajowej Rady Ministrów — Delegat Rządu wicepremier Stanisław Jankowski (Stronnictwo Pracy) oraz jego trzech zastępcy, ministrowie — Adam Bień (Stronnictwo Ludowe), Stanisław Jasiukowicz (Stronnictwo Narodowe) i Antoni Pajdak (WRN); członkowie Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej — Kazimierz Pużak (WRN — przewodniczący), Kazimierz Bagiński (Stronnictwo Ludowe), Aleksander Zwierzyński (Stronnictwo Narodowe), Franciszek Urbański (Stronnictwo Pracy) i Eugeniusz Czarnowski (Zjednoczenie Demokratyczne) oraz Komendant główny AK gen. Leopold Okulicki i sekretarz

RJN — Bolesław Biega (Stronnictwo Pracy). Często przychodzili dyrektorzy departamentów: Spraw Wewnętrznych — Stefan Korboński, Informacji — Stanisław Kauzik i Obrony Narodowej — Jerzy Michalewski, wspomniany już Leopold Rutkowski; Jan Hoppe ze Stronnictwa Pracy, Michałowski ze Zjednoczenia Demokratycznego, szef Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa — adwokat Stanisław Tabisz („Pancer”), Zygmunt Zaremba i Zbigniew Mitzner z WRN, ostatni sekretarz Stronnictwa Narodowego — Władysław Jaworski, Zygmunt Lachert i Kazimierz Kobylański także ze Stronnictwa Narodowego, Józef Kwasiborski ze Stronnictwa Parcy, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Miklaszewski (naczelnik wydziału w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury) i jego brat, chyba Stanisław, przywódca Związku Syndykalistów Polskich — Stefan Szwedowski, pułkownik PAL Jan Mulak, Teofil Wojęński ze Zjednoczenia Demokratycznego, dyrektor Departamentu Oświaty Delegatury — Czesław Wycech i jego zastępca Waclaw Szajer — obaj ze Stronnictwa Ludowego. Podczas każdego pobytu w Milanówku lub jego okolicach odwiedzał nas mój przyjaciel jeszcze sprzed wojny, szef VI Oddziału Sztabu AK, Kazimierz Moczarski, kilka razy zjawiał się kurier z Londynu — Jan Nowak-Jeziorański. Przychodziło też wielu innych konspiratorów, których znałem tylko z widzenia.

W pierwszych dniach grudnia Moczarski zapytał mnie, czy mógłbym udzielić gościny na dwa-trzy dni nowomianowanemu komendantowi głównemu AK, generałowi Leopoldowi Okulickiemu i ewentualnie jakiemuś innemu oficerowi AK. Zgodziłem się na to chętnie, uprzedzając jednak, że jedynym pokojem, w którym mógłbym ich przenocować, jest nasz pokój sypialny, bo we wszystkich trzech pozostałych sypia każdej nocy od 5 do 15 osób. (Musiałem zachować jeden pokój niezagęszczony, żeby umożliwić prowadzenie poufnych rozmów ludziom z konspiracji). Moczarski uznał, że jak na warunki popowstaniowe nocleg na rozłożonych na ziemi siennikach razem z nami i naszą 5-letnią córką jest niemal komfortowy, a Okulickiemu bardzo zależy, żeby jego „kwatery” znajdowała się w pobliżu miejsca obrad Krajowej Rady Ministrów i Komisji Głównej RJN. Wkrótce potem Moczarski przyprowadził na Grudowską gen. Okulickiego i podpułkownika-piłota Romana Rudkowskiego. Od tego czasu Okulicki stał się częstym gościem naszego domu, zaprzyjaźnił się z nami, a zwłaszcza z naszą córką, której zawsze przynosił jakieś łacocie, w wolnych chwilach grywał w szachy z moim teściem. Poza mną nikt w naszym domu nie wiedział kim jest ten sympatyczny, dobronudzny pan, którego musiałem jednak jakoś przedstawiać i w końcu wymyśliłem dla niego nazwisko Piotrowski.

JAK DOSZŁO DO ROZMÓW W PRUSZKOWIE

Codziennym gościem baru „U Aktorek” był wielbiciel Basi Kostrzewskiej, młody człowiek, który twierdził że jest kapitanem AK z Kedywu i że nazywa się Zbigniew Woronicz. Musiał on mieć istotnie jakieś bliskie powiązania z miejscowym dowództwem AK, ponieważ wiem, że kilku moim znajomym z AK załatwiał przyznanie 20-dolarowych zapomóg. W pierwszych dniach stycznia ów Zbyszek oznajmił mi w poufnej rozmowie, że wie z całą pewnością, iż w naszym domu bywa komendant główny AK, generał „Niedźwiadek”. Dodał, że go nie zna, nie wie jak on wygląda, ale musi z nim rozmawiać, bo ma mu przekazać niesłychanie ważną i nie cierpiącą zwłoki wiadomość. Na moje nalegania wyjaśnił co następuje: kontrwywiad AK polecił mu wstąpić do Polskiej Armii Ludowej, chcąc mieć rozeznanie, co się w tej organizacji dzieje, tym bardziej że istniały przypuszczenia co do jakichś kontaktów PAL-u z Armią Sowiecką. Woronicz zgłosił się w Pruszkowie, gdzie miał swoją siedzibę sztab PAL-u, do generała „Skały” (przed wojną major służby stałej Wojska Polskiego, prawdziwe nazwisko Piękoś), który pełnił wówczas funkcję komendanta głównego PAL-u, ponieważ dotychczasowy szef tej organizacji, generał „Czarny” (przed wojną podporucznik rezerwy, bądź nawet podoficer — Henryk Borucki) z niewiadomych przyczyn ukrywał się przed NKWD, a dowódca PAL-u podczas Powstania, gen. Skokowski, nadal przebywał u siebie w Jaktorowie. Piękoś przyjął Woronicza z otwartymi ramionami, podobnie zresztą jak szereg innych oficerów i żołnierzy AK, którzy z przyczyn koniunkturalnych niekiedy już pod koniec Powstania zaczęli przechodzić do PAL-u, uzyskując z reguły wyższe stopnie wojskowe, czasami nawet za butelkę wódki. Woronicz też od razu awansował na majora i przyjął pseudonim Wir-Wiciak. Nawiasem dodam, że wszystkie te stopnie wojskowe w PAL-u były oczywiście fikcją, choć okazało się później, że władze PRL w pełni je uznawały, z jednym chyba tylko wyjątkiem „generała” Boruckiego, który nieco później został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu na Mokotowie.

Woronicz powiedział mi także, że przed kilku dniami dowiedział się od Piękosia, iż dowództwo Armii Sowieckiej, a ściślej mówiąc sam marszałek Żukow, pragnie nawiązać kontakt z komendantem głównym AK i z Delegatem Rządu, by przeprowadzić rozmowy zmierzające do ujawnienia polskiego podziemia, znormalizowania życia w kraju i wszczęcia kroków w celu utworzenia

Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zgodnie z postanowieniami konferencji jałtańskiej. Po tych wyjaśnieniach powiedziałem Woroniczowi, że nie znam wprawdzie Okulickiego, nic nie wiem o jego wizytach na Grudowskiej, ale spróbuję — dzięki moim znajomościom — przekazać mu osobiście uzyskane wiadomości.

W dzień czy dwa później przyszedł do nas Okulicki. Powtórzyłem mu szczegółowo przebieg rozmowy z Woroniczem, a także jego prośbę o osobisty kontakt, zastrzegając jednak, że Woronicza poznałem niedawno i że w związku z tym nie mogę za niego poręczyć. Okulicki nie udzielił mi żadnej konkretnej odpowiedzi, przypuszczam że chciał się upewnić w kontrwywiadzie AK co do autentyczności osoby Woronicza i jego roli w PAL-u. Już nazajutrz oznajmił mi, że chce z Woroniczem rozmawiać. Do spotkania ich doszło chyba tego samego dnia. Rozmawiali bez świadków w naszym pokoju sypialnym. Wkrótce potem dowiedziałem się od jednego i od drugiego, że Okulicki polecił Woroniczowi siedzieć dalej w PAL-u, trzymać rękę na pulsie i powiadamiać go o wszystkim, co się wydarzy. Kontakt między nimi miał być utrzymywany za moim pośrednictwem. Okulicki w rozmowie ze mną wyraził tylko wątpliwość, czy nie zaszła pomyłka co do osoby Żukowa. Sądził bowiem, że chodzi raczej o znanego mu z czasu jego służby w Drugim Korpusie w ZSSR generała NKWD o tym samym nazwisku, z którym wielokrotnie prowadził urzędowe rozmowy, chyba jako szef sztabu Drugiego Korpusu.

Tak doszło do nawiązania pierwszych kontaktów, które doprowadziły do aresztowania w Pruszkowie szesnastu przywódców Polski Podziemnej. O rozmowach w Pruszkowie i o procesie moskiewskim pisano wiele, nigdy jednak nikt nie zdołał wyjaśnić do końca, jaką drogą przekazano gen. Okulickiemu i delegatowi rządu Jankowskiemu listy zapraszające na te rozmowy i gwarantujące nietykalność ich uczestników. Tak więc na przykład uczestnik rozmów, zastępca Delegata Rządu, minister Adam Bień, pisze tylko: „Okulicki otrzymał list od Pimionowa za pośrednictwem nieznanej mi osoby” („Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia”, *Zeszyty Historyczne* Nr 21, 1968 r.). Jeden z sądzonych na procesie moskiewskim, Zbigniew Stypułkowski, w „Zaproszeniu do Moskwy” stwierdza jedynie, że: „Pismo pułkownika gwardii, Pimonowa, doszło do podziemia za pośrednictwem jakiegoś byłego oficera armii polskiej, usuniętego z niej jeszcze przed wojną za nadużycia” (chodzi oczywiście o majora Piękosia — przypisek W.M.) i dodaje, że „Okulicki, jak to potwierdził na rozprawie w Moskwie, znał tego oficera

dawniej, uważał go za pokrzywdzonego niesłusznym posądzeniem i żywił do niego zaufanie". Nic nie wnosi do tej sprawy Kazimierz Bagiński w swoim „Procesie szesnastu” (*Zeszyty Historyczne* Nr 4, 1963 r.), podobnie Jerzy Michalewski w swojej „Relacji” (*Zeszyty Historyczne* Nr 26, 1973 r.) i Zygmunt Zaremba w obszernej pracy „Wojna i konspiracja”. Natomiast Stefan Korboński w „Polskim państwie podziemnym” pisze tylko: „Listy dotarły do adresatów przez szereg pośredników. Na styku znajdował się z jednej strony anonimowy oficer Polskiej Armii Ludowej, poszukiwany przez NKWD, a z drugiej osoba mająca kontakt z Delegaturą Rządu, prawdopodobnie Tadeusz Wyrzykowski ze Stronnictwa Ludowego, który pośredniczył pomiędzy Pimienowem a Bagińskim”.

Niewątpliwie najbliższe prawdy jest „Sprawozdanie z porwania szesnastu przywódców Polski podziemnej” (nadesłane z Polski do 2-go Korpusu we Włoszech), dołączone jako aneks do dzieła Edwarda Raczyńskiego „W sojusznicy Londynie”. Nie wymaga ono właściwie sprostowań, a raczej tylko uzupełnień. Tak więc, jeśli chodzi o występujące anonimowo w sprawozdaniu osoby, wyjaśniam co następuje: „generał” — to oczywiście Piękoś („Skąła”); sylwetka jego jest — moim zdaniem — przedstawiona w sprawozdaniu trafnie: „otoczony bardzo mętnymi figurami... osobnik do pewnego stopnia wykołejony i o wielkich ambicjach osobistych” (dodam od siebie, że bardzo lubił zaglądać do kieliszka). Zgadzam się też z poglądem, że jego rola w sprawie „szesnastu” jest niejasna. „Pułkownik”, przed wojną zaledwie podchorąży rezerwy, który „musiał być od dawna agentem NKWD”, a „jego zła wola w aferze pruszkowskiej jest od dawna przesądzona”, używał w PAL-u nazwiska Róg. „Kapitan” — to Zbigniew Woronicz (imię prawdziwe, nazwisko przybrane, prawdziwe prawdopodobnie Makush, wiem, że przez pewien czas był przydzielony do II Oddziału Sztabu Obszaru Południowego lub Okręgu Lwowskiego AK⁵). Woronicz był postacią barwną, cechowała go żywa inteligencja, duża odwaga, gotowość do podejmowania ryzykownych zadań. Przed wojną, o ile wiem, był podporucznikiem służby stałej. Aresztowany po wojnie przez władze bezpieczeństwa, skazany na śmierć, oczekując na wykonanie wyroku bądź ulaskawienie, przez długi czas symulował chorobę umysłową. Opowiadał mi o tym płk Franciszek Niepokólczycki: sie-

5. *Życie Literackie* w nr. 1634 podaje, że w 1941 roku 26-letni Zbigniew MAKUSH-WORONICZ, pseudonim „Kazimierz”, był szefem Kontrywiadu Obszaru Południowo-Wschodniego ZWZ, poprzednio był w komórce likwidacyjnej ZDM Warszawa-miasto.

dział z nim w tym czasie w tej samej celi i był jedynym współwięźniem, którego Woronicz wtajemniczył w to, że symuluje. Robił to w tak przekonujący sposób, że władze śledcze zwolniły go na urlop zdrowotny, ze skierowaniem na badania w szpitalu dla umysłowo chorych w Tworkach pod Warszawą. Odwiedziłem tam Woronicza, a kiedy — nie pamiętam już w jaki sposób — uzyskał możliwość swobodnego poruszania się po kraju, spotykałem go niejednokrotnie w towarzystwie Niepokólczyckiego. Nieco później osiadł w Krakowie, prowadził jakieś spółdzielnie handlowe i miał w związku z tym poważne nieprzyjemności, zdaje się, że nawet był znowu aresztowany. Ostatni raz widziałem się z nim chyba w 1979 czy 1980 roku podczas jego krótkiego pobytu w Warszawie. Zajmował się wówczas, gdzieś na Śląsku, tresurą niedźwiedzi (zawsze lubił rzeczy niezwykłe) i miał ponoć na tym polu znaczne sukcesy. Umarł kilka lat temu; przypuszczam, że napisał swój pamiętnik, ponieważ mi o tym wspominał.

Po tej dygresji pora powrócić do dalszego ciągu mojej relacji. Wkrótce po nawiązaniu kontaktu pomiędzy Okulickim i Woroniczem rozpoczęły się w Milanówku i okolicach aresztowania, które nie miały oczywiście żadnego związku z tym kontaktem. NKWD zakładała tzw. kotły we wszystkich podejrzanych lokalach. Polegały one na tym, że po wkroczeniu do mieszkania agenci NKWD nie pozwalali nikomu z niego wychodzić, a każdego, kto się później zjawił, zatrzymywali aż do czasu likwidacji kotła. Cała konspiracyjna klientela baru „U Aktorek” przestała go nawiedzać, a zresztą bar i tak trzeba było zamknąć, by uniknąć niepożądanych wizyt sowieckich oficerów.

Pewnego dnia zjawił się na Grudowskiej, po dłuższej nieobecności, Woronicz, wyraźnie podenerwowany i wyjaśnił mi, że NKWD, które nie ukrywało już swoich powiązań z PAL-em, zaczyna mieć podejrzenia co do jego roli i wątpli w jego możliwości nawiązania kontaktów z Komendą Główną AK. W związku z tym poprosił mnie, żebym zechciał pojechać z nim do siedziby sztabu PAL-u w Pruszkowie, wystąpić w roli majora z Komendy Głównej AK i potwierdzić w obecności płk. Pimienowa, że ma nadal bliskie powiązania z akowską górą. Pojechaliliśmy tam już następnego dnia, ponieważ Woronicz wiedział, że uda nam się spotkać z Pimienowem i Piękosiem na przyjęciu wydanym przez wyższych urzędników fabryki ołówków w Pruszkowie. Dzięki temu miałem okazję poznać wszystkie chyba osoby, które w mniejszym lub większym stopniu przyczyniły się do nawiązania tragicznych w skutkach rozmów pruszkowskich. Byli to pułkownik

Pimienow⁶, jego adiutant czy może sekretarz (wystąpił w cywilnym ubraniu) Chodkiewicz, podający się za Polaka, profesora z Taszkientu, i mówiący wcale niezłe po polsku, „generał” Piękoś („Skafa”), pułkownik Róg, wymieniona w aneksie do książki Raczyńskiego „Ciotka” — popularna i wpływowa w PAL-u kuzynka Piękosia i wreszcie ks. Tomsza, kapelan PAL-u, a później kapelan Ludowego Wojska Polskiego. Trudno mi coś bliższego o tych ludziach powiedzieć, bo zetknąłem się z nimi tylko jeden raz. Z krótkiej rozmowy z Pimienowem i Chodkiewiczem odniosłem wrażenie, że obaj są inteligentni i niezłe zorientowani we wszystkim, co się w Polsce dzieje. Rozmawialiśmy głównie przy stole, podczas wspomnianego wyżej, obficie zakrapianego alkoholem przyjęcia, którego gospodarze przedstawiali siebie jako członków bądź sympatyków Stronnictwa Narodowego, powołując się przy tym na Dmowskiego i jego prorosyjską orientację. Wydaje mi się, że musiałem niezłe wywiązać się z pełnionej roli oficera sztabowego AK, bo zarówno Pimienow jak Chodkiewicz odnosili się do mnie uprzejmie i z należytą powagą, co wzbudzało we mnie z trudem tłumioną wesołość.

Potem przez pewien czas na Grudowskiej nic szczególnego się nie wydarzyło, ale coraz częściej dochodziły do nas wiadomości o nowych aresztowaniach. Z gości baru „U Aktorek” wpadli już w ręce NKWD Aleksander Zwierzyński, Bolesław Biega i Jan Hoppe.

Aż oto, znowu po dłuższej nieobecności, przyszedł do nas Woronicz, jeszcze bardziej zdenerwowany niż poprzednio. Okazało się, że on także był aresztowany, ale NKWD zwolniło go dość szybko, ponieważ do rąk, chyba Piękosia, dotarły „żelazne listy” adresowane do „Generała Niedźwiadka” i „Pana Jankowskiego”, gwarantujące im bezpieczeństwo i zapraszające ich na rozmowy wstępne do Pruszkowa z przedstawicielami dowództwa armii sowieckiej. Listy te miał rzekomo podpisać sam marszałek Żukow. Nie mając innych możliwości postanowiono, mimo wszystko, skorzystać z usług Woronicza. Miał on te listy przy sobie i wręczył mi je błagając, żebym je przekazał adresatom, bo

6. Nie wiadomo właściwie, jak on się naprawdę nazywał, bo niemal każdy pisze to nazwisko inaczej: w aneksie do książki Raczyńskiego — Pimienow, u Bienia — Pimionow, u Stypułkowskiego — Pimonow. Najprawdopodobniej nazywał się zupełnie inaczej, o czym świadczy fakt, opowiedziany mi przez Michałowskiego lub Kobyłańskiego po ich powrocie z Moskwy. Otóż kiedy Okulicki powoływał się podczas rozprawy na list żelazny z podpisem pułkownika Pimienowa, przewodniczący sądu wyjaśnił, że takiego oficera w ogóle nie ma w Armii Sowieckiej i że był to po prostu podstęp sowieckiego kontrywiadu.

w przeciwnym razie będzie ponownie aresztowany. Listy przyjąłem, zastrzegając jednak, że mam poważne wątpliwości czy zdołam je doręczyć, bo nikt z podziemia nie przychodzi już na Grudowską, utraciłem wszystkie kontakty i może mi pomóc jedynie przypadek.

Tego samego dnia poszedłem wieczorem na Podgórną do Knolla i pokazałem mu oba zapieczętowane listy, wyjaśniając, jaka jest ich treść według relacji Woronicza. Pan Roman powiedział mi wówczas, że może wreszcie przyjdzie mu po raz pierwszy od wielu lat wystąpić w roli dyplomaty, dodając, że jeśli będzie trzeba, gotów jest pojechać nawet do Moskwy, razem ze mną jako swoim sekretarzem. Nie znaleźliśmy oczywiście prawdziwej treści listów i przypuszczaliśmy, że zgodnie z zapewnieniami Woronicza zawierają one gwarancję bezpieczeństwa i są faktycznie podpisane przez Żukowa. Żadnemu z nas nie przyszło na myśl, że oba listy podpisze jakiś nieznanый nikomu pułkownik Pimienow czy Pimonow, a tym bardziej, że po licznych doświadczeniach z niedawnej przeszłości na rozmowy do Pruszkowa pójdzie Krajowa Rada Ministrów i Komisja Główna Rady Jedności Narodowej w pełnych składach, komendant główny AK i przywódca największych stronnictw. Przypominało to niefortunną decyzję powziętą w przeddzień wybuchu Powstania, w myśl której w Warszawie pozostała cała góra podziemia, a przy tym nie wyznaczono żadnych zastępców dla reszty kraju, co z konieczności doprowadziło do różnych samozwańczych inicjatyw.

Sprzyjało mi szczęście, bo już nazajutrz spotkałem przypadkowo, chyba w Podkowie Leśnej, Stanisława Kauzika, dyrektora departamentu informacji Delegatury Rządu, któremu wręczyłem list do Jankowskiego, a wkrótce potem Jerzego Michalewskiego, dyrektora świeżo utworzonego Departamentu Obrony Narodowej, któremu dałem list do Okulickiego.

BYŁEM WIĘZNIEM MOCZARA

Tymczasem w Milanówku coraz bardziej narastała groźba aresztowań. Lada dzień NKWD mogło zjawić się na Grudowskiej. Nie mogłem dłużej tam pozostawać, więc pewnego popołudnia poszedłem wraz z poetą-satyrykiem Sojeckim na dworzec, gdzie dowiedzieliśmy się, że za jakiś czas powinien nadejść pociąg towarowy do Łodzi. Wróciliśmy na Grudowską i co pół godziny jeden z nas chodził na stację, by zasięgnąć bliższych infor-

macji. Wyjechaliśmy wreszcie około dziesiątej wieczorem pociągiem ze sprzętem wojskowym. Niezwykła to była podróż, krasnoarmiejcy chcieli nas wyrzucać na każdej stacji, a zdołaliśmy tego uniknąć tylko dzięki temu, że przezornie zabraliśmy na drogę kilka ćwiartek wódki, które znakomicie zastępowały bilety kolejowe, ale tylko do następnego postoju pociągu. Dobrnęliśmy w ten sposób do Koluszek, gdzie skorzystaliśmy z gościny na parę godzin w domu miejscowego kolejarza, bo nasz pociąg zmieniał kierunek. Do Łodzi przyjechaliśmy pod wieczór następnego dnia.

Zatrzymałem się w niezbyt wytwornym hotelu „Savoy”, gdzie mieszkało już kilka znajomych osób, a mianowicie siostry Bnińskie, Lilcia i Marylka, córki b. wojewody poznańskiego, a podczas okupacji Delegata Rządu na ziemię wcielone do Rzeszy, Adolfa Bnińskiego, który zginął wrzucony przez gestapo do klatki z lwami w ogrodzie zoologicznym, narzeczony Lilci Bnińskiej, Zygmunt Twardowski, Walewski i hrabina Grabowska, wysiedlona przez nowe władze z jej majątku pod Grójcem. Któregoś wieczoru całe to towarzystwo, powiększone o przybyłych z miasta Ninę Weissową i Stefana Potockiego, zwanego przez przyjaciół Puckiem, postanowiło urządzić tzw. „nocnik”, wykorzystując fakt, że do pani Grabowskiej przyjechali tego dnia panna służąca i lokaj, obładowani przeróżnymi smakołykami dla „dobrej pani” z jej majątku. Nazwa „nocnik” zrodziła się podczas okupacji w Warszawie i oznaczała towarzyskie spotkanie, zazwyczaj bez żadnych tańców czy śpiewów, rozpoczynające się po godzinie policyjnej i trwające z konieczności aż do rana. Wojna ciągle jeszcze trwała, godzina policyjna w Łodzi musiała być przestrzegana, ale nastrój wśród całej naszej kompanii był dobry, bo czuliśmy zbliżającą się nieuchronnie klęskę Niemiec. Niestety, około północy naszą zabawę przerwało brutalnie wkroczenie funkcjonariuszy bezpieczeństwa do dwóch sąsiadujących ze sobą pokojów, gdzie popijaliśmy beztrzesko biber. Kazali nam wszystkim, włącznie z lokajem i służącą pani Grabowskiej, opuścić hotel i zawieźli nas samochodami do siedziby łódzkiej bezpieki, chyba przy ulicy Sterlinga. Tutaj, z wyjątkiem Potockiego, którego poprowadzono gdzieś oddzielnie, przesiedzieliśmy wszyscy na krzesłkach w jakimś dużym pokoju do następnego wieczoru. Przez cały czas „zabawiali” nas rozmową ubrani po cywilnemu funkcjonariusze bezpieki, którym najwyraźniej imponowało, że mają możliwość bezpośredniego kontaktu z prawdziwymi hrabiami i ziemianami, przy czym nie mogli pojąć, dlaczego lokaj i służąca pani Grabowskiej przyjechali aż do Łodzi tylko po to, żeby odwiedzić swoją dawną chlebobawczynię i zaopatrzyć ją w żywność. Każdy

z tych typów, chcąc dodać sobie splendoru, podawał nam swój stopień oficerski, a jeden z nich był niesłychanie dumny, kiedy rozpoznałem w nim przedwojennego reprezentanta Polski w boksie, Taboraka. Wzywano nas po kolei na przesłuchania, z których wynikało, że celem ich nocnej akcji było aresztowanie hrabiego Potockiego i rotmistrza Weissa pod zarzutem udziału w Powstaniu, co uważane było wówczas za poważne przestępstwo. Uprzedzony, że zeznaję jako świadek w tej sprawie, wyjaśniłem, że spotkałem Potockiego kilkakrotnie na Powiślu, ale tylko jako członka ekipy ochrony przeciwpożarowej, choć wiedziałem, że brał on udział w walkach, zgłosiwszy się do jednego z oddziałów z grupy Krybara. Przypuszczam, że podobnie zeznawali inni, w każdym razie wieczorem zwolniono nas wszystkich, łącznie z Niną Weissową, którą jakiś nadgorliwy donosiciel zademonstrował jako rotmistrza Weissa. Tylko Potocki pozostał w areszcie, skąd wyszedł po tygodniu, dzięki interwencjom Jana Brzechwy i mego kuzyna Janusza Minkiewicza. A ja „zaliczyłem” pierwszy pobyt w ludowo-demokratycznym areszcie: byłem więźniem Moczara, ówczesnego szefa Urzędu BP w Łodzi.

NA NIELEGALNEJ STOPIE W PRL

Po kilkunastu dniach przeniosłem się do Janusza, który otrzymał ładne mieszkanie w Domu Literatów, na rogu Bandurskiego i Kościuszki. Mieszkało tam kilkudziesięciu pisarzy, przybyłych z różnych miast Polski, ze Związku Sowieckiego i obozów jenieckich. Wielu z nich było zmobilizowanych i chodziło w mundurach wojskowych, co niekiedy bywało wielce zaskakujące. Na przykład malutki kapitan Adam Ważyk z ogromnym pistoletem w kaburze, zwisającym z dość luźno zapiętego pasa prawie do kolan, kapitan Lec, kapitan Putrament, porucznik Jerzy Zaruba, porucznik Leon Pasternak, czy wreszcie podporucznik Artur Sandauer, który w odróżnieniu od innych, noszących polówki, chodził w sztywnej czapce oficerskiej, takiej, jakich używano przed wojną. Nie było to wprawdzie czako ułańskie, ale właśnie to nietypowe wówczas nakrycie głowy i duży nos stały się powodem, dla którego Janusz nazywał go „Wieniawą naszych czasów”. Pamiętam, że w łódzkim domu literatów mieszkali także Jan Kott, bardzo wówczas gorliwy członek partii, uroczy Jan Brzechwa, zawsze gotów spieszyć każdemu z pomocą, równie uroczy i życzliwy dla najbliższych Andrzej Nowicki, Anatol Mikułko, Jan Huszcza. Było to swego rodzaju literackie getto.

Ponieważ obowiązywała jeszcze godzina policyjna, pisarze spotykali się wieczorami kolejno w poszczególnych mieszkaniach i żyli w swoim gronie, poniekąd oderwani od normalnego, szarego życia. Takie same domy powstały nieco później w Krakowie przy ul. Krupniczej i w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu. Poniektórzy nie mogli już ścierpieć tego żywota ciągle w tym samym kręgu i próbowali się z niego wyrwać. Pamiętam na przykład, jak już później Staś Dygat, wiedząc, że mam rodzinę w Milanówku, prosił mnie usilnie, żebym znalazł dla niego choćby sublokatorski pokój w jakiejś miejscowości na linii EKD.

Pewnego dnia, już chyba w połowie kwietnia, postanowiłem pojechać do Milanówka, żeby sprawdzić co się dzieje z moją rodziną. Tym razem podróż nie była już tak uciążliwa, jak poprzednio. Przyjechawszy na miejsce, chciałem najpierw zbadać teren, obejść z daleka cały dom, żeby się zorientować, czy w mieszkaniu mego teścia nie ma „kotła”. Umówionym znakiem ostrzegawczym miał być specjalny sposób rozstawienia na jednym z okien doniczek z kwiatami. Okazało się to jednak zbyt skuteczne, bo nim zdążyłem dojść do furtki od ogrodu, spotkałem mieszkającego w sąsiednim domu adwokata Zdzitowieckiego z Poznania, który kroczył mi naprzeciw z odwróconą w przeciwną stronę głową, a mijając mnie szepnął przez zaciśnięte usta: „Niech pan tam nie idzie”. Nie przywitaliśmy się, nie wymieniliśmy nawet ukłonów. Sam wyraz twarzy Zdzitowieckiego, już mi wystarczył, by zrozumieć, że w naszym domu jest „kocioł”. Minąłem furtkę, poszedłem dalej prosto do Grudowa, gdzie wsiadłem do najbliższej kolejki EKD w stronę Warszawy. Było już późno, o powrocie do Łodzi tego samego dnia nie mogłem marzyć. Wsiadłem więc na następnej stacji, w Podkowie Leśnej Zachodniej, i poszedłem do willi, w której mieszkał znany mi z czwartków u Knolla Stanisław Wachowiak wraz z rodziną. Wyjaśniłem im, co się stało i poprosiłem o nocleg.

Następnego dnia, późnym wieczorem byłem z powrotem w Łodzi. Kiedy powiadomiłem Janusza, że na Grudowskiej jest „kocioł”, uznaliśmy zgodnie, że nie powinienem już u niego nocować, z uwagi na to, że w domu mego teścia przebywało zazwyczaj wiele osób i istniało prawdopodobieństwo, że któraś z nich na pytanie dokąd wyjechałem, zamiast oznajmić, że nie wie, odpowie, że do Łodzi. Janusz był tutaj zameldowany, należało zatem przypuszczać, że władze bezpieczeństwa, nie wiedząc, gdzie mnie szukać, pierwsze kroki skierują do niego. Zresztą i Janusz, który w dowodzie osobistym miał podane także drugie imię — Władysław, postanowił spędzić tę noc gdzie indziej. Około 12-tej w nocy zaprowadził mnie do mieszkającego

w tym samym domu naszego wspólnego przyjaciela, Andrzeja Nowickiego.

Okazało się, że nasze przewidywania były słuszne, bo już o 6-tej rano nazajutrz bezpieka zjawiała się w mieszkaniu Janusza i nie zdradzając o co chodzi, wypytywała domowników o mnie. Tego samego dnia byli również, w tej samej „sprawie”, w teatrze, w którym grała żona Janusza, Jadwiga Gosławska oraz w sklepie komisowym, należącym do jej siostry przyrodniej, Niny Weissowej. Nie pamiętam jak długo przebywałem u Andrzeja, nie wychodząc w ogóle z domu, ponieważ nie miałem wówczas fałszywych dokumentów. Po upływie kilku czy kilkunastu dni musiałem zmienić *locum*, bo do Andrzeja miał przyjechać ktoś z bliskich. Janusz zaprowadził mnie tym razem do Artura Sandauera, który dowiedziawszy się o co chodzi, przyjął mnie gościnnie, wyjaśniając, że ponieważ Polacy ukrywali go, kiedy uciekł z getta w Samborze, zrewanżuje się teraz bardzo chętnie, ukrywając mnie u siebie. Nie wychodziłem nadal z domu, zaopatrywany byłem w żywność i wiadomości przez życzliwych mi ludzi, a przede wszystkim przez Ninę Weissową.

Pod koniec pobytu u Sandauera dotarły do mnie dość szczegółowe informacje o „kotle” na Grudowskiej. Tak więc założyło go i prowadziło do końca NKWD, agenci zachowywali się poprawnie, ale zatrzymywali w mieszkaniu każdego, kto tylko się zjawił, nawet listonosza i mleczarkę, jak również klientów mieszczącego się na tej samej klatce schodowej laboratorium chemicznego⁷, który pytali u nas, na parterze, gdzie się ono mieści. W rezultacie w ostatnich dniach „kotła” zagęszczenie na Grudowskiej nie było mniejsze niż bezpośrednio po Powstaniu. „Kocioł” rozwiązano po dwóch tygodniach, zabierając tylko moją pierwszą żonę i kilka moich fotografii. Na szczęście jej pobyt w areszcie na Pradze, gdzie spotkała się z zatrzymaną nieco wcześniej Barbarą Kostrzewską, trwał tylko kilka dni, ponieważ była w siódmym miesiącu ciąży, a poza tym nie mogli się od niej dowiedzieć, gdzie przebywam.

Po uzyskaniu tych informacji doszedłem do wniosku, że dalszy mój pobyt w Łodzi, bez możliwości poruszania się po mieście, nie ma sensu. Postanowiłem więc ruszyć w nieznaną, w nadziei,

7. Laboratorium to prowadził, wraz ze swoją żoną, pułkownik AL dr Suchanek, lekarz dermatolog. Tak więc w domu przy ul. Grudowskiej 6 na parterze (a później także na pierwszym piętrze) „urzędowała” Krajowa Rada Ministrów, Komisja Główna RJN, komendant główny AK i przywódca wszystkich pralondyńskich stronnictw, na pierwszym piętrze, szef PAL, gen. Skokowski, a na drugim — pułkownik Armii Ludowej.

że uda mi się spotkać dawnych przyjaciół, którzy dopomogą mi w zdobyciu kennkarty na fałszywe nazwisko. Najpierw pojechałem do Katowic, ponieważ wiedziałem, że odnajdę tam Romana Knolla w domu jego brata stryjecznego, inżyniera górniczego, Karola Knolla, który powrócił na swoje przedwojenne stanowisko dyrektora naczelnego kopalni „Wujek” w Ligocie pod Katowicami. Pan Roman utwierdził mnie w przekonaniu, że wobec niewątpliwych dowodów żywego zainteresowania moją osobą, powinienem bezwzględnie próbować przedostać się na Zachód. On sam zresztą nosił się z podobnym zamiarem, ale nie będąc poszukiwany, nie musiał się spieszyć tak jak ja i chciał jeszcze odczekać jakiś czas, licząc, że dzięki przedwojennym znajomościom zdoła znaleźć względnie bezpieczny i wygodny sposób dotarcia za granicę razem z żoną. Ustaliliśmy, że prędzej czy później spotkamy się najprawdopodobniej we Włoszech.

Z Katowic pojechałem do Krakowa, gdzie dość szybko udało mi się spotkać Kazia Moczarskiego. Opowiedzieliśmy sobie wzajemnie o wszystkim, co się wydarzyło w naszym życiu od czasu ostatniego naszego spotkania w Milanówku. Dowiedziałem się więc, że Kazio jest nadal szefem VI oddziału sztabu, ale już nie rozwiązanej 19 stycznia Armii Krajowej, lecz Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, którą powołał do życia po aresztowaniu w Pruszkowie gen. Okulickiego i wkrótce po swoim powrocie z obozu jeńców pułkownik Jan Rzepecki. Widząc, że i tak muszę się ukrywać, Kazik zaproponował mi, żebym wstąpił do VI Oddziału, tym bardziej, że Rzepecki zamierzał podjąć rozmowy z Mikołajczykiem, ponieważ liczył, iż w wyniku postanowień konferencji jałtańskiej zajmie on jakieś odpowiedzialne stanowisko w Rządzie Jedności Narodowej i dopomoże mu w zbiorowym ujawnieniu całej Delegatury Sił Zbrojnych, co — jego zdaniem — miało dawać większe gwarancje bezpieczeństwa. Zgodziłem się na tę propozycję, ustaliliśmy, że za kilka dni spotkamy się w Warszawie i już tego samego dnia pod wieczór Kazio wręczył mi znakomicie podrobioną kennkartę na nazwisko Wacław Malicki. Przed wyjazdem z Krakowa udało mi się jeszcze uzyskać fikcyjne zaświadczenie o zatrudnieniu jako aplikant adwokata Zygmunta Grossa (obecnie profesor w USA, ojciec profesora Jana Grossa). Nie znałem go wprawdzie przedtem, lecz dopomogła mi jego ówczesna narzeczona, a później żona, Hanka Wertheimowa, wdowa po zamordowanym przez Niemców moim koleźce z prawa Staszku Wertheimie i córka znanego adwokata, obrońcy w procesie brzeskim, Szumańskiego.

Spośród pracowników VI Oddziału pamiętam dwóch działaczy Stronnictwa Demokratycznego, Lechowicza i Kapitaniaka,

którzy wkrótce potem opowiedzieli się zdecydowanie za nową rzeczywistością. Już w lipcu lub sierpniu 1945 roku w numerze 43 z 23 września 1945 tygodnika *Odrodzenie* ukazał się artykuł Lechowicza pt. „Okrakiem na barykadzie”, nawołujący dawnych członków AK do zaniechania wszelkiej opozycyjnej działalności i poparcia nowych władz. Sam Lechowicz dał w swoim przekonaniu „dobry przykład”, zrywając z Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj i obejmując — o ile mnie pamięć nie myli — najpierw stanowisko wiceministra Ziem Odzyskanych, a później ministra Apropowizacji. Dalsze jego dzieje są dostatecznie znane, więc przypomnę tylko najważniejsze szczegóły. Aresztowany 13 października 1948 roku pod zarzutem działalności antykomunistycznej przed wojną — jako pracownik samodzielnego referatu informacyjnego DOKI — i w czasie okupacji — jako wyższy funkcjonariusz Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa (policja Delegatury Rządu) — w okresie październikowej „odwilży” wyszedł na wolność. W początkach 1957 roku odbył się jego proces rehabilitacyjny, na który chodziłem i podczas którego w mojej obecności potwierdził bezsporny fakt przynależności do obu wymienionych instytucji, ale zeznał, że działał jako agent komunistyczny: w pierwszym przypadku donosząc dla KPP, a w drugim — Spychalskiemu dla Gwardii Ludowej i później dla Armii Ludowej. Dlatego wydaje mi się, że wielce zasłużona obrończyni w procesach politycznych, pani Aniela Steinsbergowa, w swojej interesującej książce o tych właśnie procesach jest dla Lechowicza nazbyt łaskawa, pomijając przytoczone przeze mnie fakty i stawiając go bodaj na drugim, po Kazimierzu Moczarskim, miejscu, jeśli chodzi o nasilenie stosowanych wobec więźniów metod śledztwa.

Kapitaniak nie zrobił w nowej rzeczywistości takiej kariery, jak Lechowicz: był sędzią Sądu Najwyższego.

Moja współpraca z Moczarskim w ramach VI Oddziału nie trwała długo, bowiem 11 sierpnia 1945 roku został on aresztowany. Niewiele brakowało, by spotkało mnie wówczas to samo. Umówiłem się z Kaziem w skleconym z desek barku kawowym przy Hożej, w pobliżu Placu Trzech Krzyży. Kazio, mając liczne spotkania, zanotował w swoim notesie termin, a jako miejsce podał róg Hożej i Plac Trzech Krzyży. Znalaziono przy nim notes i zawieszono na ten róg zamkniętym samochodem, każąc mu wskazać osobnika, z którym się umówił i licząc, że nawet jeśli tego nie zrobi, można będzie z łatwością wyłowić spośród przechodniów kogoś, kto przyszedł na to miejsce i bezskutecznie wyczekuje. Działo się to tego samego dnia, kiedy Moczarski został aresztowany, a ja — nie wiedząc o tym — najspokojniej poszedłem

na spotkanie. Przesiedziałem w barku pół godziny, w odległości zaledwie 15 metrów od samochodu bezpieki z Kaziem, który oczywiście mnie nie zdradził. Dowiedziałem się o tym od dwóch naszych łączniczek, które wiedząc, że Moczański jest aresztowany i że umówił się ze mną, przeszły szybkim krokiem obok samochodu i zobaczyły w nim Kazia.



W lipcu i sierpniu przyjeżdżałem dość często do Knolla, który mieszkał wówczas w Chyliczkach pod Warszawą. Odwiedzało go tam wielu ludzi, a m.in. świeżo przybyli z Londynu Henryk Strassburger, Mniszek, Wyszyński i Bader, Adam Obarski z WRN-u, Zygmunt Lachert ze Stronnictwa Narodowego, b. wice-minister rolnictwa Wiktor Leśniewski i na pewno ktoś z PSL-u, chyba Stefan Korboński lub Stanisław Wójcik. Spośród dawnych pracowników „Mocy”: prof. Janusz Pajewski, Bronisław Zieliński, pani Jadwiga Studzińska, Tadeusz Chromecki i zamieszkały również w Chyliczkach syn Wiktora, Andrzej Leśniewski.

Czas mijał, ale zapowiedziane przez Moczańskiego zbiorowe ujawnienie się Delegatury Sił Zbrojnych nie nastąpiło. Mikołajczyk, obawiając się jakichkolwiek powiązań z podziemiem, nie chciał prowadzić żadnych rozmów z płk. Rzepeckim i wręcz odmówił pośrednictwa w nawiązaniu kontaktu z władzami. Życie w ciągłej konspiracji stawało się coraz bardziej uciążliwe, postanowiłem więc, po długiej naradzie z Knollem, zwolnić się z pracy w Delegaturze Rządu oraz Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj i wyjechać nielegalnie z kraju.

CZĘŚĆ II

POBYT WE WŁOSZECH

W jednej z ostatnich rozmów z Romanem Knollem w Chyliczkach ustaliliśmy, że prędzej czy później spotkamy się za granicą, najprawdopodobniej we Włoszech. Pan Roman radził mi, żebym udał się właśnie tam, bo liczył, że znajdę oparcie wśród jego tamtejszych znajomych i przyjaciół. W owym czasie ambasadorem rządu polskiego w Londynie przy Watykanie był Kazimierz Papée, który jako najdawniej, bo jeszcze przed wybuchem wojny, akredytowany pełnił funkcję dziekana korpusu dyplomatycznego.

Obowiązki naszego ministra pełnomocnego przy Kwirynale sprawował Stanisław Janikowski. Był to okres, kiedy przy rządzie włoskim istniały jednocześnie dwa polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne, bo zanim pod naciskiem Warszawy zlikwidowano placówkę Janikowskiego, działała już ambasada PRL. Na jej czele stał najbliższy współpracownik Mikołajczyka, prof. Stanisław Kot, pierwszym radcą był Witold Wyszyński, wyższy urzędnik w Ministerstwie Informacji rządu londyńskiego, który po przyjeździe do Polski kilkakrotnie odwiedzał Knolla, a kierowniczką kancelarii została zaprzyjaźniona z Knollem od kilkudziesięciu lat pani Ada Kaczkowska, która taką samą funkcję pełniła u nas, w Departamencie Spraw Zagranicznych Delegatury Rządu. W ostatniej rozmowie pan Roman zapewnił mnie, że postara się wyruszyć w moje ślady wkrótce po mnie i że podjął starania w tym kierunku, nawiązując za pośrednictwem zatrudnionego już w MSZ Tadeusza Chromeckiego kontakty z kilkoma przedstawicielami dyplomatycznymi przy Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej.

Przed wyjazdem musiałem jeszcze zwolnić się z pracy w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Nie napotkałem na żadne trudności, bo Delegatura znajdowała się już w trakcie likwidacji przed przekształceniem się w Organizację Wolność i Niezawisłość, a przy tym szef Delegatury, płk Jan Rzepecki, wiedział, że od dłuższego czasu poszukują mnie NKWD i polskie władze bezpieczeństwa. Po aresztowaniu 11 sierpnia 1945 roku Kazimierza Moczarskiego jego funkcję jako szefa VI oddziału sztabu Delegatury, a więc mego bezpośredniego przełożonego, przejął prowizorycznie ktoś inny, występując już raczej w roli likwidatora tego oddziału. Zwróciłem się zatem do niego, przedstawiając mu przyczyny mojej decyzji. Przyjął to z pełnym zrozumieniem, wypłacił 100 dolarów tytułem odprawy i wręczył mi nominację na podporucznika AK, ale niestety nie potrafił wskazać mi żadnej drogi przerzutowej na Zachód.

Rozmawiałem już przedtem na ten temat z moim dawnym znajomym, Zygmuntem Lachertem ze Stronnictwa Narodowego, który powiedział mi, że jeżeli Delegatura nie będzie w stanie mi pomóc, skontaktuje mnie z Pętkowskim, plenipotentem Maurycego Potockiego, ponieważ ma on jakieś powiązania z NSZ, które posiadają własną drogę przerzutową. Nigdy nie miałem sympatii do tej organizacji, ale nie mając innego wyjścia, musiałem na to przystać. Spotkaliśmy się wkrótce potem we trzech, bo ja Pętkowskiego nie znałem, a nazajutrz ponownie we trzech, tylko zamiast Lacherta pojawił się jakiś ważny NSZ-owiec. Ten ostatni, powiadomiony już przez Pętkowskiego o mojej trudnej sytu-

cji, zgodził się od razu mi pomóc i dał mi pierwszy kontakt na Katowice, gdzie miałem się dowiedzieć o następny etap mojej wyprawy, podając jako hasło, że „przyjeżdżam od Konrada”.

Do Katowic przyjechałem wieczorem i przenocowałem w willi adwokata Pajaka, gdzie mieszkali wówczas: jego córka Lucyna i jej mąż Antoni Szymanowski, mój dobry znajomy sprzed wojny, a w czasie okupacji jeden z redaktorów wydawanego przez BiP organu AK *Biuletyn Informacyjny* (wkrótce potem wstąpił on do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a następnie został ambasadorem PRL w Sztokholmie). Nazajutrz poszedłem pod wskazany w Warszawie adres, gdzie — po podaniu hasła — otrzymałem fałszywą przepustkę na przekroczenie granicy pomiędzy Polską i Czechosłowacją na moście w Cieszynie i następny kontakt, już na Pragę, gdzie miałem się zgłosić do niejakiego Jurzyny, kierownika stołówki praskiej „Sokoła”, podać mu to samo hasło — „przyjeżdżam od Konrada” — i opowiedzieć, że chcę przez Pilzno dostać się do Niemiec. Przepustka upoważniała mnie jedynie do poruszania się w pasie przygranicznym, na podstawie umowy pomiędzy PRL i Czechosłowacją o małym ruchu granicznym. W razie indagacji przez władze czechosłowackie miałem tłumaczyć, że jadę po ciężko chorego członka mojej rodziny, niedawno zwolnionego z obozu koncentracyjnego. Mogłem więc poruszać się względnie swobodnie w czeskim Cieszynie i dotrzeć najwyżej do Morawskiej Ostrawy, skąd musiałem jechać do Pragi już zupełnie nielegalnie. Mój rozmówca radził mi, żebym zatrzymał się na noc w Cieszynie, w hotelu „Pod jeleniem”, bo najłatwiej jest przechodzić granicę rano. Tak też zrobiłem.

Bez trudu dostałem pokój w hotelu i nazajutrz wyruszyłem na most pełen obaw, bo miałem wprawdzie wyrobioną mi w Krakowie przez Moczarskiego fałszywą kennkartę na nazwisko Wacław Malicki, ale wiedziałem że w czasie „kotła” w Milanówku NKWD zabrało kilka moich fotografii, które mogły a nawet powinny być rozesłane do wszystkich punktów granicznych. Na szczęście wszystko poszło gładko i już po chwili byłem na drugim brzegu Olzy, w Czechosłowacji.

Kręciły się tu gęsto jakieś typy o mocno podejrzanych fizjonomiach. Byli uzbrojeni w pepesze, ale ubrani po cywilnemu z czerwonymi opaskami na ramieniu. Kiedy nadziałem się wprost na jeden z takich patroli, zapytałem o drogę na dworzec. Nie było daleko, więc już po kilku minutach tam byłem i kupiłem bilet do Morawskiej Ostrawy. Zaraz po przybyciu do tego miasta nowe emocje: bałem się czy przy kupnie biletu do Pragi nie zażądadają ode mnie jakichś dokumentów. I znowu poszło gładko,

ale do odjazdu następnego pociągu brakowało kilku godzin. Chcąc uniknąć legitymowania — bo i tutaj łążyło wiele patroli — poszedłem do najbliższego kina, gdzie przesiedzałem na prawie dwóch seansach. Wsiadłem do pociągu w ostatniej chwili i odtąd moja przepustka przestała mieć znaczenie. Jechałem nielegalnie.

Pociąg dowlókł się do Pragi na ranem. Odczekawszy jakiś czas na dworcu, poszedłem wprost do lokalu „Sokoła”. Przyjął mnie tam przystojny brunecik, jak się okazało właśnie mój Jurzyna. I od razu wyłoniła się trudność: oznajmił mi, że przepustki, jakimi dysponował, upoważniające do przekroczenia linii demarkacyjnej pomiędzy obszarem kraju okupowanym przez armię sowiecką i obszarem okupowanym przez Amerykanów, nie są już honorowane, bo władze bezpieczeństwa zorientowały się, iż są one fałszywe. Jurzyna pocieszył mnie jednak od razu, mówiąc, że od dwóch dni przychodzi do stołówki na obiady jakiś starszy pan z Warszawy, który też miał korzystać z jego przepustki do Pilzna, a dowiedziawszy się, że te przepustki są już nieważne, wcale się tym nie zmartwił i powiedział, że ma inną drogę. Jurzyna poradził mi, żebym przyszedł do stołówki w porze obiadowej, bo być może ów starszy pan zdoła znaleźć jakieś wyjście z tej trudnej dla mnie sytuacji.

Kiedy zjawiłem się tam o wyznaczonej godzinie, okazało się że jest to pułkownik Janusz Bokszczanin, którego wprawdzie nie znałem, ale miałem z nim wspólnych znajomych i wiedziałem, że ma wysokie stanowisko w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Zapewnił mnie, że będzie miał dla mnie przepustkę, którą wręczy mi na dworcu, przed odjazdem pociągu.

Podróż odbyliśmy razem bez żadnych zakłóceń, tylko na linii demarkacyjnej zarówno żołnierze sowieccy, jak i po chwili amerykańscy, bardzo dokładnie sprawdzali nasze dokumenty. Amerykanie niechętnie wpuszczali na swój teren ludzi z Polski, ponieważ wiedzieli już, że władze państw socjalistycznych wysyłają na Zachód swoich agentów pod pretekstem, że są to uchodźcy polityczni.

Odetchnęliśmy obaj z ulgą, gdy wreszcie pociąg ruszył. Ale prawdziwy powiew wolności ogarnął nas dopiero na ulicach Pilzna, gdzie zamiast patroli czechosłowackich ubeków i sowieckiej żandarmerii ujrzeliśmy wspaniałych, rosnących, dobrze wyekwipowanych, wesołych chłopaków z armii amerykańskiej. Zatrzymaliśmy się w niezłym hotelu, we wspólnym pokoju i spędziliśmy tam razem kilka dni, prawie się nie rozstając. Opowiadałem Bokszczaninowi o sobie i o przyczynach, które zmusiły mnie do opuszczenia kraju, a także o mojej pracy w Delegaturze Sił Zbrojnych na Kraj. Z kolei on powiadomił mnie, że jako

szef sztabu Delegatury udaje się do Londynu na polecenie pułkownika Rzepeckiego.

Nazajutrz po przyjeździe nawiązaliśmy kontakt z jakimiś wyższymi oficerami armii amerykańskiej, którzy — jak się okazało — byli już powiadomieni o osobie Bokszczanina i zapewnili go, że w najbliższych dniach przyleci specjalny samolot z Brukseli, żeby zabrać go do Londynu. Natomiast mnie poradzili, żebym czekał w Pilźnie na samochód Brygady Świętokrzyskiej NSZ, która stacjonuje w Regensburgu i utrzymuje żywe kontakty z 2-gim Korpusem generała Andersa we Włoszech. Okazało się przy tym, że dzięki pozycji Bokszczanina uniknęliśmy obaj niezbyt przyjemnego pobytu w obozie dla uchodźców, których amerykańska żandarmeria poddawała drobiazgowym przesłuchaniom.

Potem wszystko odbyło się zgodnie z zapowiedzią, z tym że Bokszczanin czekał na samolot o parę dni krócej, niż ja na mój samochód. Żegnając się podziękowałem panu pułkownikowi z całego serca za pomoc w przekroczeniu granicy, za poratowanie mnie kwotą kilkuset koron (miałem tylko dolary), a wreszcie za niebywale miłe i ciekawe towarzystwo.

W Regensburgu też musiałem czekać około tygodnia na samochód jadący do Ancony. Podczas mojego tam pobytu rozmawiałem z wieloma oficerami na temat sytuacji w Polsce, ale nie mając nigdy sympatii ani zaufania do ludzi spod znaku ONR i NSZ, zachowywałem pewną rezerwę i starałem się jak najmniej mówić o sobie. O ile mnie pamięć nie myli, jednym z tych oficerów był Stefan Kozłowski.

Dowiedziałem się tutaj, że NSZ-towska tzw. „droga Konrada” jest właściwie jedyną jako tako zorganizowaną drogą przerzutową z Polski na Zachód. Takie przerzuty odbywały się indywidualnie, jak w moim przypadku, ale również zbiorowo, kiedy przechodziła granicę grupka osób prowadzonych przez oficera Brygady Świętokrzyskiej. W czasie mego pobytu w Regensburgu przyszła tutaj taka grupka, którą przyprowadził porucznik Banaszkiewicz (czy Banaszewski), zabierając ze sobą za granicę m.in. swoją narzeczoną, znaną śpiewaczkę warszawską Lucynę Szczepańską. Jak dowiedziałem się później, wyruszył on potem jeszcze raz po uchodźców z Polski. Miała to być już jego ostatnia tego rodzaju wyprawa. Faktycznie była ostatnia, ale już z niej nie wrócił. Cała siatka obsługująca „drogę Konrada” wpadła w ręce władz bezpieczeństwa, m.in. także Banaszkiewicz, którego wiele lat później widywałem w więzieniu we Wronkach w charakterze „kalifaktora” roznoszącego kotły z kawą lub zupą. Mówiono mi także, że na Mokotowie siedział ów Jurzyna z Pragi, którego

aresztowała czeska policja i wydała w ręce polskich władz bezpieczeństwa. Będąc już we Włoszech dowiedziałem się, że z „drogi Konrada” korzystało wiele osób, nie mających nic wspólnego z NSZ, a przede wszystkim żony różnych ważnych osobistości, jak np. p. Wanda Pelczyńska, żona Wańkowicza i żona Andersa.

Po mniej więcej tygodniowym pobycie w Regensburgu ruszyłem w drogę do Ancony jeepem, w towarzystwie oficera i dwóch żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. Zatrzymaliśmy się na noc w dawnym oflagu w Murnau, gdzie stwierdziłem ze zdumieniem, że przebywa tam nadal kilkunastu polskich oficerów, którzy postanowili pozostać nadal w obozie.

Nasza dalsza trasa wiodła przez cudownie położony Innsbruck, a potem przez Brenner, gdzie nielegalnie przekraczałem już trzecią granicę i w związku z tym — jako Polak — byłem indagowany przez żandarmerię 2-go Korpusu. Przy przejściu granicznym pełniły służbę żandarmerie wszystkich armii okupujących wówczas Włochy: amerykańskiej, brytyjskiej, francuskiej i polskiej. Wachmistrz, z którym miałem do czynienia, był niezwykle dociekliwy i domagał się stanowczo, bym mu podał moje prawdziwe nazwisko, pseudonimy, przynależność organizacyjną i pełnione funkcje oraz powody opuszczenia kraju, przy czym notował wszystko w grubej księdze. Kiedy na chwilę opuścił pokój, pozostawiając mnie samego, zauważyłem że w tej księdze figurowały nazwiska, pseudonimy i inne bliższe dane osób, które przede mną przekraczały tutaj granicę. Poza imieniem i nazwiskiem Wacław Malicki z mojej fałszywej kennkarty, nie podałem mu oczywiście żadnych prawdziwych danych. Później, już w pierwszej rozmowie z szefem II Oddziału 2-go Korpusu, pułkownikiem Wincentym Bąkiewiczem, zwróciłem mu uwagę na niewłaściwość takich indagacji w stosunku do osób, które opuszczając nielegalnie kraj nie chcą narażać swoich rodzin na szykany i występują poważnie pod przybranymi nazwiskami. Podczas chwilowej nieobecności takiego jak ten mój wachmistrza, każdy agent bezpieczeństwa mógłby dość swobodnie wertować jego księgę, żeby przedstawić potem swoim mocodawcom choć kilka nazwisk nielegalnych uchodźców. Bąkiewicz przyznał mi rację, w mojej obecności wezwał jakiegoś porucznika i polecił mu wysłać natychmiast telex na Brenner, nakazujący przerwanie tego rodzaju praktyk.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Władysław MINKIEWICZ

DOKUMENTY

Dr med. Roman BORN-BORNSTEIN

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Wspomnienia

Pracę niniejszą poświęcam pamięci Matki mej Rozalii, wnuczki powstańca 1930/1931, która wychowała mnie w duchu miłości do Kraju i współobywateli, tudzież Panu Pułkownikowi Stanisławowi Steczkowskiemu (kryptonim: „Zagończyk”), b. dowódcy Rejonu IV, Warszawa-Sródmieście.

Od czasu do czasu spotykałem się z pułkownikiem Stanisławem Steczkowskim (pseudonim „Zagończyk”), byłym dowódcą Rejonu IV-go Warszawa Śródmieście. Spotkania te miały raczej charakter przypadkowy: na nabożeństwach za dusze poległych powstańców, bądź też na cmentarzu wojskowym na Powązkach.

Za każdym niemal razem zwracał się do mnie z apelem o napisanie historii Służby Zdrowia w podziemiu i czasu powstania. Uważał i udowadniał mi, iż dzieje Służby Zdrowia oraz rola, jaką odegrała w powstaniu, winny przejść do historii powstania i być udostępnione następnym pokoleniom.

Obiecałem pisać. Przyznam, że bez zastanowienia się. Obiecać było znacznie łatwiej aniżeli wykonać. Nie posiadam zupełnie materiału dowodowego, nawet własnego. Ani jednego swego rozkazu dziennego, ani jednego pisma okólnego. Wprawdzie moja była sekretarka Sława — z własnej zresztą inicjatywy — część

dokumentów zakopała na terenie Biblioteki Publicznej w Warszawie, ale gdzie — nie wiem.

Nie udało mi się też uzyskać jakichkolwiek danych z byłego Szefostwa Okręgu Sanitarnego Warszawa.

W okresie konspiracji reprezentowałem jedynie służbę zdrowia niewielkiej organizacji PAL. Szkoliłem i egzaminowałem przyszłe pielęgniarki powstania, toteż podjąć się mogłem tylko spisania historii Służby Zdrowia terenu, w którym byłem czynny podczas samej akcji, tj. Rejonu IV-go, Warszawa Śródmieście. Starać się będę w miarę możliwości o zachowanie ścisłej chronologii.

Zarówno pod względem liczebnym jak i organizacyjno-przygotowawczym dominowała Armia Krajowa (AK). Z Armią Ludową (AL) nie miałem żadnego kontaktu. Pomijam jedyne służbowe odwiedziny łączniczki AL-u w mej składnicy sanitarnej z zapotrzebowaniem na leki. Jednocześnie proponowano mi przejście do AL-u oraz awans na podpułkownika. Moja podziemna organizacja macierzysta pod względem liczebnym odgrywała rolę podrzędną. Jej stan liczebny wynosił około pięciuset ludzi.

Podobnie jak tysiące żołnierzy, ja także nie zostałem powiadomiony o wyznaczonym terminie powstania. W godzinach popołudniowych 1 sierpnia 1944 roku przebywałem w centrum miasta. Gdy akcja się rozpoczęła, nawet i myśleć nie próbowałem o przedostaniu się na Grochów do mojej macierzystej formacji. Mosty na Wiśle obsadzone były przez artylerię. Przejście ściśle strzeżone przez posterunki niemieckie. Niemieckie placówki ochronne zaalarmowane.

Nie zastanawiając się wiele, zgłosiłem się do dowódcy zgrupowania terenu, na którym się przypadkowo znalazłem. Dowódcą był major „Lig” (Nowakowski).

Służbowo melduję swój akces do powstania. Podaję personalia. Przeszkolenie rekrucie w piechocie. Służba wojskowa w sanitariacie. Kurs sztabowy przy CWS-anie (Centrum Wyszkolenia Sanitarnego). Czterdziestu lekarzy oficerów rezerwy powołanych zostało latem 1938 roku celem uzupełnienia ich ogólnego wyszkolenia wojskowego. Po wysłuchaniu wykładów i złożeniu egzaminów przewidziani byli przez Departament Służby Zdrowia do objęcia samodzielnych stanowisk na wypadek wojny. Poza tym — doświadczenie kampanii wrześniowej. Indagowany podaję, że mam stopień porucznika rezerwy ze starszeństwem z roku 1934. Za pośrednictwem swego łącznika z PAL-u, porucznika „Huzara”, przedstawiony zostałem do awansu na majora. Nie posiadam jednakże żadnych dowodów, ani swojego przedwojennego stopnia oficerskiego, ani też awansu w konspiracji. Nie

wiem zresztą, czy wniosek na majora został zatwierdzony. Celowo podaję majorowi „Ligowi” te szczegóły. Proszę o przydzielenie do służby liniowej. Podczas bitwy pod Stoczkim dostałem się do niewoli niemieckiej. Po dwu tygodniach udało mi się zbiec.

W odpowiedzi na mój meldunek mianowany zostałem zastępcą dowódcy zgrupowania. Warunek: podejmę się zorganizowania służby zdrowia. Jednocześnie pełnić będę obowiązki jej szefa sanitarnego. Jak dotychczas bowiem nie było ani lekarzy, ani placówek sanitarnych, nawet na papierze. Po prostu nie zaplanowano.

Wobec braku dowodu przyznania mi stopnia majora służbę pełnić będę w stopniu kapitana aż do wyjaśnienia.

Dowódca zgrupowania „Chrobry II”, major „Lig” był wysokim, szczupłym, barczystym mężczyzną lat około 40-45. Oficer służby czynnej. W podziemiu awansował na majora. W zachowaniu skromny, cichy, koleżeński, bezpośredni, prostolinijsny.

Nie tań przede mną, że sytuacja zgrupowania jest niewyrażna, raczej ciężka. Teren nasz miał być pierwotnie obsadzony przez zgrupowanie „Chrobry”. Już w pierwszych godzinach powstania zgrupowanie to pod dowództwem kapitana „Sosny” wycofało się w kierunku Hal Mirowskich. Powstało pewnego rodzaju *vacuum*. Teren objęty zostaje przez nowo tworzące się zgrupowanie, od nazwy terenu ochrzczone zostaje jako „Chrobry II”.

Pod wieczór pierwszego dnia powstania sztab zgrupowania „Chrobry II” stanowili: mjr „Lig” — dowódca, kapitan Born — zastępca dowódcy oraz młody porucznik, oficer operacyjny. Ani kryptonim, ani nazwisko tego ostatniego nie są mi znane. W sztabie „Chrobry II” pozostawał tylko przez pierwszych parę dni. Sztab mieścił się w małym przysklepowym pomieszczeniu restauracyjnym przy ul. Twardej 40.

Teren zgrupowania „Chrobry II” ograniczony był ulicami: Towarowa, Ceglana, Grzybowska, Plac Żelaznej Bramy, Plac Grzybowski, Królewska, część Marszałkowskiej, część Alei Jerozolimskich, Sienna, Miedziana. Obsadzony był przez kapitanów: „Lecha Żelaznego” (Przystański), „Lecha Grzybowskiego” (Wacław Zagórski) i „Hala” (Wacław Stykowski). Pseudonimy kapitanów „Lechów” uzupełnione zostały nazwami ulic, przy których mieściły się sztaby ich batalionów wchodzących w skład „Chrobry II”, który wynosił razem ponad 3.000 żołnierza.

Stan uzbrojenia więcej niż tragiczny. Ilościowo zaspokajało ono ze 25 % zapotrzebowania. Jakość techniczna na poziomie z przełomu XIX i XX stulecia.

Koło godziny 17-tej przywieziono na wiejskim wozie, pod

oślomą słomy, ciężki karabin maszynowy. Uplasowany został przy skrzyżowaniu ulic: Żłota, Żelazna, Twarda, Miedziana. Cóż, kiedy brak było do niego amunicji. Kolejno w pojedynkę posyłani do Komendy Głównej łącznicy bądź nie wracali wcale, bądź wracali z pustymi rękami. Z dachów domów oraz okienek mansardowych padają tu i ówdzie strzały tzw. gołębiarzy. Wreszcie piąty łącznik wysłany na motocyklu przywozi chlebak naboju karabinowych. To wszystko.

Kpt. Born pozwolił sobie zwrócić uwagę majorowi „Ligowi” na niedostateczne zabezpieczenie mp (miejsca postoju) tworzącego się sztabu zgrupowania „Chrobry II” oraz ciężkiego karabinu maszynowego. Jedyne zbudowane w pobliżu barykada mieściła się przy ul. Żłotej na wysokości domu pod numerem 65. Jej siła obronna była niedostateczna. Barykada była zbudowana z przewróconego wozu tramwajowego, niewielkiej ilości worków wypełnionych piaskiem oraz znikomej ilości płyt kamiennych powyrywanych z chodników.

Wspomniany już wyżej ciężki karabin maszynowy był jedynie częściowo chroniony od ul. Żłotej. A że znajdował się na skrzyżowaniu kilku niezabezpieczonych ulic, dostać się doń można było od kilku stron.

Mjr „Lig” wydaje polecenie oficerowi operacyjnemu, by udał się w teren celem rozeznania się w sytuacji. Powrotu jego oczekujemy przez kilka godzin, które wydawały się wiecznością. Dookoła głucha i ciemna noc, choć oko wykol.

O ile powstanie jako takie i sytuacja bojowa podniecały kpt. Borna i trzymały jego nerwy w napięciu, o tyle jego bezpośredniego dowódcę zmogły. Koło północy zasnął z przykurczonymi nogami na malutkim wąskim żelaznym łóżeczku, jakie stało w „kancelarii sztabowej”.

Przyjaciel majora „Liga” i jego nieoficjalny doradca bojowy w powstaniu, a w roku 1945 komendant Szkoły Podoficerskiej w Łodzi, dostarczył mi pewnych szczegółów, dotyczących osoby dowódcy zgrupowania „Chrobry II”.

Były oficer służby czynnej, kapitan Nowakowski po kampanii wrześniowej „przycupnął” i zamieszkał w malutkiej miejscowości podwarszawskiej, gdzie jedynym przedstawicielem podziemia był NSZ-owiec. W ten sposób zupełnie przypadkowo major Nowakowski stał się członkiem NSZ-u. Awansował w podziemiu. Zgodnie z relacją wspomnianego przyjaciela mjr „Lig” nigdy nie był wyznawcą ideologii ONR-u.

W życiu liczą się nie tyle morale, nastawienia i przekonania, ile fakty i... legitymacja.

Pozycja mjra „Liga”, członka NSZ-u, wobec władz zwierzch-

nich (AK) nie mogła być dogodna. Jako zwierzchnik był bez zarzutu. Nie interesował się niczyją przynależnością partyjną ani pochodzeniem. Przez całą albo prawie całą pierwszą dekadę powstania kpt. Born był jego zastępcą i miał możliwość obserwowania jego posunięć.

Po 2-3 dniach trwania powstania do sztabu zgrupowania zgłosił się na służbę major „Mecenas”. Nie mam pewności, jaka była jego funkcja. Mam przeświadczenie, że należał do „dwójki”. Do niczego się nie wtrącał, w każdym razie w obecności osób trzecich. Stałe zajęty był pisaniem czegoś na maszynie.

Gdzieś między 4 a 6 sierpnia zaproponowałem majorowi „Ligowi” zwołanie odprawy oficerów dowództwa zgrupowania. Wniosek został skwapliwie przyjęty. Wieczorem tegoż samego dnia, czy następnego, odbyła się odprawa sztabu zgrupowania „Chrobry II”. Obecni byli: mjr „Lig”, tylko co przybyły do oddziału mjr „Zygmunt” (Brejnak), mjr „Mecenas”, kpt. „Born”, por. „Topór” (późniejszy kapitan i — jeśli mnie pamięć nie zawodzi — jeden z dwóch kapitanów „Lechów”). Wówczas to po raz pierwszy mjr „Zygmunt” oficjalnie zjawił się w kancelarii zgrupowania. Nie wyklucza to, że na terenie „Chrobry II” mógł być wcześniej.

Mjr „Lig” jako dowódca zgrupowania „Chrobry II” przewodniczył i zgał odprawę. Na porządku dziennym tylko dwa punkty:

- 1) walka z czołgami
- 2) wolne wnioski

I tu jak zwykle wykazał swą małomówność i skromność. Odczytał porządek dzienny i bodajże się tym zadowolił. W każdym razie swych poglądów i nastawienia swego nawet podkomendnym nie narzucał. Mjr „Mecenas” jak zwykle w *splendid isolation*. Był obecny, ale odprawa jakby go nie dotyczyła. Milczał. Mjr „Zygmunt” — rzecz jasna — w sytuacji bojowej zgrupowania i w jego sprawach służbowych wewnętrznych nie mógł być zorientowany. Również głosu nie zabierał. Czuł się obco. Zresztą stanowisko jego w dowództwie przez pewien czas było dość trudne i dwuznaczne, wcale nie do pozazdroszczenia. W każdym razie tak długo, póki na stanowisku pozostawał mjr „Lig”.

W tym stanie rzeczy, przy biernym zachowaniu się trzech majorów nie pozostawało mi — jako najstarszemu z urzędu i stopnia wojskowego poza majorami — nic innego, jak prosić o głos. Wszak mjr „Lig” i kapitan Born zwołali odprawę. I to jeszcze z inicjatywy tego ostatniego. A jak dotychczas dowództwo się nie uzewnętrzniło.

„Skoro powstanie nie zostało pomyślnie zakończone w ciągu

2-3 dni, trwać będzie ono — według mych supozycji — szereg tygodni. Musimy dostosować się do zaistniałej sytuacji i wydać odpowiednie zarządzenia. Jeśli 'gołębiarze' mają dość tupetu, aby strzelać do nas za dnia z ukrycia, z pewnością mają możliwość telefonicznego porozumiewania się z niemieckimi oddziałami wojskowymi. Należy bezzwłocznie przystąpić do przecinania drutów miejskich linii telefonicznych, dla własnego zaś użytku założyć polowe linie telefoniczne. Zadanie to jest do wykonania dla obecnego tu na odprawie dowódcy Oddziału sztabowego, por. 'Topora'. 100-tysięczna ongiś Reichswehra generała von Seeckta posiadała bardzo wysoką wartość bojową nie tylko dzięki temu, że stan liczebny oficerów i podoficerów znacznie przewyższał przyjęte na ogół normy etatowe, lecz i dzięki temu, i to bodajże głównie, że posiadała wyjątkowo rozwiniętą służbę łączności. Podczas ćwiczeń najdrobniejsze rozsypane w terenie oddziały utrzymywały ścisłą i stałą łączność telefoniczną a nawet i radiową.

Jedynym niestety naszym środkiem zwalczania ataków czołgów są butelki z benzyną. Nie ma co marzyć, aby otrzymać 'Panzerfausty'¹. Udało mi się zabezpieczyć w podwórzu przy ul. Sosnowej dwie beczki z acetonem. Są zakopane. Mam przeświadczenie, że mieszanka benzyny z acetonem okaże się bardziej łatwopalna. Będzie skuteczniejszym środkiem w walce z czołgami". Wnioski kpt. Borna przyjęte zostały bez dyskusji.

Odprawa zakończyła się późną nocą. Już nazajutrz z samego rana podczas dokonywania inspekcji spostrzec można było, iż ulicami Śródmieścia przeciągano druty polowych linii telefonicznych. Kapitan „Topór” nie spał tej nocy. Nie zasypiał gruszek w popiele.

Komenda Główna AK nie życzyła sobie prawdopodobnie oficera NSZ-u na samodzielnym stanowisku dowódcy zgrupowania. Dlatego też do sztabu „Chrobry II” skierowany został mjr „Zygmunt”. Jak fama głosiła, na stanowisko równorzędne z majorem „Ligiem”. Jeśli tak miało być w rzeczywistości, to sytuacja dość oryginalna.

W połowie sierpnia mjr „Lig” skierował do mnie zatrzymanego Irlandczyka celem przesłuchania go. Władał tylko językiem angielskim, tak przynajmniej zeznawał podczas przesłuchania. Podawał, że uciekł z obozu jenieckiego w Warthegau (tak ochrzczili Niemcy centralną i zachodnią część Polski podczas wojny i włączyli je do Rzeszy już w roku 1939). Do Warszawy przedostał się przez Głowno. Była to ówczesna granica między Generalną Gubernią i Warthegau.

1. Jedyna naprawdę skuteczna broń przeciwczołgowa.

Na pytanie, jak sobie radził w Warszawie bez znajomości języka polskiego oświadczył, że opiekowała się nim niewiasta o powszechnie znanym nazwisku, prawnuczka jednego z największych, a może i największego pioniera przemysłowego Polski XIX stulecia, projektodawcy i budowniczego kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Zgodnie z powszechnie wówczas panującą opinią opiekunka irlandzkiego „jeńca wojennego” była w kontakcie z Intelligence Service. To pozwalało uważać opowiadanie o obozie jenieckim i ucieczce za zmyślane, zaś jego autora za agenta wywiadu angielskiego.

Ojciec odważnej niewiasty brał czynny udział w powstaniu. Dwukrotnie spotkałem go z opaską służbową podczas dokonywania inspekcji w terenie.

Między 8 a 10 sierpnia po porozumieniu się z majorem „Ligiem” opuściłem stanowisko zastępcy dowódcy zgrupowania. Służba sanitarna rozrastała się i absorbowwała bez reszty. Dowództwo mogło się obejść beze mnie z powodzeniem. Sztab zgrupowania stanowili obecnie dwaj majorowie, „Lig” i „Zygmunt”, oraz świeżo przydzielony i niezapomniany kapitan „Proboszcz” (Jan Jaroszek).

Przez kilka dni jeszcze, a może i kilkanaście, trwał ten anormalny stan „podwójnego” dowództwa. Wreszcie major „Lig” został przeniesiony na inne stanowisko. Podczas walk zginął śmiercią żołnierską.

Wyznaczając mnie, jako kapitanowi, stanowisko swego zastępcy, major „Lig” zobligował mnie jednocześnie do kierowania Służbą Zdrowia. Poza mną dowództwo zgrupowania „Chrobry II” dysponowało młodym przedwojennym kadetem Szkoły Podchorążych, w wieku 20-22 lat.

Rozkaz dzienny o godzinie 20-tej przedstawiał się jak następuje: szef sanitarny kpt. Roman Born, tylko co zgłaszający się na służbę lekarz dr „Obst” i podchorąży sanitarny „Kordon”.

Na terenie znajdującym się między nieruchomościami Twarda 30 i Sienna 82, w postajennym pomieszczeniu ustawionych było 10 żelaznych łóżek z siennikami oraz 2 paki nakryte prześcieradłami. Zupełny brak natomiast środków opatrunkowych, najprostszych narzędzi chirurgicznych i leków.

Służba Zdrowia — jeśli już nawet myśleć kategoriami militarysty — pod względem wagi ustępuje jedynie Departamentowi Uzbrojenia. W niczym natomiast zaprowiantowaniu. Niech sobie nikt nie wyobraża, że żołnierza można zżyć byle jaką pomocą lekarską. Zdaje on sobie dobrze sprawę, jak ustosunkowana jest do niego Służba Zdrowia i jaki jest jej poziom. Mogłem się o tym przekonać zarówno czasu pokoju, jak i wojny.

We wrześniu 1939 roku przed wyjściem z Warszawy zaopatrzyłem moich żołnierzy w sterylizowane opatrunki indywidualne. Stacja Mrozy była bombardowana z samolotów, żołnierze zaś ostrzeliwani z karabinów maszynowych. Trzech było rannych. W kartoflisku mogłem zrobić użytek z opatrunków i udzielić im pierwszej pomocy. Ranni wyrazili swe podziękowanie.

Jeśli w ciągu pierwszej wojny światowej Niemcy byli w stanie prowadzić ofensywną względnie pod koniec defensywną akcją w ciągu przeszło czterech lat, to w dużej mierze zawdzięczały to wysokiemu poziomowi swego sanitariatu. Dwu- i trzykrotnie ranni żołnierze, i to wcale nie lekko, po wyleczeniu się z ran stale kierowani byli z powrotem na front. Przy gorszej pomocy lekarskiej byłiby straceni dla społeczeństwa: jeśli nawet nie byłiby inwalidami, to w każdym razie nie byłiby zdolni do służby wojskowej.

Podczas kampanii wrześniowej miałem możność przekonać się, jak sprawnie funkcjonował sanitariat Wehrmachtu podczas samej bitwy. Na ciężkich autach osobowych podjeżdżali lekarze niemieccy pod samą linię bojową i tu udzielali pierwszej pomocy lekarskiej rannym. Nie tylko na tyłach.

Pierwsze zarządzenie moje, to likwidacja postajennego punktu opatrunkowego, który nie posiadał prawdziwego wyposażenia ambulatoryjnego, co więcej, jako pomieszczenie zajęte uprzednio przez konie musiał być uważany za zakażony pałeczkami tężca. Tężec jest najgroźniejszym powikłaniem nawet ran lekkich, powierzchniowych. O tym wiedzą i laicy. Toteż nawet czasowe, prowizoryczne urządzenie punktu opatrunkowego w byłej stajni uważać należy za grupy błąd lekarski.

Przy zbiegu ulic Pańskiej i Mariańskiej stał pusty pięciopiętrowy budynek. Do roku 1941 zajęty był przez Ubezpieczalnię Społeczną. Zajęcie tego budynku pod pierwszy szpital zgrupowania „Chrobry II” — to drugie zarządzenie. Następnie należało wyposażyć pomieszczenie w sprzęt gospodarczy, leki, materiał opatrunkowy, sprzęt chirurgiczny oraz salę operacyjną.

Centralna Składnica Sanitarna

Drugiego dnia powstania lustrując teren w poszukiwaniu leków oraz pomieszczeń nadających się na potrzeby służby zdrowia natknąłem się przy ul. Siennej pod numerem 39 na Zakłady Farmaceutyczne „Kowalski”. Dozorca zdecydowanie bronił dostępu do magazynów, twierdząc, iż zakłady znajdują się pod opieką szefa sanitarnego dywizji, a więc władzy wojskowej i to

na stosunkowo wysokim szczeblu. Nie wolno było lekceważyć sobie tego rzekomego stanu rzeczy. Ale też wobec sytuacji przymusowej nie wolno było rezygnować ze znajdujących się w magazynie leków. Sprawa więcej niż nagła, toteż za pośrednictwem dozorczy domu ustalone zostało po południu spotkanie z „szefem sanitarnym” dywizji. Przybyły na spotkanie lekarz, choć nie indagowany, wylegitymował się przedwojenną legitymacją lekarza rezerwy 10-tej dywizji piechoty na imię kpt. dr. med. Bolesława Sienkiewicza. To zmieniało zasadniczo sytuację. Nie mogło już być mowy o nadrzędności stanowiska. Dr Sienkiewicz, w życiu prywatnym — jak się później okazało — człowiek o szerokim gościu, na służbie okazał się więcej niż oszczędny. Potraktował mnie jak petenta i ofiarował 200 cl jodiny, kilka bandaży i 2 słoiki maści. Dary te nadawały się w sam raz na częściowe wyposażenie domowej apteczki. Ofiara przyjęta została bez entuzjazmu i odesłana do tworzącego się szpitala przy ul. Pańskiej i Mariańskiej.

3 lub 4 sierpnia wracając z inspekcji tegoż szpitala do swego nowego mp przy ul. Siennej 41, zauważyłem, że pali się sąsiedni dom pod numerem 39. Na szczęście.

Trzykrotnie w ciągu dnia Niemcy obrzucali miasto z przelatujących samolotów bombami zapalającymi. Podczas południowego nalotu kilka bomb spadło na Zakłady Farmaceutyczne „Kowalski”. Budynki stanęły w płomieniach. O ratowaniu nie było co myśleć. Zbyt późno spostrzeżono pożar. W najlepszym razie można było starać się o zlokalizowanie ognia i ratowanie leków. Władze powstańcze nie dysponowały strażą przeciwpożarową ani sprzętem do gaszenia ognia, nawet najbardziej prymitywnym.

Kilka osób zajętych było wynoszeniem 50-ciokilogramowych worków z cukrem oraz kartonów „Kowalskiny” — proszków od bólu głowy. W ich pojęciu cukier i „Kowalskina”, to najcenniejsza zdobycz. Przed wojną zakłady farmaceutyczne „Kowalski” znane były ze swych popularnych „Kowalskin”. Mało kto natomiast znał inne ich leki, wcale cenne z punktu widzenia terapeutycznego.

Podczas swej pierwszej bytności w zakładach miałem możliwość choć z grubsza zorientować się, gdzie mieściły się magazyny prefabrykatów i gotowych preparatów, toteż tam skierowałem swe kroki. Bez trudu udało mi się przekonać obecnych o konieczności ratowania nie cukru i proszków od bólu głowy, lecz przede wszystkim kartonów z wysokowartościowymi lekami, butli ze środkami dezynfekcyjnymi, nasercowymi, kartonów z zastrzykami insuliny, narkotykami itp.

W ten sposób na chodniku ulicy Siennej powstała baza cen-

tralnej i bodajże jedynej składnicy sanitarnej armii powstańczej. W każdym razie pierwszej. Zaopatrywała ona nawet szefostwo sanitarne Okręgu Warszawa.

Nie można nie wspomnieć i nie podkreślić, jak ofiarna była cywilna ludność Warszawy. Gaszenie ognia przez nie fachowców i bez narzędzi przeciwpożarowych oraz wydostanie leków z palących się i grożących każdej chwili zawaleniem się budynków związane było z niebezpieczeństwem śmierci. Nikt się jednak nad tym nie zastanawiał. We właściwym rozumieniu wartości, jaką leki te posiadają dla rannych i chorych, każdy gotów był narazić własne zdrowie i życie. Dominował imperatyw dobra ogólnego.

Większość leków, zwłaszcza te cenniejsze z punktu widzenia leczniczego, przeniesiona została do nowego lokalu szefostwa sanitarnego zgrupowania „Chrobry II”, mieszczącego się w sąsiednim domu pod nr 41 a. Pozostałe leki i cukier poszły do szpitala Pańska-Mariańska, względnie nowego magazynu pod numerem 43 a przy ulicy Siennej.

Pierwotny lokal dowództwa zgrupowania został w pierwszych dniach powstania zbombardowany. Przy tej okazji nastąpiło odseparowanie lokalu ścisłego dowództwa od szefostwa sanitarnego. To ostatnie otrzymało 2 pokoje przy ul. Siennej 41.

Dopiero wieczorem koło godziny 23-ej przybyłem do wyznaczonego mi przez kwatermistrza, a nie objętego za dnia lokalu. Okazało się, że pomieszczenie w międzyczasie zajęte zostało przez oficera gospodarczego. Uprzywilejowani woleli suteryny i parter.

W tym samym domu na I-szym piętrze poprzecznej oficyny mieściło się opuszczone przez mieszkańców 3-izbowe mieszkanie. Umeblowanie całkowicie odpowiadało wymogom. Biurko, stoły do pracy i nawet tapczan. Tutaj ustaliłem swe mp oraz jednocześnie mieszkanie.

Do nowo organizującego się szpitala Pańska-Mariańska zgłosiło się 30 ochotniczek do służby pielęgniarstwa. Niewiele wśród nich było wykwalifikowanych zawodowych pielęgniarek, sporo natomiast urzędniczek biurowych. Dwie z nich, panią Stefanię i jej siostrzenicę Sławę, zatrudniłem w tylko co zaimprowowanej kancelarii sanitariatu. Wybór okazał się trafny. W ciągu całego okresu służby powstańczej mimo moich wysokich wymagań nie miałem ani razu potrzeby uczynienia im najmniejszej uwagi. Wszystkie dyspozycje wykonywały z niezwykłą starannością i skrupulatnością. Wiele czasu oszczędzała swemu szefowi pani Stefania dzięki wysokim kwalifikacjom biurowym, a szczególnie znajomości stenografii.

Już drugiego dnia urzędowania w nowym lokalu okazało się, że ze względu na zakres działalności, ruch interesantów i składnicę sanitarną był to najwyższy czas, aby pracować we własnym i odpowiednio dostosowanym do potrzeb biurowych lokalu. Pozwalało to odseparować się i rozluźnić zbyt ściśle więzy z dowództwem, nieistniejące w warunkach normalnej organizacji wojskowej.

Personel naczelnego lekarza zgrupowania „Chrobry II”, a później szefa sanitarnego IV-go Rejonu, składał się w tym czasie z lekarza, dwóch sekretarek, dwóch łączniczek i 12-letniego łącznika. Po pewnym czasie przyjęty został magister farmacji „Zielony” (Zieliński) oraz dwie stale zatrudnione biuralistki.

Z jedną z nich, Janką, miałem niemało kłopotu. Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem z chwilą ogłoszenia alarmu pracujący mieli prawo, a poniekąd i polecenie udać się do schronu. Jako doktor do schronu nigdy nie schodziłem. Bynajmniej nie przez brawurę. Nie lubiłem po prostu ani schronu, ani panującego w nim nastroju. Nigdy natomiast nie utrudniałem nikomu, a tym bardziej nie zakazywałem korzystania ze schronu. Zresztą byłoby to w wyraźnej kolizji z wydanymi rozkazami władz naczelnych.

W połowie sierpnia zostałem mianowany naczelnym lekarzem IV-go Rejonu Warszawa Śródmieście. Zgrupowanie „Chrobry II” podlegało dowództwu, w skład którego wchodziłem, jako lekarz naczelny. Ściśle biorąc, dowódca zgrupowania „Chrobry II” nie mógł już ingerować w sprawy służbowe naczelnego lekarza Rejonu IV, a uprzednio szefa sanitarnego zgrupowania. Raczej odwrotnie. Mimo to pewnego popołudnia zjawił się w mojej kancelarii mjr Brejnak „Zygmunt”: „Wpłynęła skarga, że pan doktor nie pozwala swemu personelowi schodzić do schronu”. Autorką doniesienia (fałszywego) była dorywczo zatrudniona biuralistka Janka.

Major „Zygmunt” przydzielony został w okresie, gdy pełniłem obowiązki zastępcy pierwszego dowódcy zgrupowania, majora „Liga”. Stosunki były poprawne, koleżeńskie, nie było więc powodu by okazać się nietaktownym, tym bardziej, że jasne było, iż majora „Zygmunta” chciano wciągnąć w jakąś intrygę kuchenną. Toteż nie tłumacząc się zaprzeczyłem krótko. Dalszym biegiem dochodzenia prowadzonym przez majora „Zygmunta” już się nie interesowałem. Na takie błahostki nie było czasu.

W pierwszych dniach powstania odczuwaliśmy brak noszy. Po jakimś czasie wpadłem na prosty sposób produkowania noszy we własnym zakresie. Wystarczyły chodniki i kije od szczotek

do zamiatania. Ofiarność mieszkających w sąsiedztwie warszawiaków dopisała.

Leki wyniesione ze zbombardowanych zakładów „Kowalski” nie zaspokajały potrzeb szpitali i punktów opatrunkowych. Wachlarz produkcji poszczególnego zakładu farmaceutycznego w porównaniu z potrzebami lecznictwa jest zbyt wąski. Brak wielu leków, a nade wszystko środków antyseptycznych, specyfików antybakteryjnych, bandaży i gazy. Szef sanitarny zgrupowania „Chrobry II” otrzymał wprawdzie w darze od młodego porucznika, p.o. oficera operacyjnego dowództwa zgrupowania, 25 kompletów pościelowych, ale prześcieradła podarte na bandaże starczyły mogły tylko na krótko.

W związku z synchronicznie pełnionymi obowiązkami zastępcy dowódcy zgrupowania w pierwszej dekadzie sierpnia byłem jako tako zorientowany w sytuacji bojowej. Wiadomo mi było, że walki przy ul. Towarowej toczą się ze zmiennym powodzeniem. Utrzymanie tej linii napotykało na duże trudności.

W owym czasie stanowisko oficera operacyjnego zgrupowania zajmował kapitan „Proboszcz” (Jan Jaroszek), z zawodu profesor matematyki w gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim. Do tego kapitana „Proboszcza” zwróciłem się z prośbą o udzielenie mi informacji dotyczących aktualnej sytuacji przy ulicy Towarowej. Była nienajlepsza. Z otrzymanych danych można było wywnioskować, że należy liczyć się ze „skróceniem” linii bojowej. Dwukrotnie jeszcze zetknąłem się z kapitanem Jaroszkim w terenie. Na motocyklu śpieszył z jednego odcinka frontu na drugi. Zawsze pogodny, uśmiechnięty. Swe obowiązki oficera operacyjnego spełniał bynajmniej nie biurokratycznie, nie tkwił za biurkiem, lecz przebywał tam, gdzie wymagała tego sytuacja, w terenie na pierwszej linii bojowej. Nie oszczędzał się. Swą niezwykłą odwagę przypłacił życiem. Walczył jak bohater i jak bohater zginął. W pamięci oficerów i szeregowych, którym przewodził, pseudonim „Proboszcz” związany jest i pozostanie z pojęciem bohatera. Pochowany został na chodniku przy ul. Mariańskiej tuż przy szpitalu. Gdy ostatnie grudy ziemi pokryły świeżą mogiłę, powstańcy oddali poległemu honory wojskowe.

Ppłk Emil Kumor znał bliżej kapitana Jana Jaroszkę. W swym „wycinku z jednego życia” tak go opisał: „Szefem sztabu zgrupowania 'Chrobry II' był kpt. 'Proboszcz' (Jan Jaroszek) — motor i serce całości. Kpt. 'Proboszcz', oficer rezerwy, był w typie Wołodyjowskiego — niskiego wzrostu, krępy, o dużych niebieskich oczach, regularnych rysach. Bardzo miła i ujmująca sylwetka. Od pierwszej chwili zaskarbił sobie serca wszystkich podwładnych. Chodził w mundurze oficera rezerwy, nie rozstając

się nigdy z ofiarowanym mu przeze mnie pistoletem maszynowym typu 'Sten'. W ręku lornetka, za pasem 2 magazynki do 'Stena' i dwa granaty. Hełm sam zdobył na Niemcu. Na hełmie z prawej strony miał umieszczony biało-czerwony proporzec, okryty siatką ochronną, a na ramieniu nosił opaskę z literami AK. Do swojej dyspozycji miał podchorążego z motocyklem, noszącego pseudonim 'Bandyta', który równocześnie pełnił rolę adiutanta. Kpt. 'Proboszcz' miał zawsze uśmiechniętą twarz bez śladu zmęczenia czy przygnębienia. Nie było dla niego sytuacji, z której nie potrafiłby wybrnąć. Ta pogoda ducha zjednywała mu żołnierskie serca. Nikt z jego podwładnych czy przełożonych nie wiedział kiedy jadł, kiedy wypoczywał, czy spał. O wszystkich i o wszystkim myślał. Odgadywał zamiary dowódcy, jak przystało na zdolnego szefa sztabu. Odcinek swój kontrolował w dzień i w nocy. Zagrzewał żołnierzy do walki i sam brał udział w najbardziej niebezpiecznych akcjach. Na moje uwagi, że zbytnio naraża się, miał zawsze jednakową odpowiedź: 'Muszę świecić przykładem i nie mogę narażać tylko moich żołnierzy'. Największym szczęściem i radością dla niego była chwila kiedy otrzymał 'Piata' — broń przeciwpancerną do zwalczania czołgów. Amunicję oszczędzał, wiedział, że jest jej bardzo mało i że nie można nią szafować. Gdy strzelał, prawie żaden z jego pocisków nie chybiał. Nie słyszałem, aby ktoś więcej miał na rozkładzie czołgów niż on. Nikt nie mógł mu dorównać w wyszukiwaniu i zwalczaniu czołgów niemieckich”.

W dużym 5-ciopiętrowym narożniku przy ul. Towarowej mieścił się Ośrodek Lecznicy Ubezpieczalni Społecznej. Spodziewać się należało, że jest on wyposażony w leki, materiał opatrunkowy oraz odręczny sprzęt chirurgiczny. Dla przeciętnie wykształconego oficera nie ulegało wątpliwości, że w razie cofnięcia się linii bojowej — a z tym już poważnie trzeba się było liczyć — ewakuować należy wszystko to, co przydać się może nie tylko nam, ale i przeciwnikowi. Toteż wydałem rozkaz ewakuowania budynku, zabrania ze sobą całego materiału farmaceutycznego, mimo iż była to własność miasta Warszawy. Zlecenie otrzymał podchorąży „Selim”. Do pomocy miał pięciu ochotników cywilnych.

Była najwyższa pora. Ulica Towarowa znajdowała się wówczas pod przeważającym obstrzałem wojsk niemieckich. Jeden z naszych cywilnych ochotników został lekko ranny w podudzie.

Udało się wywieźć: 2 wozy gazy i bandaży, 2 balony jodyny, 2 balony czystego spirytusu, olbrzymią (jak na nasze stosunki) ilość rozmaitych leków.

Mimo sukcesu samego przedsięwzięcia nie obeszło się bez zgrzytów. W pierwszym rzucie podchorąży „Selim” sprowadził

również kilka worków cukru, pozostawiając na miejscu materiał farmaceutyczny. Było to tym bardziej karygodne, że podchorąży „Selim” był studentem medycyny. Tłumaczyć się to daje panującym głodem oraz atrakcyjnością cukru.

Po ostrej wymówce poleciłem natychmiast wracać i sprowadzić pozostałe środki lecznicze. Każdy z ochotników otrzymał po 3 kg cukru na osłodę w symbolicznej podziękę.

Wysoko cenny materiał farmaceutyczny umieściłem wyłącznie w pokojach biurowych szefostwa sanitarnego. Tak wielkiego zaufania nie miałem do sąsiadów spod numeru 43 a.

W trakcie rozładowywania wozu i rozmieszczania materiału szpitalnego zgłosił się do szefostwa sanitarnego AK-owiec w granatowym drelichu w towarzystwie bardzo przystojnej łączniczki. Jak się w toku rozmowy wyjaśniło, byli to Hanka Birencwajzanka i dr med. „Siedlicki” (Jerzy Zański). Skierowani zostali z rozkazu szefa sanitarnego Okręgu Warszawa, podpułkownika dr. „Bakcyła” (Henryk Lenk), mego legalnego zwierzchnika w pionie sanitarnym. Dotychczas służbę pełniłem nie tylko automatycznie, ale też samowładnie, z czego zdawałem sobie dobrze sprawę. Z chwilą zjawienia się władzy zwierzchniej w pionie sanitarnym — okoliczności tej nie można było nie uwzględnić — moja sytuacja (tak przynajmniej przypuszczałem) miała ulec zasadniczej zmianie. Tym bardziej że dr Zański, choć nad wyraz elokwentny i gładki, był nader dyskretny i ostrożny w wysławianiu się. A jak na przedstawiciela władzy zwierzchniej — zanadto uprzejmy. Z takim kontrahentem należy być ostrożnym.

„W okresie konspiracji — powiada dr 'Siedlicki' — ani też w pierwszych dniach powstania podpułkownikowi dr. 'Bakcyłowi' nie było nic wiadomo o istnieniu pana kapitana. Później dopiero, w czasie samej akcji doszły go słuchy o szefostwie sanitarnym przy ul. Siennej 41, o przebogatej składnicy sanitarnej, o otwartych i czynnych szpitalach i punktach opatrunkowych. Nawiązać chciałby kontakt z panem kapitanem. Płk 'Bakcył' prosi, oczywiście o ile to możliwe, aby pan doktor był łaskaw odwiedzić go. Zdaje sobie dobrze sprawę, jak gorączkowo pracuje się tutaj. Poza tym nie chciałby pana kapitana zbyt narażać na niebezpieczeństwo poruszania się w mieście. Nie musi więc to mieć miejsca ani dziś, ani jutro, jako że jest pan z pewnością wielce zajęty. Jednego z najbliższych dni, gdy będzie pan doktor dysponował czasem”.

Przypuszczałem, a raczej byłem pewien, że dr „Siedlicki” skierowany został do mnie przez podpułkownika „Bakcyła” jedynie celem nawiązania łączności.

Biuro naczelnego lekarza zgrupowania „Chrobry II”, składa-

jące się z trzech izb, robiło wrażenie nie tyle kancelarii szefostwa sanitarnego, ile centralnej składnicy sanitarnej. Nie mogło to ująć uwagi wysłannika ppłk. „Bakcyła”. W sposób taktowny, wielce powściągliwy, z pozycji petenta i powiedziałbym, nie licującej z jego stanowiskiem przedstawiciela władzy nadrzędnej, poprosił mnie o choć trochę leków dla szpitali i punktów opatrunkowych, znajdujących się poza terenem zgrupowania „Chrobry II”. Szef sanitarny Okręgu Warszawa, mimo swego wysokiego stanowiska służbowego, nie dysponuje ani lekami ani też sprzętem lekarskim, zaś zapotrzebowania szpitali napływają i stale rosną.

Niezwłocznie oddałem do dyspozycji dr. „Siedlickiego”: 1 wóz bandaży i gazy, 1 balon jodyny, 1 balon czystego spirytusu, tysiące ampułek morfiny i opium, sulfamidy i różne leki codziennego użytku.

Za przestępstwo uważałbym magazynowanie u siebie olbrzymich ilości jodyny, alkoholu, gazy, bandaży, kilkunasztu tysięcy ampułek narkotyków itp. To przekraczałyby przewidywane zużycie materiału przez podległe mi szpitale i punkty opatrunkowe na przestrzeni miesiący.

Dr Jerzy Zański uznał kontakt ze mną za celowy i korzystny. Stał się też moim częstym gościem. Zawsze uprzejmy, a nawet nieco skrupowany i zażenowany. Widocznie nie przywykł do roli petenta i sytuacji obdarowywanego. Podczas dwóch pierwszych wizyt długo rozglądał się po składnicy, nim zdobył się na to, aby o cokolwiek poprosić. Przyjmowany był zawsze jak najlepiej.

W ten sposób wytworzyła się paradoksalna sytuacja: nie szefostwo sanitarne Okręgu Warszawa zaopatrywało w leki i sprzęt szpitalny lekarza, szefa zgrupowania „Chrobry II”, względnie później szefa sanitarnego Rejonu IV-go Warszawa Śródmieście, lecz odwrotnie, szef sanitarny Rejonu IV-go zaopatrywał szefa sanitarnego Okręgu Warszawa, a więc swą władzę zwierzchnią. Działo się tak na skutek przypadkowego szczęścia pierwszego, a niepomyślniej sytuacji drugiego.

Dr Zański z podziękowaniem przyjmował leki. Najbardziej frapujący i zaskakujący w jego zachowaniu był moment pożegnania. Spytał mnie wręcz i to zupełnie formalnie, czy zechcę się podporządkować władzy i dyspozycjom podpułkownika „Bakcyła”.

Zarówno forma jak i treść pytania były jak na stosunki wojskowe zgoła niestychane, demoralizujące. Wprowadzić mogły niesubordynację i chaos we wzajemnych stosunkach. Wszak ppłk „Bakcył” był szefem sanitarnym całej Warszawy, ja zaś jedynie terenu zgrupowania „Chrobry II”. Poza tym była jeszcze

różnica stopni wojskowych. Toteż byłem więcej niż zaskoczony. Dopiero później, po dłuższej rozmowie z podpułkownikiem „Bartoszem” (dr med. Lesław Węgrzynowski) zorientowałem się, co się za tym kryło.

Na postawione przez dr. „Bakcyła” za pośrednictwem kolegi Zańskiego pytanie odpowiedziałem, iż w moim przeświadczeniu zgodnie z wyszkoleniem wojskowym i dyscypliną wojskową nie może być dwóch odpowiedzi. Jest tylko jedna. W wojsku obowiązuje subordynacja. Zresztą w najbliższych dniach zgłoszę się do ppłk. „Bakcyła” osobiście.

Osobiście przywykłem do innej zgoła dyscypliny wojskowej i innych form. Przypomniały mi się czasy służby wojskowej. Mój pierwszy zwierzchnik w służbie sanitarnej, śp. płk dr Stanisław Więckowski, ustosunkowany był do mnie więcej niż przyjaźnie, ale był służbiście i wymagającym szefem, więc na służbie i w stosunkach służbowych potrafił zachować właściwy między oficerem i szeregowym dystans. Przy składaniu meldunku ręki nie podawał. Dłoń ścisnął tylko na pożegnanie. Podkreślał tym, iż meldunek odpowiadał wymogom jego i służby.

Wystarczyło, że jako podoficer należycie spełniałem swoje obowiązki służbowe, aby dr Więckowski, wówczas jeszcze kapitan, wykorzystując możliwości zarządzeń Ministerstwa Wojny, przedstawiał mnie co kilka tygodni do awansu od szeregowca poprzez wszystkie stopnie podoficerskie do podchorążego włącznie.

Przytrafiło się raz kapralowi Bornowi, że rozkazu wykonać nie mógł. Mimo najlepszych stosunków, jakie istniały między nim a kpt. Więckowskim, został ofuknięty:

— W wojsku nie ma niemożliwości!

— Rozkaz — i wykonałem w tył zwrot.

Nazajutrz: „Melduję posłusznie, że w zaistniałych obecnie warunkach rozkazu wykonać nie sposób”.

— A to co innego.

Przez dodanie wyrazów: „w zaistniałych obecnie warunkach” formie i dyscyplinie stało się zadość, a prestiż oficera — rozkazodawcy został uratowany.

Jestem łodzianinem. Służba w rodzinnym mieście na stanowisku organizacyjno-administracyjnym w stopniu podoficera trochę mnie nużyła. Była mało atrakcyjna, podczas gdy na granicach decydowały się losy Kraju. Stałem do raportu i poprosiłem o odkomenderowanie mnie na front.

— I ja staram się o to samo. Pojedziemy razem. Zgoda?

— Rozkaz, panie kapitanie.

I rzeczywiście, dwa miesiące później, kpt. dr Więckowski

mianowany został komendantem szpitala polowego 403. Niezwłocznie przystąpił do jego organizowania i wyekwipowania. Wezwał mnie do siebie.

— Czy obstatek pan nadal przy służbie frontowej?

— Tak, mój raport sprzed dwóch miesięcy jest nadal aktualny. Chętnie pojadę.

Kilka dni później, podczas składania przeze mnie zwykłego meldunku, kapitan Więckowski:

— Wyrobiłem panu u szefa sanitarnego Okręgu Generalnego (generał dr med. Arct) zbyt dobrą opinię. Nie chce pana puścić.

I rzeczywiście, żeby mnie awansować i to co kilka tygodni, trzeba było dobrze opiniować.

W roku 1935 lub 1936 miałem możliwość zwiedzić pawilon wojskowy Wystawy Automobilowej w Mediolanie. Artyleria wmontowana w podłogi aut ciężarowych. Ciężarówki z wmontowanymi salami operacyjnymi. Ciężarówki z kompletnie urządzonymi gabinetami roentgenowskimi. Ciemnia do wywoływania filmów. Za obowiązek swój uważałem powiadomić o powyższym władze wojskowe. Władzą był dla mnie płk Więckowski, w owym czasie szef sanitarny Okręgu Generalnego Łódź.

— Nie ma po co jechać do Warszawy. Jestem w Ministerstwie źle widziany.

Niezbyt lekko żyło się płk. dr. Więckowskiemu w okresie międzywojennym. Kariery nie zrobił, mimo że miał przeszłość legionową. W sile wieku, pełen żywotności, u szczytu sił i swych zdolności organizacyjnych został emerytowany.

Był demokratą z prawdziwego zdarzenia. Zorganizował w Łodzi Stronnictwo Demokratyczne. Został jego prezesem.

Nawet śmierć nie była dlań łaskawa. W pierwszym okresie okupacji, zaaresztowany przez Gestapo, dostał się na Pawiak i tam zakończył swą karierę życiową.

Podczas gdy szefostwo sanitarne Okręgu Warszawa pozbawione było wszelkich środków materiałowych, ja zastanawiałem się, jak najlepiej zabezpieczyć swe zdobyczne magazyny przed zbombardowaniem, jak zaspokoić bieżące zapotrzebowania placówek Służby Zdrowia i jak zaopatrzyć je w materiał rezerwowy, żeby na wypadek zbombardowania jednego a nawet dwóch magazynów szpitale i punkty opatrunkowe nie odczuły braku dostaw i nadal mogły pracować bez uszczerbku dla rannych i chorych.

Fakt posiadania centralnej — a może i jedynej — składnicy sanitarnej stwarzał nie tylko dogodną i przyjemną sytuację posiadacza i rozprowadzającego najcenniejsze obok broni materiały.

Nakładał na mnie również obowiązek racjonalnego zabezpieczenia nagromadzonych bogactw, a zarazem takiego ich rozprządzenia, by lekarze nie czuli się zmuszeni do zbędnych ograniczeń w stosowaniu środków leczniczych. Szukanie leków i ich magazynowanie nie mogło być celem samym w sobie.

Potrzeby placówek traktowałem z najwyższą uwagą. Na równi z zaopatrzeniem troską moją było i bezpieczeństwo magazynów. Gdy dr Zański dziękował mi za przekazywane szefostwu leki, ja odczuwałem — choć nie okazywaną — wdzięczność za przyjęcie ich. Tym samym umożliwiałem korzystanie z leków i materiału szpitalnego rannym pozostałych rejonów Warszawy. Jednocześnie choć częściowo wyzwaliałem się z ogromu odpowiedzialności za bezpieczeństwo jedynych chyba magazynów sanitarnych w Warszawie.

Dr Zański był wielce zainteresowany w odwiedzaniu mnie. To było jasne i oczywiste. Nie mogłem natomiast zrozumieć zbieżności faktów. Ilekroć udawało mi się wynaleźć i sprowadzić większą ilość środków leczniczych, jak *deus ex machina* zjawiał się dr Zański. Niekiedy jeszcze przed rozmieszczeniem ich w magazynach. Był już całkowicie opanowany, spokojny, i oczywiście wciąż prosił o leki. Byłem mu zawsze rad i zgodnie z moim planem przydzielałem mu więcej leków, aniżeli się spodziewał.

Zbieżność tych wizyt ze „zdobywaniem”, a raczej sprowadzaniem leków wyjaśniła się dopiero później. Na terenie posesji nr 43 a przy ulicy Siennej mieścił się nasz dodatkowy magazyn składnicy. Tam mieli swoje mp żołnierz AK pani Morzycka, żona późniejszego wiceministra zdrowia, Cezary Łukaszewicz oraz pewien inżynier chemii. Trójka ta była w przyjaznych stosunkach z dr. Zańskim i podjęła się informowania go o każdorazowym sprowadzaniu leków. Swego rodzaju wywiad dla osobistego użytku. Towarzystwo było zgrane, wywiad działał sprawnie.

Leki i środki opatrunkowe wypełniały trzy pomieszczenia szefa sanitarnego IV-go Rejonu Warszawa Śródmieście oraz magazyn przy ul. Siennej 43 a. Kontrola nad nimi, a zwłaszcza nad narkotykami i obawa, aby te ostatnie nie dostały się w niepowołane ręce zaczęły mi coraz bardziej ciążyć. Chwilami czułem się niemal jak ów czarnoksiężnik, który wyzwolił duchy, ale opanował ich później nie był w stanie.

Kilkakrotnie udawało mi się trafiać na większe magazyny i składy materiału farmaceutycznego. Stałem się hurtownikiem aptecznym i dystrybutorem dla szpitali, punktów opatrunkowych, komitetów domowych, no i wreszcie samego szefa sanitarnego całej Warszawy w ciągu pierwszych czterech tygodni powstania. Do drobnej dystrybucji leków wciągnąłem swój personel kance-

laryjny, który choć nie fachowy, godny był całkowitego zaufania. Na składzie mieliśmy między innymi 3 duże kartony z narkotykami (morfina, pantopon, opium). Ogółem 13.000 ampułek. Przechowywałem je pod zamknięciem w swoim gabinecie. Aby czytelnik mógł zorientować się, co przedstawia sobą jedna ampułka morfiny czasu powstania, podaję: wymienna wartość ampułki narkotyku — jedna do dwóch butelek wódki. A ta ostatnia była również wysokocenna. A więc pokusa dla pijących. Nie mówiąc już o narkomanach jako takich. Sam alkohol był na wagę złota.

Gdzieś między 12 a 15 sierpnia do służby zgłosiło się jednocześnie dwóch farmaceutów. Starszego odkomenderowałem do szpitala Pańska Mariańska. Było to o tyle celowe, że do szpitala tego przekazywałem leki nie tylko na potrzeby bieżące. Urządziłem tam także „podmagazyn”. Podobnie zresztą jak później w szpitalach Sienna 59 i Fundacji Bergsona i Baumanów przy ul. Śliskiej. Młodszego — magistra „Zielonego” (Mieczysław Zieliński) zatrzymałem do swojej bezpośredniej dyspozycji. Liczyłem, że jako referent farmaceutyczny przejmie całkowicie agendy składnicy sanitarnej, zarówno zaopatrzenie jak dystrybucję. Okazał się dobrze wyszkolonym farmakiem i odpowiedzialnym współpracownikiem, ale tylko w zakresie magazynowania i wydawania leków. Z samym zaopatrzeniem magazynów wypadło gorzej. Z całym spokojem można było powierzyć mu nie tylko całą składnicę sanitarną, ale co ważniejsze jeszcze tysiące ampułek narkotyków oraz bezcenny wprost w ówczesnych warunkach eter do narkozy. Zdawał sobie sprawę nie tylko z jego zbawczego działania podczas operacji, ale i ze szkód, jakie mógł spowodować użyty niewłaściwie, a cóż dopiero użyty przez narkomanów.

Magister „Zielony” wyżywał się w pracy. Rad był z charakteru swej służby biurowej oraz stanu przekazanych mu magazynów. Jego ambicje zawodowe były zaspokojone. Nie będąc lekarzem, nie zdawał sobie sprawy, że w miarę rozwijania się akcji bojowej, a tym samym i wzrastających zapotrzebowań szpitali, wachlarz leków należy stale i ciągle poszerzać, aby sprostać aktualnym wymogom lecznictwa, aby ordynujący lekarze nie znaleźli się wobec konieczności robienia oszczędności na lekach, względnie stosowania namiastek. Tego zrozumienia nie mógł posiadać nie lekarz, toteż nie mogłem stwierdzić u niego zainteresowania ani też inicjatywy w poszukiwaniu nowych środków leczniczych i opatrunkowych, nowych jawnych lub ukrytych składnic sanitarnych. A musiały przecież w Warszawie istnieć. Szpitale i apteki warszawskie miały swe źródła zaopatrzenia. Nie interesował się tym, co się działo na zewnątrz, w terenie. Chyba że chodziło o wiadomości dotyczące sytuacji bojowej lub akademickich dys-

kusji o możliwościach, a raczej niemożliwościach udzielania pomocy krwawiącej Warszawie przez RAF. Za to na miejscu, w swym biurze naczelnego lekarza mogłem całkowicie polegać na jego kwalifikacjach zawodowych i na sumiennym podejściu do samej służby.

Wydawanie leków odbywało się po uprzednim przejrzeniu i zaakceptowaniu zapotrzebowań przeze mnie. Zapotrzebowania musiały być uzasadnione. Zarówno ilość jak i jakość środków leczniczych musiały odpowiadać stanowi łóżek danej placówki Służby Zdrowia. Odpowiedzialność za użycie środków leczniczych ponosi w równej mierze placówka wydająca co i zapotrzebująca.

Z zapotrzebowań jednego z punktów opatrunkowych mieszczącego się przy ul. Siennej wywnioskować można było, że zużycie narkotyków przekracza przeciętne normy. Z tego wynikało, że narkotyki stosowane są w nadmiarze — co nie cechuje lekarza o wysokich kwalifikacjach — bądź też, że na terenie punktu opatrunkowego pracuje narkoman. Po przeprowadzeniu dochodzenia stwierdzić mogłem, że kierownik punktu jest narkomanem. Wydawanie narkotyków zostało wstrzymane.

Pewnego dnia powiadomiony zostałem przez nieznanego mi obywatela, iż przy ul. Złotej nr 46 aż do wybuchu powstania mieszkał pewien *Volksdeutsch*. Był *Treuhänder*'em (mężem zaufania) niewielkiego przedsiębiorstwa farmaceutycznego. Uprzednio przedsiębiorstwo to należało do Żyda, zamordowanego przez hitlerowców. Ów niemiecki powiernik kierując się osobistymi korzyściami przeniósł pewną ilość leków do swego prywatnego mieszkania. Na miejscu zainstalowana była również aparatura dla produkcji wody kolońskiej. Po przybyciu stwierdzić mogłem, że ilość leków zamelinowanego magazynu była niewielka, za to jakość przekraczała wszelkie oczekiwania: 8 kg czystego kseroformu, *in substantia*. Opakowany był w 16-tu półkilogramowych puszkach blaszanych. Powiernik znał wartość leków i ich ceny rynkowe! W owych czasach kseroform należał do najskuteczniejszych środków dezynfekcyjnych i leczniczych do wszelkiego rodzaju ran, w każdym razie u nas w kraju, a ilość jaką udało mi się zdobyć wystarczała na pokrycie zapotrzebowania dwóch armii. Na opatrzenie średnio dużej rany wystarcza około jednego grama proszku.

Był to jedyny wypad, na który udało mi się przyciągnąć magistra „Zielonego”.

Innym razem, idąc ulicą Śliską na inspekcję punktów opatrunkowych, natknąłem się na częściowo rozbity lokal składu aptecznego. Mieścił się przy zbiegu ulic Śliskiej i Twardej. Do roku

1942 wyżej wymieniony skład apteczny należał do żydowskiej właścicielki. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że po wymordowaniu Żydów skład przeszedł w ręce jakiegoś *Volksdeutscha*, o skrupułach więc nie mogło być mowy. A że wejście do sklepu było rozbite, a sam sklep bezpieczny i częściowo wyszabrowany, przy najbliższej okazji wybrałem zeń wszystko, co mogło się przydać szpitalom względnie ambulatoriom. Przy okazji i 10 butelek toaletowego octu aromatycznego, wyłącznie do użytku osobistego. Podczas trwania powstania kąpiel nie wchodziła w rachubę.

Do bardzo udanych wypraw po leki należą zakonspirowane względnie na pół zakonspirowane magazyny przy ul. Żłotej 82 i Wielkiej 26. Pierwsza wyprawa zaprowadziła mnie do magazynu Wydziału Zdrowia miasta st. Warszawy. Mieścił się na poddaszu wielopiętrowego domu. Klucze od magazynu miał młody magister farmacji. Już w pierwszym pomieszczeniu znalazłem sporo szczepionek, surowicę a przede wszystkim cenną dla nas chinotropinę (wielobakteryjna szczepionka z wyciągami narządów wewnętrznych i leukocytów przy domieszce yochinolu). Niemcy stosowali ją do leczenia stanów zapalnych i zakażeńowych. Myśmy ją wykorzystywali przede wszystkim przy ropnych powikłaniach ran.

Rad ze zdobytych leków zabierałem się do wyjścia. Ale zatrzymał mnie magister. Był snąc społecznikiem wysokiej klasy.

— Panie doktorze, było przed panem szereg osób w tym oto magazynie, ale ich zainteresowanie koncentrowało się przede wszystkim na nowej maszynie do pisania. Co innego zgoła interesuje pana doktora. Proszę więc schylić głowę i postępować w ślad za mną.

Po czym zaprowadził mnie do niewielkiej komórki-skrzynki. Stało tam kilkadziesiąt słoików z witaminą C. W każdym 35.000 tabletek Cebionu.

— Do pańskiej dyspozycji, panie doktorze.

Tabletkami tymi można było zarzucić całą Warszawę. Podobnie jak zasypać znalezionym uprzednio kseroformem.

Jeszcze tego samego dnia przesłałem do dowództwa Rejonu IV-go Warszawa Śródmieście kilkanaście słoików z witaminą C. Jednocześnie dodatek do rozkazu: „Wszystkim powstańcom, zarówno rannym jak i zdrowym, wydawane będą 3 tabletki witaminy C do dziennej racji żywnościowej”.

Następnego dnia odnośnym punktem swego rozkazu dziennego powiadomiłem komendantów szpitali i kierowników punktów opatrunkowych, że do dyspozycji ich oddana zostaje witamina C, chinotropina, szczepionki, surowica.

W domu przy ul. Wielkiej pod numerem 26 na drugim lub trzecim piętrze od frontu w dwóch sąsiadujących ze sobą mieszkaniach mieścił się zakonspirowany i widocznie zapomniany zupełnie magazyn Polskiego Czerwonego Krzyża. Mieszkania robiły wrażenie Pocijowa. Leki, sprzęt sanitarny, sprzęt gospodarczy rozrzucone były w największym nieładzie. Sądząc ze stanu rzeczy, zostałem wyprzedzony przez szabrowników. Mimo to przy starannych poszukiwaniach można było znaleźć materiał sanitarny wystarczający do wyekwipowania dwóch pułków. Przepisowe sanitarne zespoły polowe w ciężkich torbach skórzanych skompletowane były tak, że służyć mogły do okazania pierwszej pomocy rannemu bezpośrednio na linii frontu. Znalazłem również znaczne ilości środków znieczulających, przeciwbólowych, dezynfekcyjnych oraz nade wszystko bezcenny w owych czasach i sytuacji eter do narkozy. Nawet kilka par składanych noszy.

W owym czasie Centralna Składnica Sanitarna była już tak bogato zaopatrzona, że nie widziałem potrzeby zabierania ze sobą wszystkich leków oraz sprzętu sanitarnego. Znaczną część pozostawiłem na miejscu jako dodatkowy magazyn mniej niezbędnych środków leczniczych. W warunkach powstania warszawskiego im większą ilością magazynów dysponowałem i im bardziej rozrzucone były w terenie, tym pewniej i lepiej się czułem.

Mimo rozproszczenia znacznej ilości leków po szpitalach, moje pomieszczenia biurowe nie zmieściłyby całego materiału aptecznego. Ratowałem sytuację już w pierwszych dniach magazyn pod nrem 43 przy ul. Siennej.

Składnica sanitarna zaopatrzona była w najbardziej wyszukane środki lecznicze i zaspokoić mogła wszelkie wymagania ordynujących lekarzy, zarówno pod względem ilościowym jak i jakościowym. Nawet po przekazaniu znacznej ilości leków i materiału opatrunkowego szefowi sanitarnemu Okręgu Warszawa oraz szpitalom znajdującym się zarówno w naszym terenie jak i poza obrębem Warszawy Śródmieścia, Centralna Składnica Sanitarna dysponowała wciąż jeszcze imponującymi zasobami: balon czystego spirytusu, niemal pełen balon jodyny, 5-6 kilogramów kseroformu, kilkadziesiąt butli eteru do narkozy, sulfamidy, 10.000 ampułek narkotyków, insulina, środki nasercowe, przeciwbólowe, przeciwgorączkowe, dezynfekcyjne i wiele innych. Dwa stoły operacyjne. Dwa krzesła ginekologiczne (mogły również służyć do zabiegów chirurgicznych).

Składnicę stać było na to, aby dwudziestokrotnie chyba pokryć zapotrzebowanie płk. dr. Mokrzyckiego, przedwojennego szefa sanitarnego Polskiego Czerwonego Krzyża. Zapotrzebowa-

nie wpłynęło okrężną drogą spoza terenu IV-go Rejonu. Zarówno z treści jak z wyjątkowo ugrzecznionej formy listu, skierowanego do mnie imiennie, wynikało iż ośrodek PCK znajdował się w sytuacji wręcz tragicznej. Nie posiadał nawet niezbędnych leków i narzędzi.

Odbiorców składnicy sanitarnej można było podzielić na dwie grupy: stałych, z terenu Warszawy Śródmieścia i dorywczych, zgłaszających się spoza naszego terenu w miarę istnienia czy uzyskiwania łączności. Do tych ostatnich należał szpital przy ul. Kopernika. Ten dorywczy odbiorca posiadał stałego i często odwiedzającego mnie przedstawiciela w osobie pani Anieli Obrębskiej. Wprowadził ją do mnie i gorąco polecił ppłk „Krzyś” (Emil Kumor). Pani Obrębska zadomowiła się poniekąd w mym biurze. Znała potrzeby sanitariatu. Licząc na większe względy z mej strony przy zaspokajaniu swych zapotrzebowań, obiecała dostarczyć mi kilkaset piżam i tyleż kompletów drelichowych dla rannych z podległych mi szpitali. Tego rodzaju obietnica czyniła panią Obrębską mile widzianym, nawet wypatrywanym kontrahentem... Już podczas drugiej wizyty pani Obrębskiej okazało się, że szpital przy ulicy Kopernika ma niedostateczne wyposażenie szpitalne. Nade wszystko odczuwa brak stołu operacyjnego. Jest biedny również, jeśli chodzi o środki lecznicze.

Przekazałem szpitalowi poza lekami kompletny stół operacyjny i krzesło ginekologiczne.

Z obiecanej mi przez panią Obrębską bielizny mógłbym być zrobić dobry użytek, gdybym ją był otrzymał. A że pozostała w sferze obietnic, tego nie mogę pani Obrębskiej zapomnieć.

Było to drugiego dnia mego urzędowania przy ul. Siennej. Wracam z terenu.

— Co nowego? — zapytuję moje współpracowniczkę.

— Panu doktorowi przysłano w prezencie 3 butelek wina i 3 butelki francuskiego koniaku, Hennessy i Martell — informuje mnie pani Sława.

— Z intendentury?

— Nie. Powiedziano mi tylko: dla pana doktora i tyle.

Nie spodziewałem się tak cennego prezentu i to jeszcze bezimiennie. Tym niemniej wina nie wyleje się.

W tymże domu (Sienna 41) mieścił się punkt opatrunkowy. Kierownikiem był dr med. Bolesław Sienkiewicz, kapitan rezerwy, z przedwojennym przydziałem do 10 dywizji piechoty. Aż do zbombardowania Zakładów Farmaceutycznych „Kowalski” był ich opiekunem. Nie okazał gestu, gdy chodziło o potrzeby szpitali

i powstających punktów opatrunkowych. Odegrałem się na nim po zbombardowaniu zakładów farmaceutycznych. Magazyny Kowalskiego — to załówek i to wcale bogaty, naszej składnicy sanitarnej.

Dzisiaj składam drowi Sienkiewiczowi wizytę. Nie jako patient, nie tyle nawet jako jego zwierzchnik celem dokonania inspekcji punktu opatrunkowego, ile w przeświadczeniu, iż owe 30 butelek wina mogły być przeznaczone dla niego. Na punkt opatrunkowy wchodzę od tyłu, przez kuchnię. Na palenisku olbrzymi sagan z gotującą się zupą. Zażywna gospodyni zajęta jest kraszeniem tejsze masłem. I to wcale nie oszczędnie. Na stole kuchennym mięso, masło, cukier, mąka, przyprawy i zaprawy. Pierwsze wrażenie: głodu ten dom nie zaznaje.

Po chwili zjawia się doktor Sienkiewicz. Wita mnie w sposób służbowy i w postawie służbowej melduje: „Punkt opatrunkowy składa się z trzech pokoi, siedmiu łóżek. Stan rannych i chorych 7. Wolnych łóżek nie ma”.

W pierwszym i drugim pokoju leży po trzech żołnierzy w każdym. Lekkie obrażenia, lekkie schorzenia. Na punkcie opatrunkowym pracują trzy ochotniczki-sanitariuszki, w tym dwie córki dr. Sienkiewicza. W danej chwili młodsza z nich, Krystyna, zajęta jest myciem nóg powstańców.

W pokoju trzecim, znacznie mniejszym, o jednym łóżku, leżał pacjent z prawdziwego zdarzenia. Miał złamane kości przedramienia. Opatrunek gipsowy nałożony. Ale separatka w ówczesnej sytuacji! W obecności chorego milczę, ale dr Sienkiewicz miał oczy otwarte i jako lekarz z rutyną wyczytał coś z mej twarzy. Szybko wyprowadził mnie z hallu.

— W separatce leży dyrektor wielkich zakładów żywnościowych „Pluto”. To on aprowiduje cały punkt opatrunkowy. Wystarczy mała karteczka z jego podpisem, aby otrzymać worki pełne żywności.

Sytuacja była jasna. Nie mogłem dr. Sienkiewiczowi nie przyznać racjonalnego, praktycznego rozmieszczenia chorych i rannych. Między nim a dyrektorem „Plutona” istniało ciche *gentlemen's agreement*. A korzyści — obopólne.

— Panie doktorze. Otrzymałem anonimowo 30 butelek wina. Czy przypadkiem nie pochodzą one z tych samych magazynów, co i pańska żywność? Czy nie były przeznaczone dla pana doktora? Omyłka jest więcej niż prawdopodobna. Posiadamy ten sam tytuł, ten sam stopień wojskowy no i urzędujemy na terenie tej samej posesji. Pozwolę sobie alkohol panu przekazać...

Teraz odezwały się dobrze znane mi w życiu prywatnym dr.

Sienkiewicza szeroki gest i staropolska gościnność, mocno podbarwione czarem osobistym.

Odesłać? Skądże! Nie ma mowy. Nie przyjmę pod żadnym pozorem. Prawdę mówiąc i ja nie wiem, czy to wino przeznaczone było dla mnie. Proszę więc uprzejmie zatrzymać do osobistego użytku. Zresztą w piwnicy mam dość alkoholu.

Była to święta prawda. Dr Sienkiewicz pociągał przez cały czas powstania. Tym niemniej wykazał gest niewąski, jeśli zwązimy, iż należał do ludzi wybitnie „trunkowych”.

12-14 dni później zjawia się koło godziny 16-tej w mojej kancelarii dr Petzel. Bywał u mnie bardzo rzadko. Tym razem zachowywał się jakoś niewyraźnie. Ni to służbowo, ni to koleżeńsko, ni to towarzysko. Po chwili zapytuje mnie:

— Panie kapitanie, a może wybralibyśmy się do doktora Sienkiewicza na śledzika?

Doktorostwo Sienkiewiczowie zajmowali mieszkanie na tej samej klatce schodowej, o piętro wyżej. Wielokrotnie zapraszany byłem na kieliszek wódki. Mimo dobrych, koleżeńskich stosunków jakoś się nie składało. Na przeszkodzie stał chroniczny brak czasu. Ale śledziki w owym czasie miały nie byle jaką wymowę. Poczekałnia była pusta. Kolega Petzel nie potrzebował propozycji swej powtarzać.

Z otrzymanych darów biorę dwie butelki wina. Idziemy z koleżeńską wizytą. Dr Sienkiewicz wita nas z wylewną serdecznością: „Gość w dom, Bóg w dom”. Przy drugim wyrazie „dom” półtonowy pocisk artyleryjski pada w sąsiadującą z nami posesję. Od pyłu cementowego w pokoju ciemno jak w bezksiężycową noc. Gdy rozjaśniło się, gospodarz nie tracąc rezonu otworzył baryłeczkę z moskalikami. Do niej wysokogatunkowa wódka. Jak na owe czasy wódka niebiańska. Nasza dzienna racja składała się z trzech porcji kaszy gotowanej na czystej wodzie, bez okraszy i bez soli, tudzież kromki chleba wagi 25 do 30 gramów.

Kaszę można jeść nawet przez dłuższy czas, ale należy do niej dodać choć trochę substancji białkowych, a że tych ostatnich na lekarstwo nie było, powstała u nas wyraźna awersja, niemal wstręt do węglowodanów. Nie mogliśmy patrzeć na nie, aczkolwiek chodziliśmy wygodni.

Pod koniec sierpnia wystąpiły u mnie wyraźne głodowe obrzęki kończyn dolnych. Do ich powstania przyczynił się również wybitnie brak kompleksu witamin B, tak niezbędnego przy spożywaniu węglowodanów, a szczególnie w nadmiarze. Dnia tego urzędowałem leżąc w mym gabinecie na tęczanie. Po drodze do

dr. Sienkiewicza dr Petzel zagłąda do mego gabinetu. Zastając mnie leżącego zmienia plany. Nie interesuje się przyczyną mego niedomagania, nie okazuje zwykłego w tych wypadkach zainteresowania lekarskiego. Zapomina i o Sienkiewiczu, natomiast daleko idącą opieką otacza mój personel kancelaryjny. *In corpore* zabiera go do kuchni. Uzurpuje sobie pod nieobecność gospodarza jego prawa. Otwiera butelkę za butelką. W magazynie mym znajduje się jeszcze 300 butelek miernego wina czerwonego i soku malinowego tudzież 12 butelek wysokogatunkowego wina reńskiego. Była to pozostałość owych 30 butelek.

Dr Petzel posiada wysoce wysubtelnione podniebienie dla alkoholu z jednej strony oraz obywatelskie poczucie dobra żołnierskiego z drugiej. Nie otworzył ani jednej butelki wina czerwonego, jako że wino to przeznaczone było dla użytku szpitalnego. Natomiast ze wspaniałego wina białego śladu nie pozostało. Czego nie zdołał wypić z personelem mej kancelarii, zabrał ze sobą.

Gdy po kilku dniach odwiedził mnie z córką i przybocznym swym sztabem dr ppłk Węgrzynowski, zostałem skompromitowany. Poleciałem podać białe wino. Oświadczone mi, że dr Petzel wykończył je bez reszty. Jak wszystko w życiu, tak i białe wino objęte zostało procesem *panta rei*.

Wspomniane wyżej 300 butelek wina czerwonego i soku malinowego otrzymałem w darze od nieznanego mi zupełnie oficera z uprzejmą uwagą, że przekazane zostają do mej dyspozycji celem rozprawienia po szpitalach.

Do obowiązków oficerów dowództwa „Chrobry II” należał udział w nocnych patrolach. W pierwszej linii chodziło nam o wypatrywanie spodziewanych zrzutów angielskich i dopilnowanie, aby zawartość ich, a przede wszystkim broń nie wpadła w niepowołane ręce.

Pierwszego dnia powstania powstańcy opanowali znaczną część miasta. Ale to mało. Teraz należało utrzymać w swych rękach zdobyte dzielnice. Dlatego też Komenda zwraca się do Rządu Londyńskiego z prośbą o natychmiastową pomoc.

Warszawa Śródmieście otrzymała mało zrzutów. Zresztą władze angielskie nie okazywały większego zrozumienia dla potrzeb powstańców, szczególnie w pierwszym okresie powstania. Tłumaczyli się dużymi ofiarami wśród wysłanych lotników. Wojskowe władze polskie na Zachodzie prosiły i domagały się, aby przynajmniej polskim lotnikom pozwolono na okazanie pomocy ich rodakom.

W rzeczywistości zrzuty na większą skalę zapowiedziane były

na dzień 10 września. Od tego dnia władze sowieckie wyraziły zgodę na lądowanie i tankowanie polskich i alianckich lotników poza linią bojową rosyjsko-niemiecką. W ten sposób aparaty lecieć mogły z pełnym ładunkiem bez obawy, że zabraknie im paliwa w drodze powrotnej. Straty w ludziach i aparatach zmniejszyły się niewspółmiernie. Dopiero 18 września i to za dnia nadleciało około 100 latających fortac pod osłoną myśliwców. Cała tragedia polegała na tym, iż *gros* zrzutów spadło na tereny zajęte już przez Niemców. Również niepomysłny wiatr kierował zrzuty ku Niemcom.

Armia sowiecka zaczęła okazywać wybitną pomoc zrzutową od 14 września. Stolica była już w znacznej części zniszczona. Samo powstanie chyliło się ku upadkowi.

Podczas jednego z nocnych patroli natknąłem się na dobrze ubranego obywatela, w skórzanej kurtce. Towarzyszyła mu młodziutka niewiasta. Hasła naszego nie znał. Podał się za kapitana „Sosnę”, dowódcę zgrupowania „Chrobry II”. Kapitana „Sosny” nie znałem. Moim przykrym obowiązkiem było dokonanie rewizji osobistej. Mimo że jakoby nie posiadał broni, znalazłem w bocznych kieszeniach dwa pistolety. Jak na nasze ówczesne uzbrojenie było to rzadkością. My sami na patrole nocne sześliśmy z bronią wypożyczaną zazwyczaj od kolegów. Dla pewności broń została czasowo odebrana. Kpt. „Sosna” udał się do dowództwa „Chrobry II” w towarzystwie jednego z naszych podkomendnych, celem wskazania mu drogi — powiedzmy.

Tej samej nocy zatrzymaliśmy również młodego, dwudziestokilkuletniego chłopca, w wysokich butach i zielonym kapeluszu z piórkami. Robił wrażenie *Volksdeutscha* i też nie znał hasła. Z nim sprawa była krótsza. Odesłaliśmy go do izby zatrzymań. Nazajutrz po dokładnym przesłuchaniu i przebadaniu okazało się że domniemamy *Volksdeutsch* jest Żydem. Uciekł w swoim czasie z palącego się getta. Ukrywał się po tak zwanej stronie „aryjskiej”. Dla niepoznaki ubrany był raczej jak Niemiec.

Szpital e

Jak już uprzednio wspominałem, wieczorem 1 sierpnia omówiłem z dr. Petzlem i z podchorążym „Kordonem” sprawę otwarcia pierwszego szpitala na terenie zgrupowania „Chrobry II”. Upatrzony został budynek narożny przy zbiegu ulic Pańskiej i Mariańskiej. Nieruchomość ta była mi dobrze znana. W latach 1941 i 1942 mieścił się tam prowizorycznie urządzony szpital

TOZ-u. Przez kilka tygodni leżała tam i była operowana moja matka.

W chwili wybuchu powstania budynek był całkowicie ogołocony. Naszym zadaniem było zaopatrzenie go w sprzęt lekarski i gospodarczy. Pierwotny wniosek dr. Petzla — wystarać się o 8 łóżek dla rannych. Moje wymagania były znacznie większe. Zresztą w obrębie naszego terenu, przy ul. Grzybowskiej, mieściły się bodajże czy nie największe w Polsce zakłady produkujące sprzęt szpitalny. Była to firma „Jarnuszkiewicz”. Wydałem podchorążemu „Kordonowi” polecenie uzyskania od właścicieli drogą ofiary dobrowolnej nie mniej niż 25 łóżek szpitalnych z pełnym wyposażeniem.

Gdy nazajutrz koło godziny 11-tej wizytowałem będący w pierwszym stadium urządzenia szpital, na I-szym piętrze ustawionych było już 25 łóżek. Zaopatrzone były w materace względnie sienniki, poduszki i koce. Podchorąży „Kordon” nie zapomniał też o taboretach ustawionych u wezgłowia łóżek. Służyły za nocne stoliki.

W magazynach umieścił podchorąży „Kordon” kilkadziesiąt prowizorycznych łóżek. Było to coś pośredniego między łóżkiem drewnianym a noszami. Poza tym sprzęt i narzędzia chirurgiczne. Cały ten dobytek stanowił dobrowolną ofiarę rodziny Jarnuszkiewiczów.

Podchorąży „Kordon” (rodzinnego jego nazwiska nie znam i pewien nie jestem, czy kryptonimu nie przekręcą) był jednym z mych najdzielniejszych i najbardziej zasłużonych współpracowników. Szczupły, drobnej budowy, wzrostu poniżej średniego, posiadał niewyczerpany zasób energii. Wyszkolenie wojskowe otrzymał nie tylko w podziemiu, lecz i w szkole podchorążych sanitarnych przed wojną. Był bardzo zdyscyplinowany. Rozkazy wykonywał z wzorową dokładnością. Miał pewne zrozumienie dla powagi sytuacji oraz potrzeb i zadań sanitariatu.

A potrzeby były olbrzymie. Zgrupowanie „Chrobry II” utworzyło się i uplasowało w terenie obcym. Nie posiadało nawet zaplanowanych placówek Służby Zdrowia. Co gorsza, nie miało też leków ani sprzętu szpitalnego. Powstańcy Warszawy nie posiadali składnic sanitarnych, w których rejon względnie zgrupowanie mogłoby się zaopatrywać w leki i sprzęt podczas samej akcji bojowej.

Komendantem nowo tworzącego się szpitala mianowałem dr. „Obsta” (Petzla), młodego jeszcze lekarza, sądząc z postawy, bez przeszłości wojskowej. Tym niemniej na stanowisku komendanta wykazał pewien zmysł organizacyjny. Jego bezsprzeczną zasłu-

gą było uzupełnienie zaopatrzenia placówki w narzędzia chirurgiczne (dary rodziny Jarnuszkiewiczów nie zaspokajały potrzeb sali operacyjnej i opatrunkowej).

Do wybuchu powstania dr „Obst” był asystentem w klinice ginekologicznej szpitala Dzieciątka Jezus. Znał więc doskonale drogę do sali operacyjnej. Mimo swej okazałej tuszy przedostał się przez mur okalający szpital, ale nie od ulicy Nowogrodzkiej, bo tu można było natknąć się na patrole niemieckie, lecz od tyłu, od ulicy Oczki. Dostał się w ten sposób na salę operacyjną. Na miejscu zebrał pewną ilość narzędzi chirurgicznych, napełnił nimi worek i z workiem na plecach wrócił do szpitala, którego dopiero co został komendantem. Był to wyczyn nielada.

Dr Petzel był obowiązkowym i dobrze wyszkolonym lekarzem. Potrafił rozplanować i podzielić pracę między swą żonę, anestezjologa, dwie lekarki-internistki, a później jeszcze chirurga i ginekologa. Zlecenia moje wykonywał ściśle.

Ze względu na młody wiek komendanta i brak wykształcenia wojskowego często wizytowałem szpital Pańska-Mariańska. Stwierdziłem zasadnicze niedociągnięcia w spełnianiu obowiązków przez dyżurnych LOP-u. Na szczęście dzięki szybkiej reakcji nie pociągnęły za sobą fatalnych skutków.

Koło godziny 23-ciej 1 sierpnia na terenie zgrupowania „Chrobry II” rannych zostało dwóch żołnierzy. Poleciałem odprowadzić ich do szpitala dziecięcego fundacji Bergsona i małżonków Baumanów przy ulicy Śliskiej. Jednocześnie zgłosiłem się do dyrektora szpitala (późniejszy profesor i minister zdrowia) z zapytaniem, czy gotów jest podporządkować się sanitariatowi zgrupowania „Chrobry II” i oddać szpital do dyspozycji rannych powstańców. Przedstawiłem się jako szef sanitarny i zastępca dowódcy zgrupowania.

Dyrektor szpitala wyraził zgodę bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Na miejscu zetknąłem się z dobrze mi znanymi dr. Waleckim, dr. Kossakowskim (obecnie profesor chirurgii dziecięcej) oraz drugim chirurgiem, dr. Żabskim, znanym mi z kampanii wrześniowej.

W ten sposób drugiego dnia powstania zgrupowanie „Chrobry II” dysponowało zmilitaryzowanym i dostosowującym się do potrzeb chirurgii wojskowej szpitalem Bergsona i Baumanów, pustym budynkiem dla szpitala Pańska-Mariańska i punktem opatrunkowym przy ulicy Siennej 82, którego łóżka przeniesione zostały z postajennego pomieszczenia. Ściśle biorąc ostatnich dwóch placówek nie wolno było jeszcze zaliczać do sanitariatu: nie po-

siadały nawet najprymitywniejszych środków leczniczych i nie były w stanie okazać jakiegokolwiek pomocy.

Dążeniem moim było zorganizować jak największą ilość niewielkich szpitali oraz gęstą sieć punktów opatrunkowych.

Niesienie natychmiastowej pomocy było utrudnione. Posługiwać się można było jedynie noszami, a i to nie zawsze i nie wszędzie.

Rozdrobnienie szpitali i punktów opatrunkowych uzasadnione było obawą przed zbombardowaniem. Zmniejszenie do minimum następstw takiego nieszczęścia możliwe było tylko przez jak największe rozdrobnienie i rozrzucenie szpitali oraz takie ich rozmieszczenie, aby otaczające budynki stanowiły względną ochronę przed pociskami artyleryjskimi i „goliatami”.

Wkrótce po uruchomieniu szpitala Pańska-Mariańska przystąpiłem do organizowania następnych dwóch: Pańska 10/12 i Sienna 59. Przy urządzeniu lokalu Pańska 12 bardzo czynny i pomocny był mi podchorąży „Kordon”. On był duszą tego szpitala. Jego też mianowałem oficerem administracyjnym.

Obowiązki lekarza pełnił felczer. Początkowo szpital ten wizytowałem dość często. Chodziło mi również o kontrolę nad pomocą lekarską. Mimo iż jestem internistą, mimo iż swe stanowisko służbowe uważałem za czysto administracyjne i powstrzymywałem się od udzielania pomocy lekarskiej — pomijając nagłe wypadki — zmuszony byłem ingerować i zmienić postępowanie chirurgiczne w dwóch wypadkach. Bo też chirurga w danym szpitalu nie było. Nie ma czego taić. Nawet w naszej dzielnicy, uchodzącej za dobrze wyposażoną w służbę zdrowia, nadmiarem chirurgów, a choćby i operujących ginekologów — nie grzeszyliśmy.

Lekarza jako ordynatora do tego szpitala skierować mogłem dopiero po 10-12 dniach. Siostrą przełożoną została dyplomowana i bardzo dzielna pielęgniarka „Ewa”.

Szpital przy ulicy Pańska-Mariańska posiadał 60-70 łóżek. Lokal prymitywny, pierwsze piętro poprzecznej oficyny. Wyposażenie pod każdym względem skromne. Brak sali operacyjnej. Duże braki w sprzęcie chirurgicznym. Brak chirurga. Wykonywano jedynie drobne zabiegi wchodzące w zakres małej chirurgii. Rannych wymagających poważniejszych zabiegów, względnie przy najmniejszych komplikacjach kierowano do innych szpitali.

W drugiej dekadzie sierpnia wśród interesantów czekających w sekretariacie zauważyłem pana lat około 55. Cierpliwie oczekiwał swej kolejki, nie wykazując najmniejszego zniecierpliwienia. To mnie uderzyło. Okazało się, że jest przedwojennym szefem sanitarnym Okręgu Generalnego Pomorze. Podpułkow-

nik dr med. Marzinek nie chciał korzystać z przywileju lekarzy, którzy przyjmowani byli poza kolejnością.

Ze względu na wieloletni staż wojskowy oraz wysokie stanowisko, jakie dr Marzinek zajmował do roku 1939, predestynowany był do zajęcia jednego z najwyższych stanowisk w hierarchii służby zdrowia. Znacznie wyższego od mojego. Rzecz jasna, że ja takim nie dysponowałem. Zaproponowałem mu, aby się zgłosił do szefa sanitarnego Okręgu Warszawa, dr. Lenka. Słyszeć nie chciał. Uzgodniliśmy, że zajmie stanowisko komendanta i zarazem ordynatora szpitala przy ulicy Pańskiej 10/12.

Nie mogę pominąć milczeniem wyjątkowej skromności ppłk. dr. Marzinka. Zamiast zgłosić się do dyspozycji szefa sanitarnego Komendy Głównej, płk. Strela, ewentualnie szefa sanitarnego Okręgu Warszawa, dr. Lenka, zgłosił się do dyspozycji kapitana, późniejszego majora.

Z punktu widzenia higieny i estetyki można by mi zarzucić, że otworzyłem oddział szpitalny w pomagazynowym pomieszczeniu nie grzeszącym zbytnią czystością i że zrezygnowałem z górnych trzech pięter w dobrym stanie. Ten zarzut byłby słuszny w czasie pokoju. W czasie wojny górne piętra były bardzo niebezpieczne. Poza tym starać się należało o zajęcie jak największej ilości budynków. Nie sposób było przewidzieć, jak długo trwać będzie powstanie i ile ofiar za sobą pociągnie, oraz który budynek zostanie trafiony. Jasne było, że skoro nie udało się opanować Warszawy w ciągu pierwszych kilku dni, to powstanie trwać będzie tygodnie.

Stanowisko to przedstawiłem na odprawie oficerów dowództwa „Chrobry II” pod koniec pierwszego tygodnia powstania. Obecni na odprawie koledzy zgodzili się z nim.

W połowie sierpnia zgłosiła się do mnie dr med. Beckowa. Już w pierwszych jej słowach wyczuć można było dużą dozę żalu. Mąż jej, znany ginekolog warszawski i docent Uniwersytetu Warszawskiego, zgłosił się do komendy szpitala Pańska-Mariańska oferując swe usługi jako operujący ginekolog. Nie został przyjęty. Komendant szpitala, były student Uniwersytetu Warszawskiego, był jego uczniem. To mnie jeszcze bardziej zadziwiło.

Docenta dr. Henryka Becka znałem z czasów studenckich jako wybitnego ginekologa i zdolnego, zręcznego operatora. Tej klasy lekarzy szukałem i wypatrywałem. Byli więcej niż na wagę złota. Poza tym jako lekarz i człowiek dr Beck był na najwyższym poziomie. Sprawa jego przyjęcia lub nieprzyjęcia na służbę nie ulegała dla mnie wątpliwości. Nie rozumiałem i nadal nie rozumiem, jakimi przesłankami kierował się komendant szpitala.

Widocznie jakaś wyższa racja stanu, wyższa polityka. Niezrozumiałe i niedostępne dla mnie. Stojące ponad zdrowie i życie walczącego żołnierza!

Zapotrzebowanie na operujących lekarzy było tak wielkie, że zaproponowałem szefowi sanitarnemu, dr. Lenkowi ogłoszenie poboru chirurgów i operujących ginekologów przez megafony.

Od pierwszej do ostatniej chwili powstania odczuwaliśmy brak chirurgów. Zresztą brak ten jest bolączką niemal każdej kampanii wojennej. Podczas każdej akcji bojowej istnieje wzmożone zapotrzebowanie na zespoły chirurgiczne.

Otwarcie szpitala uzależniałem od tego, czy dysponowałem operatorem czy też nie. Szpital bez operatora podczas działań wojennych nie spełni swych zadań.

Dr Beckowej zaproponowałem stanowisko ordynatora, mężowi zaś — ordynatora i komendanta będącego *in statu nascendi* szpitala przy ul. Siennej 59. Kończyłem właśnie wyposażenie tej placówki.

— Przy ulicy Siennej otwarty zostaje nowy szpital. Zarówno sprzęt chirurgiczny jak i gospodarczy jest w pogotowiu. Łóżka ustawione, koce i bielizna pościelowa w magazynie, materiał opatrunkowy i leki — w nadmiarze. Narzędzi operacyjnych nie brakuje. Już pierwszego dnia po objęciu służby będą państwo mogli operować.

Dr Beckowa oponuje. Prosi o przydzielenie mężowi stanowiska skromnego, nie kierowniczego. „Mąż mój znajduje się w stanie zakłóconej równowagi psychicznej. Na jego oczach zamordowany został przez hitlerowców jego ojciec, prof. Adolf Beck, wybitny polski fizjolog. Przeżycie to spowodowało silny szok psychiczny. Nieludzkie warunki bytowania, kilkuletnie ukrywanie się podczas okupacji wpłynęły również na stan nerwowy”.

Docent Beck, rzymski katolik, był pochodzenia żydowskiego.

Zapotrzebowanie na operujących lekarzy dominowało nade wszystko. Nie ustępowałem.

— Nie ma mowy o jakimś trzeciorzędnym stanowisku, mimo załamania się męża Pani. Błędem nie do darowania, niemal przestępstwem z mej strony, gorzej jeszcze — głupotą — byłoby, gdybym nie wykorzystał wysokich kwalifikacji Państwa w należyty sposób. Tego wymaga moja racja, a moja, to znaczy służbowa. Nie ustąpię. Zresztą jestem przekonany, iż będąc na moim miejscu zajęliby Państwo stanowisko identyczne z moim. Nieprzejednane.

A że dr Beckowa — podobnie zresztą jak i jej mąż — była lekarką o wysokiej etyce zawodowej, jasno i otwarcie przedstawić

jej mogłem swą własną sytuację. Zaapelowałem do jej poczucia obowiązku. Na razie, na przeciąg kilku dni, proponowałem objęcie punktu opatrunkowego przy ulicy Twardej pod numerem 15. Wszystkiego 15 łózek.

— Liczę na to — powiedziałem otwarcie — iż Docent wzyje się stopniowo w nowe warunki i powoli otrząsać się będzie ze strasznych przeżyć przeszłości. W międzyczasie szpital otrzyma uzupełniające wyposażenie.

Mieliśmy jeszcze przenieść kilkadziesiąt materacy z pałacyku przy ulicy Kredytowej. Do powstania mieścił się tam dom wypoczynkowy dla ozdrowieńców niemieckich i lekko rannych.

Docent Beck zgłosił się do biura następnego dnia. Wyraził zgodę na tymczasowy przydział na Twardą 15 z tym, iż po kilku dniach obejmie stanowisko komendanta nowo utworzonego szpitala.

Dr Sienkiewicz zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy wśród podległych mi służbowo lekarzy nie ma jakiegoś wybitnego ginekologa. W leczeniu miał pacjentkę ze skomplikowanymi objawami chorobowymi. Pomocnicze badania laboratoryjne w ówczesnych warunkach nie wchodziły w rachubę. W poczuciu odpowiedzialności lekarskiej nie chciał sam decydować w postawieniu trudnego rozpoznania i ustaleniu leczenia. Polecieć mogłem jedynie kpt. „Nekandera” (Becka).

Po naradzie dr Sienkiewicz — jak zawsze zresztą przestrzegający eleganckich form — przyszedł podziękować mi za konsultanta. Był oczarowany.

— Co za wiedza! Co za kultura! Jakie formy! Kto to jest? — Dr Sienkiewicz pochodził z prowincji. O doktorze Becku nie mógł nie słyszeć. Ale osobiście go nie znał.

Mimo bezwzględного zaufania do dr. Sienkiewicza nie wolno mi było wyjawiać nazwiska kapitana „Nekandera”.

Fakt nieprzyjęcia docenta Becka do służby ochotniczej przez podległego mi komendanta szpitala nie był odosobniony. Zgodnie z otrzymanymi w swoim czasie informacjami prof. dr Edward Loth, pułkownik rezerwy, zgłosił się do służby powstańczej w szpitalu Ujazdowskim. Jego usługi zostały odrzucone. A był to organizator o najwyższych kwalifikacjach. Twórca Muzeum Anatomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. W poczuciu niespełnionego obowiązku prof. Loth zgłosił się do władz wyższych i (otrzymał nominację na szefa sanitarnego Obwodu. Na tym odpowiedzialnym stanowisku nie oszczędzał się, dokonywał inspekcji podległych mu placówek sanitarnych. W drodze do jednego z punk-

tów opatrunkowych został śmiertelnie trafiony odłamkiem pocisku.

Punkty opatrunkowe

Poza szpitalami pomoc lekarską okazywały powstańcom punkty opatrunkowe, ambulanse batalionowe oraz patrole kompanijne.

W warunkach polowych punkt opatrunkowy jest najbardziej wysuniętą placówką służby zdrowia i pozwala udzielić pierwszej pomocy rannym. W powstaniu warszawskim pociski docierały wszędzie, toteż punkty opatrunkowe rozlokowane były na całym terenie co kilkadziesiąt, a niekiedy i kilkanaście domów. O przewożeniu rannych nie było nawet co marzyć. Nie dysponowaliśmy żadnymi środkami transportowymi. A gdyby nawet — ulice były zabarykadowane i rozkopane. Transport rannych odbywał się na noszach, względnie na plecach noszowych i towarzyszy broni.

Na powstanie punktów opatrunkowych mój wpływ był raczej pośredni. Większość ich powstała z inicjatywy Komitetów Domowych oraz zamieszkających w pobliżu lekarzy, po uprzednim zapewnieniu sobie z mej strony pomocy materiałowej. Komitety domowe względnie blokowe przejmowały opuszczone mieszkania. Następnie odwoływały się do ofiarności mieszkańców. W ten sposób zdobywano pościel, bieliznę, sprzęt gospodarczy. Punkty opatrunkowe liczyły zazwyczaj od 7 do 15 łóżek. Udzielały pierwszej pomocy, zgodnie z zadaniem. Ciężko ranni, wymagający specjalnej opieki względnie zabiegów operacyjnych, kierowani byli do szpitali.

Duży punkt opatrunkowy mieścił się przy ulicy Śliskiej 62. Dostosowany był do przyjęcia 25-30 rannych i chorych.

Koło 8 sierpnia zgłosił się do mnie na służbę porucznik „Łaba” (dr med. Roman Gorecki). Przez pierwszy tydzień powstania kierował punktem opatrunkowym przy ulicy Marszałkowskiej 145. Udzielał pomocy lekarskiej uczestnikom ataków na PAST-ę. Porucznika „Łabę” skierowałem na punkt opatrunkowy przy ulicy Śliskiej 62. W pracy pomagał mu student medycyny „Smok” (Paweł Suchy).

Śliska 62 była jednocześnie miejscem postoju 30 patroli sanitarnych. Patrol tworzyło dwoje dziewcząt zaopatrzonych w apteczkę podręczną. Na pięć patroli przypadała starsza patrolowa.

Pod koniec powstania zostały zniszczone okoliczne budynki. Ucierpiał też nieco sam punkt. Ranni i chorzy szwanku nie po-

nieśli. Koło 30 września punkt ewakuowany został na Złotą 22. Po kilku dniach ranni odstawieni zostali do transportu kolejowego i odwiezieni do szpitala jenieckiego w Zeithain nad Łabą. Przez cały czas pobytu w obozie jenieckim opiekę lekarską nad nimi sprawował dr Gorecki.

Podczas jednego z kolejnych nalotów lotniczych na Zeithain powstało zamieszanie. Skorzystał z niego dr Gorecki, by uciec z obozu, kierując się ku terenom, zajęтым już przez wojska amerykańskie.

Jak już wyżej zazaczyłem, punkty opatrunkowe rozrzucone były po całym terenie Warszawy Śródmieścia: Sienna 82, 41, 32, 17, Twarda 15, Śliska 62, Łucka 14, Miedziana 8, Złota 35 i inne.

W połowie sierpnia w jednej z przecznic Złotej otworzyłem poradnię przeciwwenerologiczną. Porad i pomocy udzielali dwaj wybitni specjaliści warszawscy, dr Michałowski i dr Kwasibart.

Na przełomie sierpnia i września do służby powstańczej zgłosił się również lekarz bakteriolog. Powstała pracownia analityczna.

W pierwszym okresie powstania dwaj komendanci szpitala zaproponowali mi wywieszenie emblematu Czerwonego Krzyża przed gmachami szpitali. Przeciwwstawiłem się temu jak najenergiczniej, podobnie jak wymalowaniu czerwonego krzyża na dachach.

Podczas kampanii wrześniowej pracowałem przez dwa tygodnie w nieznacznie uszkodzonym budynku szpitalnym w Siedlcach. Flaga Czerwonego Krzyża była wywieszona. Nie wchodzę w to i wchodzić nie mam możliwości, czy lotnik niemiecki flagę przeoczył, czy też świadomie celował. Faktem jest, iż szpital trafiony został pociskiem z samolotu.

Natomiast podczas i po bitwie pod Stoczkiem miałem możliwość stwierdzić poprawny, bez zarzutu — zgodny z Konwencją Haską — stosunek lekarzy Wehrmachtu — stabsarzta majora dr. Biera, oberarzta porucznika Lorenza, lekarza-asystenta dr. Pippla — do rannych żołnierzy polskich. Okazywana pomoc była fachowa i staranna.

Po wzięciu do niewoli podszedł do mnie, a raczej podjechał na polowym Mercedesie niemiecki lekarz. Zwrócił się do mnie twardą polszczyzną i przedstawił się jako porucznik Lorenz, urodzony w Poznaniu. Zaproponował mi, abym pomógł mu w udzielaniu pomocy rannym. Chodziło głównie o żołnierzy polskich. Oczywiście wyraziłem zgodę.

Jednocześnie sięgnął do swej torby polowej i zaferował mi

dużą pajdę chleba z masłem i serem. Ośmiodniowy, głodowy, częściowo nocny marsz musiał snąć odbić się na moim wyrazie twarzy. Podziękowałem, ale nie przyjąłem. Natomiast odwzajemniłem mu się ofiarując mu zastrzyki morfiny dla umierających.

Po południu i deszczową nocą jeńcy pozostawali pod gołym niebem w pobliżu kościoła. Nazajutrz sformowany został oddział marszowy i trójkami jeńcy poprowadzeni zostali w kierunku zachodnim.

Po stosunkowo niedługim marszu podporucznik niemiecki przywołał do siebie polskich lekarzy i oświadczył im, że w szpitalu w Siedlcach leży tysiąc rannych polskich jeńców bez opieki lekarskiej. Lekarze-jeńcy, jeśli im to odpowiada, mogą skierowani zostać do pracy szpitalnej. Dr Edmund Kunig, wybitny chirurg łódzki oraz ja wyraziliśmy gotowość udania się do Siedlec. Zostaliśmy uplasowani w przejeżdżającej ciężarówce i po krótkiej jeździe znaleźliśmy się wśród rannych. Większość ich leżała pokodem na ziemi, również na korytarzach.

Ale to byli lekarze Wehrmachtu i rok 1939. Jaki natomiast będzie stosunek do szpitali powstańców warszawskich (*Banditen*) w roku 1944 — trudno było przewidzieć. Do opanowania powstania dowództwo niemieckie ściągnęło również rozbitą przez wojska sowieckie brygadę spod Mińska. Składała się ona, jeśli nie w całości, to w każdym razie w znacznej części z przestępców kryminalnych. Nie można było liczyć na ich znajomość paragrafów Konwencji Haskiej, a w każdym razie na przestrzeganie jej przepisów. Należało być bardzo ostrożnym. W roku 1944 nie wolno było liczyć na doktorów Bierów, Lorenzów czy Pipplów.

Od samego rana 28 sierpnia Śródmieście północne ostrzelwane było przez ciężką artylerię z Ogrodu Saskiego oraz najcięższe 80-ciocentymetrowe działo ustawione na torach kolejowych w Pruszkowie.

Przy ul. Srebrnej i Towarowej por. Zdunin z IV-go Rejonu na czele swej kompanii odniósł pewne sukcesy. Na północy IV-go Rejonu Niemcy wykazywali inicjatywę ofensywną, jednakże po pewnym przeciwnatarciu i walce wręcz oddziałów kapitana „Hala” i kapitana „Lecha Grzybowskiego” wycofali się z nieparzystej strony ulicy Grzybowskiej.

Po 4-rotagodniowych walkach oddziały Starówki wyczerpane były do ostateczności. Dowództwo Okręgu Warszawa po porozumieniu się z dowódcą Starówki, pułkownikiem „Wachnowskim” (Karol Ziemiński) zdecydowało się zaatakować Niemców z obu stron synchronicznie, od Śródmieścia i od Starówki. Starów-

ka nie spostrzegła sygnału świetlnego, który miał być momentem wszczęcia ataku. Płk „Monter” zaatakował na własną rękę. Wobec przeważających sił niemieckich oraz lepszego uzbrojenia atak pozostał bez sukcesu. Tyły niemieckie nie zostały zaatakowane przez oddziały Starówki. Nie udała się próba przedarcia się i nawiązania łączności ze Starówką. Żołnierze Starówki wyostać się mogli z matni jedynie przez kanały.

Chciałem przekonać się naocznie, jak okazywana jest pomoc na linii walki, jak wygląda pomoc lekarska na tym najniższym, a jednocześnie najniebezpieczniejszym szczeblu służby zdrowia. Nocą udałem się na ul. Grzybowską.

Domy po stronie nieparzystej zajęte były przez powstańców, po parzystej — przez Niemców. Walczących dzieliła jedynie jezdnia. Od płonących budynków bił niesamowity żar.

Patrole noszowe znalazłem nie w tyle, na zapleczu, lecz na samym chodniku, we wnękach bram i załomach walących się domów. Dziewczęta-noszowe wyprowadzały rannych względnie wynosiły ich na noszach z pierwszej linii bojowej. Narządy życia w nie mniejszym stopniu, aniżeli walczący żołnierze.

Na kwaterach dochodziło często do tarć i sprzeczek między noszowymi. Nie mogły tu jakoś zgodnie współżyć i współpracować. Dwukrotnie zwracały się do mnie o rozstrzygnięcie sporów. Musiałem osobiście interweniować. Na pierwszej linii bojowej panowała idealna harmonia. Można było jedynie mówić o wyścigu w okazywaniu pomocy rannemu.

Żołnierze mogli być pewni, iż w razie zranienia nie będą pozostawieni własnemu losowi.

W początkach września późną nocą przyprowadzono mi młodą niewiastę w bardzo ciężkim stanie zdrowia. Już na odległość stwierdzić można było niewydolność układu krążenia: krótki przyspieszony oddech i daleko posuniętą sinicę warg. Pobieżne badanie potwierdzało to pierwotne rozpoznanie. Drobne, wybitnie przyspieszone tętno, wątroba znacznie powiększona, bardzo wrażliwa na ucisk. Chora zatrudniona była przy produkcji pocisków wybuchowych. Pracowała z wysoce trującym trotylem. Zalecenie lekarskie mogło być jedno: najenergiczniej działające środki nasercowe oraz łóżko. Oczywista bezwzględna przerwa w pracy. Chora godziła się jedynie na stosowanie pierwszej części ordynacji. Środki nasercowe — zgoda, o przerwie w pracy mowy nie ma.

Nazajutrz z samego rana wizytuje powstańczy „zakład zbrojeniowy” przy ul. Pańskiej. Kilka niewiast zajętych było produkowaniem granatów ręcznych. Kierownikiem pracowni był mło-

dy powstaniec — fachowiec. Był Rosjaninem lub kresowcem. Po polsku mówił z rosyjska.

U wszystkich pracowników stwierdzić mogłem symptomy chorobowe zbliżone do stwierdzonych u nocnej pacjentki, choć znacznie lżejsze. Sinica, przyspieszona akcja serca, mniej lub więcej powiększona wątroba. Mimo iż ostrzegałem je przed niechybnymi skutkami dłuższego przebywania w atmosferze zatrutej trotylem, żadna z nich nie godziła się nawet na krótką przerwę w pracy. Zresztą dobrze wiedziały same, co je czeka. Dopiero po wystąpieniu daleko posuniętych zmian chorobowych zgłaszały się o pomoc lekarską.

Pracownia granatów składała się z jednego prymitywnie urządzonego pomieszczenia. Nie posiadała najprostszych urządzeń ochronnych. Nawet tzw. kapy.

Jako środek profilaktyczny przed zatruciem poleciłem noszenie masek z kilkakrotnie złożonej gazy i nasyconej płynem częściowo neutralizującym działanie trotylu. W danych warunkach był to jedyny środek. Do krwioobiegu trytol przedostaje się poprzez górny odcinek dróg oddechowych. Maseczki przymocowane tasiemkami związanymi na potylicy nie przylegały ściśle do ust i nozdrzy. Ochrona przed zatruciem problematyczna.

W konsekwencji niemal wszystkie niewiasty zatrudnione przy produkcji granatów ulegały zatruciu trotylem i kolejno zgłaszały się o pomoc. Na szczęście stan ich nie był tak groźny jak u pierwszej.

Nie znam ich nazwisk. Nie wiem nawet, do jakich formacji należały. Były to jedne z setek bezimiennych cichych bohaterek powstania warszawskiego. Pewien jestem, że ich świadoma skutków ofiarność nie spotkała się z należytą oceną i uznaniem. Wiedług mnie winę ponoszą zwierzchnicy. Często zapominamy o tych najdzielniejszych wśród dzielnych. Aczkolwiek przy ich właśnie pomocy udają się nam te lub inne osiągnięcia służbowe.

Mam przeświadczenie, że zasłużonych, względnie za zasłużonych uchodzących można by podzielić na trzy grupy.

Do pierwszej zaliczyłbym zasłużonych, wyróżnionych przez ich zwierzchników i przedstawionych przez nich do odznaczeń.

Do drugiej — tych, którzy sami uważają się za zasłużonych. O odznaczenia starają się na własną rękę. Bez wiedzy swych obecnych lub byłych zwierzchników. Do celu dochodzi się często w obecnych czasach drogami bocznymi. Czy ci odznaczeni są rzeczywiście zasłużeni? Duży znak zapytania.

Wreszcie do trzeciej grupy zaliczyłbym owych cichych i skromnych, choć nie mniej od pierwszych zasłużonych. Ich poświęcenie

i wyczyny mogły w ogóle nie zostać dostrzeżone, mogli też mieć zwierzchników dbających jedynie o swoje wyróżnienia i swoje odznaczenia.

Wyróżnienia i odznaczenia nie zawsze przypadają ludziom naprawdę zasłużonym. Często za wyczyny jednych odznaczenia inkasują ich towarzysze broni, bądź też zwierzchnicy.

Do cichych, nieznanymi mi ani z nazwisk, ani nawet z kryptonimów, zasłużonych powstania warszawskiego, zaliczam również część noszowych oraz wszystkie niewiasty zatrudnione przy produkcji granatów ręcznych przy ul. Pańskiej.

Upłynęło kilka dni od dokonanej przeze mnie wizytacji „zakładów zbrojeniowych”. Zgłasza się do mnie kierownik:

— Panie kapitanie, do produkcji granatów ręcznych niezbędny jest nam czysty spirytus.

Nie pytam o powiązania chemiczne. Jestem więcej niż pewny: „lipa”. Ale czy tym poświęcającym swe zdrowie towarzyszom można było czego odmówić? Z prawdziwą przyjemnością wydaję magistrowi „Zielonemu” polecenie wydania trzech butelek spirytusu. Mimo iż pewien nie byłam, czy bezpośrednio przy trotylu zatrudnione kobiety również zaznają smaku wódki. W ciągu następnych tygodni produkowano granaty bez domieszki alkoholu. Widocznie nastąpiły ulepszenia w produkcji.

Mój dzień roboczy rozpoczynał się o 6-tej rano. Do godziny 7.30 wizytowałem jakiś szpital lub dwa punkty opatrunkowe. Wyjątkowo ambulans batalionowy.

O godz. 7.45 powrót do biura. Śniadanie powstańcze składało się z 25 gramów chleba i kawy zbożowej. Do tego dość często talerz rozwodnionej kaszy, bez jakiegokolwiek przyprawy.

O godz. 8.15 do gabinetu swego prosiłem nieocenioną panią Stefanię. Stenografowała. W ciągu 50-60 minut miałem możliwość przelać na papier zaplanowane uprzedniego wieczora: rozkaz dzienny, jeśli tego dnia wychodził, pisma okólne, karty służbowe.

Później następowały przyjęcia interesantów. Przeciągały się niekiedy poza porę obiadową. W międzyczasie magister „Zielony” przedkładał mi złożone przez szpitale, punkty opatrunkowe oraz komitety domowe zapotrzebowania na leki. Przeglądałem je tylko z obowiązku. Nie miałem potrzeby skreślać jakiegokolwiek pozycji ani redukować ilości poszczególnych leków. W tym samym czasie podpisywałem pisma wychodzące.

O godz. 12.00-12.30 otrzymywałem obiad w swym gabinecie. W ciągu pierwszego tygodnia *menu* składało się z siekanego kotleta końskiego i kaszy. Koń — wspaniałe zwierzę, ale pod

wierzech, nie jako danie. A gdy głód przekonał mnie, że i koninę można jeść, zabrakło jej.

Koło godz. 16-tej wychodziłem na miasto po raz wtóry. Poszukiwałem leków, sprzętu szpitalnego i gospodarczego. Rozglądałem się za lokalami pod nowo planowane placówki sanitarne.

Poczynając od drugiej połowy sierpnia pod wieczór kilkakrotnie meldowałem się u swych zwierzchników. Dwukrotnie u ppłk. „Zagończyka” — pion liniowy, oraz trzy- lub czterokrotnie u ppłk. „Bakcyła” — pion służby zdrowia.

Wieczorami przy ul. Siennej panowała głucha cisza. Starłem się odtworzyć przeżyty dzień. Spostrzeżenia, wrażenia, własne reakcje. Samokrytyka poniekąd. Zastanawiałem się nad sytuacją bojową i wynikającymi z niej aktualnymi potrzebami. W ten sposób powstawała treść do poszczególnych punktów rozkazu dziennego oraz pism okólnych.

Rzecz jasna, iż w warunkach powstańczych jeden dzień służby nie był podobny do drugiego. Już choćby same naloty — aczkolwiek następowały z zegarkową dokładnością — wprowadzały pewną dezorganizację pracy. W czasie alarmu pewna część współpracowników oraz interesantów schodziła do schronu. Wprawdzie zasięg nalotów nie zawsze obejmował Śródmieście, ale też często wystarczał obstrzał z dział i miotaczy min.

W samej codziennej pracy odróżnić można było dwa jej rodzaje. Jeden — który dominował przede wszystkim w pierwszym okresie powstania — to planowanie i organizacja placówek leczniczych oraz rozszerzanie już utworzonych. Drugi — to sprawy administracyjne.

O ile te ostatnie — pomijam przeprowadzkę szpitala Pańska 10/12 i punktu opatrunkowego Sienna 82 — przebiegały na ogół w sposób względnie planowy, o tyle sprawy organizacyjne — otwieranie nowego szpitala czy punktu opatrunkowego, poszukiwanie odpowiednich pomieszczeń pod nowe placówki, zdobywanie sprzętu lekarskiego, leków, materiału opatrunkowego i wreszcie odkomenderowanie personelu lekarskiego na właściwe placówki — napotykały często na okoliczności i trudności zgoła nieprzewidziane.

Bywało też, że leki, i to wartościowe, jak na przykład ze Złotej 46, same wpadały mi w ręce. Innym znów razem szło jak z kamienia, szczególnie gdy chodziło o sprzęt gospodarczy. A przecież rannym należało zapewnić również minimum wygód.

Tak w czasie pokoju jak i wojny armia regularna posiada swe placówki zaopatrzeniowe: intendenturę, zbrojownię, składnice sanitarne. Oddziały — swych oficerów zaopatrzeniowych, gospodarczych. Wystarczy wystawić zapotrzebowanie, skierować pod-

oficera do oficera gospodarczego, wypisawszy kwit zwykły i zwrotny — w ostateczności do intendenty — i sprawa załatwiona.

Również Okręg Warszawa posiadał swą intendturę. Lecz czym mogła ona dysponować w podziemiu! Brakowało jej niemal wszystkiego, co jest niezbędne dla wyposażenia żołnierza. Toteż zwracanie się z jakimkolwiek zapotrzebowaniem do intendenty uważałem za bezcelowe.

Dzisiaj sprowadzenie materaków z Kredytowej na Sienną to żaden problem. Telefon, ciężarówka i parę godzin cierpliwości. Inaczej zgół przedstawiała się sytuacja czasu powstania. Przede wszystkim należało materace samemu znaleźć, wykryć je. Do tego był potrzebny łut szczęścia. Później trzeba było trafić na cywilów ochotników, którzy mimo grożącego niebezpieczeństwa śmierci zechcą materace przenieść na własnych plecach.

Usługi takie okazywali zupełnie bezinteresownie, z poczucia obowiązku obywatelskiego. Zwyczajowo rewanżowałem się cukrem. Posiadałem go w nadmiarze.

Z materacami nie było jeszcze tak źle. Przenoszone na plecach stanowiły pewną osłonę przed kulą karabinową, odłamkiem pocisku. Gorzej było z przenoszeniem leków i sprzętu sanitarnego.

Przy drugim łucie szczęścia udawało się wydstać jakiś ręczny wózek, ale wówczas nasuwały się trudności przy przedstawianiu się przez rozkopy i barykady.

Praca organizacyjna stawiała duże wymagania. Przede wszystkim wymagała stałego, nieprzerwanego pomnażania i wyposażania łóżek szpitalnych bądź to na placówkach nowo organizujących się, bądź też już istniejących.

Bywały też dni, że między godz. 6-tą a 3-cią i 20-tą a 22-gą mogłem dysponować czasem według swego widzimisie. Oficerskie nocne patrole miałem już dawno za sobą.

Mój stosunek do kierownictwa nowo otwieranych szpitali, pozostawianie im mniejszej lub większej autonomii działania uzależnione były od kwalifikacji personelu służby zdrowia.

Teren zgrupowania „Chrobry II” z punktu widzenia służby zdrowia przedstawiał się pierwszego dnia jako *tabula rasa*. W czasie tworzenia się dowództwa do służby zgłosili się w następującej kolejności: podchorąży „Kordon” — pierwszy, kapitan rezerwy dr Born — drugi, między godziną 16-17-tą; dr Petzel — trzeci, między godziną 19-20-tą.

Każda służba, a w szczególności służba zdrowia czasu wojny, wymaga dobrze wyszkolonych kadr.

Ustawić właściwych pracowników na właściwych stanowiskach nawet w czasie pokoju nie należy do problemów łatwych, a cóż dopiero w toku działań bojowych, gdy dysponujący kadrami nie zna osobiście zgłaszających się do służby ochotników, a tym bardziej ich kwalifikacji zawodowych. A przecież pomoc lekarska zależna jest w dużej mierze od właściwego wykorzystania fachowości personelu lekarskiego.

Naczelnny lekarz czy też szef sanitarny liczyć się musi przede wszystkim z wymogami poszczególnych placówek, a kierując na nie tych lub innych spośród swych współpracowników, uważać, aby nie zranić niczyich ambicji. Nie wolno o tym zapominać.

Czasu pokoju a nawet i działań wojennych — nie powstańców — szef sanitarny względnie lekarz naczelnny mają czas i możliwość obsadzenia poszczególnych stanowisk lekarskich odpowiednio wyszkolonymi lekarzami. Stanowią oni kadre Departamentu Zdrowia. Zostali wyszkoleni uprzednio w poszczególnych dyscyplinach służby zdrowia. Każdy z nich posiada swą kartotekę. Uwzględniła ona nie tylko kwalifikacje zawodowe, wykształcenie, ale i charakter, inteligencję, postawę wojskową, zdolności ogólne itp. Warunki pracy czasu powstania warszawskiego były dalekie od przedstawionego obrazu.

Nawet stanowiska swego referenta personalnego nie udało mi się obsadzić. Upatrzony przeze mnie por. „Łaba” (dr Gorecki) wykręcał się od współpracy wszelkimi możliwymi argumentami i sposobami, przepracowaniem na punkcie opatrunkowym, brakiem kompetencji w sprawach personalnych. Jeden jedyny raz urzędował w moim gabinecie. Przez całe 10 minut. Nie było siły, która by skłoniła dr. „Łabę” do zainteresowania się i zajęcia sprawami personalnymi towarzyszy broni, a w miarę rozrastania się i powstawania nowych placówek spraw tych było coraz więcej. Powstawały tarcia i zatargi między kolegami, ze służbą jako taką nie mając wiele, albo zgoła nic wspólnego.

Było to gdzieś w połowie sierpnia. Szef sanitarny Okręgu Warszawa, ppłk „Bakcył”, prosi mnie za pośrednictwem dr. „Siedleckiego”, abym go odwiedził przy nadarzającej się okazji. Nawał pracy administracyjnej, a szczególnie organizacyjnej — z którą parać się przyszło jeszcze we wrześniu — nie sprzyjał składaniu wizyt o charakterze kurtuazyjnym raczej, aniżeli służbowym. Z punktu widzenia służby nie mogłem spodziewać się żadnej pomocy od swej władzy zwierzchniej. Nie dysponowała kadrami chirurgicznymi, nie posiadała sprzętu szpitalnego, a własną składnicę sanitarną zainicjować mogła wówczas dopiero, gdy pierwsze transporty leków i materiału lekarskiego przekaza-

łem szefostwu sanitarnemu z tylko co utworzonych własnych magazynów za pośrednictwem dr. Zańskiego („Siedlecki”) z magazynów składnicy sanitarnej zgrupowania „Chrobry II”. Miało to miejsce w połowie sierpnia.

— Zaproszenie do złożenia wizyty przyjmuję, ale nie towarzysko-kurtuazyjnej. Na taką brak mi czasu. Będzie to meldunek służbowy u zwierzchnika.

Mając doświadczenie służby wojskowej, zdawałem sobie dobrze sprawę, jak taki meldunek może wyglądać. Szef sanitarny nie zna placówek służby zdrowia zgrupowania „Chrobry II” ani też ich miejsc postoju, będzie więc wypytywał o każdy poszczególny szpital i punkt opatrunkowy, o ilość łóżek zajętych i wolnych. Dla uproszczenia i skrócenia meldunku uważałem za celowe sporządzenie planu urbanistycznego terenu. Znalazłem technika budowlanego czy też studenta politechniki. Obiecałem dwie butelki wina za sporządzenie mi planu dzielnicy zajętej przez zgrupowanie „Chrobry II”. Tegoż dnia byłem w posiadaniu dwóch egzemplarzy planu, sporządzonego według wszelkich przepisów technicznych na przezroczystym papierze. Wydział Budowlany Zarządu Miejskiego nie miał dokładniejszego rysunku. Miejsce postoju szpitali oznaczyłem czerwonymi krzyżkami, punktów opatrunkowych — czerwonymi kółkami.

Wybieram się do ppłk. „Bakcyła”. Zabieram ze sobą jeden egzemplarz planu i rozkaz dzienny. Ten ostatni sporządzony był na podstawie dziennego meldunku szpitali i punktów opatrunkowych.

Szefostwo sanitarne Okręgu mieściło się w podziemiach gmachu PKO przy zbiegu ulic Świętokrzyskiej i Jasnej. W tychże kilkukondygnacyjnych podziemiach mieściła się w roku 1939 Komenda Obrony Warszawy.

Szef sanitarny był zajęty. Wypadło mi czekać i to dość długo.

W międzyczasie przedstawił mi się i zajął się mną zastępca szefa, mjr „Mangan” (dr med. Sylweryusz Wilczyński). Podkreślam: „zajął się” mną. Nie pytał o służbę ani o moje warunki pracy. Sam opowiadał i to z werwą i dużym poczuciem humoru. Widocznie na podstawie słuchów i wieści, jakie dochodziły z terenu do Komendy Okręgu Warszawa. A że dochodziły przez okopy i rozkopy, były nieścisłe, w każdym razie wyolbrzymione, i w zbyt wielu superlatywach opisywały organizację służby zdrowia zgrupowania „Chrobry II”.

— Do nas — ciągnął dr Wilczyński — zwracają się towarzysze broni na pół serio, na pół żartem: „Co, wy jesteście szefami sanitarnymi???” Może z nazwy, bo szefostwo z prawdzi-

wego zdarzenia mieści się przy ul. Siennej 41. Ono dysponuje szpitalami i składnicą sanitarną. Tam okazują szybką pomoc lekarską. I tam od ręki wydają leki”.

Chciałem pomniejszyć ową przesadną opinię oraz — nie pozabawione pewnej złośliwości — podejście interesantów do swych szefów.

— Skądże! — obruszył się dr Wilczyński i z całą uprzejmością dodał: — Nasze informacje są ścisłe. Wywiad pracuje bez zarzutu. Mimo to zainteresowanie osobą pana kapitana oraz osiągnięciami pańskimi nie zostało całkowicie zaspokojone. Właściwie skąd wydobyl pan leki i sprzęt szpitalny? Przecież nie od nas, bo sami nic nie posiadamy. Również szef sanitarny Komendy Głównej nie jest w stanie czegokolwiek dostarczyć.

Wreszcie szef sanitarny zwolnił się. Choć w cywilnym ubraniu, zameldowałem się służbowo. Podałem swój stopień służbowy, krytonim, stanowisko. Później ilość szpitali i punktów opatrunkowych, którymi dysponuję. Globalną ilość łóżek szpitalnych, stan liczebny rannych i chorych, łóżka wolne.

Ambicją wielu oficerów rezerwy jest chęć dorównania oficerom służby czynnej w ich podejściu do spraw służbowych. Na stole rozłożyłem mapę „swego” terenu. Szpitale i punkty opatrunkowe oznaczone były czerwonym ołówkiem. Ustnie podałem miejsca postoju poszczególnych batalionów, którym winienem okazywać pomoc lekarską.

Ppłk „Bakcyl” odebrał raport formalnie, służbowo. Zachowywał się powściągliwie, mimo iż — jak na wstępie mego meldunku zaznaczył — znał mnie sprzed wojny. Nie przypominał sobie jednak skąd. Rzeczywiście znaliśmy się z widzenia. Prawdopodobnie z Łódzkiego Towarzystwa Lekarskiego. Dr Lenk był również jego członkiem.

Dr Lenk należy do ludzi raczej zamkniętych. Nie ma nic z wylewności swego zastępcy, majora Wilczyńskiego. Być może na skutek przeżyć osobistych. Po upadku powstania, przy kolacji, zwierzył mi się, iż pechowo wiedzie mu się w służbie wojskowej. Po raz wtóry — za pierwszym razem była to obrona Modlina w roku 1939 — ma nieszczęście reprezentować służbę zdrowia kapitulującego miasta. Po raz wtóry musi pertraktować z władzami niemieckimi jako pobity.

Meldunek mój przyjął w milczeniu. Nie udało mi się sportrecz jakiegokolwiek reakcji na jego twarz. Byłem trochę skosternowany. Meldunek swój uważałem za rzeczowy, szczególnie jeśli uwzględnić istniejące warunki bojowe i służbowe. Przecież wszystko tworzono w toku akcji bojowej. Moi współpracownicy wspomagali mnie w tworzeniu placówek sanitarnych nie w

schronach i piwnicach, lecz pod obstrzałem ciężkiej artylerii i moździerzy oraz broni pokładowej. Przejrzysty szkic dzielnicy z oznaczonymi szpitalami i punktami opatrunkowymi daje możliwość zorientowania się w organizacji placówek sanitariatu danej dzielnicy w ciągu jednej minuty.

Po dłuższej chwili milczenia ppłk „Bakcyl” zaczął mnie indagować rzeczowymi, fachowymi pytaniami na temat szpitali i ran-nych. Mogłem upewnić go, że lekarze, a szczególnie chirurdzy i ginekolodzy dają z siebie więcej, aniżeli można wymagać. To samo mogłem powiedzieć o pielęgniarkach. Poczucie obowiązku, morale pracy personelu służby zdrowia na wysokim poziomie. Odpowiada całkowicie powadze chwili.

Również zaprowiantowanie szpitali jak na panujące warunki jest zadowalające. W każdym razie pieczywa mają dość. Porucznik „Groźny” uruchomił piekarnię. W miarę możliwości szpitale zaopatrywane są w pieczywo białe. Na terenie IV-go Rejonu znajdują się magazyny Zakładów Haberbusch i Schiele. Jęczmie-
nia i soków owocowych w bród.

Ppłk „Bakcyl” poleca mi poszerzyć zakres mej działalności przez objęcie opieki lekarskiej nad placówkami sanitarnymi i oddziałami stacjonującymi przy ul. Złotej, Rutkowskiego (strona parzysta) i ich przecznic. W ten sposób awansuję na szefa sanitarnego IV-go Rejonu (Warszawa Śródmieście). Zgrupowania „Chrobry II” i „Gurt” wchodzą w skład Rejonu.

Jednocześnie otrzymuję rozkaz zgłoszenia się dzisiaj lub jutro do podpułkownika „Bartosza”.

Ppłk dr Lenk ani słowem nie wspomina o przekazanych mu lekach i materiale opatrunkowym. Suponowałem, iż jest to naj-czulszy i najboleśniejszy sektor problemów szefostwa sanitarnego. Stąd milczenie.

Piętnaście lat później zorientowałem się, że ppłk Lenk nie wiedział i nie interesował się, kto mu przysyłał leki i materiał opatrunkowy za pośrednictwem dr. Jerzego Zańskiego.

Wstaję, aby się pożegnać. Dr Lenk odprowadza mnie do samego wyjścia. I wtedy dopiero ściskając mi dłoń zapytuje: „A właściwie jak pan to wszystko zorganizował i utrzymuje w dyscyplinie? Przy czyjej pomocy? Przecież partyzanci to nie wojsko”.

To nastawienie do personelu służby zdrowia IV-go Rejonu wydało mi się nieuzasadnione. W każdym razie w danym momen-cie. Moi współpracownicy byli na ogół zdyscyplinowani i bardzo obowiązkowi. Służba i współpraca z nimi dawały mi dużo satys-fakcji. Życzyłbym sobie zawsze pracować z takimi ludźmi, jak

dr Beck, dr Sienkiewicz, dr „Dziuma”, podchorąży „Kordon” no i mój personel kancelaryjny.

Tym niemniej po pewnym czasie przekonać się mogłem, iż wypowiedź szefa sanitarnego nie pozbawiona była pewnej — a nawet dużej — słuszności w odniesieniu do komendantów dwóch szpitali. W pewnym momencie panowie ci zapomnieli, że AK — to armia. Powstańcza wprawdzie, ale armia. Że w innych warunkach bojowych musieliby wykazać więcej śmiałości wobec nieprzyjaciela, a nie wobec ich bezpośredniej władzy zwierzchniej. W przeciwnym bowiem razie odpokutowaliby za to gorzko.

A szef sanitarny Okręgu Warszawa nie uważał za właściwe — przypuszczam, że nie czuł się dość pewny siebie — zwrócić im uwagę na fakt, że są wcieleni do wojska i że swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi nie okazują łaski, wykonując jego zlecenia oraz składając mu meldunek służbowy.

Do wojny i do czasu kampanii wrzesniowej ppłk dr Lenk był oficerem służby czynnej. Przywykł do surowej wojskowej dyscypliny. Rzecz jasna — już choćby ze względu na sam charakter ochotniczy — między oddziałami powstańczymi a regularnym wojskiem musiały istnieć różnice. I to nie tylko w wyglądzie zewnętrznym, w umundurowaniu lub braku tegoż. Powstańcy byli bardziej uświadomieni politycznie i socjalnie. Na ogół na wyższym poziomie intelektualnym. Ale za to bardziej indywidualistyczni.

Otrzymałem rozkaz zameldowania się u podpułkownika „Bartosza”. Właściwie w jakim celu? Bez poważnego powodu nie posyłano nikogo na spacer po mieście. Coś się za tym musi kryć. Ale co? Byłem ciekaw. Wprost od szefostwa sanitarnego kroki swe skierowałem do miejsca postoju ppłk. „Bartosza”.

Znacznie później dopiero zorientowałem się, w czym rzecz. Zainteresowanie, o którym wspominał dr Wilczyński, nie ograniczało się do osoby kapitana Borna. Kto zacz? Skąd się wziął? „Born” — nazwisko czy pseudonim? Nikt go nie znał. Nikt nie słyszał o lekarzu o podobnym nazwisku. Nie figurował w spisie zakonspirowanych lekarzy AK. Kto desygnował go na samodzielne i to dość wysokie stanowisko? Skąd pochodzą środki materiałowe i leki, którymi dysponuje? Gdyby nie pewne realne osiągnięcia służbowe, maluczko, a można by pomyśleć — dywersant.

Miejsce postoju podpułkownika „Bartosza” mieściło się przy ul. Mazowieckiej 9. Droga prowadziła przez całkowicie zniszczony niewielki ogród. Pośrodku lej po pocisku artyleryjskim o średnicy 30-40 metrów. Podpułkownika „Bartosza” odnalaz-

łem na parterze nietkniętego przez działania wojenne nowoczesnego budynku. Zameldowałem swe przybycie z rozkazu szefa sanitarnego Okręgu Warszawa. Przyjęcie przy ulicy Mazowieckiej miało inny charakter aniżeli w PKO. Dr Lesław Węgrzynowski — mężczyzna wzrostu raczej wysokiego, wybitnie przystojny, rasowy, lekko szpakowaty blondyn o niebieskich żywych oczach, bardzo żywym usposobieniu. Rozmowa służbowa od pierwszej chwili przybrała charakter koleżeńsko-przyjacielski. Mimo iż temat był bardzo drażliwy. Zadaniem ppłk. „Bartosza” było zidentyfikowanie mej osoby oraz mojej przynależności do podziemia. Rozwiązał je w sposób „bezkrwawy”, po swojemu, lekko, w sposób niemal przyjacielski. Wypytywał mnie w sposób niezwykle subtelny. Należałem do podziemnej organizacji PAL, nie mogłem więc znajdować się na liście lekarzy podpułkownika „Bakcyła”. Szef sanitarny i jego najbliższy współpracownik podejrzewali, że należę do NSZ-u. Tym bardziej że związany byłem z terenem, który według zaplanowania obsadzony miał być przez zgrupowanie Narodowych Sił Zbrojnych. Stosunki między AK i NSZ nie były dobre. Chodziło zresztą nie tylko o różnice ideologiczne.

Tymczasem siłą faktów wysunięty zostałem na stanowisko samodzielne, eksponowane i zupełnie niezależne, jako że przez pierwszych kilkanaście dni nie miałem styku ze swą władzą nadrzędną w pionie sanitarnym. Ponadto dysponowałem wszystkim, co wymagane jest dla wyposażenia i bieżącego zaopatrzenia szpitali. Magazyny posiadały więcej leków i materiału, aniżeli zużyte mogły szpitale.

Komenda Okręgu i prawdopodobnie Komenda Główna stały na stanowisku, iż dowódcą zgrupowania „Chrobry II” nie może pozostawać NSZ-towiec, mjr „Lig”. Z tych samych powodów i kpt. Born nie mógłby pozostać na swym dotychczasowym stanowisku, a tym bardziej już wyższym, gdyby był należał do NSZ.

Ppłk „Bartosz” powoli i ostrożnie, jakby z flanki, dochodził do sedna sprawy. Pytał o przebieg służby wojskowej przed wojną, stopień, kampanię wrześniową, działalność w ruchu oporu, przynależność do partii politycznej i wreszcie — choć nie wprost — czy łączy mnie coś z Narodowymi Siłami Zbrojnymi.

O to mu najbardziej, a raczej wyłącznie i jedynie chodziło. O AL i PAL już nie pytał. Mogłem uspokoić go z czystym sumieniem.

Długo jeszcze prześladował mnie NSZ. W roku 1945 dr Wiesenfeld (Ciosnowski), laryngolog w Tel-Awivie, ulica Ben Jehuda 100 oraz łże-pielęgniarka Kowalska wspólnie podpisali i zło-

zyli do Urzędu Bezpieczeństwa świadomie fałszywe doniesienie, jakobym należał do NSZ-tu i z ramienia tejże organizacji wysunięty został na wysokie stanowisko w hierarchii sanitarnej podczas powstania warszawskiego. Przyznać muszę, że w tym czasie mimo ostrych antagonizmów ideowych wyżsi oficerowie Urzędu Bezpieczeństwa Województwa Łódzkiego wykazali znajomość ludzi i życia oraz dużą dozę wyrozumiałości. Byłem tylko przez rok dyskretnie inwigilowany.

Wróćmy do dr. Węgrzynowskiego. Po wyczerpaniu tematu personalnego indagowany jestem co do organizacji pracy i jej charakteru.

— Czy wydaje pan rozkazyienne? W miarę możliwości proszę przysłać mi je. Może znajdę w nich coś dla siebie. Na swoim terenie jest pan udzielnym księciem. Wolno panu czynić co się podoba. Ale czy nie za dużo i swobodnie porusza się pan po mieście? Czy nie naraża się pan zbyt na niebezpieczeństwo?

Na pożegnanie: „Za zorganizowanie szpitali i zaopatrzenie ich zostaje pan przedstawiony do odznaczenia Złotym Krzyżem Zasługi z mieczami. Proszę powiadomić o tym swego zwierzchnika w pionie liniowym. Do niego należy techniczne przeprowadzenie wniosku. On posiada kancelarię. PAL-owski stopień kapitana zostaje zatwierdzony. W najbliższych dniach proszę spodziewać się mej rewizyty”.

Rozstaliśmy się jak przyjaciele.

Mimo iż droga do mnie z ulicy Mazowieckiej niepozbawiona była niebezpieczeństw — już choćby samo przekroczenie jezdni ulicy Zielnej starczało (obstrzał w hotelu „Astoria”), po kilku dniach w gabinecie mym zjawił się dr Węgrzynowski. Po krótkim powitaniu przedstawił mi towarzyszące mu osoby: czarującą córkę, dr med. Krystynę Węgrzynowską, p. Smerczankę, dr. „Szpicbródkę”, swego zastępcę i dr. med. Stanowskiego.

Przy pierwszym zetknięciu się z ppłk. „Bartoszem” odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z człowiekiem o bardzo wysokiej kulturze. Teraz mam pełne przeświadczenie, że był też lekarzem o głębokiej wiedzy, świetnym specjalistą, o szerokich horyzontach i społecznym podejściu do swego zawodu.

Wizyta miała charakter na w pół służbowy, na w pół koleżeński.

— Jak się panu powodzi? — spytał z zainteresowaniem i nie bez cienia troski dr Węgrzynowski. — Czy warunki pracy bardzo ciężkie? Czy współpracownicy zdyscyplinowani? Czy na poziomie? Czy może pan całkowicie na nich polegać?

Rozmowa przybrała charakter przyjazny, tym bardziej że po-

głady nasze na najbardziej aktualne sprawy pokrywały się niemal całkowicie.

Nie wszyscy warszawscy lekarze zgłosili swój akces do powstania. Wielu uważało je za błąd polityczny. Inni znów za przedwczesne. Wojska niemieckie były w odwrocie. Wynik drugiej wojny był już dawno przesądzony pod Stalingradem, a nawet wcześniej jeszcze pod Moskwą i Leningradem zimą roku 1941/42.

Po skończonym powstaniu przebywałem w Milanówku. Podczas jednej z kolejnych łapanek zostałem schwytany i odesłany do obozu pracy w Pawłowicach. W obozie zetknąłem się z wachmistrzem niemieckiej żandarmerii polowej, byłym dziennikarzem w Stuttgarcie. Opowiadał mi, że przez lornetkę oglądał kopuły cerkwi moskiewskich. Wojska niemieckie znajdowały się w odległości 7 km od granic miasta. Ale kroku naprzód nie były w stanie zrobić. Zsynchronizowały się dwa zasadnicze czynniki: zdecydowany, zacięty opór armii sowieckiej oraz brak posiłków z Rzeszy. Te dwie przyczyny wystarczyły całkowicie, aby zdecydować o wyniku walk i losie Moskwy, a poniekąd i wojny.

W tym stanie rzeczy po co się mieszać? I z czym? Z jakim uzbrojeniem? Przy jakich szansach powodzenia? Placówki niemieckie w mieście były nie tylko świetnie uzbrojone, wiele z nich posiadało strzelnice i bunkry ochronne.

Na hucznie obchodzonych imieninach pani Stanisławy Pisarczykowej w dniu 8 maja 1943 roku zebrało się sporo AK-owców. Aktualnym i interesującym wszystkich tematem była sytuacja na froncie rosyjskim. Inwazja amerykańska w Afryce północnej i we Włoszech nie wzbudzała większego zainteresowania. Zbliżanie się frontu wschodniego stwarzało możliwości dla akcji partyzantów na tyłach oddziałów niemieckich. Poruszona była możliwość jawnego powstania przeciw okupantowi. Ogół nastawiony był powściągliwie. Uważano, iż nie pora nawet na omawianie. Osobiście byłem zdania, iż Warszawa od wewnątrz jest nie do zdobycia.

Od tego czasu garnizon niemiecki nie uległ pomniejszeniu, a uzbrojenie podziemia poprawie. Wręcz przeciwnie. W niedalekim zasięgu od Warszawy kwaterowały, względnie znajdowały się w ruchu, 3-4 doskonale uzbrojone dywizje, w tym jedna pancerna. W drugiej połowie lipca władze podziemia wysłały sporo broni w teren. W tym samym mniej więcej czasie w ręce policji niemieckiej wpadł zakonspirowany magazyn z 40.000 granatów ręcznych. Z armią sowiecką kontakt nie był nawiązany. Ale szary człowiek ulicy, nawet ten uświadomiony, nie decydował. Nie miał najmniejszego wpływu na bieg wydarzeń. Był obiektem

i uosobieniem obowiązku i patriotyzmu. To doprowadziło do tragedii.

Skoro kości zostały rzucone, nie pora była na akademickie dyskusje, a już najmniej do zastanawiania się mieli lekarze. Są ranni. Okazanie pomocy lekarskiej jest naszym najświętszym obowiązkiem. Nawet wobec przeciwnika.

Czy można obojętnie przyglądać się, jak krwawią i giną nasi najbliżsi, bodajże czy nie najlepsi synowie Kraju? Dlatego uważałem i uważam nadal, iż zawód lekarski musiał prowadzić do zajęcia jedyne go dopuszczalnego stanowiska — akcesu do powstania.

Znacznie później, trzy lata po skończonej wojnie, znów zetknąłem się z dr. Węgrzynowskim i jego córką. Wtedy dopiero miałem możliwość należycie ocenić jego osobowość. Na przełomie 1948/49 roku pełniłem obowiązki naczelnego lekarza Okręgu Dolnośląskiego. Podlegały mi sanatoria i uzdrowiska. W owym czasie ppłk dr Węgrzynowski był dyrektorem sanatorium w Obornikach. Wspecjalizowany w zachodnich klinikach w dziedzinie chorób płucnych, całe swe życie poświęcił walce z najgroźniejszym drobnoustrojem ludzkim owych lat. Wychodząc ze słusznego założenia, że pałeczka gruźlicy napotyka podatny grunt dla swego rozwoju w organizmie niedożywionym, przemęczonym, przebywającym w pomieszczeniu przeludnionym i pozbawionym dostatecznego nasłonecznienia, dążył do organizowania i prowadzenia sanatoriów przeciwgruźliczych. A że środki materialne przeznaczone na walkę z gruźlicą były ograniczone, był przeciwnikiem budowania komfortowych, elitarnych domów zdrowia. Raczej wszecz niż wzwyz. Tak aby za te same pieniądze z lecznictwa sanatoryjnego korzystać mogły szersze rzesze gruźlików.

Przy swym lotnym umyśle i żywym usposobieniu dr Węgrzynowski niejednokrotnie obchodził sztywne biurokratyczne przepisy, także okresu międzywojennego. Jako dyrektor sanatorium przed wojną wybudował wbrew nastawieniu czynników urzędniczych odcinek drogi od szosy Lwów-Brzuchowice do sanatorium w Hołosku.

Dr Lesław Węgrzynowski należał do tych świątłych Polaków, u których zarządzenia niemieckie wywoływały nie tylko oburzenie, lecz również i sprzeciw czynny. W granicach swych możliwości uratował od niechybnej śmierci szereg Żydów. Jako dyrektor podwarszawskiego sanatorium przeciwgruźliczego opiekował się kilkunastoma Żydami w okresie prześladowań. Było to o tyle ryzykowne, że sanatorium zatrudniało dwie pielęgniarki współpracujące z Niemcami. Był też jednym z nielicznych leka-

rzy, którzy wpadli na pomysł dokonywania plastycznego zabiegu u obrzezanych Żydów. Zabieg znosił znamię obrzezania, dokonywanego od 4.000 lat u noworodków ósmego dnia od urodzenia.



Po upadku powstania niektóre szpitale i ambulatoria miały przez pewien czas do swej dyspozycji auta ciężarowe. Dr Węgrzynowski, a szczególnie córka jego, dr Krystyna, w ciągu pierwszych tygodni października kursowali między zburzoną Warszawą a Grodziskiem, do którego sprowadzili sprzęt lekarski i gospodarczy. Otwarta została poradnia dla przychodzących chorych.

W tej przychodni lekarskiej zatrudniony był dr med. Zierski, po wojnie problematycznej sławy profesor chorób płucnych w Łodzi. Dr Węgrzynowski skierował mnie do niego, aby wystawił mi zaświadczenie chorobowe. Chroniło ono do pewnego stopnia przed łapankami Gestapo, które odbywały się stale na terenie Grodziska, Milanówka i pozostałych miasteczek i wsi podwarszawskich. Dr Zierski odmówił. Po kilku dniach wpadłem w ręce Gestapo i wysłany zostałem do obozu pracy w Pawłowicach.

Węgrzynowscy należeli do ludzi ceniących wartość cudzego życia. Ciężarówka, którą dysponowali, użyta została także do wywiezienia z Warszawy szeregu osób ukrywających się przed Niemcami, między nimi jednastu pozostałych przy życiu byłych powstańców getta warszawskiego, członków ŻOB-u.

Nie mniej zaszczytną rolę w walce z hitleryzmem odegrała dr Krystyna Węgrzynowska. W podziemiu pełniła służbę kurierki między Warszawą a Krakowem i Lwowem. Dla uniknięcia zbyt częstych i wielce niebezpiecznych rewizji w drodze wyrobiła sobie papiery *Volksdeutsch*'ki. W ten sposób podróże odbywać mogła w wagonach „tylko dla Niemców”. Były one bez porównania bezpieczniejsze. Rewizje rzadkie. Z ostatniej swej podróży wróciła do Warszawy akurat na 1 sierpnia. Natychmiast zgłosiła się do służby. Objęła stanowisko adiutantki swego ojca. W pierwszych dniach powstania skierowana została w Aleje Jerozolimskie. Teren dostarczał wielu rannych i zabitych spośród przechodzących przez jezdnię Alei. Dr Węgrzynowska stwierdziła naocznie, iż przedostający się na drugą stronę jezdni narażeni byli na obstrzał z wiaduktu Poniatowskiego i Muzeum Narodowego.

Po otrzymaniu meldunku córki ppłk „Bartosz” złożył odpowiedni wniosek do rozkazu dziennego. Już następnego dnia przystąpiono do budowy podkopu. Służył nam do końca powstania.

W ciągu października dr Węgrzynowska spełniała bardzo niebezpieczne misje. Autem ciężarowym jeździła obecnie do War-

szawy w towarzystwie często nieznanym sobie, choć zaufanych uczestników powstania. Opróżniano skrytki z dokumentów. Mimo ścisłej rewizji, jakiej poddawani byli niemal przy każdorazowym przekroczeniu granicy miasta, papiery wywożono w teren.

Dr Krystyna Węgrzynowska, ojciec jej, docent dr Beck, mjr dr Born należeli do tych powstańców, którym nie uśmiechał się obóz jeniecki. Zresztą zarówno ojciec jak i córka za obowiązek swój uważali wrócić do „cywilnych” zajęć, do tego co było pasją ich życia — walki z gruźlicą. Tym bardziej, że przewidywana demokratyzacja życia społecznego stwarzała najpomyślniejsze ku temu warunki.

Mój bezpośredni kontakt z władzami zwierzchnimi w pionie sanitarnym, a jeszcze bardziej w pionie liniowym, spowodował iż niespodziewanie okazało mi uznanie za służbę. Praca moja, którą uważałem za swój elementarny obowiązek lekarza i żołnierza, została wysoko, może nawet za wysoko oceniona: został mi nadany Złoty Krzyż Zasługi z mieczami. Zgodnie z rozkazem szefa sanitarnego Okręgu Warszawa zasięg mej działalności został poszerzony, objął mianowicie — jak już wspomniałem — cały IV-ty Rejon, a więc i zgrupowanie IV (mjr „Gurt”) z jego naczelnym lekarzem, podporucznikiem dr. „Pigoniem” (późniejszym docentem Akademii Medycznej w Łodzi).

W ciągu pierwszych kilkunastu dni powstania dr Teter jako naczelnny lekarz zgrupowania „Gurt” pełnił służbę lekarską w obrębie parzystej strony ulicy Rutkowskiego, Złotej oraz przecznicy między nimi. Miał dużą swobodę działania. Aż tu nagle powiadomiony został, iż jego bezpośrednim zwierzchnikiem mianowany został kpt. Born. Rzecz jasna, że oficera przywykłego do pewnej samodzielności w terenie nie może wprawić w zachwyt nowa, narzucona mu władza. Tym bardziej, że szef sanitarny Okręgu urzędował daleko, a nowy bezpośredni zwierzchnik uplasowany był tuż pod nosem.

Pierwszy kontakt z dr. „Pigoniem” nie należał do najprzyjemniejszych. Atmosfera była dość napięta i wymagała opanowania i dużego taktu z obu stron, tym bardziej, że na zachowanie właściwych, kurtuazyjnych, przyjętych w podobnych sytuacjach pomiędzy oficerami form, nie było czasu.

Na terenie zgrupowania „Gurt” mieściły się dwa niewielkie oddziały szpitalne: Złota 22 i 58 oraz punkt opatrunkowy Złota 35.

Przy ulicy Złotej pod nr 22 pracowało trzech lekarzy pod kierunkiem wybitnego okulisty, dr. Joza. Między personelem

lecarskim stale dochodziło do tarć o charakterze czysto osobistym. Spowodowane były błahymi powodami. Nie licowały ani z powagą chwili, ani też ze stanowiskiem społecznym lekarzy. Za pierwszym razem interweniowałem. Przy dalszych wykręcałem się jak mogłem.

Spokój natomiast miałem ze Złotą 58. Obsadę stanowił jeden lekarz, dr „Stefan” (Wilczyński), chirurg z prawdziwego zdarzenia.

Nie znałem bliżej personelu placówek sanitarnych zgrupowania „Gurt”. A i później, w ciągu sześciu tygodni służby, nie powstała między nami tak silna więź, jaka łączyła mnie z personelem placówek „Chrobry II”. Tych ostatnich ja przydzielałem na służbę. Wspólnie z nimi tworzyłem placówki. Na ich oczach powstawały placówki wojskowo-sanitarne. Na ich oczach i dzięki ich ofiarnej pracy mimo obstrzału rozrastały się, aby sprostać coraz większym potrzebom i wymogom walczących.

W zasadzie niewiele zmieniło się. Już uprzednio placówki „Gurta” zaopatrywały się w składnicy sanitarnej „Chrobry II”. Dla mnie powstał obowiązek nadzoru i inspekcji. Spełniałem go bez entuzjazmu. Kilkakrotnie wizytowałem Złotą 22, a dwukrotnie Złotą 58.

Teren zgrupowania „Chrobry II” stanowił obecnie część zasięgu mej służby. Na stanowisko naczelnego lekarza batalionów „Chrobrego II” mianowałem kapitana dr. med. Stefana Pokrzewińskiego. Szpitale, punkty opatrunkowe i ambulatoria zgrupowań Warszawa-Śródmieście (IV-ty Rejon) podlegały mi bezpośrednio. Ze względu na dwie dokooptowane pracowniczki biurowe oraz ruch interesantów, dotychczasowe pomieszczenie biurowe okazało się zbyt szczupłe, mieliśmy jednak duże trudności ze znalezieniem większego, odpowiedniego pomieszczenia. Poza tym problem przenoszenia leków i sprzętu. Zresztą przywiązałem się do lokalu i do swych najbliższych współpracowników. Bliscy stali mi się również pełniący służbę i zakwaterowani w tym sąsiedztwie towarzysze-powstańcy. Spotykaliśmy się stale w przejściu, zbliżyliśmy się do siebie. Tworzyliśmy pewnego rodzaju całość. Postanowiłem przy Siennej 41 pozostać.

Było to w trzeciej dekadzie sierpnia. Dnia tego wróciłem z inspekcji później niż zwykle. Magister Zieliński melduje mi, iż podczas mej nieobecności biuro i składnicę sanitarną wizytował ppłk „Zagończyk” (Stanisław Steczkowski), dowódca IV-go Rejonu (Warszawa-Śródmieście). Dokładnie zlustrował składnicę, wyraził uznanie i podziękowanie.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami wojskowymi winienem

był zaraz po otrzymaniu nominacji na szefa sanitarnego IV-go Rejonu zameldować się u dowódcy tego Rejonu, ale tego samego dnia miałem dwa długie meldunki, pułkowników „Bakcyła” i „Bartosza”. Następnego dnia nowe problemy. Dość, że w ciągu szeregu dni nie zgłaszałem się do ppłk. „Zagończyka”. Było to z mej strony wyraźne niedociągnięcie służbowe. W warunkach pokojowych, względnie działań wojennych, lecz w innych okolicznościach, udzielono by mi z pewnością nagany (w najlepszym wypadku). Tego rodzaju nonszalancja jest w wojsku niedopuszczalna. Dobrze o tym wiedziałem. Wobec tego natychmiast po lustracji ppłk. „Zagończyka” udałem się do miejsca postoju dowództwa IV-go Rejonu przy ul. Złotej 65.

Ppłk „Zagończyk”, mężczyzna w sile wieku, lat około 40-tu, pełen energii, świetnie prezentował się w pełnym umundurowaniu, z pasem wojskowym i z dystynkcjami oficerskimi. Samo przechowywanie sort wojskowych w ciągu pięciu lat — mimo ostrych surowych zarządzeń władz okupacyjnych — wymagało wiary i nielada odwagi cywilnej.

Ppłk „Zagończyk” służył w POZ-ie od 11 listopada 1939 roku. Po scaleniu oddziałów podziemia mianowany został dowódcą IV-go Rejonu (Warszawa Śródmieście). Był to największy rejon Okręgu Warszawa. W skład jego wchodziły bataliony „Kiliński”, „Łukasiński”, „Chrobry”, „Batalion szturmowy”, „Odwet” oraz kompanie „Stefan”, „Janusz” i „Harnaś”. Podczas samego powstania na terenie IV-go Rejonu znajdowało się dowództwo Okręgu Warszawa a przejściowo i Komenda Główna. Rejon IV-ty przejął obowiązki służby zdrowia i kwatermistrzostwa wyżej wymienionych władz naczelnych.

Ppłk „Zagończyk” należał do nielicznych oficerów-powstańców, którzy do służby zgłosili się w pełnym umundurowaniu. Jego zewnętrzna postawa, jego stosunek do służby i towarzyszy broni, troska o żołnierza i jego bytowe warunki (nie tylko żołnierza z pierwszej linii, lecz i z odwodów i na tyłach) stwarzały obraz XIX-wiecznego dowódcy z okresu najlepszych tradycji.

Ppłk „Zagończyk” przyjął mnie nad wyraz przyjaźnie. Bogactwo i różnorodność środków leczniczych składnicy sanitarnej wprowadziły go w niekłamaną zachwyty.

— Jestem szczęśliwy, iż rannym nie odmawia się żadnej formy pomocy lekarskiej, że otrzymują wszystko to, czym dysponuje współczesna wiedza medyczna.

Z jego zainteresowań i pytań przebijała głęboka troska o zdrowie i życie rannego. Musiałem zdać sprawozdanie, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach udawało mi się zdobywać leki, mate-

riał opatrunkowy, narzędzia chirurgiczne. Nie mniejsze zainteresowanie okazał organizacja szpitali oraz źródłom ich zaopatrzenia.

Akcja powstańcza w mieście — podobnie zresztą jak i partyzantka w terenie — wymagają specjalnego wykształcenia wojskowego oraz specjalnej, dostosowanej do okoliczności taktyki. A nade wszystko pomysłów generała Czujkowa². Mam wrażenie, a raczej pełne przeświadczenie, iż niewielu powstańców wyszkolonych zostało w sztuce zdobywania budynków miejskich, bronionych często zza strzelnic, a chronionych niekiedy i przez bunkry. Przyczyny należy dopatrywać się w nad wyraz ciężkich warunkach, w których odbywało się szkolenie podziemia. Już samo kontaktowanie się zakonspirowanych napotykało często na przeszkody nie do przewyciężenia i na niebezpieczeństwo utraty życia. A cóż dopiero mówić o ćwiczeniach w terenie z bronią w ręku, skoro samo stwierdzenie przez żandarmów niemieckich posiadania broni równoznaczne było z wyrokiem śmierci. Ujawnienie przynależności do podziemia — z obozem koncentracyjnym, przy dobrych szansach. Poza tym znakomita większość powstańców miała poniżej dwudziestu lat. Ofiarność, odwaga i brawura dominowały nad wszystkim.

Mimo iż żołnierze niemieccy posiadali doskonałe wykształcenie strzeleckie, dobre uzbrojenie i walczyli zza ubezpieczonych okien, uprzednio skonstruowanych otworów strzelniczych, zza murów względnie czołgów, powstańcy przeprowadzali ataki frontalne. Skutki tej brawury nie dały długo czekać na siebie. Duży był odsetek rannych w głowę i brzuch.

Od postrzału w głowę zginął lekarz weterynarii, porucznik Grzybowski. Konie zostały zjedzone. Nie miał co robić. Dowództwo „Chrobry II” wcieliło go do pierwszej linii, choć nie był wyszkolony w służbie liniowej. Nie udzielono mu żadnych instrukcji. Na zwiady poszedł jak na spacer. Przekroczył linię bojową bez zachowania najelementarniejszej ostrożności. Żołnierz niemiecki leżący w ukryciu przepuścił go, ale wracającego z wywiadu wziął na muszkę.

W swym rozkazie dziennym umieściłem punkt o ciężkich ranach spowodowanych czołowymi, zbyt brawurowo przeprowadzanymi atakami na pozycje niemieckie. Rozkaz ten przesłałem również dowództwu Warszawy Śródmieścia oraz podpułkownikowi dr. Węgrzynowskiemu. Ten ostatni prosił mnie w swoim czasie o przesyłanie mu mych rozkazów dziennych. Ten musiał go zainteresować. Niezależnie od tego o powyższym stanie rzeczy powiadomiłem bezpośrednio ppłk. „Zagończyka” kartą służbową.

2. Bohaterski i genialny w swych pomysłach obrońca Stalingradu.

Przeprowadziłem analizę przyczyn ciężkich porażeń. Pozwoliłem sobie przedłożyć swój wniosek do jego rozkazu dziennego.

W miarę rozwijania się akcji bojowej, a w konsekwencji rosnącej liczby rannych, często ciężko, wzrastało zapotrzebowanie na pełnowartościowe sale operacyjne. Ordynator oddziału chirurgicznego Pańska-Mariańska oraz komendant tegoż szpitala, dr Petzel, skarżyli się na trudności ze sterylizacją bielizny sali operacyjnej. Nie posiadali autoklawu. Fartuchy lekarskie, prześcieradła i serwety sterylizować musieli na mokro. Długotrwałe, ciężkie zabiegi operacyjne zmuszeni byli wykonywać w mokrych fartuchach. Stan rannych i chorych szpitala — 150.

W obrębie Warszawy Śródmieścia przy ul. Marszałkowskiej nr 137 mieścił się dobrze zaopatrzony, jeden z najstarszych, a może i najstarszy w Polsce skład sprzętu chirurgicznego Manna. Częściowo był rozbity. Szyby wystawowe w każdym razie. Udało mi się nawiązać kontakt z krewną właściciela przedsiębiorstwa. Miało to miejsce pod koniec sierpnia. Owa krewniaczka skłonna była dać do czasowej dyspozycji, względnie ofiarować na rzecz powstania pewną ilość narzędzi chirurgicznych i sprzętu szpitalnego.

Reflektowałem przede wszystkim na dwa autoklawy. Ale autoklaw to poważna bardzo pozycja pieniężna w porównaniu z lancetami, peanami itp. narzędziami. Pertraktowałem nie z samym właścicielem firmy „Mann”, lecz z jego krewną. Z punktu widzenia prawnego (ale w warunkach normalnych) przyjęcie ofiary — choćby na najbardziej wzniosły cel — nie od właściciela, lecz od osoby trzeciej, nie posiadającej pisemnego uprawnienia, jest transakcją nielegalną. Odpowiedzialny przed prawem jest zarówno ofiarodawca jak i ofiarobiorca.

W danych warunkach, najwyższa racja stanu — potrzeby ciężko rannych z jednej strony oraz rozbity sklep, którego pozostałości towarowe każdej chwili mogły stać się łupem szabrowników — upoważniały nas do przyjęcia ofiary i to bez chwili zastanawiania się. Mimo to chciałem zameldować o sprawie memu zwierzchnikowi w pionie sanitarnym, podpułkownikowi „Bakcyłowi”.

Rozmowa miała charakter służbowy, choć niemniej koleżeński. W pewnym momencie poruszyłem sprawę autoklawów. W swym głębokim poczuciu praworządności i poszanowania cudzej własności dr Lenk obruszył się na mnie:

— Jak można sięgać po cudzą własność? Kto za to odpowiadać będzie? Kto zapłaci Mannowi?

Nie ustępowałem. Długo musiałem argumentować. Powoły-

wałem się na dobro rannych powstańców. Również ciężko pracującym chirurgom należy stworzyć możliwe warunki pracy. Prymitywne warunki wychodzą na zło nie tyle operującym, ile operowanym.

— Ostatecznie — dowodziłem — jeden autoklaw umieszczony zostanie w gmachu Ubezpieczalni Społecznej miasta st. Warszawy. Ubezpieczalnia z pewnością zechce go odkupić po wojnie. W przeciwnym razie jako oficerowie starać się będziemy, aby zapłaciło zań wojsko, przekazując autoklaw jednemu ze swych szpitali.

Zdaje się, że drugi argument przekonał w końcu pułkownika. Przychylił się do mego stanowiska. Mimo dystansu naszych stanowisk służbowych i stopni wojskowych, ppłk dr Lenk nigdy mi nie narzucał swego zdania autorytatywnie. Jako doświadczony w służbie oficer dobrze sobie zdawał sprawę z różnicy, jaka zachodzi między biurkiem oficera na stanowisku sztabowym a nagłymi potrzebami terenu.

Kilka dni później ppłk „Bakcył” skierował do mnie dwóch Rosjan, dr Aleksiejewa i felczera, aby wyznaczyć im przydział służbowy w obrębie Warszawy Śródmieścia. Za najodpowiedniejszy uważałem szpital Bergsona i Baumanów. Na miejscu otrzymać mogli pomieszczenie i wyżywienie.

Obaj Rosjanie uciekli z obozu jenieckiego. Znałem ten smak z własnego doświadczenia. Z otrzymanych ofiar dla rannych posiadałem jeszcze kilka paczek papierosów. Moim pierwszym od-ruchem, jeszcze przed odkomenderowaniem do szpitala, było ofiarowanie kolegom po paczce papierosów.

We wrześniu w sztabie Komendy Głównej Okręgu Warszawa powstała koncepcja utworzenia z powstańców warszawskich regularnej dywizji i wyprowadzenia jej z Warszawy. Rozważano celowość i możliwość kontynuowania walk w lasach Kampinosu.

O ile byłem zaskoczony przez wizytację szpitali, jedyną zresztą dokonaną przez podpułkownika dr. „Bakcyła” na terenie IV-go Rejonu, o tyle pochlebiała mi propozycja udziału w rozpatrywaniu koncepcji wyjścia z Warszawy. Ppłk Lenk oraz mjr Wilczyński nie polecili mi, lecz zaproponowali skomasowanie placówek sanitarnych służby zdrowia, zorganizowanie szpitala dywizyjnego i objęcie stanowiska jego komendanta. Dawano mi przy tym pełną swobodę doboru lekarzy i personelu pomocniczego. Jak na stosunki wojskowe, daleko idąca samodzielność. Dowód niezwykłego zaufania. Szczególnie jeśli zważyć, iż w powstaniu brał udział szereg podpułkowników i majorów lekarzy, i to z czynnej służby.

Do realizacji tych zamierzeń nie doszło. Sytuacja na froncie bojowym stale się pogarszała. Pod naporem przeważających sił niemieckich a nade wszystko ich doskonałego uzbrojenia, oddziały powstańcze zmuszone były do stopniowego wycofywania się z zajmowanych stanowisk. Powstańcy walczyli przy pomocy znikomej ilości broni maszynowej i bardzo niewystarczającej ilości broni ręcznej. Broń przeciwpancerną otrzymywali dopiero pod koniec powstania ze zrzutów. Nawet oficerowie idąc na służbę zmuszeni byli częstokroć pożyczać sobie od kolegów broń krótką. W każdym razie w ciągu pierwszych tygodni powstania w śródmieściu.

Stosunkowo często wizytowałem placówki służby zdrowia, rzadko natomiast wzywałem lekarzy do swego biura. *Primo* ze względu na notoryczny brak lekarzy i ich przepracowanie nie chciałem odrywać ich od pracy. *Secundo*, daleko łatwiej i bezpieczniejsze było w ówczesnych warunkach poruszać się jednej osobie aniżeli kilku lub kilkunastu. I wreszcie *tertio*, łatwiej i dokładniej zorientować się można w sytuacji na miejscu wizytowanej placówki, aniżeli na podstawie pisemnego lub nawet ustnego meldunku.

Odprawy komendantów szpitali i kierowników punktów opatrunkowych zwoływałem rzadko, tylko w wypadkach koniecznych. Gdy omawiane sprawy służbowe dotyczyły większości lekarzy lub gdy miałem wątpliwości, chciałem wysłuchać opinii kolegów przed wydaniem wiążących rozkazów. Niekiedy wypadało łagodzić napięte stosunki między szefami poszczególnych placówek sanitariatu. Bywały wypadki nieprzyjmowania pewnych rannych przez dany szpital — zazwyczaj uzasadnione, choć nie zawsze. Nie wszystkie szpitale posiadały kompletne wyposażenie sali operacyjnej i nie wszyscy chirurdzy mimo posiadanych kwalifikacji i najlepszych chęci byli w stanie dokonać trepanacji czaszki lub skomplikowanej operacji jamy brzusznej ze względu na niedostateczne wyposażenie w odpowiedni sprzęt.

Mogłem stwierdzić kilka wypadków nieuzasadnionego nieprzyjęcia chorych i rannych, a nawet i podrzucenia chorego.

Zarządzenie winno się nie tylko przyjąć i zrozumieć. Należy potrafić przekazać je swym współpracownikom na szczeblu niższym i to w formie jasnej, dostępnej. Inaczej wykonanie rozkazu szwankuje.

Aby dyspozycje były należyte w interesie służby wykonane, należy posiadać autorytet i zdolności rozkazodawcy. Czasu pokoju oraz wojny regularnej pomocne są dystynkcje oficerskie.

Ochotnicza armia powstańcza ma inny zgoła charakter. Nie wystarczają jej stopnie oficerskie i wysokie stanowiska (tych ostatnich zresztą nie było). Domaga się od swych zwierzchników-rozkazodawców i pewnych imponderabiliów.

Pewnego dnia trzeciej dekady sierpnia po dokonanej inspekcji szpitala Pańska-Mariańska zarządziłem odprawę lekarzy i kierowników samodzielnych agend. Miejsce odprawy — pierwsze piętro pięciopiętrowego budynku szpitalnego. Dyskusja przeciąga się poza godzinę dwunastą. Nad miastem odbywa się regularny nalot samolotów niemieckich. W pewnym momencie poczuliśmy leciutki, ledwo odczuwalny powiew powietrza. Biorący udział w odprawie lekarze, komendant szpitala, ksiądz kapelan, aptekarz — zgodnie z instrukcjami wydanymi przez władze wojskowe — uprawnieni są do zejścia do schronu. Toteż jak gdyby wydana została komenda, bez słowa wszyscy zeszli na dół. Jakby nie było, między pierwszym piętrem a suteroną różnica dwóch kondygnacji.

Miałem niemal absolutną pewność, iż samoloty niemieckie przeleciały nad samym budynkiem szpitalnym. Odczułem leciutki podmuch. Ich bronią niszczycielską były małe zrzucone na dachy domów bomby zapalające. Lato było suche i upalne. Dachy zajmowały się szybko, jakby były kryte słomą.

Wprawdzie nie wiekiem, ale za to stanowiskiem służbowym, wyszkoleniem wojskowym i doświadczeniem bojowym byłem najstarszy na odprawie. Odpowiedzialność moralna ciążyła przede wszystkim na mnie. Zrozumiałe, naturalne było, że nie poszedłem ze wszystkimi do schronu. Wprost przeciwnie. Obrąłem kierunek na strych.

Dr „Obst” jako asystent kliniki położniczej czasu przed- i wojennego wiedział, jakie agendy ochronne winny być zorganizowane podczas działań wojennych. Na terenie szpitalnym czynny był LOP (Liga Obrony Przeciwlotniczej). Cóż z tego, skoro komendant szpitala nie pilnował, aby moje a nawet jego własne rozkazy były ściśle wykonywane. Na strychu nie zastałem nikogo. Jak się okazało, członkowie LOP-u odbywali dyżury przeciwlotnicze w stróżówce na parterze przy kartach. I na to można by się zgodzić, ale pod warunkiem, że podczas samego nalotu dyżurujący udadzą się na strych, a po przelocie na sam dach i tam dokonają inspekcji. Tymczasem spokoju naszych dyżurnych nic nie zakłóciło. Kontynuowali grę w karty. Jak gdyby nalotu wcale nie było.

Bez trudu dostałem się na znajdującą się na strychu pakę. Z łatwością wyważyłem kilka dachówek. Zlustrowałem znaczną część dachu. Na przestrzeni mniej więcej łokcia kwadratowego

drugiego skrzydła — budynek szpitalny był narożnikiem — leżało kilkanaście bomb zapalających. Dachówki już się tliły.

Przerwałem dyżurnym LOP-u partię kart. Sprowadzenie ich z piaskiem na dach — kwestia chwili. Gaszenie ognia nie trwało długo. Zachowano względny spokój. Tylko nieznaczną część rannych zorientowała się w grożącym niebezpieczeństwie. Zaniepokojeni byli tylko chorzy niezdolni do poruszania się o własnych siłach.

Wizytacje terenu rozpoczynałem zazwyczaj o godz. 6.30. Kilkakrotnie od szpitala Bergsona i Baumanów. Byłem pewien, że komendant, dr B., będzie na stanowisku. Tylko jeden raz zastałem go pod kłodrą, zresztą w kancelarii szpitalnej. Innym znów razem był nieobecny. Z dwoma wiadrami poszedł po wodę. Studnia znajdowała się w odległości 300-400 metrów. Brak wody dawał się odczuć od pierwszych dni. Tu i ówdzie dobywano ją ze starych studzien. Gdzie ich nie było, kopano nowe.

W szpitalu panował dość swoisty reżym. Praca fizyczna, nie mająca nic wspólnego z medycyną, obowiązywała również lekarzy, szczególnie lekarki. Komendant był wymagający wobec siebie samego i wobec swych współpracowników.

Któregoś dnia podczas wizytacji zastałem przy zwykłej pracy gospodarczej dwie wysoko kwalifikowane specjalistki chorób dziecięcych, dr med. Irenę Kanabusową (obecnie profesor Akademii Medycznej w Warszawie) i dr med. Dobrosławę Basińską. Pierwszą przy myciu okien, drugą przy praniu bielizny pościelowej. Koleżanka Basińska stała w wodzie w zniszczonym, przepuszczającym wodę obuwiu. Drugiej pary nie posiadała.

Można i tak rozumieć swój obowiązek wobec walczących i społeczeństwa. Mycie okien, pranie bielizny wykonywane przez lekarki i to jeszcze czasu działań bojowych — to dość swoiste, oryginalne podejście do problemów społecznych.

W interesie służby, w interesie żołnierza walczącego, względnie człowieka pracy w czasie pokoju leży, aby należycie, umiejętnie wykorzystani byli wysoko wyspecjalizowani fachowcy, a lekarze nade wszystko. Jestem bezwzględny zwolennikiem najbardziej racjonalnego wykorzystania kwalifikacji swych współpracowników. Nie należy polecać wykonania pracy starszemu — mam na myśli wyżej wykwalifikowanemu — którą może wykonać młodszy. Czas i energia wysoko wykwalifikowanych winny być wykorzystane do zadań specjalnych.

Przypomina mi się tragiczny w skutkach wypadek, jaki miał miejsce na Dolnym Śląsku w grudniu roku 1948. Lekarz z własnej nieprzymuszonej woli, dla uczczenia niecodziennego zresztą

w życiu politycznym wydarzenia — zjednoczenia dwóch partii lewicowych — zademonstrował mycie jednego piętra schodów szpitalnych. Kilka dni później tenże lekarz miał dyżur nocny. I tu nie wykazał poczucia elementarnego nawet obowiązku lekarskiego. Właściwie popełnił przestępstwo. Z dyżurną pielęgniarką ustalił, że nie będzie dyżurował w sanatorium; będzie osiągalny telefonicznie. Jak się nocą okazało, był nieosiągalny. Nadgorliwość na pokaz przy myciu schodów przy nieuczciwym jednocześnie podejściu do prawdziwych obowiązków lekarza. Nieszczęście chciało, iż tej nocy chory sercowo dostał ataku zawału mięśnia sercowego. Dyżurna pielęgniarka nie wiedziała, gdzie szukać lekarza. Była bezradna. Chory nie doczekał się pomocy. Zginął.

Mimo wyraźnych różnic w nastawieniu do niektórych problemów nie ingerowałem w wewnętrzne sprawy szpitala Bergsona i Baumanów. Komendantowi pozostawiałem znaczną swobodę. Po pierwsze ze względu na jego doświadczenie kliniczne oraz rutynę administratora, po wtóre dlatego, że szpital ten, choć dziecięcy, był jedynym, jaki zastałem na terenie zgrupowania „Chrobry II”. Wprawdzie jego kierownik nie z własnej inicjatywy zaofiarował swe oraz swych lekarzy — w tym dwóch chirurgów dziecięcych — usługi powstańcom, ale wyraził zgodę na podporządkowanie się dowództwu zgrupowania „Chrobry II”. (Dopiero podczas mej wizyty w szpitalu w dniu 1 sierpnia o godzinie 23-ciej, na wyraźnie i zdecydowanie postawione przeze mnie pytanie).

Poza tym przez pierwszych 10-14 dni szpital fundacji Bergsona i Baumanów nie korzystał z zaopatrzenia powstańczej składnicy sanitarnej. To też winien był uznać na jego dobro.

Pod względem personelu fachowego był najlepiej wyposażony. Pracowało w nim dwóch wybitnych chirurgów: dr med. Kossakowski (obecnie profesor chirurgii dziecięcej) i kpt dr med. Żabski. Trzech pediatrów: komendant, dr med. Irena Kanabusowa i dr med. Dobrosława Basińska. Internista dr Walencki. Wykwalifikowane pielęgniarki.

Wydajność pracy lekarskiej była więcej niż zadowalająca. Najwięcej dawali z siebie chirurdzy. Służyli przykładem. Nie miałem potrzeby zbyt często wizytować szpitala.

Komendant gospodarował bardzo skrzętnie, a magazynem i rezerwami dysponował więcej niż oględnie. Odniosłem wrażenie, iż gospodarczo planuje na długie miesiące. Do swych magazynów żywnościowych i apteki szpitalnej niechętnie wprowadzał obcych. Raz udało mi się tam zajrzeć. Wtedy właśnie odniosłem wrażenie, że stopa życiowa szpitala jest niższa, aniżeli pozwalają na to jego środki.

Często odwiedzał mnie wysłannik szpitala Bergsona i Baumanów „Kotek” (obecnie zdaje się docent Wydziału Chemii Politechniki Łódzkiej). Imponował wszystkim swym umundurowaniem polowym. Wyposażony był w niemiecki hełm oraz przydługi płaszcz nieprzemakalny niemieckiego zandarma. Dla swego spokoju komendant dążył — słusznie zresztą — do stworzenia własnego magazynu szpitalnego z leków składnicy sanitarnej, toteż stale przysyłał zapotrzebowania. Przewyższały one bieżące potrzeby, szczególnie jeśli chodzi o bezcenny wówczas eter do narkozy. W lecznictwie jeden środek można często zastąpić innym o podobnym działaniu. Eter był wówczas niezastąpiony. Poza tym bardzo trudny do zdobycia. Mogłem sobie pozwolić na szeroki gest wobec komendanta szpitala (obecnie profesora i byłego ministra). Z pewnością uważał i rad był, że idę na rękę jego zapobiegliwemu gospodarczemu nastawieniu. W rzeczywistości zaś mnie, jako zarządzającemu olbrzymią składnicą i odpowiedzialnemu dystrybutorowi leków, zależało na rozbiciu jednego magazynu na kilka pomniejszych. W ten sposób osiągałem zabezpieczenie przed zbombardowaniem składnicy sanitarnej w całości. Powtarzała się historia z kolegą Zańskim, wysłannikiem szefa sanitarnego Okręgu Warszawa. Grunt że obie strony — biorąca i dająca — były więcej niż zadowolone. Dająca zapewniała sobie jeszcze jeden „podmagazyn” i zaopatrzenie w leki w razie zbombardowania składnicy i jej dwóch głównych magazynów.

Sanitariat dowództwa IV-go Rajonu otrzymał kilka kilogramów mąki kartoflanej. Miał być i ser, ale tylko jedna puszka i to z przeznaczeniem dla szefa sanitarnego. Odmówiłem przyjęcia jej. Pozostaliśmy przy mące kartoflanej. Moje współpracowniczkę biurowe upiekły babkę.

Nie pamiętam już na jaką intencję zaprosiłem komendanta szpitala Bergsona i Baumanów i dwie jego lekarki, dr Kanabusową i dr Basińską na grzane wino czerwone i babkę. Niczym więcej nie mogliśmy się pochwalić.

Po kilku dniach szpital zrewanżował się. Otrzymałem zaproszenie na obiad. Nikt natomiast z mego najbliższego otoczenia. Mimo to zaproszenie przyjąłem. Ostrzyłem sobie apetyt. Do swej kaszy na śniadanie, obiad i kolację dawno już czułem awersję. Ku memu zdziwieniu menu obiadowe składało się z talerza rozwodnionej kaszy. Tu i ówdzie można było trafić na ślady po kartoflach.

Do prywatnych, osobistych mych obowiązków należała opieka nad 10-cioletnim bratankiem, sierotą po rodzonym bracie mym, Aleksandrze. Tuż po kapitulacji zwróciłem się do komendanta

szpitala Bergsona i Baumanów z prośbą o wciągnięcie bratanka mego (papiery osobiste miał w zupełnym porządku) w stan chorych dzieci i wywiezienie go wraz z oddziałem w teren. Tym samym problem jego ewakuacji z Warszawy zostałby w najprostszy sposób rozwiązany. Ku memu zdziwieniu spotkałem się z bezduszną, suchą odmową swego w owym jeszcze czasie podkomendnego. Presji nie chciałem wywierać. Stałem na stanowisku, że nie godzi się wykorzystywać swego stanowiska służbowego dla celów osobistych. Mógłbym być z tytułu swej władzy zwierzchniej zmusić dr. B-go do przyjęcia bratanka na oddział dziecięcy, nie chciałem jednakże temu panu okazać tyle zaszczytu.

Miałem za to możliwość zrewanżowania mu się kilka lat później. Dr B., wówczas już profesor Akademii Medycznej w Warszawie, zwrócił się do mnie po poradę lekarską i diagnozę. Pamiętałem o przysiędze złożonej w chwili otrzymania dyplomu lekarskiego. O przysiędze, o której prof. dr B. w 1944 nie pamiętał. Widocznie wpływ tragicznych warunków służby powstańczej!

Przez cały czas powstania Warszawa pozostawała pod działaniem ognia artyleryjskiego i „krów”, a do września również i bombardującego lotnictwa niemieckiego. Wokoło szalały pożary. Domy waliły się jak z klocków. Jedyne i to względną osłoną przed pociskami artylerii i moździerzy były budynki okalające.

W stale bombardowanym terenie warunki względnego bezpieczeństwa — w danym wypadku bezwzględnego niebezpieczeństwa — ciągle ulegają zmianom. Aby grożącemu niebezpieczeństwu przeciwdziałać, a przynajmniej ograniczyć straty, należało być zorientowanym w sytuacji lokalnej, która mogła się zmieniać każdego dnia, każdej godziny, a nawet i każdej chwili.

Na początku września znaczna część budynków Śródmieścia leżała w gruzach. Z łatwością policzyć można było ilość ocalałych domów na terenie IV-go Rejonu. Dookoła szpitala przy ulicy Pańskiej 10/12 zbombardowane zostały niemal wszystkie budynki. Sam budynek szpitalny był całkowicie odsłonięty. Sytuacja wymagała przeniesienia szpitala w miejsce bardziej osłonięte. Podczas wizytowania szpitala zwróciłem uwagę podchorążemu „Kordonowi” na niepomyślny stan rzeczy. Rezygnować ze szpitala nie wolno było: nie było gdzie umieścić rannych i chorych.

Trzy górne piętra szpitala Pańska-Mariańska, znajdującego się w pobliżu, stały wprawdzie niezajęte, ale umieszczenie tam rannych uważałem za niedopuszczalne, mimo że budynek sam przez się odpowiadał warunkom sanitarnym (ale tylko w czasie pokoju).

Komasowanie kilkuset rannych w jednym budynku wobec groźby zbombardowania lub pożaru byłoby lekkomyślnym — choć chwilowo dogodnym — posunięciem, mogącym mieć opłakane skutki. Nawet zdrowym nie wolno było polecać przebywania na górnych piętrach w ówczesnych warunkach, a cóż dopiero rannym.

Nie pozostawało nic innego jak przenieść się do innego lokalu. Przed upływem 48 godzin podchorąży „Kordon” trafił na wolny lokal pod numerem 25 ulicy Zielnej. Udałem się na oględziny. Budynek zbudowany był wyjątkowo solidnie. Grubość ścian imponująca, niemal średniowiecznego zamku warownego. Duże widne sale na parterze. Mimo to i z tego pomieszczenia wypadło zrezygnować. Okazało się bowiem, że na drugim i trzecim piętrze mieściły się olbrzymie składy łatwowybuchowych i łatwopalnych chemikaliów.

Rozpocząłem sam poszukiwanie lokalu na szpital. Trafiłem na pusty nowoczesny budynek Zarządu Miejskiego przy ulicy Siennej. Przeznaczony był przed powstaniem dla Pogotowia Miejskiego. Nadawał się w sam raz na poliklinikę. Zatrzymałem go do dyspozycji dr. med. Łackiego. W owym czasie pertraktowałem z nim w sprawie zorganizowania pomocy lekarskiej dla ludności cywilnej.

W tym samym czasie podchorąży „Kordon” znalazł pomieszczenie przy ulicy Złotej 73. Odpowiadało ono wymogom chwili. Nie miałem żadnych obiekcji. Wybór zaakceptowałem.

Wykonanie przenosin szpitala, „przenosin” w dosłownym znaczeniu, poleciłem podchorążemu „Kordonowi”. Nikt inny lepiej i skrupulatniej by tego nie wykonał. Zresztą odpowiadało to jego stanowisku oficera administracyjnego.

Została zorganizowana grupa okolicznych mieszkańców, ochotników do pomocy. Poprzez barykady i rowy przecinające ulice przenieśli nie tylko rannych i chorych, ale również łóżka i cały sprzęt i dobytek szpitalny. We własnym zakresie, skromnymi środkami, nie korzystając ani z personalnej, ani też z technicznej z mej strony pomocy, dokonał podchorąży „Kordon” przeprowadzki. Wprawdzie większość powstańców była lekko ranna, tym niemniej 20-tu ciężiej rannych przeniesionych zostało na noszach.

Uroczyste otwarcie „nowego” szpitala odbyło się w niedzielę. Zostałem nań najbardziej oficjalnie zaproszony. Poświęcenia dokonał ksiądz kapelan powstańczy. Sala udekorowana była dwiema palmami.

Pod koniec powstania odsłonięty został również budynek przy ulicy Siennej 82. Mieścił się w nim mały punkt opatrunkowy.

Domy wokół zburzone. Podczas wizytacji zwracam się do kierownika punktu:

— Kolego, wasz punkt trzeba będzie przenieść. Sami widzicie.

Kierownik w lot zrozumiał o czym mówię i polecenie wykonał szybko, po wojskowemu. Z wynalezieniem nowego miejsca postoju nie było problemu. Wszystkiego 6-ciu rannych.

Dwa dni później potężny pocisk artyleryjski trafił w Sieną 82. Lokal zajęty przez punkt opatrunkowy został zasypany. Uratowanie rannych sprawiło nam dużą satysfakcję.

Ilość rannych i chorych wzrastała nie tylko w miarę trwania działań bojowych. Wzrastała też na skutek upadku Woli, Starówki, Mokotowa, w miarę zacieśniania się pierścienia otaczających wojsk niemieckich i zmasowanego nacisku na Śródmieście.

We wrześniu wojska sowieckie wraz z I-szą Armią Wojska Polskiego posuwały się wzdłuż prawego brzegu Wisły ku Pradze. W zajęciu Pragi i sforsowaniu Wisły dowództwo niemieckie widziało grożące dla siebie niebezpieczeństwo, generał von dem Bach dążył więc za wszelką cenę do jak najszybszego zlikwidowania powstania. Chciał utrzymać w swych rękach jeden z najważniejszych szlaków Wschód - Zachód.

Wśród rannych i chorych przeważali cywile. W każdym razie w szpitalach i punktach opatrunkowych Śródmieścia. Ilość ich dochodziła do 70 % ogółu leżących. Agendy Ubezpieczalni Społecznej były nieczynne.

W pierwszej dekadzie września podczas wizytacji szpitala Pańska-Mariańska poznałem dr. Łackiego, człowieka o ujmującym wyglądzie i nobliwych rysach twarzy. Wymowę miał północnokresową, zaciągał z rosyjska. Humanista z urodzenia i wykształcenia. Z zawodu — lekarz, i to z prawdziwego zdarzenia.

Zaproponowałem dr. Łackiemu, aby przy współpracy dr. Walenckiego zorganizował, uruchomił i poprowadził poradnię, ewentualnie i szpital dla cywilnej ludności Warszawy. Obiecałem odpowiedni lokal oraz jego wyposażenie w sprzęt gospodarczy i lekarski.

Projekt mój początkowo chwycił. Dr Łacki wyraził zgodę, a nawet okazał dużą dozę entuzjazmu. Był to lekarz o szerokich horyzontach. Następnego dnia oprowadzałem go po wolnym budynku przy ulicy Siennej. Przeznaczony był na Pogotowie Miejskie m. st. Warszawy. Mimo wysoce społecznego nastawienia obu wyżej wymienionych lekarzy pertraktacje toczyły się dość ospale. Nie bacząc na swe wysokie kwalifikacje zawodowe i administracyjne — dr Łacki podczas wojny i, mam wrażenie, czasu pokoju, był naczelnikiem jednego z oddziałów Wydziału Zdro-

wia m. st. Warszawy — nastawał, abym ja ujął w swe ręce organizację i kierownictwo polikliniki. On sam chętnie podporządkuje się moim dyspozycjom. Stanowisko swe uzasadniał istniejącymi warunkami wojennymi. Napotkał na zdecydowany sprzeciw z mej strony. Byłem gotów zorganizować poliklinikę i wyposażyć ją w niezbędny sprzęt. Rozumiałem, że ze względu na składnicę sanitarną, którą dysponowałem i pewną rutynę organizacyjną, dr Łącki mógł uważać, iż otwarcie polikliniki przyjdzie mi łatwiej. Zgoda. Ale dlaczego ja miałem przejąć również kierownictwo administracyjne i lecznictwo? Te należą się dr. Łąckiemu. Nie ustępowałem. Tym bardziej, że miasto posiadało prowizoryczne wprawdzie, ale mniej więcej zorganizowane władze miejskie.

Nie widziałem ani uzasadnienia, ani też celu poszerzania i tak już szerokiego zakresu mej działalności. Zresztą nie ma zwyczaju kumulowania w jednych rękach kierownictwa cywilnej i wojskowej władzy służby zdrowia. Do tego dochodził przecież i szeroki zasięg zaopatrywania w środki lecznicze przez składnicę. Poza lecznictwem do obowiązków mych należało zaopatrywanie w leki dostępnymi mi placówek sanitarnych. Sięgały one daleko poza granice Śródmieścia. Zresztą ranni i chorzy spośród cywilnej ludności Warszawy korzystali z powstańczej służby zdrowia na równi z wojskowymi. Odpowiednie instrukcje wydałem podległym mi placówkom już w pierwszych dniach powstania.

— Ja mam pracy dość. A władzy i odpowiedzialności aż nadto. Należy i innym, a w danym wypadku Panu Doktorowi, też coś udzielić. Nie jedynie pracę wykonawczą.

Ten prosty i istotny argument przekonał dr. Łąckiego. Wyraził zgodę na przyjęcie kierowniczego stanowiska w służbie zdrowia dla cywilnej ludności, coś w rodzaju Ubezpieczalni.

Ale będąc jednym z naczelników Wydziału Zdrowia przywykł snuć do pracy zespołowej i dyskusji. Pertraktowaliśmy jedynie. Nie zdobył się na wszczęcie samodzielnej pracy. A może dlatego nie przystąpił do zorganizowania cywilnej służby zdrowia, że nie widział celowości na dalszą metę. Przewidywał to, co się stać miało. Powstanie zbliżało się do swego tragicznego kresu.

Z samodzielnym kierowniczym stanowiskiem, szczególnie w terenie, związane są często problemy i kłopoty, nie mające nic wspólnego z właściwą służbą. Uniknąć ich nie sposób. Niejednokrotnie są nad wyraz przykre. Jedyna pociecha, że zgodnie z pragmatyką służbową podlegają obowiązkowi meldowania. Dzięki temu ciężar odpowiedzialności przerzucony zostaje poniekąd na władze zwierzchnie.

Pewnego dnia zgłosił się do mnie lekarz stomatolog, kierownik punktu opatrunkowego Pańska 56. Oto jego meldunek:

„Ubiegłej nocy na punkt mój zgłosił się ranny cywil. Należał do grupy sześciu osób, ukrywających się przed Niemcami przy ulicy Twardej 30. Przez pewien czas byli systematycznie napastowani, szantażowani i ograbiani przez opryszków. Początkowo wymuszano pieniądze, a gdy te wyczerpały się — odzież oraz wszelkie przedmioty przedstawiające jakąkolwiek wartość pieniężną. Po zupełnym ogołoceniu delikwenci wyprowadzeni zostali przez opryszków na teren zburzonych domów, 'gruzy pogettowe'. Tam każdy z nich otrzymał kulę w kark — esesmański *Gnaden-schuss*. Pięciu padło na miejscu. Szósty, uznany również za zabitego, po oddaleniu się zbrodniarzy dostał się na punkt opatrunkowy.

Jako lekarz-dentysta nie czułem się kompetentny do samodzielnego wykonania zabiegu operacyjnego. Rana odpowiadała okolicy mózdzka przedłużonego. Mogłem naruszyć istotne dla życia ośrodki nerwowe. Obudziłem mieszkającego w pobliżu kpt. „Nekandera”. Razem przystąpiliśmy do usunięcia kuli. Szczęśliwie nie tkwiła zbyt głęboko. Zabieg wypadł pomyślnie. Stan chorego nie budzi obaw”.

Tak potworne zbrodnie dokonane być mogły jedynie w ostatnich dwóch latach okupacji.

W tym samym czasie, gdy posiadanie broni przez powstańców było kwestią życia lub śmierci, broń dostawała się często w ręce niepowołane, a niekiedy zbrodnicze. Pierwszego dnia powstania miałem możliwość przyjrzenia się, jak i przez kogo dokonywało się odkopanie broni w zakonspirowanym w suterenie magazynie na terenie zgrupowania „Chrobry II”. Dysponentem broni był „kapitan”. Nazajutrz nie było go już w stanie zgrupowania. Nikt nie wiedział, co to był za jeden. Natomiast wielu kwestionowało prawdziwość jego stopnia oficerskiego.

Opisane wyżej przez kolegę „Dziumę” zbrodnie rabunkowe nie mogły ująć bezkarnie. Należało szukać zbrodniarzy, nadać sprawie bieg służbowy. Zażądałem meldunku na piśmie. Tu nastąpiła konsternacja. „Dziuma” obawiał się zemsty. Wszystko odbywało się w jego najbliższym sąsiedztwie. Bandyci grasują w pobliżu. On zaś jest Żydem i to o rysach wybitnie semickich. Wyraźnie odcina się od otoczenia słowiańskiego. Prosi, abym meldunek zachował tylko dla siebie i nie wyciągał konsekwencji służbowych.

Jego stanowisko mija się z moimi elementarnymi obowiązkami. Przemilczeć otrzymanego meldunku — choć ustnego — nie wolno mi z punktu widzenia pragmatyki służbowej, ze wzglę-

dów moralnych i wreszcie prawno-karnych. Przemilczeć — to jakby tolerować. Aczkolwiek przyznać muszę, że i ja miałem pewne obiekcje, choć nie ujawniałem ich. Zataić mord — wiedzieć o nim będzie tylko pewna niewielka garstka osób. Nadam właściwy bieg — sprawa nabierze rozgłosu. Mało kto przypisze mord pospolitym bandytom. Wielu weźmie na rachunek AK. Któż bowiem mógł jeszcze dysponować bronią czasu okupacji? I tak dość rabunków i mordów dokonanych zostało w terenie przez zwykłych bandziorów na konto AK-owców.

Nie ustępowałem. Aby uniknąć pozorów narzucania swej własnej woli i władzy, zaproponowałem odbycie wspólnej narady celem uzgodnienia wspólnej linii postępowania z jednym ze starszych od siebie lekarzy. W rachubę wchodził dr Bolesław Sienkiewicz i docent Henryk Beck. Wybór padł na tego ostatniego, jako że był już w sprawę wtajemniczony, a przez dokonanie zabiegu maczał nawet w niej palce.

Rozwiązanie takie uważałem za najbardziej właściwe z trzech powodów. Po pierwsze — wielce sobie ceniłem dr. Becka jak i dr. Sienkiewicza. Po wtóre ich ludzkiego stanowiska byłem całkowicie pewien. Po trzecie — dzieliłem odpowiedzialność moralną za ewentualne represje opryszków wobec kolegi „Dziumi”. No i moje osobiste wreszcie obiekcje wewnętrzne.

Na odbytej tegoż samego dnia o godzinie 15-tej naradzie kolega „Dziuma” odrzucił już względy bezpieczeństwa osobistego. Docent Beck całkowicie podzielał moje stanowisko. Decyzja zapadła jednomyślnie. I nie mogło być inaczej. Ludzie na pewnym poziomie nie mogą mieć różnych poglądów w sprawach zasadniczych, w sprawach moralności i etyki.

Nie zwlekając ani chwili przygotowałem pisemny meldunek do komendanta Okręgu Warszawa, „Montera” (generał Antoni Chruściel).

O dokonanych mordach powiadomiłem jednocześnie kartą służbową majora „Zygmunta”, ówczesnego dowódcę zgrupowania „Chrobry II”. Nie pozostawałem wprawdzie z nim w stosunkach służbowych, jednakże zbrodnie dokonane zostały na terenie jemu bezpośrednio podległym. Winien wiedzieć pierwszy. Szukać przestępców na własną rękę. A nade wszystko złożyć meldunek swej władzy zwierzchniej. Nie zależało mi wcale, aby go z meldunkiem swym wyprzedzić. Miał możliwość być u generała „Montera” przede mną. Również u podpułkownika „Zagończyka”.

Przyznać muszę, iż w całej tej aferze popełniłem niedopuszczalne w warunkach zwykłych niedociągnięcie, a właściwie przekroczenie służbowe. Moim obowiązkiem było złożyć meldunek

swemu bezpośredniemu zwierzchnikowi w pionie liniowym, podpułkownikowi Stanisławowi Steczkowskiemu. Nie pomyślałem o tej najważniejszej i najkrótszej drodze.

Było to już drugie niedociągnięcie służbowe z mej strony i nietakt wobec podpułkownika Steczkowskiego. Nie było świadome, a tym bardziej celowe. Tłumaczę mnie gorączka pracy i ciężkie warunki pracy. Ponadto byliśmy tak oburzeni dokonanym mordem rabunkowym, żeśmy zapomnieli o właściwej drodze służbowej. Wydawało się nam, że sprawą tej wagi zająć się może jedynie dowódca Okręgu Warszawa. Przesłanie zaś meldunku bezpośrednio przyspieszało bieg samej sprawy.

Koło godziny 17-tej — już po wystaniu karty służbowej do majora „Zygmunta” — zgłosił się do mnie komendant bloku Twarda 30 i doniósł mi, iż liczba pomordowanych wzrosła do 15-tu. Meldunku swego do komendy Okręgu nie zdążyłem jeszcze wysłać przez gońca. Obecnie dla podkreślenia jego wagi postanowiłem przedłożyć go generałowi „Monterowi” osobiście, przy czym zmieniłem nieco linię postępowania. W godzinach wieczornych udałem się do podpułkownika dr. Węgrzynowskiego. Chciałem przedyskutować z nim sprawę niesłychanych mordów. Znał dobrze wartość życia ludzkiego. Był oburzony. Zaproponowałem mu, aby poszedł ze mną do dowództwa Okręgu. Wyraził gotowość. Zbrodnia była zbyt ohydna, aby można było ograniczyć się i zadowolić przesłaniem suchego meldunku pisemnego.

Koło północy przyjęci zostaliśmy przez generała „Montera”. Był ranny w lewe ramię. Rękę miał na temblaku. Meldunek złożony na piśmie i poparty ustnym wyjaśnieniem wywarł na nim silne wrażenie. Zadał szereg dodatkowych pytań, dotyczących miejsca, czasu i okoliczności zbrodni i osób podejrzanych. Mimo nawału pracy, ciężkiej sytuacji bojowej, ogromu trosk i kłopotów nie ograniczył się do przyjęcia meldunku. Poczynił szereg adnotacji. Żandarmerii polecił natychmiast wszczęcie śledztwa. Winnych postawić pod Wojskowy Sąd Polowy.

W międzyczasie pomordowanych zostało ze wspomnianego bloku dalszych 13 osób. Między nimi również komendant. Liczba ofiar wzrosła do 30-tu.

Nazajutrz zgłosił się do mnie podchorąży żandarmerii. Przeprowadził jak najdokładniejszy wywiad. W pierwszej fazie dochodzenia śledczego wydawało się, że żandarmeria jest na tropie zbrodniarzy. Jednakże później nici się urwały. Ujawniony natomiast został związek z uprzednio dokonanym zabójstwem inżyniera-Żyda. Ten ostatni udał się do szpitala Pańska-Mariańska, by odwiedzić swego rannego brata, AK-owca. Przy wyjściu ze szpitala pochwycony został przez nieznaną zbirów, uprowadzo-

ny w gruzy i tam zamordowany. Rozzuchwaleni bezkarnością dokonanego w jasny dzień mordu, prawdopodobnie również rabunkowego, zbrodniarze rozwijali swój proceder już na większą skalę. Być może, że gdyby komendant szpitala zadał sobie trud — co zresztą było jego służbowym obowiązkiem — złożenia we właściwym czasie meldunku o uprowadzeniu i mordzie, 30 osób nie postradałoby życia. A społeczeństwo uwolnione byłoby od kilku zbirów.

W pierwszych dniach powstania zwrócono się do mnie z prośbą, abym zechciał interweniować na posterunku żandarmerii polowej. Dwóch uzbrojonych powstańców — uprzednio wspólnicy przy pędzeniu bimbru — natknęło się na byłego granatowego policjanta³. Pobory urzędników, funkcjonariuszy policji itp. były niskie w porównaniu z aktualnymi cenami towarowymi. Policjantów „nakrył” w swoim czasie bimbrowników. Zgodnie z panującymi podczas okupacji obyczajami wyczekiwał, a może domagał się okupu. Otrzymał 150 złotych (równowartość dwóch butelek bimbru). Obecnie bimbrownicy chcieli odegrać się. Na posterunku żandarmerii domagali się ukarania byłego policjanta za wymuszenie łapówki.

Na skutek mej interwencji były policjant został jednakże zwolniony. Pół godziny później nieszczęsny natknął się po raz wtóry na swych prześladowców. Po raz wtóry doprowadzony został na posterunek. Żandarmi zdruzzeni byli błahą sprawą:

- Nie zawracajcie nam głowy. Wynoście się z nim.
- Co mamy z nim robić?
- Co chcecie.

Delikwent wyprowadzony został w gruzy pogettowe i tam wykończony.

W pierwszych dniach września zgłosił się do mnie komendant szpitala Pańska-Mariańska w towarzystwie kierownika oddziału chirurgicznego. Urzędowo. A że w asyście starszego lekarzomajora, sprawa musi być poważna. Okazała się wielce drażliwa.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy docentowi dr. Henrykowi Beckowi pokazano drzwi, komendant samowolnie przyjął na służbę dr. A.G. Nawet meldunku nie złożył mi o przyjęciu. Nie wspomniał o nim i nie przedstawił mi go podczas wizytacji.

3. Policja granatowa nie cieszyła się na ogół dobrą sławą wśród ludności Warszawy. Nie mówię o tych nielicznych, którzy z narażeniem życia pełnili jednocześnie służbę dla podziemia.

Przyjęcie lekarza na służbę ani przeniesienie go nie leżą w kompetencjach komendatury szpitala, ani w czasach pokojowych, ani też wojny. Zresztą to samo ograniczenie obowiązuje w szpitalach miejskich i na klinikach uniwersyteckich. Komendant nawarzył piwa i podsuwa mi je obecnie do wypicia. Aby lepiej smakowało, serwuje w towarzystwie poważnego kolegi.

— Panie kapitanie — zaczyna — udzieliłem doktorowi G. kilkudniowego urlopu celem odwiedzenia córki. Pełniła ona służbę po drugiej stronie Alei Jerozolimskich. Nie wrócił w ustalonym terminie. W czasie działań wojennych przedłużył sobie samowolnie pobyt urlopowy o 8 dni. Tłumaczy się śmiercią córki. Lekarze szpitalni — jak zresztą i ja sam — zbojkotowaliśmy go. Na powitanie ręki nie podaliśmy. Prosimy o dyscyplinarne ukaranie dr. G. i przeniesienie go na inne stanowisko.

Na podstawie jednostronnego oskarżenia, bez wysłuchania oskarżonego nie mogłem i nie wolno mi było zdecydować. Zażądałem przedstawienia mi dr. G. do raportu karnego.

Następnego dnia po południu zgłosił się do mnie dr. G.

— Wraz z żoną udałem się na drugą stronę Alei, by odwiedzić naszą jedyną córkę, 14-letnią łączniczkę AK. Wkrótce po naszym przybyciu zginęła na posterunku. Pod wpływem nieszczęścia załamane się psychicznie. Nie byłem w stanie wracać.

Zgodnie z istniejącymi przepisami wojskowymi oraz obyczajowymi mogłem być delikwenta przede wszystkim przenieść na inne, oczywiście gorsze stanowisko. I to bez najmniejszych skrupułów. Samowolne przedłużenie urlopu — uzasadnione lub względnie uzasadnione — nie było największą plamą na honorze owego lekarza. A ja osobiście miałem z nim na pieńku. Jego osoba mierzyla mnie. Właśnie z uwagi na ten negatywny stosunek do dr. G. nie chciałem decydować o wymiarze jego kary.

Z drugiej strony nie należała się też satysfakcja komendzie szpitala Pańska-Mariańska.

Na szczęście istnieje władza zwierzchnia. Jest to panaceum na wiele bolączek niższych oficerów. Czemu nie skorzystać i nie zrzucić z siebie tego balastu?

Przy tym nastawieniu za właściwe uważałem poprosić komendanta szpitala o złożenie mi meldunku dotyczącego dr. G. na piśmie. Do otrzymanego meldunku dołączyłem swą kartę służbową i razem wysłałem do szefostwa sanitarnego Okręgu Warszawa. Tam jest aeropag składający się z drów Lenka, Węgrzynowskiego i Wilczyńskiego. Niech decyduje, jak decydował uprzednio, gdy chodziło o zidentyfikowanie mnie.

O ile w sprawach dotyczących sytuacji, potrzeb i akcji bojowej oficer w terenie może być lepiej zorientowany, o tyle —

mam wrażenie — oficer sztabowy zza biurka w sprawach personalnych jest bardziej kompetentny. Nie tylko ze względu na swój staż służbowy, doświadczenie i wiek, lecz i dlatego, że stoi, a raczej siedzi z dala od sporów i waśni osobistych. A te rzadko kiedy są do uniknięcia.

Szefostwo sanitarne stanęło na stanowisku, że wobec nagłej utraty jedyne dziecko dr G. mógł się psychicznie załamać. Opóźnienie uzasadnione. Poza tym życie obeszło się z nim dość okrutnie, nawet jeśli był winny.

W rezultacie któregoś dnia rozkazem dziennym przeniosłem na inne stanowisko trzech lekarzy. Wśród nich i dr. G.

We wrześniu wystąpiły u mnie obrzęki kończyn dolnych. Nie sposób było ustalić ich przyczyny bez dokonania badań pomocniczych. W różnicowaniu rozpoznania wypadło uwzględnić niewydolność narządu krążenia, obrzęki głodowe, awitaminozę. Sama witamina C nie wystarcza, szczególnie przy odżywianiu wyłącznie węglowodanowym. Najbardziej odczuwano brak białka i kompleksu witamin B.

Służbę pełniłem nadal. Urzędowałem w swej kancelarii leżąc na tapczanie. Inspekcje przerwałem na 2-3 dni.

Koło godziny 17-tej w dom przy ulicy Siennej 43 a trafił pocisk artyleryjski, raniąc pięciu powstańców, w tym dwóch bardzo ciężko. Do udzielenia pomocy wezwany został kierownik punktu opatrunkowego Sienna 41, dr Sienkiewicz. Ponieważ był zajęty udzielaniem pomocy lekarskiej śmiertelnie rannemu studentowi medycyny, o pomoc zwrócono się do mnie. Wstałem z tapczana i udałem się na Sienną 43 a.

Po powrocie do gabinetu nie położyłem się już. Miałem coś do zrobienia i zatrzymałem się między biurkiem a oknem. Wtem pocisk artyleryjski uderzył w lewą oficynę naszego domu. Zapanaowały zupełne ciemności. Łomot walących się trzech górnych pięter. Po rozjaśnieniu się sekretarka moja stwierdziła dwie powierzchowne rany na mej głowie. Były bezbolesne. Nie czułem kiedy powstały. Spowodowane zostały prawdopodobnie odłamkami szkła oraz gruzem.

Ze względu na to, że od początku powstania liczyć się należało z możliwością zbombardowania składnicy sanitarnej — a była ona ostoją szpitali — magazyny uplasowałem w kilku miejscach: Sienna 41 i 43 a, szpital Pańska-Mariańska i wreszcie u szefa sanitarnego Okręgu Warszawa.

Teraz, po uszkodzeniu domu Sienna 41 — choć pociski rzadko trafiają w jedno i to samo miejsce — stałem się jeszcze ostrożniejszy, bardziej niespokojny o leki. Pewną ich część, przede

wszystkim eter do narkozy i kseroform, przekazałem do szpitali Sienna 59 i Bergsona i Baumanów, a nawet na Twardą 50.

O częściowym zbombardowaniu domu przy ul. Siennej 41 oraz o moim okaleczeniu dowiedział się dr Stefan Pokrzewiński. Pełnił on obowiązki naczelnego lekarza batalionów zgrupowania „Chrobry II”. Miejsce jego postoju mieściło się w promieniu 300 metrów. Niezwłocznie złożył mi wizytę koleżeńską. Dr Pokrzewińskiego zawsze cechowała wysoka kultura, takt, opanowanie i spokój przy pracy, niezależnie od ostrzału. Obejrzał rany — kpin warte — powierzchowne i jeszcze raz przeprowadził ich dezynfekcję. Nalegał, abym choć na dwa dni udał się do szpitala. Z pewnością nie chodziło mu o rany. Jako wytrawnego klinicystę korciło go wyjaśnienie patogenezy obrzęków kończyn dolnych. Zgodziłem się, tym bardziej że zdemolowany częściowo gabinet mój wymagał uporządkowania, usunięcia gruzu i szkła. Dr Pokrzewiński zaprowadził mnie na Pańską-Mariańską.

Urzędowanie kontynuowałem w szpitalu. Pozostawałem w nim około 30 godzin. Patogenezy obrzęków nóg i tam nie dało się wyjaśnić. Najmniejszego wskazania do zajmowania łóżka szpitalnego i odrywania się od zwykłej pracy.

Nazajutrz jako jeden z pierwszych zgłosił się podchorąży „Kordon”. Po złożeniu krótkiego meldunku wyciągnął z kieszeni zdobytą gdzieś butelkę oryginalnej szkockiej whisky i postawił ją na taborecie u wezłowia. Aby w ówczesnych warunkach głodu zdobyć whisky, należało mieć wdech i nie byle jaką rzutkość. I nie byle jaki gest, aby ofiarować ją później i to jeszcze zwierchnikowi ani miękkiemu, ani słodkiemu. Niejeden warszawianin czasu powstania dobrowolnie zgodziłby się na moje powierzchowne rany, aby otrzymać butelkę wysoko gatunkowego alkoholu.

Nie tylko whisky stanowiło mój „dodatek żywnościowy”. Siostra moja Maria, korzystając z nadarzającej się okazji, przesała mi trzy kartofle. Ażebym miał złudzenie obfitego posiłku, pielęgniarka — bodajże czy nie „Husarz” — pokroiła je w drobne kostki. A co więcej — znalazła okrasę.

Byłbym niewrażliwy, gruboskórny, gdybym nie był odczuł, i niewdzięczny, gdybym nie pamiętał, jak ustosunkowani byli do mnie towarzysze powstania. Wyłączam 3-4 wyjątki. Były bez większego znaczenia wobec tak często spotykanej sympatii.

W czasie mej służby powstańczej okazywano mi wielokrotnie w ten lub inny sposób uznanie, dawano dowody więzi przyjaznej. Nieporęcznie jest mi pisać o tym, ale pominąć byłoby jeszcze gorzej. Tym bardziej, że w owym czasie mimo odczuć nie reago-

wałem zgoła. Nie było czasu i nie było warunków. Stale miałem mnóstwo żywotnych i terminowych problemów do rozwiązania. Warunki służby nie były lekkie ani proste.

Moje pierwsze przyjęcie w szefostwie sanitarnym Okręgu (koło 15 sierpnia) przez nieżyjącego już dziś majora dr. Sylweryusza Wilczyńskiego i podpułkownika dr. Lenka było koleżeńskie. Subtelne i przyjazne, a jednak rzeczowe było przesłuchanie przez podpułkownika dr. Lesława Węgrzynowskiego. Nie mniej ciepłe było drugie spotkanie z dr. Wilczyńskim. I wreszcie pożegnalne przemówienie podpułkownika Stanisława Steczkowskiego wobec oficerów sztabu Rejonu IV-go było szczytem wszystkiego. Zadośćuczynienie najwyższym ambicjom żołnierza.

Najbardziej wzruszające były jednak delegacje podległych mi oficerów-lekarzy. Było to w drugiej połowie września. Zgłosili się do mnie: kpt. „Nekander” (docent dr Beck), por. „Łaba” (dr Roman Górecki), mgr „Zielony” (Mieczysław Zieliński). Przemówienie było krótkie, wojskowe:

— Choć podkomendni, pozwalamy sobie wyrazić panu kapitanowi uznanie za dotychczasową służbę i działalność. Prosimy oszczędzać się. I aby pan kapitan przez zbyt częste i długotrwałe przebywanie w terenie nie narażał się zbyt na niebezpieczeństwo. Również po wojnie chcielibyśmy pracować pod pańskim kierownictwem.

Spotkana przypadkowo i nieznaną mi osobiście 16-letnią AK-aczką, córka profesora dr. Kossakowskiego:

— Winszuję panu majorowi awansu i odznaczenia.

— Ależ ja wcale nie awansowałem. Zostałem tylko przedstawiony do odznaczenia.

— Jak to nie, przecież pół Warszawy kicha na cześć pana doktora.

Koleżanka Kossakowska wiedziała o mym awansie i odznaczeniu dużo wcześniej aniżeli ja sam.

Kilka dni później delegacja oficerska zgłosiła się do mnie po raz wtóry. Skład nieco zmieniony. Przebąkiwano już o kapitulacji Warszawy. Docent Beck postanawia pozostać na miejscu, ukryć się w bunkrze i czekać na wyzwolenie przez wojska sowieckie. Z nim razem pozostanie żona i kilku powstańców. Docent Beck proponuje mi miejsce w bunkrze:

— Nie do pomyślenia jest, aby swą powstańczą kartę życiową mógł pan kapitan zakończyć w obozie jenieckim. — Do „karty” życiowej użył drugiego przymiotnika.

— Naczelnym lekarz nie widzi albo nie zwraca uwagi na to,

co się dzieje wokoło — wtrąca magister Zieliński. — Wciąż jeszcze zaabsorbowany jest powiększaniem stanu liczebnego łóżek szpitalnych.

Ale to właśnie było moim zadaniem. Należało do zasadniczych, podstawowych obowiązków naczelnego lekarza. Ranny musi mieć zapewnioną salę opatrunkową, operacyjną, łóżko i opiekę. Rannego i ciężko chorego przestaje zazwyczaj interesować walka, często nawet i wynik jej. Mają inny problem, dominujący. Problem życia i śmierci. I w tej walce życia ze śmiercią sanitariat musi im pomóc, toteż póki trwa walka na froncie, szpitale muszą trwać w stanie ostrego pogotowia. Muszą dysponować wolnymi łóżkami i personelem lekarskim nastawionym na udzielanie pomocy rannym.

Stan pogotowia szpitalnego nie może być odwołany ani dziś, ani też za kilka dni dlatego tylko, że walki mają się ku końcowi. Przeciwnie, pod koniec działań bojowych należy się liczyć z większym zapotrzebowaniem na pomoc służby zdrowia, aniżeli w okresach początkowych. Jest to okres wzmożonego wysiłku obu walczących stron, dążących do osiągnięcia zdecydowanej przewagi. W ówczesnej sytuacji nie sposób było przewidzieć, jaki będzie jeszcze napływ rannych.

Nie odpowiedziałem. Nie było czasu na dyskusje. Teraz mogę podać wyjaśnienie i uzasadnienie swego postępowania. Moje posunięcia nie były posunięciami głuchego i ślepego na to, co się wokół dzieje. Wręcz przeciwnie.

Po dwóch-trzech dniach zgłosił się do mnie docent Beck. Tym razem nikt mu nie towarzyszył. Wizyta miała charakter czysto koleżeński. Suponował — mylnie zresztą — iż moja bierność w sprawach osobistych wynika stąd, że zamierzam wraz z ogółem powstańców iść do niewoli. Tego rodzaju finał nie odpowiadał jego wyobrażeniu i nastawieniu do mej osoby. Jeszcze raz zaproponował mi miejsce w upatrzonym bunkrze. Nie bardzo mi ta propozycja odpowiadała. Nie mogłem jakoś wyobrazić sobie, że ze swym dość żywym, ruchliwym usposobieniem wytrwam tygodnie, a może i miesiące w zamkniętym lochu.

Wobec usilnych nalegań docenta Becka obiecałem obejrzeć schron. Przede wszystkim nie chciałem urazić starszego i ekspozowanego przed wojną lekarza za jego przyjazny stosunek i troskę o moją osobę. Po wtóre, a nuż zmienię nastawienie i w ostatniej chwili zdecyduję się pozostać w Warszawie.

Bunkier znajdował się u wylotu ulicy Złotej. Obejrzałem dojsście oraz łączność ze światem zewnętrznym. Otwór kanału miejskiego. Nic zachęcającego. Oględzin dokonałem pobieżnie, z zewnątrz jedynie.

Nikogo wokół nie spostrzegłem. Mimo to gdy kilka dni później żegnano mnie w dowództwie IV-go Rejonu, kpt. Hal wspomniał, że zgodnie z jego wiadomościami pozostając w Warszawie. Wywiad pracował sprawnie.

Magistrowi Zielińskiemu poleciłem wydać udającym się do bunkra kilka litrów spirytusu i zestawić im apteczkę podręczną.

Jeszcze przed zawieszeniem broni dowiedziałem się o możliwościach przedostania się łodzią na prawy brzeg Wisły. Poinformowano mnie, że pośredników, względnie przewoźników znaleźć można na skrzyżowaniu Szpitalnej, Zgoda, Brackiej, Rutkowskiego. Los powstania był przesądzony. Będąc w terenie dwukrotnie rozglądałem się za przewoźnikami. Bezsukutecznie. Nikogo nie zastałem. Z nikim nie udało mi się nawiązać kontaktu. Poinformowany zostałem zbyt późno.

Docent Beck byłby szczęśliwy, gdybym był mógł przedostać się na Pragę. Tak bowiem w jego pojęciu należało zakończyć naszą działalność powstańczą w Warszawie.

Upadek powstania zbliżał się nieuchronnie. Na nic zdały się odwaga, bohaterstwo i poświęcenie młodzieży warszawskiej.

Rządy brytyjski i amerykański chciały ogłosić deklarację wspólnie z rządem sowieckim. Gdy się to jednak nie udało, ogłosiły same deklarację przyznającą żołnierzom AK prawa kombatanckie. Zgodnie z Konwencją Haską obowiązywała ona również władze niemieckie.

Jednocześnie pocztą pantoflową rozeszła się pogłoska, że przyznane prawa kombatanckie nie obejmują AL-owców. Tej niesłychanej wiadomości udzieliła mi pani Hanka Birencwajzanka. Zetknąłem się z nią w podziemiach gmachu PKO. Groziło to nieobliczalnymi konsekwencjami dla setek, a może i tysięcy powstańców. Zaplanowana została i wszczęta akcja zaopatrzenia towarzyszy z AL-u w legitymacje akowskie.

Miałem prawo wystawiania legitymacji służbowych swym podkomendnym. W szufladzie mego biurka trzymałem pewną ilość niewypełnionych blankietów. Wyraziłem gotowość oddania ich do dyspozycji łączniczce Hance z tym, iż osobiście zajmie się rozproszaniem ich wśród AL-owców. Była zaskoczona.

— Pan kapitan chce AL-owcom wystawić legitymacje?!

Do tego stopnia przyłgnęła do mnie etykieta przynależności do NSZ-tu. I nie dlatego — mam przeświadczenie — że w ciągu pierwszych dwóch tygodni pełnił służbę w terenie, który pierwotnie obsadzony miał być przez zgrupowanie NSZ-u. Pełniło tam służbę więcej towarzyszy i do nikogo etykieta nie przyłgnęła. Nie było mnie w spisie lekarzy AK — to był główny powód.

Wniosek wyciągnięto pochopnie. Widocznie ktoś niemądry etykietkę przykleił, skoro przez szereg lat mądrzy odlepić jej nie mogli.

Na szczęście alarm okazał się fałszywy. Do dyskryminacji AL-owców nie doszło.

Było to w trakcie zawieszenia broni. 1 lub 2 września koło godziny 21-ej udałem się poprzez podkop w Alejach Jerozolimskich na ul. Piękną. Do moich obowiązków rodzinnych należała opieka nad 10-cioletnim bratankiem-sierotą. Zaniedbałem go z chwilą wybuchu powstania. Na szczęście chłopak przebywał u mych zacnych przyjaciół Anny i Antoniego Krajewskich. Zastałem go we względnie dobrej formie. Opiekę miał bez zarzutu. Rodzeństwo Krajewscy dzielili się w tych czasach głodem wszystkim, co sami posiadali.

Właśnie w owym czasie miałem kłopot z przyjęciem, a raczej nieprzyjęciem chłopca na oddział dziecięcy szpitala Bergsona i Baumanów.

W pobliżu ulicy Koszykowej pod numerem 51 na IV-tym piętrze zamieszkiwała pani Stanisława Pisarczykowa z rodziną. Wysiedleni zostali z Torunia. Dzielna jej córka, łączniczka Zosia, zginęła pod murami Głównej Poczty. Chciałem złożyć krótką wizytę kondolencyjną. Termin zawieszenia broni dawno minął. Padały pojedyncze pociski artyleryjskie. Mieszkańcy domu zgromadzili się w zajętej pod piekarnię lokalu parterowym. Poko-tem leżeli na podłodze. Na czwartym piętrze w jednym z pokoi stało wolne łóżko. Byłem zmęczony. Przedkładałem łóżko na wysokościach nad podłogę na „bezpiecznym” parterze. Ale zasnąć jakoś nie mogłem. Po pewnym czasie znużyły mnie beczyność i osamotnienie. O godzinie 23-ej zszedłem na dół. Nie upłynęło 5 minut, a ostatni pocisk, jakim Niemcy tego dnia poczęstowali Warszawę, wpadł przez otwarte okno. Przebił podłogę czwartego i sufit trzeciego piętra. Pokój, w którym jeszcze przed paru minutami przebywałem, został doszczętnie zdemolowany.

Tejże nocy szef sanitarny Okręgu, ppłk „Bakcył”, wydał rozkaz podania ogólnej liczby rannych leżących, siedzących i poruszających się o własnych siłach. Jasne było, że czynione są przygotowania do ewakuacji szpitali.

Było to jedyne, skierowane do mnie pismo szefostwa sanitarnego Okręgu Warszawa. I ono właśnie nie zastało mnie na miejscu. Ale moi najbliżsi biurowi współpracownicy doskonale wiedzieli, co mają robić. Nad ranem powiadomione zostały podległe mi placówki sanitarne. Komendanci szpitali i kierownicy punk-

tów opatrunkowych przywykli do przesyłania mi z rana szczegółowych meldunków o liczebnym stanie rannych. Tego dnia otrzymali polecenie przesłania mi owych meldunków o kilka godzin wcześniej. Dodatkowo posegregowanie rannych na leżących, siedzących i chodzących nie przedstawiało dla nich żadnej trudności. Nie spowodowało zwłoki we wcześniejszym przesłaniu mi codziennego rannego raportu.

W ciągu kilku godzin szef sanitarny dysponował żądanymi danymi. Dalsze instrukcje dotyczące technicznego przeprowadzenia ewakuacji kierownicy placówek otrzymali ode mnie.

Tegoż dnia ppłk „Zagończyk”, dowódca IV-go Rejonu, wyraził życzenie odwiedzenia rannych. Znając się na pragmatyce służbowej i formach, do szpitali nie udał się sam, lecz poprosił, abym zechciał mu towarzyszyć. Wybrałem dwa szpitale. Dowódcy chodziło o pożegnanie tych swoich podkomendnych, którzy na wiernej służbie złożyli ofiarę krwi na ołtarzu Ojczyzny.

Okazał troskę i serdeczność, które zawsze cechowały go w stosunku do żołnierzy. One właśnie spowodowały, iż tak bardzo był ceniony i szanowany przez swych podkomendnych. Ranna AK-aczka na pytanie o przydział odpowiedziała z dumą:

— Miałam zaszczyt być łączniczką majora „Zagończyka” (w owym czasie służył jeszcze w stopniu majora).

O stan zdrowia wypytywał nie tylko rannych. Indagował również i ordynujących lekarzy. Pozostawił do mej dyspozycji 1.000 papierosów dla rannych. Cukierki — dla AK-aczek.

Po wizytacji szpitali zaproszony zostałem do sztabu IV-go Rejonu na pożegnalną lampkę szampana. W obecności oficerów sztabu ppłk „Zagończyk” wygłosił krótkie, ale treściwe przemówienie:

— W imieniu władz wojskowych dziękuję dr. Bornowi za wierną służbę, zorganizowanie szpitali i stworzenie Centralnej Składnicy Sanitarnej. Dzięki temu, mimo ciężkich warunków bojowych w szpitalach zorganizowanych pod ostrzałem rannym zapewniona została należyta pomoc lekarska. W dowód uznania zasług i odwagi kpt. Born odznaczony został w czasie akcji powstańczej Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z mieczami. Ostatnio przedstawiony został do Krzyża Virtuti Militari, najwyższego odznaczenia bojowego, za męstwo i odwagę oraz umiejętne kierowanie podległymi sobie placówkami.

„Zgodnie z umową kapitulacyjną Wojsko Powstańcze skierowane zostaje do obozów jenieckich w Niemczech”. Tak brzmiał rozkaz Komendy Głównej Armii Krajowej. Poszczególni powstańcy urywali się w zależności od nastawienia i możliwości indy-

widualnych już w Warszawie. Inni podczas wymarszu i jazdy koleją. Niektórym udało się zaopatrzyć w legitymacje Czerwonego Krzyża. Wśród tych byłem i ja. Wprawdzie ppłk „Zagończyk” sugerował początkowo pójście do obozu, nie nalegał jednak, zwłaszcza gdy oświadczyłem mu, że w wrześniu był już raz w obozie jenieckim, a później zakładnikiem oraz więźniem Gestapo, że znam doskonale smak drutów kolczastych i smak niewoli.

Warszawa nadziemna przeżywała powstanie w pomieszczeniach podziemnych. W piwnicach panował półmrok. Gdzieś palila się świeczka. Pod ścianami na krzesłach i ławach rozmieszczeni byli warszawiacy, zazwyczaj ci sami na tych samych miejscach. Wyraz twarzy skupiony, rysy ściągnięte. Nawet przechodząc nietrudno było odczytać co ci ludzie przeżywali. To byli rodzice lub starsze rodzeństwo walczących. O tyle w gorszej sytuacji, że mieli dużo czasu wolnego na rozmyślania o losie swym i swych najbliższych. Mało jednak pożywienia na zaspokojenie dokuczliwego głodu. Niektórzy zaznali nieszczęścia utraty najbliższych. Mimo to byli spokojni, opanowani, uprzejmi. Będąc w terenie, niejednokrotnie dla uniknięcia obstrzału niemieckiego część drogi odbywałem przez piwnice. Ułatwiano mi przejście. Wskazywano otwory łączące piwnice sąsiadujących domów. Czyniono to z pełną gotowością przysłużenia mi się. A przecież pozbawieni byli możliwości zaspokojenia elementarnych potrzeb ludzkich. Ciężki byt nie usposabia do grzeczności ani usłużności. Z wytworzonej sytuacji mogli być i z pewnością byli niezadowoleni. Mogli mi okazać swe niezadowolenie. A oni wręcz przeciwnie — uprzejmi. Bez cienia rozgoryczenia. Zpełne pogodzenie się z sytuacją, zrzędzeniem losu, koniecznością dziejową. Poniekąd zrezygnowani jedynie.

Po kapitulacji ludność cywilna musiała przejść przez obóz w Pruszkowie. Tu odbywała się segregacja. Większość wysyłano na roboty do Niemiec. Jedynie starzy, dzieci oraz niezdolni do pracy rozprowadzani byli po wsiach Generalnej Guberni.

Zwróciło się do mnie szereg osób, przeważnie bliscy krewni powstańców, o pomoc celem uniknięcia Pruszkowa. Udałem się do dyrektora Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, Władysława Gorczyckiego, z prośbą wydania mi *in blanco* pewnej ilości legitymacji czerwonokrzyżskich dla zatrudnionych w cywilnej służbie sanitarnej. W dwóch rzutach otrzymałem łącznie 400 formularzy. Legitymacje rozprowadzone zostały przede wszystkim między rodziny powstańców. Chroniły one przed obozem przejściowym w Pruszkowie, a młodych przed robotami przymusowymi w Niemczech. Dr Pokrzewiński okazał mi dużą po-

moc przy ich rozproszaniu. Tak więc kilkaset osób mogło opuścić Warszawę na własną rękę i udać się w kierunku przez siebie obranym.

Dla siebie oraz dwunastu osób uzyskałem zaświadczenie Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża wystawione w języku polskim i niemieckim. Zgodnie z zaświadczeniem trzynastu osób udaje się jako patrol sanitarny do dyspozycji szpitala PCK w Milanówku. W roku 1943 i 1944 używałem nazwiska Głowacki.

Wiele czynników złożyło się na odwagę powstańców. Wychowanie, tradycje narodowe, poczucie obowiązku, miłość Ojczyzny, umiłowanie wolności. Do tych czynników należy dodać bezwzględny imperatyw walki z hitleryzmem, porachunki za krzywdy zadane nie tylko narodowi, ale i osobiste. Zbyt dużo wycierpieliśmy od terroru nazistowskiego. Stosowany niemal od pierwszych dni okupacji bezwzględny terror zawiódł. Wzmagał jedynie cichy i jawny opór całego narodu.

Wartość żołnierza przejawia się nie czasu zwycięstwa, lecz czasu niepowodzeń. Gdy staje on twarzą w twarz z możliwością klęski bojowej. Daleko wyżej cenić należy odwagę, bohaterstwo żołnierza bitego, cofającego się, niż zwycięskiego, prącego naprzód. Pierwszy walczy z przeciwnikiem nie tylko silniejszym fizycznie, ale którego postawa i morale są mocne. Drugi walczy z przeciwnikiem fizycznie i moralnie załamany.

Liczne rzesze warszawiaków jasno zdawały sobie sprawę, że wcześniej czy później stać się mogą ofiarami łapanek. Były one w latach okupacji zjawiskiem więcej niż częstym. Do tego dochodziła groźba częstych rewizji domowych. Nic więc dziwnego, że większość mieszkańców stolicy tak się otrząsała z groźbą śmierci, niemal żyła, że niebezpieczeństwo związane z walką zbrojną nie robiło już na nich większego wrażenia. Nie powodowało uczucia niepokoju, ostrożności, a tym bardziej lęku.

Lekarzom, pielęgniarkom, personelowi pomocniczemu służby zdrowia, a nade wszystko bohaterskim dziewczętom z patroli sanitarnych, które z narażeniem życia wносиły rannych z pierwszej linii bojowej, należą się wyrazy podziękowania i uznania za ich ofiarną służbę i okazaną rannym pomoc.

Tylko dzięki humanizmowi, dzięki poczuciu obowiązku i miłości wobec tych, co wszystko nieśli w ofierze Krajowi, można było zaplanować, stworzyć i zorganizować służbę zdrowia Śródmieścia podczas samej akcji powstańczej. Bez ofiarnej pomocy współpracowników, bez należytego zrozumienia otrzymywanych

dyspozycji i ich ścisłego wykonania na nic zdałoby się planowanie, nawet gdyby graniczyć miało z doskonałością. Jednostka sama nic w polu zdziałać nie może.

Niemniej godna podziwu była postawa starszego pokolenia. Poniosło ono równie wielkie ofiary krwi i życia. Przed oczami mam skamieniałe w wyrazie oblicza. Niekiedy całe postacie jakby z kamienia. Takiego wyrazu twarzy, takiej postawy nabiera człowiek nie bez głębokiej przyczyny, nie bez przeżycia wstrząsającej tragedii. Ową tragedią była strata 150.000 współobywateli. A wśród nich i osób najbliższych.

Wzniosłe są idee i cele powodujące powstanie, czyn zbrojny ciemniejszego, dążącego do odzyskania utraconej niepodległości. Niestety niemniej niebezpieczny niż wzniosły. Dlatego też decyzja wywołania powstania zapaść winna po bardzo dojrzałym rozpatrzeniu sytuacji z punktu widzenia chłodnej, trzeźwej racji stanu. Bo właśnie trzeźwa racja stanu, a nie niebosiężne wzloty romantyków powinny decydować. Można głowę unosić i zwracać wzrok ku niebiosom, lecz stąpać należy po ziemi. W każdym razie gdy chodzi o dobro społeczne, sprawy narodowe.

Nie każdego stać na przyziemny realizm. Cechy wrodzone są zazwyczaj silniejsze od nas samych, naszych rozumowań. Nie wolno decydować wówczas o sprawach społecznych. Nie wolno piastować wysokich urzędów państwowych, a szczególnie już tych najwyższych, z którymi powiązana jest możliwość decyzji o najżywotniejszych sprawach społeczeństwa, narodu i państwa. Często bytu lub niebytu.

Wynik nie zawsze odpowiada najściślejszym nawet wyliczeniom i przewidywaniom. Wojna jest jak poważny zabieg operacyjny. Mimo wiedzy i techniki może się nie udać. Nie znamy wszystkich czynników, stanowiących o odporności organizmu, o jego indywidualnej reakcji. Czynniki te przejawiają się wyraźnie dopiero podczas przebiegu lub zgoła po dokonanym zabiegu. Podobnie jest z wojną czy powstaniem. Wiadomo, jak się zaczyna. Już mniej — jak przebiegać będzie, a zakończenie — to często wielka niewiadoma.

Naród, jak zresztą i poszczególne jednostki, nie powinny dokonywać nieobliczonych gestów i posunięć. Konsekwencje nieudanego powstania są zazwyczaj bardziej opłakane, aniżeli przegranie wojny, toteż i odpowiedzialność wobec narodu jest większa niż za wywołaną i przegraną wojnę. Powstańcy są całkowicie zdani na łaskę zwycięzcy. Na interwencję mocarstw trzecich w

powstaniu liczyć nie można. Tak nas poucza historia. Zarówno Polski jak i Armenii Tureckiej, Kaukazu i innych krajów.

Do wielu instytucji w poszczególnych krajach nie angażuje się urzędników bez uprzedniego poddania ich dokładnemu badaniu lekarskiemu. Ankiety personalne w Stanach Zjednoczonych są tak szczegółowe, że pozwalają niemal na scharakteryzowanie starającego się o pracę bez oglądania go i rozmawiania z nim.

Natomiast do najwyższych urzędów w Kraju, a nawet i instytucji międzynarodowych, decydujących często i o narodach obcych, dostęp mają funkcjonariusze, którzy nigdy nie byli poddani urzędowemu badaniu lekarskiemu. Na nieszczęście narodów na najwyższych stanowiskach spotkać można megalomanów, fanatyków, fantastów, szaleńców, przestępców kryminalnych i moralnych. Tuzinami chyba.

Dążyć należy, aby stanowiska ministrów, a szczególnie już resortów decydujących o wojnie i pokoju oraz sprawiedliwości socjalnej obsadzone były nie tylko na rozkaz z góry, lub według klucza partyjnego, ale przede wszystkim przez ludzi na wysokim poziomie moralnym, o bezwzględnie zrównoważonej psychice. Poza tym z dobrą znajomością historii i filozofii.

Gdyby decydujące o życiu politycznym stanowiska obsadzone były przez odpowiednich ludzi, nie byłoby tak łatwo o powód do wojen i powstań.

Mickiewicz, zwracając się do młodzieży, miał chyba na myśli te jedynie zamiary, które wchodzą w zakres możliwości młodzieży. Jeśli młodzież przekracza zakres swej działalności, działa i decyduje w sferze przynależnej starszym i jeśli przy tym motorem są nie siły, warunki i okoliczności, ale same tylko zamiary, to wynik takiej działalności jest więcej niż problematyczny i może stać się tragiczny. I to w rozmiarach trudnych do przewidzenia.

Mierzyć siły na zamiary — jeśli już kogoś stać na tyle romantyzmu i odwagi — wolno jedynie wówczas, gdy zamiary dotyczą własnej osoby. Gdy rodziny lub bliskich — trzeba ich aprobaty. A gdy społeczeństwa, narodu — zgody tegoż przy zachowaniu ścisłych zasad demokracji.

Tym niemniej, stąpając po ziemi, głowę wzniesioną należy trzymać ku chmurom.

Na pierwszy rzut oka warunki powstania warszawskiego były zgoła odmienne od listopadowego. Z jednej strony — fantastycznie wyszkolona i zdyscyplinowana armia Księstwa Warszawskiego, zaopatrzona pod każdym względem bez zarzutu. Jeśli nie była

najlepszą, to w każdym razie jedną z najlepszych w Europie. Wśród generalicji i oficerów średniej szarży niejeden uczestnik epopei napoleońskiej. Z drugiej — ze względu na bardzo trudne warunki oraz wywiad niemiecki — młodzież niedoszkolona jeśli chodzi o styl walki w mieście. Uzbrojona licho nawet w broń ręczną, nie mówiąc już o broni automatycznej.

W roku 1830 liczone na pomoc Francji. W 1944 — Zachodu. W jednym i drugim przypadku tylko przypuszczenia. Gwarrantji żadnych. W jednym i drugim przypadku dominujący wpływ wywarli młodzi ludzie.

W listopadzie 1830 obawiano się tajnej policji i aresztowań, w lipcu 1944 — Gestapo i robót przymusowych. Miast wyczekiwać z bronią u nogi na dogodny moment, wywołano zbrojne wystąpienie.

W roku 1944 wyczekiwana, lecz nie zapewniona pomoc w rozmiarach istotnych, mogąca mieć wpływ decydujący na bieg spraw nie nadchodziła. W ciągu siedmiu tygodni walki ilość zrzutów polskich, amerykańskich i brytyjskich nie sięgnęła 50. Sześć tygodni walczyli osamotnieni powstańcy — aż do wyczerpania.

18 września nadleciało pod osłoną myśliwców 100 bombowców ze zrzutami. Ale wówczas znaczna część miasta znajdowała się znów w rękach niemieckich i w ich ręce dostało się *gros* broni. Zrzuty sowieckie zapoczątkowane nocą z 13 na 14 września trwały do 29 tegoż miesiąca.

Powstańcy byli w stanie krańcowego wyczerpania. Jedynie Żoliborz i Śródmieście pozostawały w ich rękach. Walka stawała się z każdym dniem coraz bardziej niemożliwa i coraz mniej celowa.

Dr med. Roman BORN-BORNSTEIN

LISTY DO REDAKCJI

9 marca 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Otrzymałem dziś list z artykułem „Jak było naprawdę” R. Korab-Żebryka, przysłany bez komentarza i nazwiska wysyłającego. Dlatego zwracam się do Pana Redaktora dając moje wyjaśnienia. Oszczercza kampania przeciwko mnie w Polsce zaczęła się od książki Piórkowskiego, w której omawiając działalność A.K. w czasie okupacji, porusza sprawę śmierci mjr. Hubal-Dobrzańskiego. Twierdzi, że zginął na skutek zdrady — niedwuznacznie wskazując na mnie jako sprawcę.

Insynuacja ta wywołała ostrą reakcję „Koła Hubalczyków”. Następuje szereg artykułów w różnych pismach, określonych nazwą „polemiki”: artykuł Jacka Wilanowskiego pt. „Rokosz rotmistrza Świdu” (podtytuł „Kim był ten człowiek, którego nazwisko niechętnie przytacza się w pracach na temat kresowej konspiracji”). W „polemice”, odpowiedź Cezarego Chlebowskiego pt. „Kozioł ofiarny, czy drugi sabat czarownic w sprawie rtm. Lecha”.

Chlebowski w zakończeniu artykułu pisze odnośnie mojego porozumienia z Niemcami, że nie widział głępszego podstępu wojennego, który przeszkadzał w rokowaniach polsko-sowieckich.

Jako młody pisarz nie rozumiem, że w 1944 roku żadnych realnych wyników rokowań nie należało oczekiwać, bo sprawa była już definitywnie przez Stalina przesądzona. Chlebowski nie porusza ze względów oczywistych, że moje postępowanie było podyktowane słuszną teorią o dwu wrogach. Zresztą tę teorię potwierdziły fakty: rozkaz Moskwy o niszczeniu polskich oddziałów, podstępne uwięzienie „Wilka” wraz ze sztabem i wreszcie proces „szesnastu”.

Następny artykuł „polemiki”: „Druga odsłona”, podtytuł „Dalszy ciąg sporu nie tylko o rtm. Świdu” — gdzie Jacek Wilanowski pisze o kontaktach z Niemcami komendanta okręgu Wilno — „Wilka” i sięga aż do generała Bór-Komorowskiego.

Nie mam jeszcze odpowiedzi Chlebowskiego — podobno bardzo dobrze napisanej.

Robi wrażenie, że cała kampania oszczerstw wzięła jako punkt zaczepienia moją osobę i moją działalność na kresach. Chodzi tu chyba jednak o kompromitowanie AK i dowódców w związku ze sprawą kresów wschodnich

w czasie okupacji i polityki w stosunku do okupanta i drugiego „pseudo alianta”.

Baczni obserwatorzy „polemik” w Polsce odnoszą to samo wrażenie. Artykuły polemiczne są prawdopodobnie pracami zleconymi przez reżym.

Możliwe, że jest to reakcja reżymu na popularną dziś w Polsce książkę J. Erdmana „Droga do Ostrej Bramy”. W tej książce spojrzenie na sprawę kresów przeciwstawia się oficjalnej wersji — stąd potrzeba sprostowania i poprzez oszczerstwa właściwe nastawienie opinii publicznej oraz usprawiedliwienie akcji konsekwentnego niszczenia AK w całej Polsce.

Jeden z polskich krytyków książki Erdmana napisał między innymi, że na zbieranie przyczynków historycznych nigdy nie jest za wcześnie, ale niestety w polskiej rzeczywistości są sprawy, o których mówić publicznie jest stanowczo za wcześnie.

To chyba wszystko, co chciałem Panu Redaktorowi zakomunikować. Jeszcze tylko moja reakcja na oszczerstwa.

Oczywiście żadnej mojej reakcji być nie może. Oskarżenia reżymowe nie wymagają realnych podstaw, a krucha obrona opiera się na zasadzie *dokazi, szto ty nie wierbtud*.

Wszystko co mogę powiedzieć o mojej historii wojennej znajduje się w *Zeszytach Historycznych* w rozdziale „Wyrok na brata” J. Erdmana oraz w moim oświadczeniu w 73 numerze *Zeszytów*.

Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia

Józef ŚWIDA



Władysław ŻELEŃSKI

JESZCZE O SPRAWIE OŁPIŃSKIEGO

Drogi Panie Redaktorze,

Parę uzupełnień do mego opisu w nr. 69 *Zeszytów Historycznych* sprawy agenta niemieckiego, Stefana Ołpińskiego, i jego grzesznych stosunków ze środowiskiem gen. Sikorskiego, gen. Kukieła i Frontu Morges:

W Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie kierownik archiwum, p. Wacław Milewski, znalazł i łaskawie udostępnił mi pismo II Oddziału Sztabu do gen. Modelskiego, wówczas 1-go Generała do zleceń Naczelnego Wodza. Pod datą 21 grudnia 1940, odpowiadając na jego zapytanie (nie odnalezione), ppłk dypl. dr Tadeusz Tokarz, szef kontrwywiadu, uchodzący zdaniem płk. Leona Mitkiewicza za „człowieka Sikorskiego” i „wroga piśsudczyków”, daje zwięzły „opis sprawy Ołpińskiego”. Za okres przedwojenny jest to odtworzenie *dossier*, spalonego przy ewakuacji z Warszawy. Potwierdza ono a nawet zaostrza ustalenia, wynikające z innych źródeł, mówi nawet o styczności Ołpińskiego z Himmlerem i z wojskowym wywiadem na Polskę. Natomiast za okres wojenny w Paryżu pisze tylko, że „Ołpiński starał się wkręcić w sfery rządowe”, itp. ogólniki, zatajając, że wkręcił się i to na całego. Przemilcza, że Ołpiński wyłudził rekomendację od gen. Sikorskiego, że był aresztowany przez kontrwywiad francuski, że szantażował Sikorskiego i wyszedł z więzienia dzięki wstawiennic-

twu gen. Kukiela. Tak fałszywe opisanie sprawy Modelskiemu, który z pewnością i tak ją znał, wskazuje chyba, że Tokarz nie chciał dać Modelskiemu czarno na białym materiale, mogącego posłużyć do rozgrywki przeciw Sikorskiemu, której się może już obawiano. Pytanie, czy o takim raporcie wiedział Sikorski, do którego Tokarz „miał własne chody”?

Prof. Andrzej Brożek, Ślązak, z Instytutu Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, bawiąc z wykładami w Wiedniu, zapoznał się z moją pracą i uprzejmie przekazał mi udokumentowane dane o Aleksandrze hr. Hochbergu z Pszczyny, tym, którego dobrej wiary Ołpiński nadużył przed wojną prowokacyjnym przekazem pieniężnym dla gen. Sikorskiego. Okazało się, że Hochberg już nie żyje, zmarł na Majorce pół roku przed moją publikacją. Istotnie okazywał przywiązanie do Polski, akcentując powinowactwo z wygasłą rodziną Piastów Śląskich. Po katastrofie Francji ewakuował się z władzami polskimi do Anglii. Za radą działacza z Opolszczyzny, Arki Bożka, zaciągnął się do wojska polskiego jako Aleksander Pszczyński. Wysłany na Bliski Wschód jako tłumacz, służył potem w 3-ej Dywizji Karpackiej w sekcji badania jeńców i był mianowany podporucznikiem czasu wojny. Po wojnie towarzyszył jako 2-gi adiutant gen. Borowi-Komorowskiemu w podróży do Ameryki. Z brytyjskiego aktu demobilizacyjnego z roku 1948 wynika, że otrzymał brązowy Krzyż Zasługi z mieczami i krzyż Monte Cassino oraz medale brytyjskie. Prof. Brożek, który utrzymywał z nim listowe stosunki (jeden długi list mi udostępnił) poświęcił mu po jego śmierci bardzo życzliwe wspomnienie w katowickiej *Panoramie* (nr 27, 31 i 44 z roku 1985), które wywołało protest pewnego badacza, niechybnie komunisty, i serię serdecznych wspomnień ze strony kolegów żołnierzy 2-go Korpusu.

Na Majorce osiedlił się za paszportem irlandzkim. Nadal utrzymywał styczność ze środowiskiem polskim w Londynie, o czym świadczy list, wydrukowany już przeze mnie. Wątpię, by pozostawił potomstwo. Oto parę szczegółów o losach tego Polaka z wyboru, bezwiednie zaplątanego w aferę Ołpińskiego.

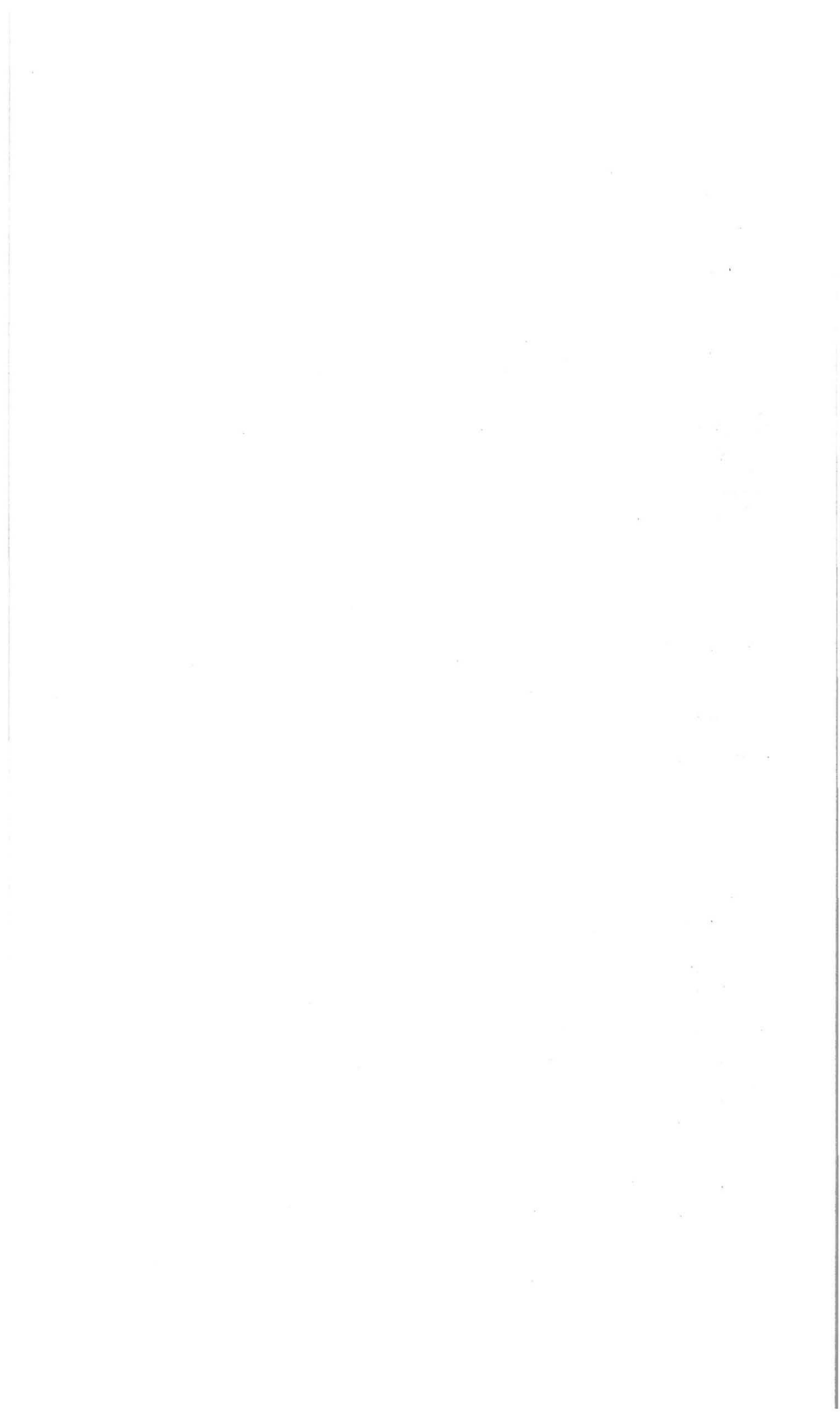
Łączę serdeczny uścisk dłoni

Władysław ŻELEŃSKI



W SPRAWIE WSPOMNIENIŃ ST. WACHOWIAKA

Zamieszczone w numerach 77 i 78 *Zeszytów Historycznych* wspomnienia Stanisława Wachowiaka są dalszym ciągiem książki, wydanej w roku 1983 przez Spółdzielnię wydawniczą „Czytelnik” w Warszawie. Stanowią one zarazem zakończenie wspomnień. W/w wydawnictwo wyraziło zgodę na opublikowanie jedynie tej części wspomnień, która dotyczy czasów od urodzenia autora (1890) do chwili rozpoczęcia się drugiej wojny światowej tj. do dnia 1 września 1939.



SPIS TREŚCI

Michał Giedroyc: <i>Chryścianizacja Litwy (Pierwsze kontakty XIII wiek)</i>	3
Tadeusz Wyrwa: <i>Polska i Europa Środkowa w konspiracyjnej prasie francuskiej 1941-1944</i>	33

WSPOMNIENIA

Anka Kowalska: <i>Folklor tamtych lat</i>	47
Tadeusz Pawłowicz: <i>Pierwszy rok wojny (fragmenty wspomnień)</i> (I)	90
Władysław Minkiewicz: <i>Wspomnienia 1939-1954</i> (I)	116

DOKUMENTY

Dr med. Roman Born-Bornstein: <i>Powstanie Warszawskie</i>	152
--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Józef Świda: <i>Odpowiedź na artykuł R. Korab-Żebryka pt. „Jak było naprawdę?”</i> , zamieszczony w prasie krajowej	235
Władysław Żeleński: <i>Jeszcze o sprawie Ołpińskiego. Uzupełnienie do opisu, zamieszczonego w nrze 69 Zeszytów Historycznych</i>	236
<i>W sprawie wspomnień Stanisława Wachowiaka</i> zamieszczonych w nrach 77 i 78 Zeszytów Historycznych ..	237
	239

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 22 MAI 1987
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1987.

N^o d'imprimeur 8304.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

